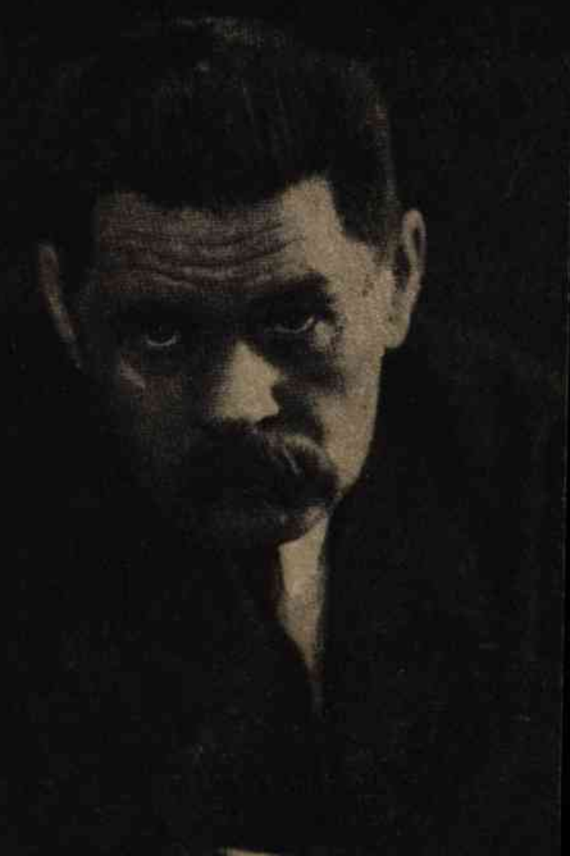
Eugeniusz Czirikow
Mój romans.
Maksym Gorkij
Foma Gordiejew.

# FOMA GORDIEJE

## M. GORK



Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

# FOMA GORDIEJEW

Nr. 543--544

MAKSYM GORKIJ

# FOMA GORDIEJEW

PRZEŁOŻYŁ

EDWARD CHWALEWIK

WARSZAWA — 1928

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12.

I.

Przed sześćdziesięciu laty, kiedy na Wołdze z szybkością bajeczną tworzyły się miljonowe fortuny, na jednej z barek bogatego kupca Zajewa zajmował stanowisko pompiarza wyrostek Ignacy Gordiejew.

Zbudowany jak lew, piękny, niegłupi, należał do rzędu tych ludzi, którym los zawsze i we wszystkiem sprzyja — nie dlatego, że są pracowici i zdolni, lecz raczej dlatego, że, rozporządzając zasobem energji życiowej, nie umieją i nie mogą w dążeniu do swego celu zastanawiać się nad wyborem środków, a nawet, wbrew swym życzeniom, nie znają innej drogi. Ze strachem mówią niekiedy o swem sumieniu, czasem cierpią szczerze, staczając z niem walki, — ale sumienie jest siłą nieprzezwyciężoną jedynie dla duchów słabych; silne stosownie do swych życzeń opanowywują i ujarzmiają je, ponieważ czują nieświadomie, że złamie ono życie skoro pozostawi się mu bezgraniczną wolność. Składają mu tedy w ofierze kilka nocy bezsennych; jeżeli zaś przypadkowo sumienie owładnie ich duszami, zwyciężeni — nie padają nigdy złamani i równie dobrze i bezpiecznie żyją pod jego zwierzchnictwem, jak obywali się bez niego...

Mając lat czterdzieści Ignacy Gordiejew był sam właścicielem trzech statków parowych i dziesięciu barek. Na Wołdze używał reputacji człowieka bogatego i mądrego, chociaż miał przezwisko — „szaleńca", albowiem, życie jego nie płynęło bynajmniej równem, gładkiem korytem, jak życie podobnych doń ludzi, lecz wrzało niespokojnie i zmieniało niekiedy swój zwykły kierunek, wiodący do zysków —

głównego celu istnienia tego człowieka. Istniało jakgdyby trzech Gordiejewów, czyli w ciele Ignacego mieszkały niejako trzy dusze. Jedna — najpotężniejsza, odznaczała się tylko chciwością. I gdy uległ jej wpływowi, wówczas był zwykłym człowiekiem, opanowanym niepohamowaną żądzą pracy. Żądza ta gorzała w nim dni i noce i, opanowany przez nią zupełnie, gromadził Ignacy zewsząd setki i tysiące rubli, nigdy, zdawało się, nie mogąc nasycić się szelestem i dźwiękiem pieniędzy. Miotał się gorączkowo po Wołdze, przebiegał ja wdół i wgórę, wszędzie zarzucając i umacniając sieci, któremi łowił złoto; skupowywał po wioskach zboże, woził je do Rybińska na swych barkach; obdzierał, oszukiwał, niekiedy mimowoli, a niekiedy zupełnie świadomie, i wówczas z miną triumfującą śmiał się otwarcie z oszukanych i w swej szalonej pogoni za pieniądzem wznosił się na szczyty graniczące z poezją. Ale zużywając tak wiele sił na robienie majątku, nie był on chciwy w całem znaczeniu tego wyrazu i ujawniał nawet chwilami niezrozumiałą, lecz szczerą obojętność względem swego majątku. Pewnego razu, gdy lody ruszały na Wołdze, stał on na brzegu i patrząc, jak kra gruchocze jego największy statek, przytłoczywszy go do urwistego brzegu, mówił przez zęby:

— Niech go tam... dalej-że... rwij!... no, jeszcze raz!... u—u!

— Co, Ignac, — podchodząc doń, zapytał kum Majakin — wygarnie ci kra z dziesięć tysiączków z kieszeni, co?

— Głupstwo! Zarobię znów ze sto... patrz, jak cto Wołga pracuje! co? dobrze? Wszak ona, matuleńka, może całą ziemię rozłupać, jak twaróg nożem... patrzaj, patrzaj-no! Już po mojej „Bojarce"! Jedną tylko wiosnę chodziła... wartoby stypę po niej urządzić, hę?

Statek został zmiażdżony na drobne szczapy. Ignacy z kumem, siedząc na brzegu w traktjerni, pili wódkę i patrzyli przez okno na płynące po rzece wraz z krą szczątki „Bojarki".

— Żal ci statku, Ignac? — pytał Majakin.

— Jest też czego żałować? Wołga dała, Wołga wzięła... Nie straciłem przecież ręki...

— No, a jednak...

— Cóż — jednak? Dobrze, żem sam widział, jak to się wszystko stało... na przyszłość będę miał naukę. A ot, kiedy palił się mój „Wołgar" — nie widziałem, szkoda. Ładny musi być widok, kiedy w ciemną noc na wodzie taki stos się pali, co? Olbrzymia była machina...

— I też nie żal ci go było?

— Parostatku? Hm.. prawda, szkoda było.. Ale żałować — nie warto! To nie ma sensu! Płakać — łzy pożaru nie ugaszą. Niechaj się palą parostatki i niechaj się wszystko spali, pluję na to! Byleby tylko dusza rwała się do pracy... a wszystko odbuduje się na nowo, czyż nie?

— Racja — odrzekł z uśmiechem Majakin. — Dobrze mówisz... A kto tak mówi — choćby go do naga obdarto, zawsze bogatym zostanie...

Zachowując się z obojętnością filozofa wobec straty tysięcy, Ignacy znał wartość każdego grosza; nawet rzadko wspomagał ubogich i to tych jedynie, którzy całkiem do pracy byli niezdolni. Jeżeli zaś prosił o jałmużnę człowiek względnie zdrów, nie kaleka, Ignacy przemawiał doń surowo:

— Idź precz! Możesz jeszcze pracować... idź, pomóż gnój uprzątać mojemu stróżowi — dostaniesz złotówkę...

W okresach zapału do pracy obchodził się z ludźmi surowo, bez litości — sobie również nie folgował, goniąc za rublem. I nagle — działo się to zwykle na wiosnę, kiedy na ziemi wszystko nabiera czarującego powabu i kiedy z jasnego nieba spływa do duszy jakieś boleśnie-rozkoszne omdlenie — Ignacy Gordiejew uczuwał niejako, że przestaje być panem swego ciała, staje się zaś podłym jego niewolnikiem. Zamyślał się i, spoglądając badawczo z pod zachmurzonych gęstych brwi dookoła siebie, chodził całemi dniami zasępiony i zły, z milczącem na ustach pytaniem, które obawiał się wypowiedzieć głośno. Wówczas budziła się w nim druga dusza —porywcza i pożądliwa dusza rozjątrzonego głodem zwierzęcia. Zuchwały i cyniczny dla ludzi, pił, pędził życie rozpustne, upajał innych i sam szalał, jakgdyby wybuchnął w nim nagle wulkan błota. Zdawało się, że w zapamiętaniu usiłuje zerwać łań-

cuchy, które sam na siebie ukuł i nosi, ale zerwać nie ma siły. Rozczochrany, brudny, z twarzą od pijaństwa i nocy bezsennych opuchłą, z obłąkanemi oczyma, jak olbrzym ryczący ochrypłym głosem, włóczył się po mieście z jednej jaskni do drugiej, rzucał pieniędzmi bez liku, wybuchał płaczem, usłyszawszy zawodzenie tęsknych pieśni ludowych, tańczył i bił kogo napotkał, ale nigdzie i w niczem nie mógł zaznać ukojenia.

O jego hulankach opowiadano w mieście legendy całe; krytykowali go ostro wszyscy, ale nikt z zaproszonych nie odmawiał mu nigdy swego uczestnictwa w orgjach. W takim stanie spędzał całe tygodnie. Potem niespodzianie wracał do domu, jeszcze cały przesiąkły odorem szynków, ale już zgnębiony i cichy. Ze spuszczonemi pokornie oczyma, w których obecnie gorzał wstyd, słuchał w milczeniu wyrzutów żony; skromny i potulny jak baranek szedł do swego pokoju i tam się zamykał. Po kilka godzin zrzędu klęczał ze spuszczoną pokornie głową przed świętemi obrazami, klęczał z obwisłemi rękoma, zginając kark olbrzymi, i milczał jakgdyby nie mając odwagi przemówić do Boga. Do drzwi zbliżała się na palcach żona i słuchała. Za drzwiami rozlegały się ciężkie westchnienia — westchnienia zmęczonego i chorego konia.

— Panie! Ty widzisz... — szeptał głucho Ignacy, silnie przyciskając dłonie do szerokiej piersi.

W dni pokuty pił tylko wodę i jadł chleb czarny. Żona stawiała rano przy drzwiach jego pokoju dużą karafkę wody, półtora funta chleba i sól. Otwierał drzwi, zabierał pożywienie i zamykał się znowu. Nie niepokojono go wówczas niczem, nie nawijano mu się nawet na oczy.. Po kilku dniach ukazywał się znowu na giełdzie, żartował, śmiał się, zawierał kontrakty na dostawę zboża, działając przezornie, jak doświadczony łupieżca, jak subtelny znawca wszystkiego, co się tyczyło interesu.

Jedno namiętne pragnienie nie opuszczało Ignacego we wszystkich trzech okresach jego życia — pragnienie posiadania syna, które wzrastało w nim tem potężniej, im starszy się stawał. Między nim a żoną miały często miejsce takie rozmowy. Rano przy herbacie, albo w południe przy

obiedzie Ignacy, spojrzawszy ponuro na żonę — okazałą, otyłą kobietę o rumianej twarzy i sennych oczach, pytał:

— Cóż, nic nie czujesz?

Chociaż wiedziała, o co pytał, odpowiadała jednak stale:

— Jakże mam nie czuć? Pięści masz, jak żelazo...

— Głupiaś, o brzuch pytam...

— Czyż przy takiem biciu może się co uchować?

— Ty dziecka mi nie rodzisz nie dlatego, że biję, a dlatego, że za wiele żresz. Napchasz sobie kałdun wszelakiem jedzeniem — i na dziecko miejsca nie zostaje...

— Czyżem ci już nie rodziła?...

— E—e, dziewki! —z wyrzutem mówił Ignacy. — Syna chcę! Rozumiesz? Syna, dziedzica! Komu po śmierci kapitały przekażę? Któż będzie się modlił za grzechy moje? Na klasztor, czy co, mam wszystko oddać? Niejeden już dawał... mają dosyć! Czy tobie może mam zostawić? Nabożna!... ty nawet w świątyni pewnie tylko o pierogach z rybą myślisz. Skoro umrę — wyjdziesz znowu zamąż... a pieniądze moje dostaną się durniowi... czyż na to pracuję? Ach, ty...

Dokuczliwa tęsknota ogarniała go, czuł, że jego życie pozostanie bez celu, jeżeli nie będzie miał syna, któryby je przedłużył.

Żona w ciągu dziewięciu lat małżeńswa powiła mu cztery córki, ale wszystkie pomarły. Oczekując ze drżeniem ich narodzin, Ignacy mało się martwił ich śmiercią — wszak córki nie były mu potrzebne. Już w drugim roku po ślubie bił żonę, z początku po pijanemu i bez złości, poprostu w myśl przysłowia „kochaj żonę jak duszę, a trzęś ją — jak gruszę“; ale po każdym połogu uczucie zawiedzionej nadziei rozpalało w Ignacym na nowo nienawiść do żony i bił ją już z przyjemnością, jakby za to, że nie daje mu syna.

— Pewnego razu, w czasie pobytu swego w samarskiej gubernji, otrzymał z domu od krewnych depeszę, donoszącą o śmierci żony. Przeżegnał się, zamyślił i napisał do kuma Majakina:

„Chowajcie beze mnie, pilnuj majątku“...

Potem udał się do cerkwi, gdzie zamówił nabożeństwo żałobne, i pomodliwszy się o spokój duszy ś. p. Akiliny, zaczął myśleć o tem, że jak najprędzej powinien się koniecznie ożenić.

Miał wtedy lat czterdzieści trzy; wysoki, barczysty, mówił jak protodiakon, niskim basem; oczy jego patrzały z pod ciemnych brwi śmiało i rozumnie; było dużo surowej piękności, czysto rosyjskiej, prostaczej i zdrowej, w tej twarzy ogorzałej i zarośniętej długą czarną brodą i w całej jego tęgiej postawie; z jego ruchów energicznych i spokojnych, z dumnego chodu biła świadomość siły, wiara w siebie. Kobietom podobał się i nie unikał ich.

Nie upłynęło pół roku od śmierci żony, kiedy zaręczył się znowu z córką znajomego uralskiego kozaka, mołokanina. Ojciec narzeczonej, pomimo, że Ignacy i na Uralu znany był jako „szalony", zgodził się oddać mu córkę i pod jesień Gordiejew wrócił do domu z młodą żoną, kozaczką. Na imię miała Natalja. Wysoka, kształtna, o dużych niebieskich oczach i długim ciemnorudym warkoczu, tworzyła wraz z pięknym Ignacym dorodną parę. Ignacy promieniał szczęściem, był dumny ze swej żony i kochał ją miłością namiętną zdrowego samca, wkrótce jednak zaczął się zamyślać i przyglądać jej badawczo.

Uśmiech rzadkim był gościem na owalnej, o regularnych rysach, twarzy jego żony, — myślami zdawała się błądzić gdzieś poza światem i w jej niebieskich oczach, zawsze zimnych i spokojnych, świeciła czasem jakaś ponura, złowieszcza iskierka. W wolnych od gospodarskich zajęć chwilach siadywała w domu przy oknie w najobszerniejszym pokoju i w milczeniu mogła przesiedzieć nieruchomo dwie i trzy godziny. Twarzą zwrócona była ku ulicy, ale wzrok jej był obojętny na wszystko, co żyło i poruszało się tam, za oknem, a jednocześnie był tak skupiony i głęboki, jakgdyby patrzał wgłąb siebie. I chód miała dziwny — stąpała po obszernych pokojach powoli i ostrożnie, jakby coś niewidzialnego krępowało swobodę jej ruchów. Dom urządzony był z przesadnym, chełpliwym przepychem; wszystko w nim błyszczało i krzyczało o bogactwie gospoda-

rza, ale kozaczka przechodziła lękliwie i trwożnie około drogich mebli i srebra, jakby w obawie, żeby te sprzęty nie pochwyciły jej i nie zgniotły. Huczne życie wielkiego handlowego miasta nie zajmowało widocznie tej milczącej kobiety; nawet gdy z mężem wyjeżdżała na spacer, miała oczy utkwione w plecy stangreta. Jeżeli mąż chciał z nią odwiedzić znajomych, zgadzała się, ale zachowywała się tam równie dziwnie, jak w domu; jeżeli goście ją odwiedzali, z całą gorliwością poiła ich i karmiła, bynajmniej nie interesując się tem, o czem mówili, i nikomu nie okazując pierwszeństwa przed innymi. Tylko kum Majakin, mądry i gaduła, potrafił czasami wywołać na jej twarzy blady, jak cień, uśmiech. Majakin mawiał o niej:

— Drewno — nie baba! Ale życie jest, jak owo nigdy nie gasnące ognisko i wszyscy my zapalamy się w niem zkolei; poczekaj, zapłonie i twoja mołokanka, przyjdzie i na to czas. Zobaczymy wówczas jak pięknie rozkwitnie.

— No, kokoszko! — odzywał się żartobliwie Ignacy do żony. — Nad czem zamyśliłaś się? Czy tęsknisz do swej stanicy? Rozwesel się trochę!

Milczała, spoglądając spokojnie.

— Za często, doprawdy, chodzisz do cerkwi!... Jeszcze zdążysz się namodlić za grzechy.. przedewszystkiem uzbieraj ich nieco. Czy nie wiesz o tem, że kto nie grzeszy — nie będzie pokutował, a kto nie będzie pokutował — nie będzie zbawiony. Grzesz więc, pókiś młoda. Chcesz na spacer pojechać?

— Nie chce mi się...

Przysiadał się do niej, obejmował tę zimna, obojętną kobietę, niechętnie odpowiadającą na jego pieszczoty, i mówił, patrząc jej w oczy:

— Nataljo, powiedz, czegoś taka niewesoła? Czy ci nudno ze mną, co?

— Nie — odpowiadała krótko.

— Więc cóż, tęsknisz do swoich?

— Ależ nie... tak tylko...

— O czem myślisz?

— Nie myślę...

— A co?

— Nic...

Pewnego razu doczekał się od niej dłuższej, bardziej wymownej odpowiedzi:

— W sercu mojem... jakby mgła jakaś... I w oczach... I wciąż wydaje mi się, że wszystko to naokoło... jakby ułuda jaka... nierzeczywiste...

I wskazała naokoło ręką na ściany, na meble, na wszystko. Ignacy nie zastanowił się nad jej słowami i odrzekł ze śmiechem:

— Cóż znowu! Tu wszystko właśnie najrzeczywistsze.. wszystko rzeczy kosztowne, mocne... Jeżeli jednak chcesz — wszystko popalę, wyprzedam, porozdaję i — kupię nowe! No chcesz?

— Poco? — odrzekła spokojnie.

Dziwiło go wreszcie, czemu ona, młoda i zdrowa, żyje niby we śnie, niczego nie pragnie, nigdzie prócz cerkwi nie chodzi, wszystkich ludzi unika. Pocieszał ją wtedy:

— Ot poczekaj — będziesz miała syna, otworzy się przed tobą całkiem inne życie. Gryziesz się teraz dlatego, że masz za mało kłopotu, a „on" da ci kłopoty... Syna urodzisz przecie, co?

— Jak Bóg da... — odpowiadała, spuszczając głowę.

Wkońcu nastrój żony zaczął go drażnić.

— Hej, mołokanko, cóżeś nos zwiesiła? Chodzisz jak po szkle, a patrzysz, jakbyś duszę czyjąś zgubiła! Niechże cię! Taka tęga baba, a nic cię nie obchodzi!...

Raz, wróciwszy podchmielony do domu, zaczął naprzykrzać się jej swemi pieszczotami, od których się uchylała. Rozgniewał się wówczas i krzyknął:

— Nataljo! Nie dziwacz, słuchaj!

Zwróciła się twarzą ku niemu i zapytała spokojnie.

— Bo co będzie?

Słowa te i śmiałe spojrzenie żony rozwścieczyły go:

— Co? — wrzasnął, podchodząc ku niej.

— Bić chcesz, czy co? — zapytała, nie poruszywszy się z miejsca i nie mrugnąwszy okiem.

Ignacy był przyzwyczajony, że drżano przed jego

gniewem. Widząc spokój żony, uczuł się obrażony i wściekły.

— A oto masz!... —krzyknął, porywając się na nią. Niezbyt pośpiesznie, ale w samą porę uchyliła się od uderzenia, schwyciła go za rękę, odepchnęła precz od siebie i rzekła, nie podnosząc głosu:

— Jeżeli dotkniesz, — nie zbliżaj się więcej do mnie! nie dopuszczę!

Wielkie oczy jej zwęziły się przytem, a ostry, przeszywający blask ich otrzeźwił Ignacego. Zrozumiał z wyrazu jej twarzy, że i w niej również siedzi silny zwierz i że, jeśli zechce, nie dopuści go do siebie, choćby miał ją zabić.

— Ho, ho! kokoszka! — ryknął i wyszedł.

Ustąpiwszy jednak raz jeden, nie uczyniłby tego po raz wtóry: nie mógł znieść, żeby kobieta, i w dodatku żona, nie ukorzyła się przed nim; to poniżyłoby go we własnych oczach. Poczuł też wówczas, że od tej chwili nie ustąpi mu nigdy i w niczem, i że pomiędzy nim i nią musi się wywiązać zacięta walka o władzę.

„Dobrze! Zobaczymy, kto kogo" — pomyślał, obserwując z posępną ciekawością następnego dnia żonę i w duszy jego już zaczynało rozpalać się gwałtowne pragnienie rozpoczęcia walki, aby nasycić się jak najprędzej zwycięstwem.

Tymczasem Natalja po czterech dniach oświadczyła mężowi, że jest w poważnym stanie. Ignacy zadrżał z radości, uścisnął ją mocno i przemówił głuchym głosem:

— Zuch baba! Naciu... jeśli syn! Ozłocę, jeżeli urodzisz syna! Co tam! Sługą ci będę — szczerze mówię — Bóg mi świadkiem! Legnę ci u nóg, depcz mnie, jak ci się podoba.

— Nie nasza w tem wola, a Boża... — rzekła cicho, tonem przeświadczenia.

— Tak... Boża! — zawołał z goryczą Ignacy i zwiesił smutnie głowę.

Od tej chwili zaczął pilnować żony, jak małego dziecka.

— Cóżeś przy oknie usiadła? Uważaj — zawieje cię, zachorujesz jeszcze... — mówił do niej stanowczo i ła-

godnie zarazem. — Czemu skaczesz po schodach? Strzęsiesz się jeszcze... Jedz-że więcej, jedz za dwoje, żeby starczyło i dla niego...

Wskutek ciąży Natalja stała się bardziej skupiona i milcząca; jakgdyby zagłębiła się w siebie, pochłonięta pulsowaniem nowego życia pod sercem. Zato uśmiech na jej ustach stał się jaśniejszy, a w oczach czasami zapalało się coś nowego, słabego i lękliwego, jak pierwszy błysk zorzy porannej.

Wreszcie nadszedł czas porodu, — było to wczesnym rankiem dnia jesiennego. Przy pierwszym okrzyku bólu, który wyrwał się z ust żony, Ignacy pobladł, chciał coś do niej przemówić, ale machnął tylko ręką i wyszedł z sypialni, gdzie żona wiła się w konwulsjach; zeszedł nadół, do małego pokoiku, w którym jeszcze nieboszczka matka modliła się zwykle. Kazał przynieść sobie wódki, usiadł przy stole, i zaczął pić, przysłuchując się z miną ponurą hałasom w domu, i dochodzącym z góry jękom położnicy. W kącie pokoju zarysowywały się niewyraźnie oblicza świętych na obrazach, obojętne, ciemne, ledwo oświetlone przyćmionem światłem lampy. Tam, na górze, nad jego głową, tupano i szurgano nogami, przesuwano coś ciężkiego po podłodze, brzękały naczynia, biegano śpiesznie na górę i nadół... Wszystko wykonywało się szybko i gorączkowo, ale czas mijał powoli... Do uszu Ignacego dochodziły przytłumione głosy:

— Sama, widać, nie urodzi... trzebaby posłać do cerkwi, żeby otwarto carskie wrota.

Do przyległego pokoju weszła stara Wassuszka, rezydentka, i zaczęła się modlić głośnym szeptem.

— Panie Boże nasz... któryś raczył zejść z niebios i narodzić się z Panny Świętej Rodzicielki... wejrzyj miłosiernie na niemoc istoty ludzkiej... Przebacz niewolnicy Twej...

Wtem rozległ się, zagłuszając wszystkie dźwięki, już to nieludzki skowyt, do głębi wstrząsający duszą, już to przeciągły jęk, który unosił się po pokojach domu i zamierał w kątach, pełnych wieczornego zmierzchu... Ignacy rzucał posępne spojrzenia na obrazy, wzdychał ciężko i myślał:

„Czyżby znowu córka?".

Czasami podnosił się, stawał bezmyślnie pośrodku pokoju i w milczeniu żegnał się, kłaniając się nisko obrazom; potem siadał znowu przy stole, pił wódkę, która nie upajała go jednak, drzemał i — tak spędził cały wieczór, całą noc i ranek do południa...

I oto przybiegła nareszcie akuszerka i krzyknęła doń cienkim, a wesołym głosem:

— Winszuję wam syna!

— Łżesz? — powiedział głucho.

— Ale, skądże, panie!...

Westchnąwszy z głębi swojej szerokiej piersi, Ignacy padł na kolana i, mocno przyciskając ręce do piersi, bełkotał drżącym głosem:

— Chwała Ci, Panie Boże! Nie chciałeś, aby ród mój wygasł! Nie pozostaną tedy bez odkupienia grzechy moje przed Tobą... Dzięki Ci Panie... Och!

I podniósłszy się wnet, zaczął energicznie wołać:

— Hej! Niech kto jedzie do Mikoły po popa! Powiedzcie, że Ignacy Matwieicz prosi, aby zechciał przyjść odmówić modlitwę nad położnicą...

Weszła pokojówka i rzekła nieśmiało:

— Pani prosi... bardzo chora...

— Co tam chora? Przejdzie! — ryczał radośnie, łyskając oczyma. — Powiedz, że zaraz przyjdę! Powiedz, że dobrze! Zaraz idę, tylko podarunek wezmę i przyjdę. Zaczekaj-no! Przygotujcie tu dla popa... coś przekąsić... i poślijcie po kuma Majakina!..

Olbrzymia jego postać jakby urosła i w radosnem upojeniu miotała się bezmyślnie po pokoju; uśmiechał się, zacierał ręce i rzucając na święte obrazy rozrzewnione spojrzenia, żegnał się, wymachując szeroko ręką. Udał się wreszcie do żony.

Przedewszystkiem rzuciło mu się tam w oczy małe czerwone ciałko, które akuszerka myła w wanience. Ujrzawszy je, Ignacy podniósł się na palcach, założył ztyłu ręce i szedł ku niemu ostrożnie stąpając, ze śmiesznie rozwartemi ustami. Dziecko zaś skrzeczało i jego drobne obnażone ciałko, bezsilne i budzące żałość, pluskało się w wodzie.

— Ostrożnie z nim... przecież niema jeszcze kości... — błagająco i półgłosem mówił Ignacy do akuszerki.

Ta się zaśmiała, otwierając bezzębne usta i przerzucając zręcznie chłopca z ręki do ręki.

— Proszę-no lepiej do żony iść...

Skierował się posłusznie ku łożu żony i, idąc, pytał już:

— No, cóż Nataljo?

— Nie przeżyję... — rozległ się cichy chrypliwy głos.

Ignacy milczał, patrząc uważnie w twarz żony, tonącą w białej poduszce, po której jak martwe żmije rzucone były ciemne pasma włosów. Żółta, bez życia, z czarnemi plamami dokoła ogromnych, szeroko rozwartych oczu, twarz ta wydała mu się obca. I wejrzenie tych strasznych oczu, skierowane nieruchomo gdzieś wdal, również było jakieś nieznane mu, obce. I serce jego, ściśnięte ciężkiem przeczuciem, hamowało swe uderzenia radosne.

— Nic... nic... to tak zawsze... — przemówił cicho, pochylając się nad żoną, by ją pocałować. Ale ona jęczała mu prosto w twarz:

— Nie przeżyję...

Miała szare, zimne usta i kiedy dotknął się ich swemi ustami, zrozumiał, że śmierć tuż przy niej stoi.

— O Boże! — wyrzekł przerażonym szeptem, czując, jak strach ściska mu gardło i tamuje oddech.

— Naciu! Cóż będzie teraz z nim? Przecież trzeba go piersią karmić? Jakże ty!..

Omal nie krzyknął na żonę. Akuszerka uwijała się obok niego; kołysząc na ręku płaczące dziecko, mówiła coś do niego głosem przekonywującym, ale on nic nie słyszał, nie mogąc oderwać oczu od strasznej twarzy żony. Usta jej poruszały się i słyszał tylko ciche słowa, których nie rozumiał. Usiadłszy na krawędzi łóżka, przemówił wreszcie głuchym, nieśmiałym głosem:

— Pomyśl — przecież on bez ciebie nie może... przecież to niemowlę! Zbierz w sobie siły: odpędzaj takie myśli od siebie, odpędzaj!..

Mówił to, chociaż rozumiał, że mówi napróżno. Łzy w nim wzbierały, a w piersi rosło coś ciężkiego jak kamień, coś zimnego jak lód.

— Przebacz... mi... żegnaj!.. Strzeż go, pamiętaj... nie pij — bezdźwięcznym szeptem mówiła Natalja.

Nadszedł kapłan i, zakrywszy czemś jej twarz, wzdychając, zaczął odczytywać nad nią ciche błagalne słowa:

„Panie, władco najwyższy, uzdrawiający niemoc wszelką, przywróć zdrowie i tej oto rodzicielce, słudze Twej Natalji... i podnieś ją z łoża boleści, na którem leży... albowiem według słów proroka Dawida: w grzechu rodzimy się i grzeszni jesteśmy przed Tobą..."

Głos starca urwał się, chuda twarz jego miała surowy wyraz, odzież czuć było kadzidłem.

...„chroń urodzone z niej niemowlę od mocy piekielnych, od okrucieństwa wszelkiego, od wszelkiego nieszczęścia i od złych duchów, jak dziennych tak nocnych"...

Ignacy słuchał słów modlitwy i płakał w milczeniu. Duże i cieple łzy jego padały na obnażoną rękę żony. Ale ręka ta nie czuła zapewne, jak łzy uderzały o nią; pozostawała nieruchoma i nawet skóra na niej nie drgnęła od dotknięcia spadjących łez. Przyjąwszy błogosławieństwo, Natalja wpadła w stan odrętwienia i umarła nazajutrz, nie przemówiwszy do nikogo ani jednego słowa, umarła w milczeniu, tak, jak milczała za życia. Po wspaniałym pogrzebie Ignacy ochrzcił syna, dał mu na imię Tomasz i ze zbolałem sercem oddał go na wychowanie do rodziny ojca chrzestnego, a swego starego przyjaciela, Majakina, którego żona niedawno przedtem także powiła dziecko. Śmierć żony posiała wiele siwych włosów w gęstej, ciemnej brodzie Ignacego, ale posępny blask jego oczu nabrał nowego wyrazu — miękkiego, jasnego i łagodnego.

## II.

Majakin mieszkał w dużym dwupiętrowym domu, położonym wśród ogromnego ogrodu z rozrosłemi wspaniale staremi lipami. Gęste gałęzie zasłaniały okna domu ciemną, zwartą zasłoną, przez którą słońce z trudnością przedzierało się rozproszonemi promieniami do małych pokoików, ciasno zastawionych różnego rodzaju meblami i dużemi kuframi;

w pokojach panował zawsze posępny, surowy półmrok. Mieszkańcy tego domu byli bogobojni: zapach wosku, kadzidła i oliwy z lampeczek, palących się nad obrazami świętych, napełniał pokoje, a westchnienia skruszone i słowa modlitwy unosiły się w powietrzu. Mieszkańcy tego domu pilnie, nawet z pewną żarliwością spełniali obrządki religijne, wkładając w nie całą swą duszę. W mrocznej, dusznej i ciężkiej atmosferze przesuwały się bez szelestu po komnatach postaci kobiece, w miękkich pantoflach na nogach, ubrane zawsze w ciemne suknie, z wyrazem głębokiej skruchy na twarzach.

Rodzina Jakóba Majakina składała się, prócz niego, z żony, córki i pięciu kuzynek, z których najmłodsza liczyła lat trzydzieści cztery. Wszystkie były jednakowo zacne, zahukane i uległe pani domu — wysokiej, mizernej kobiecie o śniadej twarzy i szarych surowych oczach, w których przebłyskiwały rozum i poczucie władzy. Majakin miał jeszcze syna Tarasa, ale jego imienia nie wspominano nawet w rodzinie; znajomi wiedzieli tylko, że dziewiętnastoletni Taras wyjechał do Moskwy na naukę i po upływie trzech lat ożenił się tam wbrew woli ojca, wskutek czego ten wyrzekł się syna. Taras zginął bez śladu. Mówiono, że za jakieś przewinienie został zesłany na Syberję...

Jakób Majakin był bardzo dziwną osobistością. Niziutki, mizerny, żwawy, z rudą śpiczastą bródką, spoglądał swemi zielonkowatemi, chytremi oczyma, jakgdyby chciał wszystkim wogóle i każdemu zosobna powiedzieć:

— Nie bój się, kochanku! Chociaż przenikam cię doskonale nawskroś i rozumiem, ale możesz być spokojny: jeżeli mnie nie zaczepisz — nie zdradzę cię...

Głowę miał kształtem podobną do jajka i potwornie dużą. Wysokie, posiekane zmarszczkami czoło zlewało się z łysiną i sprawiało wrażenie, jakgdyby ten człowiek posiadał dwie twarze — jedna o długim chrząstkowatym nosie, przenikliwa i rozumna, widzialna dla wszystkich, a nad nią — druga, bez oczu i bez ust, okryta tylko zmarszczkami, poza któremi Majakin, zdawało się, ukrywał i oczy i usta — ukrywał do czasu... a kiedy ten nadejdzie — spojrzy wtedy nagle na świat innemi oczami i uśmiechnie się innym uśmiechem.

Majakin był właścicielem zakładu powroźniczego i miał sklepik w mieście na przystani. W tym sklepiku, zawalonym do sufitu linami, powrozami, przędziwem i pakułami, miał maleńką komórkę ze szklanemi, skrzypiącemi drzwiami. W komórce stał duży, stary, potworny stół, a przed nim — głęboki ceratowy fotel, w którym Majakin przesiadywał po całych dniach, popijając herbatę i czytając stale gazetę „Moskowskije Wiedomosti", abonowaną z roku na rok. Wśród kupców cieszył się poważaniem i sławą „głowacza" i lubił bardzo kłaść nacisk na starożytność pochodzenia swego rodu, mówiąc donośnym głosem:

— My, Majakinowie, już za Katarzyny byliśmy kupcami... stara rodzina, nie żadne przybłędy.

W tej rodzinie syn Ignacego Gordiejewa spędził lat sześć. W siódmym roku Tomasz był chłopięciem o dużej głowie i szerokich piersiach i, sądząc ze wzrostu i z poważnego wejrzenia podłużnych ciemnych oczu, wydawał się starszy nad swój wiek. Spokojny, milczący i stanowczy w swych dziecinnych zachciankach, bawił się po całych dniach wraz z Lubą, córką Majakina, pod milczącym dozorem ospowatej i grubej starej panny, jednej z kuzynek, którą niewiadomo czemu nazywano „Buzią". Była to istota wiecznie milcząca i dziwnie czegoś wystraszona; nawet do dzieci mówiła półgłosem monosylabami. Umiała napamięć mnóstwo modlitw, zato bajek wcale nie opowiadała Tomaszowi.

Z Lubą Tomasz żył w przyjaźni, jeżeli go jednak czemkolwiek czasem rozgniewała albo drażniła, bladł, rozdymał nozdrza, wytrzeszczał śmiesznie oczy i bił ją zapalczywie. Wybuchała wtedy płaczem i biegła na skargę do matki, ale Antonina Majakinowa kochała Tomasza i nie zwracała uwagi na skargi córki, co jeszcze bardziej umacniało przyjaźń dzieci. Dzień Tomasza bywał długi i monotonny. Z rana, wstawszy z łóżka i umywszy się, stawał przed obrazem i za dziobatą Buzią, podpowiadającą mu zcicha słowa modlitwy, odmawiał długie pacierze. Potem pił ze wszystkimi herbatę, przy której zjadano wiele bułek, placuszków i pierożków. Po herbacie — latem — dzieci szły do dużego gęstego sadu, położonego nad parowem, na którego dnie panował zawsze mrok. Wilgotny chłód wiał stam-

tąd i jakieś groźne milczenie. Dzieciom wzbraniano zbliżać się nawet nad brzeg parowu, dlatego parów przejmował je strachem. Zimą, między herbatą i obiadem, dzieci bawiły się w pokojach, jeżeli na dworze był silny mróz, albo szły na dziedziniec i zabawiały się tam zjeżdżaniem z wysokiej góry lodowej.

Obiad jadano w południe, — „po rusku", jak mawiał Majakin. Naprzód stawiano na stole dużą misę tłustego zawiesistego barszczu z żytniemi sucharami, ale bez mięsa; potem jedzono ten sam barszcz z drobno krajanem mięsem, następnie podawano pieczyste — prosię, gęś, cielęcinę albo kiszkę nadzianą kaszą, wreszcie znów zjawiała się misa z czerniną lub makaronem i na deser — słodka legumina i ciasto. Przy obiedzie pijano przeróżne kwasy: borówkowy, jałowcowy, chlebowy. Antonina Iwanowna miała ich zawsze kilka gatunków. Wszyscy jedli w milczeniu, przerywanem niekiedy westchnieniem; dzieciom stawiano osobną misę, dorośli jedli z jednej. Ociężali po takim obiedzie, wszyscy kładli się spać i przez dwie — trzy godziny zrzędu słychać było w domu Majakina tylko chrapanie i senne westchnienia.

Po przebudzeniu — pito herbatę, przy której rozmawiano o nowinkach z miasta: chórze cerkiewnym, o diakonach, weselach, o nagannem życiu tego lub owego kupca... Po herbacie Majakin zwracał się do żony:

— Daj-no, matko, Biblję...

Najczęściej czytywał księgę Hioba. Włożywszy na swój duży krogulczy nos okulary w grubej srebrnej oprawie, wodził po obecnych oczyma, jakgdyby chcąc przekonać się, czy wszyscy są na miejscu.

Wszyscy siadywali tam, gdzie Majakin przyzwyczaił się był ich widzieć, i na ich twarzach osiadał znany mu wyraz tępej, lękliwej pobożności.

— „Był mąż w ziemi Ur... — zaczynał chrapliwym głosem Majakin, a Tomasz, siedzący na kanapie w rogu pokoju, obok Luby, już wiedział, że jego chrzestny ojciec zaraz zamilknie i pogładzi się ręką po łysinie. W wyobraźni swej Tomasz widział tego męża z ziemi Ur. Był to mąż wysoki i nagi, miał ogromne, jak Zbawiciel na obrazie, oczy,

i głos o dźwięku wielkiej miedzianej trąby, na której żołnierze grają w obozie. Mąż ten rósł, wydłużał się w olbrzyma, a dorósłszy do nieba, zanurzał swe ciemne ręce w obłokach i rozdzierając je, wołał donośnym głosem:

— „Przecz dana jest światłość mężowi, którego droga skryta jest, a którego Bóg ciemnościami ogarnął?"

Tomasza opanowywał lęk, mrowie przechodziło mu po skórze; senność odlatywała i słyszał głos ojca chrzestnego, który skubiąc bródkę mówił z lekkim uśmiechem:

— Patrzcie, jaki zuchwały...

Chłopiec rozumiał, że ojciec chrzestny mówi to o mężu z ziemi Ur i uśmiech ojca chrzestnego uspakajał go. — Nie rozwali nieba, nie rozerwie go ten mąż swemi strasznemi rękoma... I Tomasz widzi znowu, jak mąż siedzi na ziemi i ma „ciało okryte robakami i zapylonemi strupami, a skórę — zaropioną". Lecz oto teraz jest już pokorny i litości godzien, jak żebrak w cerkiewnym przedsionku...

Oto mówi:

— „Cóż jest człowiek, aby miał być czystym, albo żeby miał być sprawiedliwym, urodzony z niewiasty?"

— Tak on zwraca się do Boga... — objaśniał tonem pouczającym Majakin. — Jakże, powiada, mogę być sprawiedliwym, skoro proch jestem? — To on do Boga się tak zwraca... Uważacie?

I z miną triumfującą obrzuca słuchaczki pytającem spojrzeniem.

— Stał się godnym... sprawiedliwym... — odpowiadają one z pobożnem westchnieniem.

Jakób Majakin patrzy na nie z drwiącym uśmiechem i mówi:

— Głupieście... Prowadźcie lepiej dzieci spać...

Ignacy bywał codziennie u Majakinów, przywoził synowi zabawki, brał go na ręce, ściskał, ale czasami z niezadowoleniem i ze źle ukrytym niepokojem mówił do niego:

— Czegoś ty taki nadąsany? Czemu się nie śmiejesz?

I uskarżał się przed kumem:

— Obawiam się, aby Tomek nie wdał się w matkę... Oczy ma niewesołe...

— Niepokoisz się przedwcześnie, — uśmiechał się Majakin.

On też lubił chrześniaka; a kiedy razu pewnego Ignacy oznajmił mu, że zabierze Tomasza do siebie, — zmartwił się tem serdecznie.

— Zostaw go u nas... — prosił. — Patrzaj — chłopczyna przyzwyczaił się do nas, ot, widzisz, płacze...

— Daj pokój... nie dla ciebie mam syna. U was tu duszno jakoś... nuda, jak w klasztorze. To źle się na dziecku odbija... A i mnie bez niego... też niewesoło. Przychodzę do domu — pustka. Do niczego się chęci nie ma. Przecież się do was nie przeprowadzę dla niego... nie ja jestem dla niego, lecz on dla mnie. Tak. Przyjechała teraz do mnie siostra, Anfisa, będzie miał opiekę.

Przywieziono chłopca do domu ojca.

Na wstępie powitała go zabawna staruszka z długim haczykowatym nosem i dużemi bezzębnemi ustami. Wysoka, przygarbiona, ubrana w szarą suknię, z siwemi włosami, przykrytemi czarnym jedwabnym czepcem, nie podobała się chłopcu narazie i wzbudziła w nim nawet pewien strach. Skoro jednak dojrzał na jej twarzy czarne, uśmiechające się doń serdecznie oczy, przytulił z ufnością główkę swą do jej kolan.

— Moja biedna sierotko! — mówiła miękkim, drżącym głosem, gładząc go ręką po twarzy. — Jak się to przytuliło... moja ty miła dziecino!

Coś niewymownie słodkiego i miękkiego było w jej pieszczotach, coś zupełnie nowego dla Tomasza; patrzył też staruszce w oczy z wyrazem zaciekawienia i oczekiwania na twarzy. Staruszka wprowadziła go w nowy, nieznany mu dotąd świat. Pierwszego dnia, ułożywszy go do snu, siadła przy łóżeczku i, pochylając się nad dzieckiem, spytała:

— Opowiedzieć ci, Tomciu, bajeczkę?

Odtąd Tomasz zasypiał zawsze przy słodkich dźwiękach głosu staruszki, roztaczającej przed nim jakieś zaczarowane światy. Bohaterowie, walczący ze smokami, zaczarowane królewny, głupcy, którzy wkońcu okazywali się najmędrszymi — całe tłumy nowych i dziwnych ludzi przesuwały się przed olśnioną wyobraźnią dziecka i dusza jego

wchłaniała chciwie piękno twórczości ludowej. W pamięci i wyobraźni staruszki taiły się niewyczerpane skarby. W półśnie wydawała się ona chłopcu podobna do Baby - Jędzy z bajki, — tylko do miłej i dobrej Baby-Jędzy, to znów do zaczarowanej królewny. Szeroko rozwartemi oczyma patrzył nieraz chłopczyna, wstrzymując oddech, w mrok nocny napełniający pokój i widział, jak drga on bezdźwięcznie od płomyka płonącej przed świętym obrazem lampki... Tomasz zapełniał tę ciemność cudownemi obrazami czarodziejskiego świata. Nieme ale żywe cienie pełzały po ścianach i podłodze. Ze strachem i rozkoszą śledził malec ich życie, przyoblekał je w kształty i barwy, a powoławszy do istnienia — rozpraszał w mgnieniu oka jednem poruszeniem rzęs. Ciemne oczy dziecka nabrały teraz innego wyrazu: było w nich coś nowego, bardziej dziecinnego i naiwnego, a mniej powagi. Ciemność i samotność budziły w nim uczucie lęku i oczekiwania czegoś, wzruszały, podniecały jego ciekawość i nęciły, by iść do ciemnego kąta i zobaczyć co się tam kryje w gęstej powłoce mroku? Szedł, a nie znajdując nic, nie tracił nadziei — iż kiedyś znajdzie...

Ojca bał się i szanował. Ogromny wzrost Ignacego, tubalny głos, zarośnięta twarz, pokryta gęstemi siwemi włosami głowa, silne, długie ręce i błyszczące oczy — wszystko to nadawało Ignacemu podobieństwo do zbójcy z bajek.

Pewnego razu, mając już lat osiem, zapytał ojca, który dopiero co wrócił z dość długo trwającej wycieczki:

— Tatku! gdzie tatko był?

— Jeździłem po Wołdze...

— Czyś trudnił się rozbojem? — zapytał Tomasz zcicha.

— Co—o? — odezwał się przeciągle Ignacy i brwi mu drgnęły.

— Wszak jesteś rozbójnikiem? Wiem coś o tem, — mówił Tomasz, mrużąc przebiegle oczy, zadowolony, że wtargnął tak łatwo w tajemnicze dlań życie ojca.

— Jestem kupcem! — odrzekł surowo Ignacy, ale po namyśle uśmiechnął się dobrotliwie i dodał: — Ach ty, głuptasku!... Jestem handlarzem zboża, mam parostatki... czyś widział „Jermaka"? To mój parostatek... i twój...

— Jaki on duży... — rzekł Tomasz z westchnieniem.

— Czekaj, kupię ci maleńki, póki sam jesteś mały... dobrze?

— Dobrze! — przystał Tomasz, ale po chwili namysłu, jakby rozczarowany, znów spytał zcicha: — A ja sądziłem, że i ty jesteś rozbójnikiem... albo bohaterem...

— Powiadam ci, że jestem kupcem! — powtórzył dobitnie Ignacy i niezadowolenie, prawie przestrach przebijały się w jego oczach, gdy patrzał na rozczarowaną twarz syna.

— Tak samo, jak dziadek Teodor jest piekarzem? — zapytał po pewnem zastanowieniu Tomasz.

— Tak samo, jak on... jestem tylko bogatszy, mam więcej pieniędzy, niż Teodor...

— Czy tatko ma dużo pieniędzy?

— Ha... miewają więcej...

— A ile beczek?

— Czego?

— Pieniędzy przecież.

— Głuptasku! Któż mierzy pieniądze na beczki?

— A jak? — zapytał z ożywieniem Tomasz i, zwróciwszy się twarzą do ojca, zaczął szybko mówić: — Kiedy do pewnego miasta przyjechał zbój Maksymko, to u jednego tam bogacza zabrał dwanaście beczek pieniędzy... i różnego złota... i cerkiew ograbił... a jednego człowieka szablą zarąbał i z dzwonnicy zrzucił... że ten chciał na trwogę dzwonić...

— Czy ci o tem ciotka opowiadała? — zapytał Ignacy, patrząc z zadowoleniem w ożywioną twarz syna.

— Ciotka, bo co?

— Nic! — odrzekł z uśmiechem Ignacy... — Stąd to i ojca awansowałeś na zbója...

— A może tatko był nim kiedyś dawniej? — powrócił znowu Tomasz do swego tematu, a z twarzy jego widać było, że pragnąłby bardzo usłyszeć odpowiedź twierdzącą.

— Nie byłem... daj pokój...

— Więc tatko nie był?

— No przecież mówię ci, że nie byłem! Jakiś ty... Czy to co dobrego — być zbójem... Zbóje — to wielcy

grzesznicy. Nie wierzą w Boga... łupią cerkwie... wszyscy ich przeklinają... Tak... ale ot co, synku, — czas ci się już uczyć! Czas wielki, lat dziewięć wkrótce skończysz... Zaczynaj z Bogiem... Przez zimę będziesz się uczył, a na wiosnę wezmę cię ze sobą na Wołgę...

— Czy będę chodził do szkoły? — zapytał nieśmiało Tomasz.

— Najpierw w domu z ciotką będziesz się uczył...

I wkrótce potem chłopiec co rana zasiadał przy stole i wodząc palcem po słowiańskiem abecadle, powtarzał za ciotką:

— A... B... C...

Kiedy zaczęło się sylabizowanie — bra, dra, gra, — chłopiec nie mógł bez śmiechu czytać tych sylab. Całą tę mądrość posiadł z łatwością, prawie bez mozołu i oto mógł już przeczytać pierwszy rozdział psalmów:

— „Bło-go-sła-wio-ny mąż... któ-ry nie cho-dzi w radzie nie-po-boż-nych"...

— Tak, kochanku, tak! Tak, Tomciu, doskonale! — wtórzyła mu w rozczuleniu ciotka, zachwycona temi postępami.

— Zuch Tomek! — mówił Ignacy, dowiadując się o postępach syna... — Pojedziemy na wiosnę do Astrachania po rybę... a od jesieni — pójdziesz do szkoły!

Życie chłopca toczyło się naprzód jak kula po pochyłości. Ciotka, ucząc go, była jednocześnie i towarzyszką jego zabaw. Kiedy przychodziła Luba Majakinowna, staruszka w towarzystwie dzieci stawała się takiem samem wesołem dzieckiem, jak i one. Bawiono się w chowanego, w ślepą babkę; dzieci patrzały wesoło i radośnie, jak ciotka z zawiązanemi chusteczką oczyma, szeroko rozpostarłszy ręce, — stąpała ostrożnie po pokoju i pomimo to potykała się o krzesła i stoły, albo jak, szukając ich, łaziła po różnych ciemnych kątach i powtarzała:

— A, hultaje... a, rozbójniki... gdzieżeście się tu wcisnęli? hę?

Słońce rzucało łagodne i radosne promienie na to wątłe, zniszczone ciało, kryjące w sobie młodą duszę, na to

stare życie, osładzające w miarę sił i umiejętności drogę życiową dwojga dzieci...

Ignacy wyjeżdżał wczesnym rankiem na giełdę, czasem nie wracał aż do samego wieczora; wieczorem znów jeździł do zarządu miejskiego, do znajomych albo gdziekolwiek indziej. Czasami wracał do domu pijany, — Tomasz w takich razach z początku uciekał od niego i chował się; zczasem jednak przyzwyczaił się do tego i przyszedł do wniosku, że ojciec pijany jest nawet lepszy, niż trzeźwy: bardziej uprzejmy, szczery i trochę zabawny. Jeżeli to przytrafiało się w nocy, budził zawsze chłopca głos ojca:

— Anfiso! Siostro rodzona! Pozwól mi pójść do syna... do dziedzica... pozwól i-i-iść!

Ciotka odpowiadała głosem płaczliwym, pełnym wyrzutu:

— Idź sobie, idź!... Ululał się jak... A włos siwy... wstyd...

— Choć spojrzeć daj na syna? Jednem okiem?

— A niech ci z pijaństwa oba powyłażą...

Tomasz wiedział, że ciotka nie puści ojca, i zasypiał śród szmeru ich głosów. Kiedy Ignacy powracał pijany w dzień, — chwytał zaraz swemi olbrzymiemi łapami syna i z pijackim uśmiechem obnosił go uszczęśliwiony po pokojach, wypytując:

— Mów, czego chcesz, Tomku! Czy łakoci? a może zabawek? Proś-że! Wiedz, że niema rzeczy na świecie, którejbym ci nie mógł kupić. Mam — miljon! Cha, cha, cha! A będę miał jeszcze więcej! Rozumiesz? Wszystko twoje! Cha, cha!

Nagle zachwyt jego gasł, jak gaśnie świeca za silnym wiatru powiewem. Pijana twarz zaczynała drgać, oczy czerwieniały i zachodziły łzami, a usta rozciągały się w lękliwy, niepewny uśmiech.

— Anfiso! Jeżeli on zemrze — co ja wtedy pocznę?

I wściekłość ogarniała go wnet po tych słowach.

— Spalę wszystko! — ryczał, wlepiając dzikie spojrzenie gdzieś w ciemny kąt pokoju. — Zniszczę! Prochem wysadzę!

— Do-o-syć, dosyć już! Czy chcesz przerazić dzie-

ciaka? Czy chcesz żeby zachorował? — recytowała Anfisa i to już wystarczało, by Ignacy uciekał, mrucząc:

— No-no-no! Idę już, idę... nie krzycz tylko! nie hałasuj... nie strasz go...

Jeżeli zaś Tomasz niedomagał, ojciec porzucał wszystkie swoje zajęcia, nie wychodził z domu i, dokuczając siostrze i synowi głupiemi pytaniami i radami, chodził nieswój po pokojach, zasępiony, z lękiem w oczach, i ciężko wzdychał.

— I poco obrażać Pana Boga? — mówiła Anfisa — zobaczysz, usłyszy twoje narzekania i ześle na cię jaką karę za to...

— Ach, siostro! — wzdychał Ignacy. — Czy nie rozumiesz — wszak jeżeli... stanie się co — całe życie moje złamane. Poco żyłem?... Niewiadomo...

Podobne sceny i gwałtowne przeskoki ojca z jednego nastroju w drugi zrazu przerażały chłopca; oswoił się jednak z niemi niebawem i ujrzawszy przez okno ojca, wysiadającego chwiejnie z sanek, mawiał obojętnie:

— Ciociu! Tatko wrócił znowu pijany...

Nadeszła wiosna — i wypełniając swą obietnicę, Ignacy zabrał syna z sobą na parowiec. Przed Tomaszem roztoczyło się nowe, nieznane dotąd życie.

Chyżo sunie z prądem rzeki piękny i mocny „Jermak", parowiec holowniczy kupca Gordiejewa, a po obu burtach powoli idą na jego spotkanie, brzegi Wołgi — lewy, cały zalany słońcem, ściele się nieprzerwanie aż do skraju niebios, jak wspaniały zielony kobierzec, a prawy skoczył w niebo garbami pagórów lasem zarosłych, i zamarł w surowym bezruchu.

A pomiędzy oboma brzegami dumnie rozlała się szerokopierśna rzeka; bezgłośnie, spokojnie, płyną jej wody, jakby świadome swej nieprzezwyciężonej siły; górzysty brzeg odbija się w nich czarnym cieniem, a z lewej strony złotem i aksamitną zielenią zdobią je piaszczyste brzegi mielizn i szerokie łąki. Tu i ówdzie, na górze i na łąkach, ukazują się wioski: słońce iskrzy się w oknach chat i na żółtych słomianych dachach, poprzez zieleń drzew połyskują krzyże cerkwi, szare skrzydła wiatraków obracają się leniwie w powietrzu, dym z komina fabrycznego wzbija się ku niebu gę-

stemi czarnemi kłębami. Tłumy dzieciaków w niebieskich, czerwonych i białych koszulach, stojąc na brzegu, witają głośnemi krzykami parostatek, a z pod kół jego biegną ku stopom dzieci wesołe fale i biją o brzeg. Oto cała gromada wsiadła do łódki i wiosłuje pośpiesznie, aby przedostać się na środek rzeki i pobujać na falach. Wierzchołki drzew, a czasem całe ich kępy, zatopione przez wylew, wyglądają z wody i sterczą wśród niej jak wyspy. Skądciś z brzegu dolatują, niby ciężkie westchnienia, echa żałosnej pieśni.

„O-och... o-o-o... je-e-szcze raz"!

Parostatek wyprzedza tratwy, oblewając je falami. Od uderzenia fal bale tratw dygocą i skrzypią; flisacy w sinych koszulach, chwiejąc się na nogach, spoglądają na parowiec, śmieją się i coś tam pokrzykują. Dorodna barka-olbrzymka bokiem sunie po rzece; ładunek żółtego ciosanego drewna złotem błyszczy na jej kadłubie i niewyraźnie odbija się w mętnej, wiosennej wodzie. Naprzeciw idzie pasażerski parowiec i gwiżdże, — rozlewne echo gwizdu kryje się po lesie, po rozpadlinach skalistego brzegu, zamiera tam. Środkiem rzeki łamią się ze sobą dwa wojska fal, od dwóch statków idące, biją o burty, aż statki chwieją się lekkim kołysem. Na spadzistej pochylni górskiego brzegu ścielą się zielone kobierce ozimin, bure pasy ziemi pod mgłą, i czarne — zorane pod jarzynę. Ptaki, nito drobniutkie punkciki, uwijają się nad lądem, ostro odbijając od błękitnego tła nieba; nieopodal pasie się trzoda,— z odległości wydaje ci się, że to zabawka; malutka lalka, wyobrażająca pastucha, stoi, wsparta na kosturze, i spogląda na rzekę.

Wszędzie blask wody, wszędzie wolny przestwór, wesołe i zielone łąki i błękitne łagodne niebo; w spokojnym ruchu wody czuć utajoną siłę, na niebie nad wodą świeci szczodrze majowe słońce, powietrze nasycone słodkim zapachem iglastych lasów i młodych liści. A obok wciąż przesuwają się brzegi, pieszcząc oczy i duszę swoją pięknością i roztaczając coraz to nowe obrazy.

Piętno jakiegoś leniwego omdlenia leży na wszystkiem dokoła: wszystko — i przyroda i ludzie — jakby zastygło w sennym bezruchu, — ale jest w tem pewien szcze-

gólny wdzięk i zdaje się, że poza tem leniwem omdleniem tai się olbrzymia siła, — siła nieprzezwyciężona, choć pozbawiona jeszcze świadomości, siła, która nie wytknęła jeszcze sobie jasnych pragnień i celów... I ten brak świadomości w tem życiu półsennem rzuca na cały jego wspaniały obszar jakiś cień smutku. Pokorna cierpliwość, milczące oczekiwanie czegoś nowego i bardziej żywego dają się słyszeć nawet w krzyku kukułki, który wiatr z brzegu niesie ku rzece... Żałosne pieśni jakgdyby błagają kogoś o pomoc... Czasami dźwięczy w nich jakby potężny krzyk rozpaczy. Rzeka wtóruje pieśniom — westchnieniami... Wierzchołki drzew kołyszą się w zamyśleniu... Cisza...

Tomasz przepędzał dnie całe z ojcem na mostku kapitana. Patrzał w milczeniu szeroko rozwartemi oczyma na bezgraniczną panoramę brzegów i zdawało mu się, że idzie szeroką srebrzystą ścieżką ku tym cudownym krainom, w których mieszkają czarodzieje i bohaterowie ze znanych mu bajek. Czasami lubił rozpytywać się ojca o to, co widział. Ignacy chętnie i szczegółowo opowiadał mu, ale chłopcu nie podobały się te odpowiedzi: nic ciekawego i zrozumiałego nie znalazł w nich dla siebie i nie słyszał tego, co pragnąłby usłyszeć. Pewnego razu rzekł do ojca z westchnieniem:

— Ciotka więcej wie niż tatko...

— Cóż ona wie? — zapytał Ignacy z uśmiechem.

— Wszystko — odrzekł chłopiec tonem głębokiego przeświadczenia.

Zaczarowane królestwa nie ukazywały się jakoś. Natomiast często na brzegach rzeki widać było miasta, zupełnie takie jak to, gdzie mieszkał Tomasz. Jedne były większe, inne — mniejsze, ale i ludzie i domy i cerkwie — wszystkie było takie same, jak to widział w swem rodzinnem mieście. Oglądając je z ojcem, Tomasz czuł pewien zawód i zmęczony, posępny wracał na parostatek.

— Jutro przyjedziemy do miasta... Astrachania... — powiedział pewnego razu Ignacy.

— A czy ono... takie samo jak wszystkie?

— Naturalnie... a jakież?

— A co jest za niem?

— Morze... nazywa się Kaspijskie...

— A w tem morzu — co?

— Ryby. Cóż innego może być w wodzie?

— A ot, miasto Kitież stoi pośrodku wody...

— To... co innego! To Kitież... w niem mieszkali sami święci ludzie.

— A czy na morzu niema takich świętych miast?

— Niema... — odpowiedział Ignacy i po chwili dodał: — morska woda jest słona i pić jej nie można...

— A za morzem czy znowu jest ziemia?

— Zapewne, morze musi mieć przecież brzegi. Jest ono podobne do misy...

— I miasta są tam?

— I miasta są... a jakże. Tylko że tam nie nasza ziemia, a perska... Widziałeś Persów, co po jarmarkach chodzą... i śmiesznie tak mówią?

— Widziałem... — odrzekł Tomasz i zamyślił się.

Pewnego razu zapytał ojca:

— A czy dużo jest jeszcze ziemi?

— Ziemi, synku... o ba-a-rdzo dużo! Żeby tak iść pieszo, to nawet za dziesięć lat całej nie zeszedłby.

— Czy wszystko na niej precz jednakowe?

— Niby co?

— No, miasta i wszystko...

— Naturalnie, miasta jak miasta... Domy, ulice... i wszystko jak należy.

Po kilku takich rozmowach chłopiec zaczął rzadziej i mniej uporczywie patrzeć wdal pytającym wzrokiem...

Załoga statku lubiła go, i on lubił tych wszystkich dzielnych, dobrych ludzi o twarzach bronzowych od słońca i wiatru, którzy żartowali z nim wesoło; robili dlań przeróżne rybackie przybory, łódki z kory drzewnej, dokazywali z nim; podczas przystanków, kiedy Ignacy wysiadał i udawał się za interesami do miast, wozili go w łódce po rzece. Chłopiec słyszał często, jak narzekano na jego ojca i łajano go, ale nie zwracał na to uwagi i nie powtarzał nigdy ojcu tego, co o nim słyszał. Ale razu pewnego w Astrachaniu, kiedy ładowano na statek drzewo na opał, Tomasz usłyszał głos maszynisty, Piotra:

— Kazał pakować tyle drzewa... tfu, głupi! Naładuje

parostatek pod sam pokład, a potem wrzeszczy... maszynę, powiada, psujesz często... oliwę, powiada, napróżno lejesz...

Głos siwego i surowego sternika odpowiedział:

— Wszystko to chciwość nienasycona... tutaj opał tańszy, więc stara się naładować... Chciwy djabeł!

— Chciwiec...

Kilka razy powtórzony zkolei wyraz utkwił w pamięci Tomasza i wieczorem przy kolacji zapytał nagle ojca:

— Tatku!

— Co?

— Czy ty jesteś chciwy?

Wybadany przez ojca, powtórzył mu rozmowę sternika z maszynistą. Twarz Ignacego sposępniała, oczy zapłonęły gniewem.

— Więc tak... — rzekł potrząsając głową. — Ty tego... nie słuchaj ich. To nie dla ciebie towarzystwo — niebardzo z nimi przestawaj. Jesteś ich panem, a oni są twoimi sługami, wiedz o tem. Jeżeli chcemy, możemy wyrzucić ich do nogi na brzeg... to hołota, wszędzie ich jest jak psów. Czy zrozumiałeś? O mnie mogą wiele złego mówić... A mówią dlatego, żem ich — pan. Chodzi głównie o to, że jestem szczęśliwy i bogaty, a bogatym zazdroszczą wszyscy. Szczęśliwy człowiek — w każdym ma wroga...

W dwa dni potem na parostatku był już nowy maszynista i nowy sternik.

— A gdzie Jakób? — zapytał chłopiec.

— Odprawiłem go... wypędziłem...

— Czy za to?... — domyślił się Tomasz.

— Za to samo...

— Czy i Piotra?

— I jego też za to...

Tomaszowi podobało się, że ojciec może tak szybko zmieniać ludzi na parostatku. Uśmiechnął się do ojca i, zeszedłszy nadół na pokład, zbliżył się do jednego z majtków, który siedział na podłodze i rozkręcał kawałek liny, robiąc miotłę okrętową.

— Mamy nowego sternika — oświadczył Tomasz.

— Wiem... No, cóż? Jakże się spało, co śniłeś?

— I maszynistę mamy nowego...
— I maszynistę... Żal ci Piotra?
— Nie.
— Nie? Był przecież tak dobry dla ciebie...
— A poco wygadywał na tatkę?
— O-o? Czyż wygadywał?
— Wygadywał, słyszałem przecież...
— Hmm... a ojciec widocznie również słyszał?
— Nie, to ja mu powiedziałem...
— Ty... ta-a-ak... — rzekł przeciągle majtek i zamilkł, schylony nad pracą.

— A tatko powiedział mi: jesteś tu panem... wszystkich, możesz, powiada, wypędzić, jeżeli zechcesz.

— Taka sprawa... — rzekł majtek, spoglądając zpode łba na chłopca, chwalącego się przed nim swoją władzą. Od tego dnia zauważył Tomasz, że załoga zachowuje się względem niego inaczej, niż dawniej: jedni stali się bardziej nadskakujący i uprzejmi, drudzy nie chcieli z nim mówić, a jeżeli rozmawiali, to gniewnie i wcale nie tak wesoło, jak przedtem. Tomasz lubił przyglądać się myciu pokładu: zakasawszy spodnie po kolana, a czasami zrzuciwszy je zupełnie, majtkowie, z miotłami i szczotkami w ręku, biegają zręcznie po pokładzie, polewają go wodą z wiader, obryzgują się wzajem, śmieją, krzyczą, padają... strugi wody płyną wszędzie i rześki zgiełk ludzi zlewa się z ich wesołym pluskiem. Przedtem chłopiec nietylko nie przeszkadzał majtkom w tej pracy, odbywającej się śród żartów i wesela, ale nawet uczestniczył czynnie, oblewając ich wodą i uciekając ze śmiechem przed pogróżkami oblania go. Po wypędzeniu Piotra i Jakóba odczuł, że teraz przeszkadza wszystkim, że nikt nie chce bawić się z nim i że wszyscy patrzą nań z niechęcią. Zdziwiony i smutny, oddalił się z pokładu na górę, do sternika, usiadł tam i obrażony zaczął patrzeć smętnie na daleki błękitny brzeg i zębatą smugę lasu na nim. Na dole, na pokładzie, pluskano swawolnie wodą, a majtkowie śmieli się wesoło... Miał wielką ochotę pójść do nich, ale coś go powstrzymywało.

— „Trzymaj się od nich zdaleka, — przypomniał sobie słowa ojca: — jesteś ich panem"...

Naraz zapragnął krzyknąć groźnie i rozkazująco na majtków, jak to czynił ojciec. Długo namyślał się nad tem— jak krzyknąć? I nic nie wymyślił... Upłynęło jeszcze dwa, trzy dni — i już zrozumiał jasno, że załoga nie lubi go. Zaczął się nudzić na parostatku i coraz częściej z wielobarwnego chaosu nowych wrażeń wyłaniał się przed Tomaszem zatarty przez nie obraz dobrej i miłej ciotki Anfisy z jej bajkami, uśmiechami i miękkim dźwięcznym śmiechem, który wlewał do duszy chłopca jakieś radosne ciepło. Żył wciąż jeszcze w świecie bajek, ale niewidzialna i bezlitosna ręka rzeczywistości już rwała gorliwie piękną i delikatną pajęczynę cudów, przez którą chłopiec patrzał na całe swe otoczenie. Wypadek ze sternikiem i maszynistą skierował uwagę chłopca na to, co go otaczało; oczy Tomasza spoglądały uważniej, zjawiła się w nich świadoma ciekawość i w pytaniach, zadawanych ojcu, dźwięczała już chęć zrozumienia,— jakie nici i sprężyny kierują czynnościami ludzkiemi.

Pewnego razu był świadkiem takiej sceny: majtkowie nosili drwa; jeden z nich, młody, kędzierzawy i wesoły, idąc z ciężarem po pokładzie statku, mówił głośno i gniewnie:

— Nie, to już licho wie co! Nie umawiałem się przecie do noszenia drzewa. Majtek — to majtek, wiadomo co ma robić... ale żeby jeszcze drzewo nosić... dziękuję! To już poprostu zdzieranie ze mnie skóry, której nie sprzedałem... sumienia nie ma! Majster od wyciskania potu krwawego z ludzi...

Chłopiec słuchał tego burczenia i rozumiał, że dotyczy ono jego ojca. Widział też, że chociaż Jefim sarka, na tragach wszakże dźwiga drzewa więcej, niż inni, i chodzi żwawiej. Nikt z majtków nie odzywał się na burczenie Jefima i nawet ten, co niósł z nim tragi z drzewem, milczał, protestując tylko czasami przeciwko gorliwości, z jaką Jefim nakładał na nosze ciężaru.

— Dosyć! — mówił — przecież nie na konia ładujesz.

— Milcz. Zaprzęgli cię, to wieź, nie brykaj.. Choćby ci krew wysysano... też milcz... na nic twoje gadanie...

Nagle, niewiadomo skąd, zjawił się stary Gordiejew, podszedł do majtka i, stanąwszy przy nim, zapytał groźnie:

— O czem mówisz?

— Mówię... jak umiem... — odrzekł jąkając się Jefim. — Nie było chyba umowy... abym milczał...

— A któż to ma krew wysysać? — zapytał gładząc brodę Ignacy.

Majtek zrozumiawszy, że złapał się, i widząc, że nie sposób się wykręcić, wypuścił z rąk polano, wytarł dłonie o spodnie i patrząc Ignacemu prosto w twarz, rzekł śmiało:

— A czy nie mam racji? Czy ty nie wysysasz?...

— Co, ja?

— Ty.

Tomasz widział, jak ojciec podniósł rękę... rozległo się jakieś klaśnięcie i majtek runął na drwa. Podniósł się natychmiast i znowu zaczął w milczeniu pracować. Krew z rozbitej twarzy spływała na białą korę polan brzozowych, obcierał je rękawem koszuli, spoglądał na rękaw i, wzdychając, milczał. A kiedy przechodził z tragami obok Tomasza, w kącikach oczu jego drżały dwie wielkie mętne łzy, i chłopak widział je.

Jedząc potem z ojcem obiad, był zamyślony i lękliwie spoglądał na Ignacego.

— Czego marszczysz czoło? — zapytał go łagodnie ojciec.

— Tak sobie...

— Możeś chory?

— Nie...

— Powiedz, jeżeli co się stało...

— Tatko jest silny... — rzekł nagle chłopiec w zamyśleniu.

— Ja? Tak sobie... Pan Bóg nie poskąpił mi siły.

— Jak go tatko wtedy uderzył! — zawołał cicho chłopiec, spuszczając głowę.

Ignacy niósł do ust kawałek chleba z kawiorem, ale ręka jego zatrzymała się, powściągnięta okrzykiem syna; spojrzał pytająco na jego pochyloną głowę i zapytał:

— Kogo, Jefimkę?

— Tak... do krwi... płakał, kiedy szedł potem... — opowiadał półgłosem chłopiec.

— Hm... — mruknął Ignacy, żując chleb. — Cóż, żal ci go?

— Żal! — rzekł Tomasz ze łzami w głosie.

— Ta-ak... widzisz kochanku... — zaczął stary.

Po chwili namysłu nalał sobie kieliszek wódki i ciągnął dalej tonem surowym:

— Żałować go niema za co. Rozpuścił jęzor, no i otrzymał, co mu się należało... Ja go znam: chłop dobry, pracowity, tęgi i niegłupi. Ale rozprawiać — to nie jego rzecz; rozprawiać mogę ja, bo jestem panem. Nie jest to tak łatwo być panem... Od uderzenia w zęby nie umrze, a nabierze rozumu... Otóż to... Ech, Tomku! Dzieciak jesteś... i nic nie rozumiesz... uczyć cię muszę, jak żyć trzeba... Niedługie już może życie moje na ziemi...

Ignacy zamilkł, nalał jeszcze wódki i zaczął znów pouczać:

—Ludzi wogóle należy żałować... i dobrze robisz, litując się nad nimi. Trzeba tylko żałować i litować się rozumnie... Przyjrzyj się najpierw człowiekowi, dowiedz się, co on wart, czy potrafi być pożytecznym? Jeżeli zobaczysz, że jest to człowiek silny, do pracy zdolny, pożałuj go, pomóż mu nawet. Jeżeli zaś słaby, do pracy niezdatny, pluń nań i idź dalej. Pamiętaj o tem, — że człowiek, co się na wszystko uskarża, a jęczy, a stęka, nie wart grosza złamanego, nie godzien litości i żadnego pożytku nie będzie, jeżeli mu pomożesz... tylko zgnuśnieje do reszty i rozhultai się... Mieszkając u ojca chrzestnego napatrzyłeś się na wszelką hołotę: te różne pobożne wędrowce do świętych miejsc, pieczeniarze, żebraki... wszelakie płazy... Zapomnij o nich... to nie są ludzie, a tylko tak — skorupka na nic nieprzydatna... Żyją oni nie po bożemu — nie mają oni żadnego Boga, choć imienia Jego wciąż wzywają nadaremnie, byle tylko wzbudzić litość w głupcach i korzystając z tej litości napełnić sobie brzuchy. Żyją dla brzucha tylko i poza piciem, żarciem, spaniem i wzdychaniem nabożnem — nic robić nie umieją... tylko zepsucie szerzą... Dobry człowiek pomiędzy nimi — jak zdrowe jabłko pomiędzy zgnilemi —

może się prędko zepsuć i nikomu korzyści nie przyniesie. Dziecko jesteś, otóż to... nie możesz jeszcze zrozumieć moich... słów. Pomagaj temu, który twardy jest w biedzie... może on nawet nie poprosi cię o pomoc, więc sam się domyśl i pomóż bez jego prośby... jeżeli zaś jest dumny i może się za to obrazić, to pomagaj mu tak, żeby tego nie zauważył... Tak oto należy postępować rozumnie! Weźmy taki przykład: dwie deski wpadły, przypuśćmy, do błota— jedna zgnila, druga — zdrowa, dobra. Cóż powinieneś w danym wypadku uczynić? Jaki pożytek ze zgniłej deski? Zostaw ją, niech leży w błocie, można chyba przejść po niej, żeby nóg nie zabłocić... Zdrową zaś — podnieś i postaw na słońcu, jeśli nie tobie, to innemu zda się na coś. Tak, tak, synku! Słuchaj, co ci mówię, i zapamiętaj to sobie... Ta-ak... a Jefimki nie masz czego żałować... to dzielny chłop, zna swoją wartość... uderzeniem w pysk duszy zeń nie wytrzęsiesz... Zobaczymy, za jaki tydzień dam go do pomocy sternikowi, a potem, zobaczysz, zostanie sternikiem... gdybym mianował go nawet kapitanem, nie pokpi sprawy — potrafi być kapitanem! Otóż w ten sposób wyrastają ludzie... Ja sam, bratku, tę szkołę przechodziłem... gdy byłem, jak on, nieraz też po gębie dostałem... Dla nas dla wszystkich, synku, życie — to nie matka rodzona, ale surowa pani...

Ze dwie godziny rozmawiał Ignacy z synem, opowiadał mu o swojej młodości, o swoich pracach, o ludziach, o wielkiej ich sile i słabości; o tem, jak oni umieją i lubią udawać nieszczęśliwych, żeby żyć kosztem innych, i znowu o sobie, o tem, jak z prostego robotnika został panem, wielkim przedsiębiorcą.

Chłopak słuchał, patrzał nań i czuł, jak ojciec staje mu się jakgdyby coraz bliższy. I chociaż w opowiadaniach ojca brak było tego, co nadawało taki urok bajkom ciotki Anfisy, było w nich jednak coś nowego — wyraźniejszego i bardziej zrozumiałego, niż w bajkach, chociaż nie mniej ciekawego... w małem serduszku dziecka zabiło nagle jakieś żywsze, cieple uczucie i pociągnęło ku ojcu. Ignacy zapewne z oczu dziecka odgadł jego uczucia: wstał porywczo z miejsca, chwycił syna za ręce i przycisnął mocno do pier-

si. A Tomasz objął go za szyję i, przyłożywszy swoją twarz do twarzy ojca, w milczeniu oddychał przyśpieszonym oddechem.

— Syneczku... — szeptał głucho Ignacy. — Miły mój... radości ty moja... ucz się, póki ja żyję... o-och, ciężko jest żyć!

Serce chłopaka drgnęło od tego szeptu, zacisnął zęby i gorące łzy bryznęły z jego oczu...

Statek szedł już zpowrotem wgórę rzeki. Razu pewnego, w upalną noc lipcową, kiedy niebo pokryte było czarnemi, gęstemi chmurami i dokoła na Wołdze zalegał jakiś złowrogi spokój, przypłynęli do Kazania i zarzucili kotwicę około Osłonu, na samym końcu długiego szeregu statków. Brzęk kotwicowych łańcuchów i krzyki załogi obudziły Tomasza; zerwał się i wyjrzał przez okno — daleko w ciemnościach, niby igrając, połyskiwały małe światełka, woda była gęsta i czarna jak oliwa — i więcej nic nie było widać. Serce chłopca ścisnęło się trwogą, zaczął nasłuchiwać pilnie. Skądciś dolatywały ledwie uchwytne, żałosne dźwięki pieśni, smętnej i monotonnej, jak psalm cerkiewny. Na kołyszących się szeregiem statkach nawoływali się stróże; parostatek syczał gniewnie, wyrzucając parę... i czarna woda rzeki pluskała cicho i żałośnie obok statków. Wpatrując się pilnie, aż do bólu oczu, w ciemność, rozróżniał w niej chłopiec czarne jakieś cielska i pełgające wysoko nad niemi światełka. Wiedział, że są to statki, ale to go nie uspokajało i serce wciąż uderzało niespokojnie, a w wyobraźni wyłaniały się jakieś ciemne, straszne obrazy.

— O-o... o... — przeciągłe wołanie przybiegło zdaleka i zamarło w łkającym dźwięku... Oto ktoś po pokładzie podszedł do burty statku.

— O-o... o... — rozległo się znowu, ale już gdzieś znacznie bliżej...

— Jefimie!... — mówił ktoś półgłosem na pokładzie. — Jefimku!

— Co?

— Wstawaj, do licha ciężkiego! Bierz bosak...

— O-o-o-o... — zajęczało gdzieś wpobliżu i Tomasz, cały drżący, odsunął się od okna. Ten dziwny jęk

podpływał coraz bliżej, wzmagał się, łkał i ginął w mroku nocy. Na pokładzie rozlegały się trwożne szepty:

— Jefimku! Wstań-że... gość płynie.

— Gdzie? — rozległo się pośpieszne pytanie... potem słychać było stąpanie bosych nóg po pokładzie, jakieś suwanie i nagle chłopak tuż nad sobą ujrzał dwa drągi, które zsunęły się z góry i prawie bez szmeru zanurzyły się w gęstej wodzie...

— Go-o-ość! — jękło gdzieś niedaleko i rozległ się cichy, ale jakiś dziwny plusk wody.

Od tego żałosnego jęku chłopak drżał z przerażenia, ale nie mógł ani rąk swoich oderwać od okna, ani oczu od wody...

— Zapal latarnię... nic nie widać...

— Zara...

I oto plama mętnego światła padła na wodę... Tomasz widział, jak woda kołysze się cicho, drobne zmarszczki przebiegają po niej, jakgdyby ta woda czuła jakiś ból, i drżała z bólu.

— Patrz... patrz... — szeptano trwożnie na pokładzie.

W tej chwili na wodzie, w świetlanej plamie, ukazała się szeroka, straszna twarz ludzka z białemi, wyszczerzonemi zębami. Płynęła i kołysała się na wodzie, szczerząc zęby wprost do Tomasza i jakby ze śmiechem mówiąc doń:

— Ach, chłopcze, chłopcze... zi-i-mno... do widzenia!

Drgnęły drągi, podniosły się do góry, potem znów pochyliły się ku wodzie i zaczęły popychać w niej coś ostrożnie.

— Prowadź go... kieruj... patrz... dostanie się pod koła...

— Popychaj-no i ty...

Drągi ślizgały się po burcie i ocierając się o nią wydawały dźwięk podobny do zgrzytania zębów. Tomasz, patrząc na nie, nie mógł zamknąć oczu. Stąpanie nóg na pokładzie, nad jego głową, oddalało się stopniowo ku tyłowi statku... I oto tam znów rozległ się ów żałosny, pogrzebowy jęk:

— Go-o-ość...

— Tatku! — zawołał chłopak głosem pełnym trwogi... — Ta-atku...

Ojciec zerwał się na równe nogi i podbiegł ku niemu.

— Co tam... tam? Co... oni robią? — krzyczał chłopak.

Jednym susem wypadł Ignacy z kajuty z dzikim rykiem. Powrócił szybko, zanim Tomasz, chwiejąc się na nogach i oglądając dokoła, dobrnął od okna do ojcowskiego posłania.

— Przestraszyłeś się... no, nic, nie bój się! — mówił Ignacy, biorąc syna na ręce. — Połóż się przy mnie...

— Co to? — pytał cicho Tomasz.

— To nic, synu... Topielec... człowiek utonął i płynie... nic! Nie bój się, już odpłynął.

— Poco go popychano? — dopytywał się chłopiec, tuląc się mocno do ojca i zamykając ze strachu oczy...

— Tak... trzeba... będzie kram, badania... zatrzymają nas tutaj. Oto dla czego odpychają go dalej. Jemu nic to nie szkodzi? Nie żyje, to go nie boli, ani obraża, a z jego powodu żywi mieliby tylko nieprzyjemności... Śpij, synku!

— Czy on popłynie?

— Tak, popłynie... wydobędą go gdziekolwiek, — pogrzebią...

— A ryba go zje!

— Ryba nie jada ciała ludzkiego... raki — te jedzą... lubią...

Od ciepła ojcowskiego ciała strach dziecka zaczął tajać, ale oczy jego wciąż jeszcze widziały, jak na czarnej wodzie kołysała się straszna twarz z wyszczerzonemi zębami.

— Któż to taki?

— Kto go tam wie? — ot, pomódl się za niego: Panie, zbaw jego duszę!

— Panie, zbaw jego duszę! — powtórzył szeptem Tomasz.

— Tak, dobrze... teraz śpij, nie bój się... już on daleko! Płynie sobie... Pamiętaj, do burty nie podchodź blisko... bo możesz, broń Boże, wpaść do wody i...

— A czy on także wpadł?

— Zapewne... był może pijany... i amen! A może sam się rzucił... Są i tacy, co sami... Weźmie i rzuci się do

wody... i utonie... Tak to bywa, kochanku, dla jednego życie jest wiecznem weselem, a dla drugiego — nieustającą męką!

— Tatku?...

— Śpij, śpij, synu...

## III.

W pierwszym dniu życia szkolnego, Tomasz oszołomiony wrzaskliwym gwarem swawoli i rozhukanych zabaw dziecinnych, wyróżnił z grona chłopaków dwóch, którzy odrazu zaciekawili go bardziej od innych. Jeden siedział przed nim. Patrząc zpode łba, Tomasz widział szerokie jego plecy, pulchną, całą w piegach szyję, duże uszy i gładko ostrzyżoną głowę o jaskrawo rudych, sterczących jak szczecina włosach.

Kiedy łysy, z obwisłą dolną wargą, nauczyciel zawołał: „Smolin!“ — rudy chłopak podniósł się bez pośpiechu, podszedł do nauczyciela, stanął spokojnie przed nim i zaczął po wysłuchaniu zadania wypisywać uważnie duże, okrągłe cyfry kredą na tablicy.

— Dobrze... dosyć! — powiedział nauczyciel. — Jeżow Mikołaj... rób dalej!

Jeden z sąsiadów Tomasza, — mały, żwawy chłopak z czarnemi jak u myszy oczkami, — zerwał się z miejsca i pędził między ławkami, po drodze zawadzając o wszystko i kręcąc głową na wszystkie strony. Przy tablicy wziął kredę i, wspiąwszy się na palce, zaczął z hałasem skrzypieć i mazać nią, uderzając o tablicę, na której kreślił drobne, niewyraźne znaki.

— Ciszej — odezwał się nauczyciel, krzywiąc swą żółtą twarz o oczach znużonych. A Jeżow mówił szybko dźwięcznym głosem:

— Dowiedzieliśmy się teraz, że zysk pierwszego kramikarza wynosi 17 kopiejek...

— Dosyć!... Gordiejew! Powiedz-no mi, co zrobić należy, aby się dowiedzieć, ile zysku miał drugi kramikarz?

Obserwując zachowanie się chłopców, — tak do siebie niepodobnych, — Tomasz został zaskoczony pytaniem znienacka i — milczał.

— Nie wiesz?... Hm... Wytłumacz mu, Smolin...

Smolin, zajęty wycieraniem powalanych kredą palców, odłożył gałganek, nie patrząc na Tomasza skończył zadanie i zaczął znowu wycierać ręce, a Jeżow, podskakując, poszedł uśmiechnięty na swoje miejsce.

— Ech ty! — przemówił szeptem, sadowiąc się obok Tomasza i trącając go przy sposobności pięścią w bok. — Czemu nie wiedziałeś? Cały zysk ile wynosi? Trzydzieści kopiejek... a kramikarzy — dwóch... jeden dostał 17 kop. — więc ile drugi?

— Wiem, — odrzekł szeptem zawstydzony Tomasz, przyglądając się twarzy Smolina, wracającego wolnym krokiem na swoje miejsce. Nie podobała mu się ta okrągła piegowata twarz z niebieskiemi, jakby zapłyniętemi tłuszczem oczyma. A Jeżow tymczasem szczypał go boleśnie w nogę i pytał:

— Czyj ty syn — może „Szalonego"?

— Tak.

— Widzisz go... Jeżeli chcesz, będę ci zawsze podpowiadać?

— Dobrze...

— A co mi za to dasz?

Tomasz pomyślał i zapytał:

— A czy ty sam umiesz?

— Ja? Jestem pierwszym uczniem... zobaczysz...

— Hej tam! Jeżow — znów rozmawiasz? — krzyknął nauczyciel. Jeżow zerwał się z miejsca i odpowiedział śmiało:

— To nie ja... to Gordiejew...

— Obaj szepczą, — oznajmił spokojnie Smolin.

Zmarszczywszy żałośnie twarz i śmiesznie poruszając swoją dużą wargą, nauczyciel zburczał wszystkich, lecz nagana ta nie przeszkodziła wcale Jeżowowi, zaczął w tejże chwili szeptać znowu:

— Dobrze, Smolin! Popamiętam ci to...

— A poco zwalasz na niego? — nie odwracając głowy pytał cicho Smolin.

— Dobrze, dobrze, — syczał Jeżow.

Tomasz milczał, spoglądając zukosa na swego nie-

spokojnego sąsiada, który jednocześnie i podobał mu się i wzbudzał w nim chęć usunięcia się dalej od niego. W czasie pauzy dowiedział się od Jeżowa, że Smolin jest również bogaty i że jest synem garbarza, a on sam — synem woźnego z izby skarbowej i że jest bardzo ubogi. Można to było poznać odrazu po odzieży Jeżowa, połatanej na kolanach i łokciach, po bladej i wygłodzonej twarzy, po całej wreszcie małej kanciastej i kościstej figurze. Mówił głosem cienkim, przenikliwym, gestykulując przytem żywo i robiąc grymasy, często używał w mowie sobie właściwych wyrazów, których znaczenie znał tylko sam.

— Będziemy przyjaciółmi, — oznajmił Tomaszowi.

— A czemu przedtem poskarżyłeś się nauczycielowi na mnie? — przypomniał mu Gordiejew, popatrzywszy nań podejrzliwie zukosa.

— Masz ci go! Co ci to szkodzi? Jesteś nowicjusz i bogaty... a nauczyciel bogatych nie karze... Ja co innego, biedny jestem — za to mnie nie lubi, żem zuchwały i że nie dałem mu nigdy żadnego prezentu... Gdybym się źle uczył— dawno jużby mnie wydalił. Wiesz — chcę wstąpić do gimnazjum... Skończę tu drugą klasę i wystąpię zaraz... Już mnie pewien student przygotowuje, też do drugiej klasy... Tam będe się tak uczył — że ha! Ile macie koni?

— Trzy... Poco ci się tak wiele uczyć? — zapytał Tomasz.

— Dlatego, żem biedny... Biedni muszą się uczyć, bo w ten sposób mogą także dochrapać się bogactwa... wyjść na lekarzy, urzędników, oficerów... Ja też będę dzyndzoniem... szabla przy boku, ostrogi u nóg — dzyń, dzyń! A ty czem będziesz?

— N-nie wiem... — odrzekł w zamyśleniu Tomasz, przyglądając się koledze...

— Ty niczem być nie potrzebujesz... Lubisz gołębie?

— Lubię...

— Jakiś ty gamuła! U-u! e-e! — przedrzeźniał Jeżow powolną mowę Tomasza. — Ile masz gołębi?

— Nie mam.

— Ach ty! Bogaty, a nie trzyma gołębi... Ja, chudeusz, i to mam trzy... garłacz jeden, srokata gołąbka i tur-

man... Gdybym miał bogatego ojca — rozmnożyłbym sobie ze sto gołębi i po całych dniachbym je ganiał. Smolin też ma gołębie — śliczne! Czternaście... to on mi podarował turmana. Ale pomimo to chciwy jest... wszyscy bogaci są... chciwi... a ty też jesteś chciwy?

— N...nie wiem, — odrzekł niepewnym głosem Tomasz.

— Przyjdź do Smolina, we troje dopiero będziemy ganiali...

— Dobrze... jeżeli mnie puszczą...

— Czyż stary nie kocha cię?

— Owszem, kocha.

— No to puści... Nie mów tylko, że i ja będę... bo wtedy może naprawdę nie puści... Powiedz — proszę mi pozwolić do Smolina pójść.

Zbliżył się do nich tłusty Smolin. Jeżow przywitał go, potrząsając z wyrzutem głową:

— Ach ty, rudy adwokacie! Z tobą nie warto przyjaźnić się... drewno!

— Czego łajesz? — zapytał spokojnie Smolin, przyglądając się Tomaszowi nieruchomym wzrokiem.

— Ja nie łaję, tylko mówię prawdę, — tłumaczył się Jeżow, podskakując w ożywieniu. — Słuchaj! Chociaż ty taki, ale — dajmy pokój! W niedzielę po nabożeństwie przyjdę z nim do ciebie...

— Przyjdźcie, — kiwnął głową Smolin.

— Przyjdziemy... Zaraz będzie dzwonek, pobiegnę szczygła sprzedać, — oznajmił Jeżow, wyciągając z kieszeni papierowy pakiecik, w którym trzepotało się coś żywego. I wnet zniknął ze szkolnego podwórza.

— Ja-a-ki on! — zagadnął Tomasz, zdumiony żywością Jeżowa, i spojrzał pytająco na Smolina.

— On zawsze taki... sprytny badzo — objaśnił rudy chłopak.

— I wesoły — dodał Tomasz.

— I wesoły — zgodził się Smolin. Potem milczeli, przyglądając się sobie nawzajem.

— Czy przyjdziesz z nim do mnie? — zapytał rudy.

— Przyjdę...

— Przyjdź... U mnie ładnie...

Tomasz nic na to nie odpowiedział. Wówczas Smolin go zapytał:

— Czy dużo masz kolegów?

— Nie mam nikogo...

— Przed wstąpieniem do szkoły ja też nie miałem nikogo... prócz kuzynów... A teraz będziesz miał odrazu aż dwóch kolegów...

— Tak — odrzekł Tomasz.

— Czy cieszysz się?

— Cieszę się...

— Wesoło, kiedy się ma wielu kolegów... I uczyć się łatwiej — podpowiadają...

— Ty dobrze się uczysz?

— Dobrze. Ja wszystko dobrze robię, — odrzekł spokojnie Smolin.

Ozwał się dzwonek.

Siedząc w szkole, Tomasz poczuł się swobodniejszym i zaczął porównywać swoich kolegów z innymi chłopcami. Wkrótce przekonał się, że obaj uchodzą za najlepszych w szkole. I czuł pewne zadowolenie, że najlepsi są jego przyjaciółmi.

Ze szkoły wyszli razem, ale Jeżow skręcił wkrótce do jakiegoś wąskiego zaułka, Smolin zaś szedł z Tomaszem aż do samego jego domu i przy pożegnaniu powiedział:

— Widzisz — jedna nam droga.

W domu powitano Tomasza uroczyście: ojciec podarował chłopcu srebrną ciężką łyżkę z ogromnym monogramem, a ciotka — szalik własnej roboty. Czekano nań z obiadem, przyrządzono ulubione jego potrawy, a gdy się rozebrał, posadzono za stołem i zaczęto się rozpytywać:

— Cóż, czy podobało ci się w szkole? — mówił Ignacy, patrząc z miłością na zarumienioną i ożywioną twarz syna.

— Owszem... podobało się! — odrzekł Tomasz.

— Kochanku mój! — wzdychała wzruszona ciotka. — Słuchaj, nie poddawaj się tylko kolegom... Jeżeli skrzywdzą cię, powiedz zaraz nauczycielowi...

— Nie słuchaj ciotki! — roześmiał się Ignacy. — Nie

rób tego nigdy! Staraj się sam rozprawić z każdym, ktokolwiek cię skrzywdzi, ukarz go własną ręką. Cóż, są tam jakie porządne chłopaki?

— Jest dwóch... — uśmiechnął się Tomasz, przypominając sobie Jeżowa. — Jeden taki śmiały — że aż strach!

— Co za jeden?

— Syn stróża...

— Hm... śmiały, mówisz?

— Bardzo!

— No... Bóg z nim! A drugi?

— A drugi — cały rudy... Smolin...

— A! Zapewne syn Dymitra Iwanowicza... Z tym możesz przestawać, to odpowiednie dla ciebie towarzystwo... Dymitr — rozumny chłop... dobrze byłoby, gdyby syn podobny był do niego. Ale ten drugi... Ot co, Tomku, zaproś ich na niedzielę do siebie. Nakupię łakoci, będziesz ich częstował... Zobaczymy, co za jedni.

— Na niedzielę Smolin zaprosił mnie do siebie, — oświadczył Tomasz, rzucając na ojca pytające spojrzenie.

— Widzisz go... no, idź! to nic, idź... Przypatruj się, jacy to ludzie są na świecie... Samemu, bez przyjaciół żyć trudno... Ja oto z twoim ojcem chrzestnym żyję w przyjaźni przeszło lat dwadzieścia... i wiele skorzystałem z jego rozumu. Staraj się i ty również przyjaźnić z lepszymi i rozumniejszymi od siebie... Otarłszy się o dobrego człowieka... jak grosz miedziany o srebro, sam potem za czterdziestówkę będziesz uchodził...

I roześmiawszy się ze swego porównania, Ignacy dodał poważnie:

— Żartuję. Staraj się być nie fałszywym, ale sprawiedliwym... i miej choć mały rozum, ale własny. Czy dużo ci zadano lekcji?

— O, dużo! — westchnął chłopak, a westchnieniu jego wtórowało, jak echo, ciężkie westchnienie ciotki...

— No... ucz się. W nauce nie bądź gorszy od innych. Chociaż powiem ci prawdę: niechby szkoła miała choć dwadzieścia pięć klas, — nie nauczysz się tam niczego, prócz czytania, pisania i rachunku. Możesz się tam jeszcze nauczyć

wielu różnych głupstw, — ale nie daj ci tego Boże! Zasiekę, jak tylko co... Jeżeli będziesz palił tytuń, obetnę wargi...

— O Bogu, Tomku, pamiętaj, — dodała ciotka. — O nim nie zapominaj, kochanie...

— To prawda! Czcij Boga i rodzica. Chcę ci to tylko powiedzieć, że te książki i mądrości szkolne, — to jeszcze nie wszystko... Potrzebne ci są, jak cieśli siekiera lub hebel... są tylko narzędziem, narzędzie samo nie nauczy, jak jego użyć. Zrozumiałeś?... Powiedzmy tak: dano cieśli do ręki siekierę, którą ma ociosać drzewo... Ręka i siekiera — to jeszcze za mało, trzeba umieć uderzyć siekierą w drzewo, a nie siebie w nogę... Ty masz w ręku wykształcenie, zapomocą niego powinieneś urządzić sobie życie. Stąd też wynika, że do tego samych książek za mało, potrzebna jeszcze umiejętność korzystania z nich... Otóż ta właśnie umiejętność jest czemś mądrzejszem od wszelkich książek, a w książkach o niej niema... Tego, Tomku, trzeba uczyć się od samego życia. Książka — to rzecz martwa, rób z nią, co chcesz, drzyj, łam — nie zakrzyczy... A życie, jeżeli zrobiłeś w niem choć jeden fałszywy krok, jeżeli zająłeś nieodpowiednie miejsce, zawyje na cię tysiącem głosów, z nóg zwali...

Oparłszy się łokciem o stół, Tomasz słuchał uważnie ojca i wyobrażał sobie już to cieślę, ciosającego drzewo, już to siebie samego: jak to on ostrożnie, z wyciągniętemi przed siebie rękoma skrada się po grząstkiej ziemi do czegoś ogromnego i żywego i chce uchwycić to coś...

— Człowiek powinien oszczędzać się dla swoich własnych celów i drogę, wiodącą do nich musi znać doskonale... Człowiek, bracie, jest jak ten sternik na statku... Za młodu, jak podczas wiosennego wylewu — pędź prosto! Wszędzie droga otwarta... Ale powinieneś pilnować chwili, kiedy za ster chwycić trzeba... Woda opadła — baczność! tam oto mielizna, tam pień drzewny, tam skała, patrzaj; wszystko to w porę spostrzec i ostrożnie wyminąć trzeba, aby szczęśliwie dobić do przystani...

— Dobiję! — rzekł chłopiec, patrząc z ufnością i dumą na ojca.

— Dzielnie mówisz! — zaśmiał się Ignacy. Ciotka też się śmiała.

Od chwili podróży z ojcem po Wołdze Tomasz stał się w domu śmielszy, odważniejszy i rozmowniejszy z ojcem, ciotką i Majakinem. Na ulicv wszakże lub gdziekolwiek w nowem dla niego miejscu, śród obcych zawsze był zachmurzony i spoglądał dokoła podejrzliwie i nieufnie, jakgdyby wyczuwał wszędzie coś wrogiego, ukrytego i czyhającego nań.

Niekiedy w nocy budził się nagle, wsłuchiwał się długo w otaczającą go ciszę, szeroko otwartemi oczyma wpatrywał się w ciemność. Opowiadania ojca przeistaczały się w jego wyobraźni w przeróżne obrazy i widoki. Nie zdając sobie sprawy, plątał je z bajkami ciotki i stwarzał chaos wypadków, w którym jasne barwy fantazji przeplatały się dziwacznie z surowemi tonami rzeczywistości. W rezultacie powstawało coś ogromnego, niepojętego; chłopczyna zamykał oczy, odpędzał to wszystko od siebie, chcąc powstrzymać przerażającą go grę wyobraźni. Lecz napróżno próbował zasnąć — ciemne jakieś postaci napełniały coraz tłumniej pokój. Wtedy budził ciotkę, wołając zcicha:

— Ciociu... ciociu...

— Co? Bóg z tobą...

— Czy mogę przyjść do cioci? — szeptał Tomasz.

— Poco? — Śpij, kochanie, śpij...

— Boję się... — przyznawał się chłopiec.

— Odmów pocichu modlitwę, a nie będziesz się bał.

Tomasz leży z zamkniętemi oczyma i odmawia modlitwę. Cisza nocy zarysowuje się przed nim w kształcie bezbrzeżnej przestrzeni ciemnej wody, całkiem nieruchomej, — rozlala się wszędzie i zastygła; ani drobnych, pomarszczonych fal na niej, ani najlżejszego cienia ruchu w jej głębi — a głębia to bezdenna... Straszno patrzeć samemu skądciś z góry, z ciemności na tę martwą wodę... Lecz oto rozlega się odgłos grzechotki stróża nocnego i chłopiec widzi, że powierzchnia wody drży, a po niej skaczą okrągłe jasne kółka, pokrywając ją drobnemi zmarszczkami... Nagle... uderzenie dzwonu potężnem dźwignięciem porusza tę wodę i oto, płynnie kołysze się ona od tego uderzenia, a z nią kołysze się

także owa jasna plama, oświetla wodę, rozszerza się od jej środka gdzieś w ciemną dal, blednie i gaśnie... Martwy spokój znowu panuje w tej ciemnej pustyni...

— Ciociu... — szepcze błagalnie Tomasz.

— Co, dziecko?

— Chcę do cioci...

— No chodź, chodź, pieszczoszku..

Biegnie do ciotki, tuli się do niej i prosi:

— Opowiedz mi co, ciociu...

— Noc teraz, cóż znowu? — protestuje przez sen ciotka.

— Moja złota ciociu...

Nie trzeba było długo prosić. Poziewając, ochrypłym ze snu głosem, z zamkniętemi oczyma, zaczyna opowiadanie:

— Otóż, kochanie moje, w pewnem królestwie żyli sobie mąż i żona i byli bardzo a bardzo ubodzy oboje... Tak byli biedni, że nawet jeść nie mieli co. Idą, bywało, w świat o proszonym chlebie, a da im kto czerstwy kawałek chleba — mieli co jeść na cały dzień. Niewiele im było potrzeba... Razu pewnego urodziło im się dziecko... urodziło się dziecko, więc trzeba je ochrzcić, a że byli biedni i nie mieli czem poczęstować kumów i gości, nikt przeto nie chciał iść do nich na chrzciny! I tak i owak proszą — a nikt przyjść do nich nie chce!... Zaczęli wtedv modlić się do Boga: — Boże! Boże!...

Tomasz znał tę straszną bajkę o chrzestnym synu Boga, słyszał ją nieraz i oto w wyobraźni jego rysuje się już postać tego chrzestnego syna: oto jedzie on na białym koniu do swoich chrzestnych rodziców, jedzie w mroku, po pustyni, i widzi w niej wszystkie okrutne męki, na które skazani są grzesznicy... Słyszy ciche ich jęki i prośby:

— O-o-o! Człowieku! Zapytaj Pana Boga, czy długo jeszcze mamy się tu męczyć?

Wtedy zdaje się Tomaszowi, że to on jedzie nocą na białym koniu i że te jęki i błagania zwrócone są do niego. Serce jego ściska się jakiemś nieznanem, niezrozumiałem pragnieniem, zimnv jakiś ciężar tłoczy mu pierś, łzy cisną się do oczu, które zaciska mocno i boi się otworzyć.

Przewraca się niespokojnie na posłaniu...

— Śpij moja dziecino, Pan czuwa nad tobą! — mówi staruszka, przerywając opowieść o tem, jak męczą się ludzie za swe grzechy...

Ale nazajutrz po takiej nocy Tomasz wstawał wesoły i rześki, mył się prędko, pił herbatę i pędził do szkoły, niosąc w tornistrze słodkie pierożki, na które tam czekał mały, zawsze głodny Jeżow, chciwie pochłaniający przysmaki swego bogatego kolegi.

— Głód mi dolega! — temi słowy witał Tomasza, węsząc swoim ostrym nosem. — Dawaj, wyszedłem z domu naczczo... Zaspałem, niech djabli wezmą... uczyłem się do drugiej w nocy... Zrobiłeś zadania?

— Nie zrobiłem.

— Niedołęga z ciebie! Dawaj, zaraz ci je zrobię!

Wpijając się w pieróg drobnemi ostremi zębami, mruczał coś jak kot, przytupywał w takt lewą nogą, a jednocześnie rozwiązywał zadanie, rzucając Tomaszowi krótkie, urywane frazesy:

— Widziałeś? W godzinę wyciekało osiem wiader... a ile godzin ciekło — sześć? Ach, smaczne rzeczy jadacie!... Sześć, a więc trzeba pomnożyć przez osiem... Czy lubisz pierogi z zieloną cebulą? Bo ja — bardzo! Otóż w ciągu sześciu godzin wyciekło z pierwszego kranu czterdzieści osiem... a że wszystkiego do kadzi nalano dziewięćdziesiąt... dalej to już chyba sam rozumiesz?

Jeżow podobał się Tomaszowi bardziej, niż Smolin, ale ze Smolinem żył Tomasz w większej przyjaźni. Podziwiał zdolności i ruchliwość maleńkiego człowieczka, widział, że Jeżow jest rozumniejszy i lepszy od niego, zazdrościł mu, dąsał się za to na niego, a jednocześnie czuł dlań pobłażliwą litość, jaką ma syty człowiek dla głodnego. Ale właśnie ta litość może była największą przeszkodą do zbliżenia się. Lubiąc drwić z bogatych kolegów, Jeżow przezywał ich często:

— Cóż tam, torby z pierożkami!...

Tomasz gniewał się na niego za kpiny i pewnego razu, dotknięty do żywego, rzekł pogardliwie i ze złością:

— A ty — cygan... żebrak!

Żółta twarz Jeżowa pozieleniała, lecz odrzekł spokojnie:

— Dobrze, niechaj! Nie będę ci podpowiadał!

W ciągu trzech dni nie rozmawiali ze sobą ku wielkiemu zmartwieniu nauczyciela, który zmuszony był przez te dni stawiać dwójki i pałki synowi szanowanego powszechnie Ignacego Gordiejewa.

Jeżow wszystko umiał i wszystko wiedział: w szkole opowiadał, jak pokojówka prokuratora powiła dziecko, a żona prokuratora oblała za to męża gorącą kawą; mógł powiedzieć, gdzie i kiedy najlepiej łowić okonie; umiał przyrządzać sidła i klatki dla ptaków; informował szczegółowo, z jakiego powodu i w jaki sposób powiesił się żołnierz na strychu w koszarach, od czyich rodziców otrzymał dziś nauczyciel podarunek i jaki mianowicie.

Zakres wiedzv i interesów Smolina ograniczał się do świata kupieckiego i rudy chłopak lubił przeważnie określać, od kogo kto jest bogatszy, biorąc pod uwagę i oceniając ich domy, statki, konie. O tem wszystkiem wiedział doskonale i mówił z zapałem.

Dla Jeżowa miał takie same politowanie, jak i Tomasz, ale stosunek jego był bardziej koleżeński i równy. Za każdym razem, kiedy Gordiejew kłócił się z Jeżowem, starał się ich pogodzić, a razu pewnego, wracając ze szkoły do domu, powiedział Tomaszowi:

— Czemu zawsze się kłócisz z Jeżowem?

— A czego on taki zarozumiały? — odpowiedział gniewnie Tomasz.

— Dlatego jest zarozumiały, że ty się źle uczysz, a on ci zawsze pomaga... On jest rozumny... A że biedny, czy jego w tem wina? Może się jeszcze wszystkiego nauczyć, czego zechce, i będzie również bogaty...

— Taki komar,—powiedział lekceważąco Tomasz,— brzęczy, brzęczy i raptem weźmie i ugryzie.

W życiu jednak tych chłopców było coś, co ich łączyło; były godziny, kiedy zatracali świadomość różnicy charakterów i stanów. Co niedziela zbierali się wszyscy trzej u Smolina, właziii na dach oficyny, gdzie był urządzony gołębnik i puszczali gołębie.

Piękne syte ptaki, trzepocząc śnieżnobiałemi skrzydłami, wylatywały jeden za drugim z gołębnika, sadowiły się rzędem na szczycie dachu i, gruchając, pyszniły się w blaskach słońca przed chłopcami.

— Strasz! — prosił Jeżow, drżąc z niecierpliwości.

Smolin wymachiwał w powietrzu długą żerdzią z wiechciem na końcu i gwizdał.

Przestraszone gołębie unosiły się w powietrzu, napełniając je szmerem swych skrzydeł. I oto, zataczając szerokie koła, wznoszą się wgórę, szybują w błękitnej głębi nieba i, połyskując srebrem śnieżystych piór, płyną coraz wyżej. Niektóre usiłują dosięgnąć sklepienia niebios płynnym lotem sokoła, szeroko rozpościerając skrzydła; inne — bawią się, przewracają kozły w powietrzu, spadają wdół jak kula śnieżna i znów lotem strzały lecą w wyżynę. Oto całe ich stado zawisło, zda się, nieruchomo wśród pustyni nieba i tonie w niej, zmniejszając sią coraz bardziej. Chłopcy w milczeniu, z zadartemi do góry głowami, napawają się widokiem ptaków, nie odrywając od nich oczu — zmęczonych oczu, w których obok cichej radości tai się zazdrość do tych skrzydlatych istot, co tak swobodnie odleciały z ziemi w cichy, czysty przestwór, pełny słonecznego blasku. Drobna gromadka ledwie dostrzegalnych dla oka białych punkcików, tkwiąca w błękicie nieba, porywa za sobą wyobraźnię dzieci i Jeżow określa wspólne wszystkim uczucie, mówiąc cicho i w zamyśleniu:

— Żebyśmy tak mogli polatać...

Tomasz zaś wiedząc, że odlatująca do nieba dusza człowieka przybiera na się postać gołębia, czuje w swej piersi przypływ jakiegoś silnego, palącego pragnienia...

Zjednoczeni w zachwycie, oczekując w milczeniu powrotu ptaków, przytuleni mocno do siebie, wszyscy trzej odrywali się od życia i wyobraźnią ulatywali hen, daleko, jak ich gołębie; w takich chwilach stawali się dziećmi, które nie umieją ani gniewać się, ani zazdrościć; obcy wszystkiemu, bliscy sobie, bez słów porozumiewają się ze sobą blaskiem oczu i — dobrze im jest jak ptakom na niebie.

Lecz oto zmęczone lotem gołębie spuściły się na dach i zostały zapędzone do gołębnika.

— No, koledzy, a teraz — na jabłka?! — proponuje Jeżow, stały inspirator wszystkich zabaw i wypraw.

Wezwanie to zwiewa z ich dziecięcych dusz pokojowy nastrój, wywołany lotem gołębi; ostrożnie, chyłkiem, jak rabusie, skradają się wzdłuż płotów do sąsiedniego sadu, czujni na każdy szmer, jak łupieżcy. Strach zastania złapanym równoważy się z nadzieją bezkarnej kradzieży. Kradzież jest również pracą i niebezpieczną pracą, a wszystko przecież zarobione własną pracą, — jest tak miłe!... I tem milsze, im więcej kosztowało wysiłków...

Chłopcy przełażą ostrożnie przez płot ogrodu i pełzną chyłkiem ku jabłoni, oglądając się lękliwie. Każdy szmer napełnia ich trwogą i przyśpiesza bicie serc. Zarówno obawiają się tego, że ich złapią, jak tego, że ich poznają; ale jeśli zauważą ich tylko zdaleka i krzykną na nich — będą zadowoleni: rozbiegną się w różne strony i znikną, a potem, zebrawszy się razem, będą sobie opowiadali ze śmiechem, z zuchwałym błyskiem w oczach o tem, co czuli, usłyszawszy krzyk i pogoń za sobą i co im się przytrafiło, kiedy uciekali przez ogród tak szybko, jakgdyby ziemia paliła się pod ich nogami.

W zbójeckie te wyprawy Tomasz wkładał więcej zapału, niż we wszelkie inne zabawy, — i zachowywał się podczas wypraw tak odważnie, że to dziwiło i gniewało jego kolegów: naumyślnie rozmawiał głośno, łamał z trzaskiem gałęzie, zerwawszy robaczywe jabłko rzucał je gdziekolwiek w stronę domu właściciela ogrodu. Niebezpieczeństwo, że może być schwytany na miejscu występku, nie przerażało go, a tylko podniecało: oczy mu ciemniały, twarz stawała się dumna i zła. Smolin mówił wtedy, wykrzywiając pogardliwie duże swe usta:

— Za bardzo... zucha udajesz...

— Nie jestem tchórzem! — odpowiadał Tomasz.

— Wiem, że nie jesteś tchórzem, ale głupcy tylko tak robią... I bez nadrabiania miną można niezgorzej swoje zrobić.

Jeżow potępiał go z innego punktu widzenia:

— Jeżeli sam będziesz lazł w łapy — to idź do djabła! Nie chcę z tobą... Ciebie, jak złapią i zaprowadzą do

ojca — to on nic ci za to nie zrobi, a mnie, bracie, tak skórę rzemieniem wytatarują, że wszystkie kosteczki powyłażą...

— Tchórz! — twierdzi uparcie Tomasz.

I oto razu jednego Tomasz schwytany został przez sztabs-kapitana Czumakowa, małego chudego staruszka. Zakradłszy się pocichu do chłopca, chowającego zerwane jabłka w zanadrze, staruszek chwycił go za ramiona i zawołał groźnie:

— Aha-a! Złapałem cię, rabusiu!

Tomasz miał już wtedy lat piętnaście; wywinął się zręcznie z rąk starca, ale nie uciekał od niego, tylko zmarszczywszy brwi i zacisnąwszy pięści, rzekł groźnie:

— Ano, spróbuj dotknąć.

— Ja cię nie dotknę... tylko do policji cię zaprowadzę! Coś ty za jeden?

Tomasz nie spodziewał się tego, odrazu opuściły go męstwo i gniew. Podróż do cyrkulu wydała mu się czemś takiem, czego ojciec nie przebaczy mu nigdy... Drgnął i ciszej już rzekł:

— Gordiejew...

— Ignacego syn?...

— Tak...

Teraz sztabs-kapitan się zmieszał. Wyprostował się, wypiął pierś i chrząknął znacząco. Potem ramiona mu obwisły, zgarbił się i tonem ojcowskiej perswazji rzekł do chłopca:

— A wstyd! Spadkobierca tak znakomitej i szanowanej osoby... i raptem! To się nie godzi z pańskiem stanowiskiem... Może pan odejść... Jeżeli jednak podobny wypadek powtórzy się raz jeszcze... hm! będę zmuszony zawiadomić pańskiego ojca... któremu, przy sposobności, mam honor oświadczyć moje uszanowanie...

Tomasz obserwował grę fizjognomji starca i zrozumiał, że ów się ojca boi. Jak wilczek patrzył z pode łba na Czumakowa; a ten kręcił swoje własne wąsy ze śmieszną powagą i przestępował z nogi na nogę przed chłopcem, który pomimo otrzymanego pozwolenia nie ruszał się z miejsca.

— Może pan odejść, — powtórzył starzec, wskazując ręką w stronę swego domu.

— A do policji? — zapytał ponuro Tomasz i wnet przestraszył się możliwej odpowiedzi.

— To ja... żartowałem, — uśmiechnął się stary. — Chciałem nastraszyć...

— Pan sam się boi mojego ojca... — powiedział Tomasz i, odwróciwszy się plecami, poszedł wgłąb ogrodu.

— Co, ja się boję? ha-a! Zobaczymy! — krzyknął za nim Czumakow i Tomasz zrozumiał po dźwięku jego głosu, że dotknął go boleśnie. Ogarnął go smutek i wstyd; do wieczora przespacerował sam jeden, a gdy wreszcie powrócił do domu, ojciec powitał go surowo pytaniem:

— Tomku! Łaziłeś do ogrodu Czumakowa?

— Łaziłem, — odpowiedział chłopiec spokojnie, patrząc ojcu w oczy.

Ignacy widocznie nie oczekiwał takiej odpowiedzi, milczał tedy kilka sekund i gładził brodę.

— Głupiś! I poco? Mało masz swoich jabłek, czy co?

Tomasz spuścił oczy i milczał, stojąc przed ojcem.

— Widzisz — wstydzisz się! Jeżow pewno namówił? Czekaj, ja się z nim rozprawię, jak tylko przyjdzie... ja tę przyjaźń ukrócę...

— To ja sam zrobiłem — rzekł nagle Tomasz.

— Masz tobie! — zawołał Ignacy. — No, i poco ci to było?

— Tak...

— Kwak! — przedrzeźniał ojciec. — A kiedy już sam zrobiłeś, to powinieneś umieć wytłumaczyć to i sobie i ludziom... Chodź tu!

Tomasz podszedł do ojca, siedzącego na krześle, i stanął między jego kolanami, a Ignacy położył rękę na jego ramieniu i zajrzał mu w oczy z uśmiechem:

— Czy nie wstyd?

— Wstyd, — westchnął Tomasz.

— Otóż-to, głupcze! Hańbisz siebie i mnie...

Przytuliwszy do swej piersi głowę syna, pogładził go po włosach i znów spytał:

— Czy to ci potrzeba kraść — cudze jabłka?

— Sam... nie wiem... poco, — bełkotał Tomasz zmieszany. — Tak, z nudów... Bawisz się, bawisz... wciąż jedno i to samo... sprzykrzy się! A tu niebezpieczeństwo... strach...

— Chwyta za serce? — spytał ojciec z uśmiechem.

— Chwyta...

— Hm... przypuśćmy, że tak... Ale pamiętaj jednakże, Tomku, przestań to robić! W przeciwnym razie postąpię z tobą z całą surowością...

— Już nigdy więcej nie zrobię tego, — szczerze przyrzekał chłopiec.

— Dobrze przynajmniej, że umiesz sam za siebie odpowiadać. Bóg tam wie, co będzie z tobą w przyszłości, tymczasem jednak... nic złego! I to już dobrze, jeżeli człowiek za swe postępki chce sam odpowiadać, własną skórą... Inny na twojem miejscu zwaliłby winę no kolegów, ty zaś bierzesz winę na siebie... Tak też należy, Tomku... Zawiniłeś — odpowiadaj... A co... czy Czumakow... tego... nie uderzył ciebie? — zapytał Ignacy syna, cedząc słowa.

— Jabym go uderzył! — oświadczył spokojnie Tomasz...

— Hm... — mruknął znacząco ojciec.

— Powiedziałem mu, że się boi ojca... oto dlaczego się poskarżył... Wcale nie miał zamiaru iść do ojca...

— Czyżby?

— Doprawdy! Jeszcze powiedział mi: proszę, powiada, złożyć ojcu moje uszanowanie...

— Kto, on?

— Tak...

— Ach... to pies! Widzisz, jacy to są ludzie: grabią go, a on się jeszcze kłania — moje uszanowanie panu! Chacha! Dajmy na to, że to, co mu zabrano, warte jest kilka groszy, ale dla niego przecież grosze znaczą tyle, co dla mnie ruble... zresztą chodzi tu nie o grosz, a o to, że to mój grosz i że nikt nie ma prawa go ruszyć, dopóki ja sam go nie rzucę... Ale niech ich tam! No, opowiadaj-że, gdzieś był, coś widział?

Chłopak usiadł obok ojca i opowiedział szczegółowo wrażenia spędzonego dnia. Ignacy słuchaał, wpatrując się

pilnie w ożywioną twarz syna, i brwi starego ściągały się w zamyśleniu.

— Wypłoszyliśmy z parowu sowę — opowiadał chłopiec. — Cóż to była za uciecha! Frunęła i z rozpędu o drzewo — trach! nawet zapiszczała tak jakoś żałośnie... Spędziliśmy ją znowu, podniosła się i tak samo — podleci, poleci i uderzy się o co... aż pióra się z niej sypią!.. Biła się, biła po parowie i gdzieś się ukryła nareszcie... nie chcieliśmy jej szukać, żal było, cała się potłukła... Czy sowa, tatku, zupełnie w dzień nie widzi?

— Tak, ślepa jest, — rzekł Ignacy. — Inny człowiek, podobnież jak ta sowa w dzień, miota się w życiu... Szuka, szuka sobie miejsca, bije się, bije — tylko pióra zeń lecą, a sensu w tem żadnego niema... Obtłucze sobie boki, pokrwawi się cały, pióra potraci i z rozpędu utknie gdziekolwiek, byleby odpocząć... Och, źle takim ludziom... źle, bracie!

— A czemu oni tacy? — spytał cicho Tomasz.

— Czemu?... Na to trudno odpowiedzieć... Jedni dla tego, że są zaślepieni w swej dumie, chcą wiele, a mało sił mają potemu... drudzy dlatego, że są głupi... czyż mało wreszcie powodów? Trudno ci to zrozumieć...

Tak, z dnia na dzień, płynęło powoli życie Tomasza, naogół nie obfitując we wzruszenia, — ciche i spokojne życie. Silne wrażenia, podniecające na godzinę lub na dzień jeden duszę malca, uwydatniały się niekiedy bardzo ostro na ogólnem tle jego jednostajnego życia, prędko jednak zacierały się. Dusza chłopca była jeszcze jak ciche jezioro, ukryte od burzliwych powiewów życia, — i wszystko, co dotykało powierzchni jeziora: — albo opadało na jego dno, poruszając chwilowo senną wodę, albo prześlizgnąwszy się po jej gładkiej powierzchni rozpływało się szerokiemi kołami i znikało.

Przesiedziawszy w szkole powiatowej lat pięć, Tomasz ukończył z biedą cztery klasy i wyszedł z niej, jako młodzieniec ze smagłą twarzą, gęstemi brwiami i ciemnym puszkiem nad górną wargą. Duże, ciemne, zamyślone oczy patrzały naiwnie, usta miał napół otwarte, dziecinne; lecz kiedy napotykał opór lub wpadał w gniew — źrenice oczu

rozszerzały mu się, zaciskał usta i cała jego twarz przybierała wyraz zaciętej stanowczości i uporu... Ojciec chrzestny mówił o nim, uśmiechając się sceptycznie:

— Dla bab, Tomku, będziesz słodszy od miodu... ale, jak dotychczas, nie widzę w tobie wielkiej mądrości...

Ignacy wzdychał przy tych słowach.

— Wciągnąłbyś, kumie, prędzej syna do interesu...

— Dobrze, poczekaj trochę...

— Poco czekać? Pokręci się po Wołdze dwa — trzy lata, a potem — na kobierzec... Widzisz, jaka już moja Luba... dorosła...

Luba Majakinowna była wtedy w piątej klasie. Tomasz spotykał ją często na ulicy, przyczem ona zawsze kiwała mu dumnie swoją jasną główką, ubraną w elegancką czapeczkę. Podobała się Tomaszowi, ale jej różowe policzki, wesołe piwne oczy i ponsowe usta nie mogły złagodzić przykrego wrażenia, które budziły w nim jej pogardliwe ukłony. Znała kilku uczniów z gimnazjum, a chociaż między nimi był dawny jego kolega Jeżow, nie lgnął jednak Tomasz do nich i czuł się skrępowany w ich towarzystwie. Zdawało mu się, że wszyscy chwalą się przed nim swoją uczonością i wyśmiewają się z jego nieuctwa. Na zebraniach u Luby czytywali jakieś książki, a kiedy zastawał ich przy czytaniu albo hałaśliwej sprzeczce — milkli na jego widok. Wszystko to odpychało go od nich. Pewnego razu, kiedy siedział u Majakinów, Luba zaproponowała mu spacer po ogrodzie; idąc obok niego, zapytała z grymasem na twarzy:

— Czemuś taki mruk... nigdy o niczem nie mówisz?

— O czem mam mówić, kiedy nic nie wiem! — odrzekł szczerze Tomasz.

— To się ucz... czytaj książki...

— Nie chce mi się...

— Patrz na innych uczniów — o wszystkiem wiedzą i o wszystkiem umieją mówić... Naprzykład Jeżow...

— Znam Jeżowa... blagier...

— Chyba mu zazdrościsz... On bardzo rozumny... tak. Skończy gimnazjum — pojedzie na uniwersytet do Moskwy.

— Więc cóż? — rzekł obojętnie Tomasz.

— Ty zaś zostaniesz nieukiem...

— Niech i tak będzie...

— Jak to ładnie! — zawołała ironicznie Luba.

— I bez nauki dam sobie radę, — rzekł uszczypliwie Tomasz... —I każdemu uczonemu nosa utrę... niechaj się głodni uczą... ja nie potrzebuję...

— Fe, jakiś ty głupi, zły... obrzydliwy! — odezwała się pogardliwie dziewczyna i odeszła, zostawiając go samego w ogrodzie. Popatrzył na nią ponuro, z urazą, zmarszczył brwi i ze spuszczoną głową poszedł wolno w głąb ogrodu.

Zaczynał już poznawać rozkosz samotności i trującą słodycz marzeń. Często podczas letnich wieczorów, kiedy wszystko na ziemi powleczone jest ognistemi podniecającemi wyobraźnię barwami zachodu — pierś jego wypełniala się tęsknotą za czemś nieznanem, niewiadomem. Siedząc gdziekolwiek w ciemnym zakątku ogrodu albo leżąc w łóżku, wywoływał w swej wyobraźni postaci królewien z bajek, — zjawiały się one o twarzach Luby i innych znajomych mu panien, unosiły się przed nim bez szmeru w zmroku wieczornym i patrzyły mu w oczy zagadkowem spojrzeniem. Czasami widzenia te wzbudzały w nim przypływ jakiejś dzikiej energji i upajały go niejako, — zrywał się z miejsca, wyprostowywał ramiona i pił pełną piersią aromatyczne powietrze; niekiedy jednak te same widzenia budziły w nim uczucie smutku i tęsknoty — chciał płakać, ale wstydził się łez, hamował się, a pomimo to płakał pocichu.

Ojciec cierpliwie i ostrożnie wtajemniczał go w sprawy handlowe, brał ze sobą na giełdę, opowiadał o przyjętych zobowiązaniach i dostawach, o swoich spólnikach, opowiadał szczegółowo o tem, jak „wykierowali się na ludzi", jakie teraz posiadają fortuny, jakie mają charaktery. Tomasz wciągnął się szybko do interesu, traktując wszystkie sprawy z rozwagą i poważnie.

— Nasze ziółko zaczyna rozkwitać jak mak ponsowy!... — żartował Majakin, mrugając na Ignacego.

A jednak, nawet w tym dziewiętnastoletnim młodzieńcu było jeszcze coś dziecinnego, naiwnego, wyróżniającego go z pośród rówieśników. Ci żartowali zeń, uważając go

za głupiego; trzymał się od nich zdaleka, zrażony stosunkiem ich do niego. Dla ojca i Majakina, którzy nie spuszczali go z oka, ta nieokreśloność charakteru Tomasza była powodem do poważnych obaw.

— Nie rozumiem go! — mówił ze strapioną miną Ignacy. — Nie hula, do kobiet go nie ciągnie, dla ciebie i dla mnie — ma szacunek, posłuszny, wszystko bierze na serjo, — słowem — niewiniątko! A przecie, zdaje się, niegłupi?

— Szczególniejszej głupoty jakoś nie widzę — mówił Majakin.

— I patrz! Jakgdyby wyczekiwał czegoś... jakgdyby miał jakąś zasłonę na oczach... Nieboszczka jego matka chodziła po ziemi również tak poomacku... Ot weź — taki Smolin, starszy od niego tylko o dwa lata — a patrzaj jaki! Trudno nawet zrozumieć, kto tam przewodzi, czy on nad ojcem, czy ojciec nad nim? Chce jechać uczyć się, wybiera się na jakąś fabrykę... wymyśla jeszcze: oj, powiada, źleś mnie uczył, ojcze... Ta-a-ak! A mój — nie ma zamiłowania do niczego... O, Boże!..

— A wiesz co, — radził Majakin — wsadź go całego z głową w jaki olbrzymi interes! Doprawdy! Złoto ogniem próbują... Zobaczymy przynajmniej, jakie ma skłonności, gdy damy mu zupełną swobodę... Wyślij go na Kamę... samego...

— A może spróbować, co?

— Choćby pokpił sprawę... no, cóż? — stracisz tam co... ale będziemy zato wiedzieli, co w nim siedzi?

— Racja — poślę go, — postanowił Ignacy.

Na wiosnę Ignacy wyprawił syna z dwiema berlinkami zboża na Kamę. Berlinki holował parostatek Gordiejewa „Prileżnyj" („Pilny") — pod komendą starego znajomego, byłego majtka Jefima, obecnie pana kapitana, człowieka kwadratowego o rysich oczach, rozsądnego, statecznego i bardzo surowego.

Płynęli szybko i wesoło, ponieważ wszyscy byli zadowoleni. Tomasz był dumny z włożonego nań po raz pierwszy odpowiedzialnego zlecenia. Jefim cieszył się z obecno-

ści młodego pana, który nie robił mu za byle co wymówek i nie łajał; a dobre usposobienie dwóch głównych kierowników statku odbijało się na humorze całej załogi. Podniósłszy w kwietniu kotwicę stanął statek już w pierwszych dniach maja na miejscu przeznaczenia i, umocowawszy naładowane zbożem berlinki na kotwicy przy brzegu, zatrzymał się obok nich. Obowiązkiem Tomasza było wyładować zboże możliwie najprędzej i po otrzymaniu zapłaty udać się do Permu po ładunek żelaza, które Ignacy zobowiązał się był dostawić na jarmark.

Berlinki stały naprzeciw wielkiego sioła, przytulonego do sosnowego boru. Już nazajutrz po przyjeździe zjawił się na brzegu wczesnym rankiem liczny i gwarny tłum mężczyzn i kobiet, pieszych i konnych; wnet rozsypali się po pokładach statków z gwarem i śpiewami i zawrzała robota. Kobiety zeszły na dno statku i nasypywały tam żyto w worki, mężczyźni zaś, z workami na plecach, biegli pędem po schodach na brzeg, skąd wlokły się w stronę sioła furmanki ciężko naładowane dawno upragnionem zbożem. Kobiety śpiewały, mężczyźni żartowali, wymyślając sobie wesoło, majtkowie zaś pilnując porządku pokrzykiwali na pracujących; deski schodków, uginając się pod nogami, chlupały ciężko po wodzie, a na brzegu rżały konie, skrzypiały wozy, szemrał piasek pod ich kołami...

Słońce tylko co weszło,powietrze było ożywcze i przesycone zapachem sosny; spokojna woda rzeki, w której odbijało się jasne niebo, szemrała łagodnie, rozbijając się o burty statków i łańcuchy kotwic. W wesołym głośnym zgiełku pracy, w młodzieńczym uroku wiosennej przyrody, pławiącej się radośnie w promieniach słońca, — we wszystkiem dokoła taiła się jakaś siła, potężna, żywiołowa, dobroduszna, która podniecała ożywczo Tomasza, budząc w nim nowe jakieś , niejasne uczucie i pragnienie. Siedział na galerji statku przy stole i pił herbatę z Jefimem i odbiorcą zboża, ziemskim urzędnikiem — rudawym jegomościem w okularach. Poruszając nerwowo ramionami, odbiorca opowiadał złamanym głosem, jak włościanie cierpieli głód, ale Tomasz słuchał go z roztargnieniem, patrząc to nadół, gdzie wrzała robota, to na drugi brzeg rzeki — wysokie,

żółte urwisko piaszczyste, na którego skraju stały sosny. Pusto tam było i cicho.

„Wartoby tam pojechać“ — pomyślał Tomasz. A do jego uszu, jakby skądciś zdaleka dolatywał niespokojny, szorstki głos odbiorcy:

— Nie uwierzy pan — doszło wreszcie do ostateczności. Zdarzył się np. taki wypadek. Do kogoś z inteligencji w Osie przychodzi chłop i przyprowadza ze sobą szesnastoletnią dziewczynę... — Czego chcesz? — „Oto, powiada, przyprowadziłem córkę szanownemu panu“... — A to na co? — „Może, powiada, pan weźmie... pan nieżonaty“... Cóż to ma znaczyć? hę? — „Oprowadzałem ją po mieście, oprowadzałem, chciałem oddać w służbę — ale nikt nie chce przyjąć... może pan weźmie na kochankę!“ — Licho wie, co takiego?! Ha! oburzył się ten naturalnie, napadł na chłopa, wymyśla... A chłop mu na to: „Panie szanowny! co mi po niej w obecnym czasie? Całkiem mi niepotrzebna... mam przecie, powiada, trzech chłopców — to przyszli robotnicy, muszę ich oszczędzać... niech pan da, powiada, choć dziesięć rubli za tę dziewczynę, starczy dla nich na czas jakiś na życie...“ No co, hę? Okropności, powiadam panu...

— Tak, niewesoło! — westchnął Jefim. — Głód, jak to mówią, nie ciotka... Żołądek ma swoje prawa...

Opowiadanie to zbudziło w Tomaszu jakąś dziwną i łechcącą ciekawość dowiedzenia się o dalszym losie dziewczyny, więc szybko zapytał odbiorcę:

— Cóż, kupil ją ten pan?

— Rozumie się, że nie! — zawołał z oburzeniem odbiorca.

— Więc gdzież się podziała?

— Znaleźli się dobrzy ludzie... przygarnęli...

— A-a! — rzekł przeciągle Tomasz i nagle wybuchnął z rozjątrzeniem: — A jabym tego chłopa tak sprał! Rozwaliłbym mu cały pysk! — I zacisnąwszy mocno swoją dużą pięść, pokazał ją odbiorcy.

— I zacóż? — pytał odbiorca, zdejmując okulary z nosa. — Pan nie rozumie pobudki...

— Rozumiem doskonale! — twierdził z uporem Tomasz.

— A cóż miał robić?... Ot, przyszło mu do głowy...

— Czyż można sprzedawać człowieka?...

— Ach! Naturalnie, dzikie to jest, zgoda, wiem...

— I to jeszcze dziewczynę! Dałbym mu takie dziesięć rubli!

Odbiorca machnął beznadziejnie ręką i umilkł. Gest ten uraził Tomasza, wstał od stołu i, zbliżywszy się do poręczy, jął przyglądać się ożywionej pracy ludzi, zapełniających pokłady berlinek. Gwar oszołomił go, i owo niejasne uczucie, które obudziło się było w jego duszy, zarysowało się nagle wyraźnie jako namiętne pragnienie wzięcia udziału w pracy, posiadania bajecznej siły, potężnych ramion, które udźwignąćby mogły setki worków żyta i wzbudziłyby podziw ogólny...

— Ruszajcie - no się żwawiej! — krzyknął dźwięcznym głosem.

Kilkanaście głów podniosło się ku niemu, mignęły przed nim jakieś twarze, a jedna z nich — twarz kobiety, z czarnemi oczyma — uśmiechnęła się doń zalotnie i uprzejmie. Od tego uśmiechu coś jakby nagle wezbrało w jego piersi i gorącą falą rozlało się po wszystkich żyłach. Odsunął się od poręczy i podszedł z nowu do stołu, czując, że policzki mu płoną.

— Proszę pana! — zwrócił się doń odbiorca — gdyby pan zatelegrafował do ojca, żeby był łaskaw dodać trochę zboża, na rachunek tego, co się wysypie w drodze! Proszę zobaczyć, ile go się marnuje... a tu przecież każdy funt jest drogi! Trzebaż to rozumieć!... No, ależ bo i ojczulka ma pan... — dodał z grymasem.

— Ile dodać? — spytał Tomasz z odcieniem lekceważenia i dumy w głosie. — Sto pudów? dwieście?

— O... dziękuję panu bardzo! — zawołał odbiorca z radosnem zmieszaniem. — Jeżeli pan ma prawo...

— Jam tu pan! — twardo rzekł Tomasz... — A o moim ojcu proszę się tak nie wyrażać... i nie krzywić gęby...

— Bardzo przepraszam! Ja... nie mam żadnych wątpliwości co do pełnomocnictwa pańskiego... Dziękuję ser-

decznie i panu... i ojcu pańskiemu w imieniu wszystkich tych ludzi... w imieniu głodnego ludu!

Jefim patrzał z niepokojem na młodego pana i cmokał wydętemi ustami, a Tomasz z dumnym wyrazem twarzy słuchał szybkiej mowy odbiorcy, ściskającego mu mocno dłoń.

— Dwieście pudów! To rozumiem! Po pańsku! Zaraz oznajmię o tem chłopom. Zobaczy pan, jak będą wdzięczni... radzi...

I przechyliwszy się przez barjerę, krzyknął głośno:

— Hej, słuchajcie-no, dziatki! Oto pan kupiec ofiarowuje wam, jako naddatek, dwieście pudów...

— Trzysta! — wtrącił Tomasz.

— Trzysta pudów... o dzięki! Trzysta pudów ziarna! Słyszycie?

Ale wiadomość ta nie wywołała wielkiego wrażenia. Chłopi podnieśli głowy, spojrzeli na stojących na górze, poczem w milczeniu znów wzięli się do pracy. Kilka głosów odezwało się jakby odniechcenia:

— Dziękujemy. Niechaj ci Bóg... bardzo dziękujemy...

A jakiś wesoły głos dodał:

— Ech, co tam! Żeby tak po szklaneczce gorzałki.. to byłaby prawdzwa łaska!.. Zboże — to nie dla nas, a dla ziemstwa...

— Ach! Oni nie rozumieją! — zawołał z goryczą odbiorca. — Pójdę, wyjaśnię im, wytłumaczę...

I zniknął. Tomasza nie obchodziło zgoła zachowanie się chłopów względem jego ofiary: widział tylko, jak czarne oczy rumianej kobiety patrzą nań tak jakoś dziwnie i to mu sprawiało przyjemność. Te oczy dziękowały mu, pieszcząc, przywoływały — i poza niemi nie widział nic. Kobieta była ubrana po miejsku — nosiła trzewiki, perkalowy kaftan, a na czarnej głowie miała jakąś szczególniejszą chusteczkę. Wysoka i zgrabna, siedziała na kupie drzewa i reperowała worki, poruszając zwinnie obnażonemi po łokcie rękoma i uśmiechając się wciąż do Tomasza.

— Tomaszu Ignatjewiczu! — rozległ się pełen wyrzutu głos Jefima. — Przeciągnąłeś strunę... pięśdziesiąt pu-

dów — no, to jeszcze możnaby. Ale poco aż tyle! Obyśmy nie oberwali za to od ojca...

— A daj mi spokój! — rzekł krótko Tomasz.

— A cóż mnie do tego? Mogę milczeć... ale ponieważ jesteś młody, a mnie nakazano — pilnuj! — więc za to, że niedopilnowałem, skrupi się wszystko na mnie...

— Sam rozmówię się z ojcem... a ty milcz! — rzucił Tomasz.

— Ależ — Bóg z tobą... przecież panem tu jesteś...

— No i dobrze...

— Ja, Tomaszu Ignatjewiczu, mówię to przecież dla twego dobra... dlatego, żeś młody i... niedoświadczony...

— Odczep się ode mnie, Jefimie!...

Jefim westchnął i zamilkł. A Tomasz patrzył na siedzącą kobietę i myślał:

— Ot, żeby taką przyprowadzono na sprzedaż... do mnie.

Serce w nim biło gwałtownie. Czysty był jeszcze fizycznie, ale z rozmów z kolegami znał już tajemnice stosunku mężczyzny do kobiety. Znał je pod postacią cynicznych i brutalnych wyrazów, które budziły w nim przykre, piekące uczucie zaciekawienia i wstydu; wyobraźnia jego pracowała uporczywie, nie mógł jednak przedstawić sobie tego wszystkiego w zrozumiałych dla siebie obrazach. Nie wierzył wgłębi duszy, że stosunek mężczyzny do kobiety jest tak prosty i brutalny, jak o tem opowiadano. Kiedy razu pewnego przekonywano go, że jest właśnie takim i nie może być innym, uśmiechał się głupkowato, a w głębi duszy myślał, że jednak ta brutalna i poniżająca forma nie jest obowiązująca dla wszystkich ludzi i że jest w stosunku mężczyzny do kobiety coś bardziej czystego, mniej brutalnego, mniej krzywdzącego człowieka...

Przyglądając się teraz czarnookiej robotnicy, Tomasz odczuwał wyraźnie brutalny do niej pociąg, — było mu i wstyd i strach czegoś. A stojący obok Jefim mówił doń tonem mentorskim:

— Patrzysz oto teraz na babę... muszę ci więc już powiedzieć... Nie wiesz nawet, kto ona... a że mruga na ciebie..- to gotów jesteś z niedoświadczenia i przy twoim cha-

rakterze takiej kaszy nawarzyć, że wrócimy stąd chyba brzegiem piechotą... i jeszcze dobrze będzie, jeżeli nam choć spodnie zostaną...

— Czego ty chcesz? — zapytał Tomasz, rumieniąc się.

— Ja nic nie chcę... A ty powinieneś mnie słuchać... W babskich sprawach mogę być twoim nauczycielem... Z babą trzeba postępować bardzo prosto — postaw jej butelkę wódki, daj przekąsić cokolwiek, potem zafunduj dwa piwa a na odchodnem — daj jej pieniędzmi czterdziestkę. Za tę cenę okaże ci ona całą swą miłość, jak można najlepiej...

— Kłamiesz wszystko... — rzekł cicho Tomasz.

— Co, ja — kłamię? Jakże mogę kłamać, kiedy całą tę politykę przeprowadzałem może ze sto razy? Słuchaj-no, pozwól mi załatwić z nią sprawę? Zaraz cię z nią — zapoznam... co?

— Dobrze... — mruknął Tomasz, czując, jak mu ciężko oddychać i jak coś dławi go w gardle...

— Wieczorem tedy... przyprowadzę ci ją...

I uśmiechnąwszy się chytrze, Jefim odszedł.

Do samego wieczora Tomasz chodził jak odurzony, nie spostrzegając pełnych uszanowania i pochlebstwa spojrzeń, któremi obrzucali go chłopi, nauczeni przez odbiorcę. Opanowywał go jakiś lęk: czuł w sobie jakąś winę i odpowiadał uniżenie i życzliwie wszystkim, ktokolwiek się do niego zwracał, jakgdyby prosząc o przebaczenie...

Wieczorem część robotników odeszła, część zaś zebrała się przy wielkiem, jaskrawem ognisku — i gotowała sobie wieczerzę. Oderwane zdania z ich rozmowy rozpływały się w ciszy wieczornej. Od ogniska padał odblask na rzekę — czerwone i żółte plamy drgały na spokojnej wodzie i na szybach okien w kajucie parostatku, gdzie siedział Tomasz. Wcisnąwszy się w kąt obitej ceratą kanapy — czekał. Na stole przed nim stało kilka butelek z wódką i piwem, talerze z chlebem i przekąskami. Zasłonił okna i nie zapalał światła; słabe światło ogniska przedostawało się przez firanki, padało na stół, na butelki i ścianę, i drgało, to jaśniejąc, to słabnąc. Cicho było na statku i na berlin-

kach, niewyraźne dźwięki rozmowy dolatywały tylko od brzegu i rzeka pluskała łagodnie o burty... Tomaszowi się zdawało, że przy nim ktoś przyczajony stoi w ciemności, podsłuchuje go i podgląda... Oto ktoś idzie na dole po schodkach... idzie pośpiesznie i stąpa ciężko, — deski schodków gniewnie uderzają o wodę... Tomasz słyszy głuchy śmiech kapitana i przyciszony jego głos... Jefim stoi przy drzwiach kajuty i mówi cicho lecz nakazująco, jakgdyby uczył... Tomasz uczuł nagle potrzebę krzyknięcia:

— Nie trzeba!

I wstał już z kanapy, — ale w tejże chwili drzwi kajuty otworzyły się, wysoka postać niewieścia stanęła na progu, przymknęła za sobą drzwi bez szelestu i przemówiła zcicha:

— Olaboga, jak ciemno... czy jest tu kto?

— Jest... — odpowiedział cicho Tomasz.

— Więc — dobry wieczór...

Kobieta posunęła się ostrożnie naprzód.

— Może... zapalić światło... — pytał przerywanym głosem Tomasz i, osunąwszy się na kanapę, zagłębił się znowu w jej rogu.

— I tak dobrze... wpatrzyć się, to i w ciemności widać wszystko...

— Proszę usiąść, — rzekł Tomasz.

— Usiądziemy...

Usiadła na kanapie o dwa kroki od niego. Tomasz widział blask jej oczu, widział uśmiech na jej ustach. Zdawało mu się, że nie uśmiecha się tak, jak uśmiechała się dawniej, a jakoś inaczej — żałośnie, smutnie. Uśmiech ten ośmielił go, zaczął oddychać swobodniej na widok tych oczu, które, spotkawszy się z jego wzrokiem, wnet się schowały pod spuszczonemi powiekami. Nie wiedział, o czem ma z tą kobietą mówić i ze dwie minuty, nie mówiąc do siebie, siedzieli oboje w ciężkiem i kłopotliwem milczeniu... Wreszcie ona przemówiła:

— Nudno, pewnie, samemu?

— Ta-ak, — odrzekł Tomasz.

— A czy podoba się nasza okolica? — pytała półgłosem kobieta.

— Owszem... lasów dużo...

I znów zamilkli...

— Rzeka, to chyba ładniejsza niż Wolga — wymówił z wysiłkiem Tomasz.

— Byłam na Wołdze...

— Gdzie?

— W Symbirskiem mieście...

— Symbirsk... — powtórzył jak echo Tomasz, czując, że znów nie może słowa wymówić. Ale ona zrozumiała widocznie, z kim ma do czynienia, i nagle spytała śmiałym szeptem.

— Czemuż to gospodarz nie poczęstuje?

— Otóż-to! — otrząsnął się Tomasz. — Rzeczywiście... a to ze mnie dopiero! Proszę do stołu...

Kręcił się w ciemnościach, potrącał o stół, brał do rąk to jedną, to drugą butelkę i stawiał je zpowrotem, śmiejąc się z wyrazem zakłopotania i zmieszania. Ona zaś podeszła dość blisko i stanęła tuż przy nim, patrząc mu z uśmiechem w twarz i na drżące ręce.

— Czy się wstydzisz? — wyszeptała nagle.

Uczuł jej oddech na swym policzku i również cicho odpowiedział:

— Ta-ak...

Położyła mu wtedy ręce na ramiona i przyciągnęła lekko ku sobie na pierś, mówiąc uspokajającym szeptem:

— To nic, nie wstydź się... przecież bez tego nie można... mój ty śliczny... młodzieniaszku... jak mi żal ciebie!...

Chciało mu się płakać pod wpływem jej szeptu, serce mu zamierało w słodkiem upojeniu; przycisnąwszy mocno głowę do jej piersi, objął ją silnie rękoma, mówiąc jakieś niezrozumiałe, jemu samemu nieznane wyrazy.

— — — — — — — — — — —

— Idź sobie! — rzekł głucho Tomasz, patrząc w ścianę szeroko rozwartemi oczyma.

Pocałowała go w policzek, wstała pokornie i wyszła z kajuty ze słowami:

— Bywaj zdrów...

Obecność jej napełniała Tomasza piekącym wstydem; ale jak tylko znikła za drzwiami, zerwał się i usiadł na ka-

napie. Potem wstał chwiejąc się na nogach i nagle ogarnęło go dziwne, żałosne uczucie, jakby po utracie czegoś bardzo drogiego, o czem do chwili owej nie wiedział nawet, że w nim jest... Ale wnet ustąpiło ono miejsca nowemu uczuciu — męskiej dumy, które zagłuszyło w nim wstyd. Gdzieś na dnie dumy przytaiła się jeno litość dla napół-rozebranej kobiety, która odeszła kędyś samotna w chłodny mrok nocy majowej. Szybko wypadł z kajuty na pokład... noc była gwiaździsta, lecz bezksiężycowa; wionął nań chłód i ogarnęła ciemność... Na brzegu iskrzyły się jeszcze czerwone węgle dogasającego ogniska. Tomasz jął nasłuchiwać — przygnębiająca cisza rozlana była w powietrzu, tylko woda szemrała rozbijając się o łańcuchy kotwic, i nigdzie nie było słychać odgłosu kroków. Chciał przywołać tę kobietę, ale nie znał jej imienia. Chciwie wciągając szeroką piersią chłodne powietrze, stał minut kilka na pokładzie, gdy wtem z poza kajuty doleciało doń czyjeś westchnienie — głośne i ciężkie westchnienie, podobne do łkania. Drgnął i skierował tam swe kroki, domyślając się, że to ona.

Siedziała na pokładzie przy burcie i, oparłszy głowę o zwój sznurów, płakała. Tomasz widział, jak wstrząsały się jej białe obnażone ramiona, słyszał ciężkie westchnienia i zrobiło mu się ciężko na duszy.

Pochyliwszy się do niej, zapytał nieśmiało:

— Cóż ty?

Kiwnęła głową i nie odpowiedziała nic:

— Czy skrzywdziłem cię może?

— Idź sobie... — odrzekła.

— Więc... jakżeż to... — mówił strwożony i zmieszany, dotykając ręką jej głowy. — Nie gniewaj się... przecieżeś sama...

— Ja się nie gniewam! — odrzekła głośnym szeptem.— Za co się na ciebie mam gniewać? Czysta dusza jesteś... a nie żaden brudas lub dręczyciel! Ach, sokoliku mój przelotny! Siądź-no tu koło mnie...

Wziąwszy Tomasza za rękę, posadziła go, jak dziecko, sobie na kolana, przycisnęła mocno jego głowę do swojej piersi i pochyliwszy się, przylgnęła gorącemi ustami na długo do jego ust.

— Czego płaczesz? — pytał Tomasz, gładząc jej twarz jedną ręką, a drugą obejmując za szyję.

— Nad sobą płaczę... Pocoś mi kazał wyjść? — spytała z żalem.

— Wstyd mi było — powiedział Tomasz, spuszczając głowę.

— Mój ty gołąbku! Powiedz mi całą prawdę — nie spodobałam ci się? — zapytała z uśmiechem, a duże ciepłe jej łzy wciąż padały na pierś Tomaszowi.

— Co też ty?! — prawie ze strachem zawołał i jął gorąco i z pośpiechem mówić jej jakieś wyrazy o jej piękności, o jej słodyczy, o tem, jak mu jej żal i jaki wstyd przed nią. A ona, słuchając go, wciąż całowała jego twarz, szyję, głowę i obnażoną pierś.

Zamilkł — a wtedy zaczęła mówić głosem smutnym i cichym, jakim się mówi o zmarłych:

— A ja co innego myślałam... kiedyś powiedział: idź sobie — wstałam i poszłam... I gorzko zabolały mnie twe słowa... Dawniej, pomyślałam sobie, całowano mnie, miłowano i pieszczono, i nikt mnie nie odpędzał; za jeden uprzejmy uśmiech robiono wszystko, czego zapragnęłam... Przypomniałam to sobie i zapłakałam! Żal mi się zrobiło mojej młodości... wszak mam już trzydzieści lat... ostatnie to dni kobiety! O-och, Tomaszu Ignatjewiczu !— zawołała, podnosząc głos i przyśpieszając rytm swojej śpiewnej mowy, której dźwiękom wtórował szmer wody.—Posłuchaj mnie— oszczędzaj swoją młodość! Niemasz nad nią nic lepszego na świecie. Niema nad nią nic droższego! Z młodością, jak ze złotem, możesz zrobić wszystko, co zechcesz... Żyj tak, żebyś i na starość mógł z radością wspominać młode lata... ot ja — przypomniałam je sobie, i chociaż zapłakałam, ale serce rozpaliło się od jednego wspomnienia, i odmłodniałam znowu, jakgdybym napiła się wody ożywczej! Dziecino ty moja miła! Pohulam jeszcze z tobą, jeślim ci do serca przypadła, pohulam całą duszą... ach! spalę się do cna, kiedy już zapłonęłam!

I mocno przycisnąwszy chłopca do siebie, zaczęła chciwie całować go w usta.

— Ba-a-aczność! — zawył tęsknie na berlince strażnik i zaczął bić drewnianym młotkiem po żelaznej desce... Brzęczące, ostre dźwięki rozdzierały uroczystą ciszę nocy.

Po kilku dniach, kiedy wyładowano zboże i kiedy parostatek był już gotów do odejścia do Permu, — Jefim ku wielkiemu swemu zmartwieniu zobaczył, że nad brzeg zajechał wóz, a na nim czarnooka Pelagja z kuframi i jakiemiś węzłami.

— Poślij majtka po rzeczy... — rozkazał mu Tomasz, wskazując na brzeg.

Pokiwawszy z politowaniem głową, Jefim spełnił gniewnie rozkaz, a potem zapytał głosem przyciszonym:

— Cóż to — czy i ona z nami?

— Ze mną... — krótko objaśnił Tomasz.

— Rozumie się... nie ze wszystkimi przecież... o Boże!

— Czemu wzdychasz?

— Tak... wszak jedziemy do wielkiego miasta... czyż mało tam kobiet tego rodzaju?

— Milcz-no! — rzekł surowo Tomasz.

— Zamilczę... tylko to już nie uchodzi!

— Co mianowicie?

— A ta nasza rozpusta... Statek nasz porządny... czysty... i raptem na nim — baba! I żebyż to jakaś-taka! A to, prawdę powiedziawszy, — licho wie co...

Tomasz zmarszczył groźnie brwi i rzekł, cedząc każdy wyraz:

— Zapamętaj to sobie, Jefimie, i zapowiedz tu wszystkim — że kijem po łbie dostanie, ktokolwiek źle się o niej wyrazi, a ja usłyszę!

— O, doprawdy! — rzekł niedowierzająco Jefim, glądając się z ciekawością młodemu panu. Lecz wnet cofnął się o krok przed Tomaszem. Syn Ignacego Gordiejewa wyszczerzył zęby jak wilk i wrzasnął:

— Śmiej się! Ja ci się pośmieję!

Jefim, aczkolwiek stchórzył, odparł jednak z godnością:

— Chociaż pan tu jest gospodarzem... ale wobec tego,

że mi nakazano mieć oko na wszystko... i wobec tego, że jestem tu kapitanem...

— Kapitanem?! — zawołał Tomasz, cały drżący i blady. — A kimże ja jestem?

— Niech-no pan nie krzyczy! O takie głupstwo, o jakąś babę...

Czerwone plamy wystąpiły na bladej twarzy Tomasza: przestąpił z nogi na nogę, gwałtownym ruchem wsunął ręce do kieszeni tużurka i głosem spokojnym ale stanowczym rzekł:

— Słuchaj no, kapitanie! powiesz mi jeszcze choć jedno słowo — wypędzę do djabła! Won! Na brzeg! Dojadę i sam! Zrozumiałeś? Patrzcie go!... komendant jaki!...

Jefim był zdumiony. Patrzył na pana i mrugał zabawnie oczyma, nie znajdując odpowiedzi.

— Zrozumiałeś?

— Zro-zu-mia-łem... rozumiem! — rzekł przeciągle.

— Milczeć!

Spojrzawszy na dziko połyskujące oczy Tomasza i na jego zmienioną od gniewu twarz, kapitan pomyślał sobie, że lepiej co prędzej zejść mu z oczu, odwrócił się tedy szybko i odszedł.

— Brrr! A to strachu napędził! No, no. Widać, że jabłko niedaleko padło od jabłoni... — mruczał drwiąco, idąc po pokładzie. Zły był na Tomasza i czuł się obrażony; ale poczuł jednocześnie nad sobą twardą, prawdziwie pańską rękę. Przyzwyczajonemu do uległości podobało się to, to też wszedłszy do kajuty staruszka sternika opowiedział mu już z cieniem zadowolenia w głosie o zajściu z panem.

— Widziałeś coś podobnego? — zakończył swoje opowiadanie. — Tak, tak, rasowe szczenię zaraz na pierwszem polowaniu pokazuje swoje zdolności... A zdawało się, taki sobie cichy, głupiutki jeszcze... człeczyna... No, niech go tam, niechaj używa... nic złego prawdopodobnie z tego nie wyniknie... przy takim jego charakterze... Ale jak on wrzasnął na mnie! Jak trąba, powiadam ci! I odrazu wykierował się na pana... jakgdyby tej władzy nagle z jakiego dzbana łyknął...

Jefim mówił prawdę: Tomasz znacznie się zmienił przez te kilka dni. Zbudzona w nim nagle namiętność uczyniła go panem duszy i ciała kobiety; pił tedy chciwie ognistą słodycz tej władzy, a ta wypalała zeń wszystko, co nadawało mu dotąd pozór niezdarnego, ponurego i głupkowatego wyrostka, i poiła jego serce młodzieńczą dumą, poczuciem własnej ludzkiej godności. Miłość do kobiety jest zawsze dla mężczyzny owocna w skutkach; nawet jeżeli daje same tylko cierpienia. Dla duszy chorej jest ona silną trucizną, dla zdrowej jest tem, czem ogień dla żelaza, które pragnie być hartowną stalą...

Namiętność Tomasza do trzydziestoletniej kobiety, która w objęciach młodzieńca żegnała po raz ostatni swą młodość, nie odrywała go od pracy. Kobieta, jak doskonałe wino, budziła w nim z jednakową siłą pragnienie pracy i miłości, i sama odmładzała się pod wpływem pocałunków młodości.

W Permie czekał już na Tomasza list od ojca chrzestnego, który go zawiadamiał, że Ignacy rozpił się z tęsknoty za synem i że w jego wieku szkodliwie jest tak pić. List kończył się radą, aby Tomasz pośpieszył się z załatwianiem interesów i wracał co prędzej do domu. Tomasz wyczuł w tej radzie trwogę, która przyćmiła mu na chwilę jasne święto jego serca; ale wnet kłopoty, związane z jego misją i pieszczoty Pelagji rozproszyły ten cień. Życie jego płynęło z szybkością rzecznej fali i każdy dzień przynosił mu nowe wrażenia, budząc w nim nowe myśli. Pelagja oddawała mu się z całą namiętnością kochanki, z tą siłą uczucia, którą kobiety w jej wieku, dopijając ostatnie krople z czary życia, wkładają w swe uniesienia. Lecz czasami budziło się w niej inne uczucie, nie mniej silne, choć bardziej jeszcze przywiązujące do niej Tomasza, — uczucie podobne do troskliwości matki, pragnącej uchronić swego ukochanego syna od błędów i nauczyć go mądrości życia. Często, siedząc z nim nocą na pokładzie, z pieszczotą i ze smutkiem mówiła doń, trzymając go w swych objęciach:

— Posłuchaj mnie, jak swojej starszej siostry... Żyłam, znam ludzi... dużo widziałam w swem życiu!... Wybieraj towarzyszy z wielką ostrożnością, bo są ludzie zara-

źliwi, jak choroba... Narazie nie poznasz, co za jeden? Człowiek, zdaje się, jak wszyscy... i zaraz mimowoli zaczniesz naśladować go w życiu... Nie opatrzysz się, jak przylgną do ciebie jego bolączki... Ot ja — straciłam wszystko dzięki przyjaciółce... męża miałam... dwoje dzieci... żyliśmy dobrze... Mąż był pisarzem gminnym...

Długo patrzała w milczeniu na wzburzoną kołami statku wodę i ciągnęła dalej z westchnieniem.

— Rądź ostrożny z kobietami — niech cię Matka Boska strzeże... Miękkiś jeszcze, serce twoje nie ma jeszcze prawdziwego hartu... A na takich jak ty — kobiety są łakome — silny, piękny, bogaty... Najbardziej strzeż się cichych, potulnych, co jak pijawki wpijają się w mężczyznę... wpije się i ssie i ssie, a sama zawsze taka słodka i tkliwa... Wyssie z ciebie wszystkie soki, a sama — nic z siebie nie da... tylko napróżno ci serce nadszarpnie... Garnij się więcej do takich, jak ja, — szczerych, śmiałych. Takie nie dla zysku żyją...

Pelagja rzeczywiście nie była chciwa. W Permie Tomasz nakupił jej różnych prezentów i drobnostek. Ucieszyła się zrazu, lecz rozejrzawszy się w nich, rzekła frasobliwie:

— Nie puszczaj-no za wiele pieniędzy... pamiętaj, żeby się ojciec nie rozgniewał... Ja i tak... i bez tego wszystkiego kocham ciebie...

Powiedziała mu już przedtem, że pojedzie z nim tylko do Kazania, gdzie miała zamężną siostrę. Tomasz nie chciał wierzyć, że naprawdę rozstanie się z nim, i kiedy — w przeddzień ich przyjazdu do Kazania — powtórzyła mu to jeszcze raz, spochmurniał i zaczął błagać, żeby go nie opuszczała.

— Nie smuć się przed czasem — odrzekła. — Mamy jeszcze całą noc przed sobą... Jak pożegnamy się, wtedy może i pożałujesz...

Lecz on wciąż gorąco namawiał ją, żeby go nie porzucała, i oznajmił wkońcu, że chce się z nią ożenić.

— O tak... tak! — odrzekła ze śmiechem. — Za życia męża mam wyjść za ciebie? Mój ty miły... dzieciaku! Zachciało ci się żenić, co? Czyż z takiemi, jak ja, się żenią? Wtedy się żeń, kiedy już wykipisz, kiedy syt będziesz

wszystkich słodyczy i zapragniesz razowego chleba... wtedy się ożeń! Zauważyłam, że zdrowy mężczyzna dla własnego spokoju nie powinien się wcześnie żenić... za mało mu będzie jednej żony, pójdzie szukać innych... Wtedy powinieneś brać sobie żonę, kiedy będziesz czuł, że ci jedna wystarczy...

Ale im więcej mówiła, tem natarczywszy i bardziej uparty stawał się Tomasz.

— Słuchaj, co ci powiem, — rzekła spokojnie, — kiedy w ręku twojem pali się łuczywo, a tobie widno i bez niego, — to wrzuć je odrazu do wody, wtedy nie będzie ani czadu, ani rąk sobie nie poparzysz...

— Nie rozumiem cię...

— Staraj się rozumieć... Nie wyrządziłeś mi żadnej krzywdy, ja też źle ci nie życzę... Dlatego odchodzę...

Niewiadomo, jak skończyłaby się ta sprzeczka, gdyby się nie wdał w to przypadek. W Kazaniu Tomasz otrzymał od Majakina telegram, zawierający krótki rozkaz: „Wyjeżdżaj niezwłocznie pasażerskim". Tomaszowi serce ścisnęło się boleśnie; w kilka godzin potem stał z zaciśniętemi zębami, blady i ponury, na pokładzie parowca, odbijającego od przystani i, wpijając się palcami w poręcz, patrzył nieruchomo rozwartemi oczyma w twarz swej oblubienicy, oddalającej się od niego wraz z przystanią i brzegiem. Pelagja popowiewała chusteczką i uśmiechała się ciągle, ale on wiedział, że ona płacze. Cały przód koszuli Tomasza był mokry od jej łez, a w sercu jego, pełnem ponurej trwogi, było ciężko i zimno. Postać kobiety zmniejszała się wciąż, jakby topniała, a Tomasz patrzył na nią nie odrywając oczu i czuł, że pomimo obawy o ojca i tęsknoty za ukochaną kobietą — rodzi się w jego duszy jakieś nowe, silne i ostre uczucie. Nie umiał go jeszcze nazwać po imieniu, lecz wydało mu się bliskiem uczucia krzywdy.

Tłum ludzi na przystani zlał się w jednolitą, ciemną, martwą plamę, pozbawioną kształtów i ruchu. Tomasz odsunął się od poręczy i zaczął chodzić po pokładzie.

Pasażerowie, rozmawiając głośno, zabierali się do picia herbaty, lokaje snuli się po pokładzie, nakrywając stoliki; gdzieś w tyle statku, na dole, w trzeciej klasie śmiało się

dziecko, jęczała harmonijka, kucharz stukał nożem, naczynia brzęczały. Prując fale, olbrzymi parowiec sapał ciężko, drżąc od wysiłku, i płynął przeciw prądowi... Tomasz spojrzał na szerokie pasmo rozpylonych, miotających się, rozwścieczonych fal za sterem statku i doznał dzikiej żądzy łamania, szarpania czegokolwiek — borykania się z prądem, przełamywania jego naporu własną piersią...

— Taki już los! — rzekł ktoś obok niego ochrypłym i zmęczonym głosem.

Wyraz ten był mu znany: — ciotka Anfisa wymawiała go często, odpowiadając mu na jego pytania — i budził on w nim wyobrażenie jakiejś potęgi, podobnej do wszechmocy Boga. Spojrzał na rozmawiających; jeden z nich był to siwiuteńki staruszek o twarzy dobrodusznej, drugi — młodszy nieco, miał duże znużone oczy i czarną śpiczastą bródkę. Jego garbaty duży nos i żółte zapadłe policzki przypominały Tomaszowi chrzestnego ojca.

— Los! — powtórzył z przekonaniem staruszek i uśmiechnął się. — Unosi się on gdzieś ponad życiem, niby rybak nad rzeką; w zamęt trosk naszych wrzuca haczyk z przynętą, a człowiek wnet chciwemi ustami cap za ową przynętę... A wtedy los wyciąga swą wędkę — i trzepie się oto na niej człowiek, ale nadaremnie... Tak to, kochany panie!

Tomasz zamknął oczy, jakgdyby olśnił je nagle promień słońca, i, potakując głową, rzekł głośno:

— Prawda! Wielka prawda!

Dwaj nieznajomi spojrzeli nań badawczo: staruszek — z subtelnym, mądrym uśmiechem, jego zaś towarzysz — nieprzyjaźnie, zpode łba. Tomasz się zmieszał i, zarumieniwszy się, odszedł od nich, rozmyślając nad losem i nad tem, w jakim celu ów los uśmiechnął się doń, dając mu kobietę i wnet odbierając ten dar tak poprostu i tak boleśnie? I wtedy zrozumiał, że owo mętne, ostre uczucie, które nosił w sobie, był to żal do losu za to, że bezmyślnie igra z nim. Był aż nadto rozpieszczony przez życie, aby mógł z większą prostotą przyjąć tę pierwszą kroplę trucizny z ledwie rozpoczętego kubka, i całą dalszą podróż spędzał bez snu, wciąż rozmyślając nad słowami staruszka i pieszcząc w sobie uczu-

cie doznanej krzywdy. Budziło ono wszakże w nim nie zwątpienie i smutek, lecz gniew i pragnienie zemsty...

Na przystani powitał Tomasza ojciec chrzestny i na jego pośpieszne, trwożne pytania oznajmił mu krótko gdy wsiedli do dorożki:

— Twój ojciec zwarjował...

— Rozpił się?

— Gorzej... całkiem zwarjował...

— Mówcież na miłość Boga... co takiego?

— Widzisz, kręci się tu koło niego pewna dama...

— No, i co? — zawołał Tomasz, wspominając swoją Pelagję, i niewiadomo dlaczego uczuł w sercu radość.

— Przyczepiła się do niego i ssie...

— A cicha?

— Ona? Dobrze cicha... jak pożar... Siedemdziesiąt pięć tysięcy wydmuchnęła mu z kieszeni, jak piórko!

— O-o! Cóż to za jedna?

— Sońka Madyńska, żona budowniczego...

— Chryste Panie! Czyżby ona... Czyżby ojciec... wziął ją na kochankę? — cicho i ze zdziwieniem zapytał Tomasz?

Chrzestny ojciec cofnął się przednim i, wytrzeszczając zabawnie oczy, zaczął mówić z przekonaniem:

— I tyś chyba, braciszku, także bzika dostał? Opamiętaj się! W sześćdziesiątym trzecim roku życia brać sobie kochanki... i to jeszcze tak drogie. Co też ty? Opowiem ja to Ignacemu...

I Majakin roześmiał się starczym, skrzypiącym śmiechem, przyczem jego kozia bródka zatrzęsła się zabawnie. Nieprędko Tomasz porozumiał się z nim: staruszek wbrew zwyczajowi był niespokojny, podniecony, jego zawsze płynna mowa urywała się, opowiadał, klnąc i spluwając, tak iż Tomasz ledwie mógł zrozumieć, o co chodzi. Okazało się, że Zofja Pawłowna Medyńska, żona bogatego budowniczego, znana w całem mieście ze swych zabiegów około urządzania różnych instytucyj dobroczynnych, namówiła Ignacego do ofiarowania siedemdziesięciu pięciu tysięcy rubli na założenie w mieście przytułku noclegowego i bibljoteki publicznej wraz z czytelnią. Ignacy dał pieniądze i ga-

zety już ogłosiły ten hojny dar. Tomasz nieraz widywał tę kobietę na ulicy; była niskiego wzrostu, uchodziła powszechnie za piękność, opinję jednak miała niezbyt dobrą...

— Więc tylko o to chodzi? — zawołał, wysłuchawszy opowieści chrzestnego ojca. — A ja myślałem, że Bóg wie co takiego...

— Myślałeś? — wybuchnął nagle Majakin. — Nic ty nie myślałeś — młokos jesteś!

— Pocóż mi ojciec wymyśla? — dziwił się Tomasz.

— Więc powiedz — podług ciebie siedemdziesiąt pięć tysięcy rubli to fraszka?

— Wcale nie fraszka, — rzekł po namyśle Tomasz.

— Aha!?

— Przecie ojciec ma dość pieniędzy... pocóż znów tak bardzo...

Majakin aż podskoczył na miejscu: popatrzył z pogardą w twarz młodzieńca i jakimś osłabłym głosem zapytał:

— I to ty mówisz?

— Ja... a któż?

— Kłamiesz! To mówi twoja młoda głupota, — tak! A moja stara głupota — miljon razy doświadczona przez życie, — mówi tobie: szczeniak jesteś i za wcześnie ci basem szczekać!

Zbyt kwiecisty język chrzestnego ojca drażnił Tomasza i dawniej, — Majakin rozmawiał z nim zwykle bardziej szorstko, niż ojciec, — lecz teraz uczuł się wprost obrażonym i z pewną powściągliwością lecz stanowczo, rzekł:

— Proszę nie wymyślać napróżno... nie jestem już dzieciak...

— Patrzcie, a cóż to ty? — podniósłszy drwiąco brwi i patrząc nań zukosa zawołał Majakin.

Tomasza djabli brali. Spojrzał prosto w oczy staremu i rzekł dobitnie:

— Powtarzam, że nie zniosę więcej wymyślań bez racji... dosyć!

— Hm... tak... ta-ak! Przepraszam...

Stary przymknął oczy, poruszył wargami i, odwróciwszy się od chrześniaka, milczał chwilę. Powóz wjechał w wąską ulicę i Tomasz, zoczywszy zdaleka dach ojcowskiego

domu, całem ciałem wysunął się mimowolnie naprzód. A chrzestny ojciec, uśmiechnął się doń chytrze i łaskawie, zapytał:

— Powiedz-no, Tomku, gdzieżeś to sobie tak zęby wyostrzył? hę?

— A czy ostre? — zapytał Tomasz, ucieszony tonem ojca chrzestnego.

— To nic... To dobrze, bracie... to bardzo dobrze!... Obawialiśmy się z ojcem, że będziesz niedołęgą... A wódkę... nauczyłeś się pić?

— Piłem...

— Za prędko!... A czy dużo?

— Poco dużo?...

— Smaczna, co?

— Niebardzo...

— Tak... To nic, wszystko dobrze... Zanadto tylko jesteś otwarty... przed byle popem i ze wszystkich grzechów gotów jesteś spowiadać się... Zrozum, że to niezawsze potrzebne... czasem przemilczawszy i ludziom dogodzisz i sam nie zgrzeszysz. Ta-ak. Język ludzki rzadko bywa trzeźwy... Otóż i przyjechaliśmy... Słuchaj, — ojciec nie wie, żeś przyjechał. Nie wiem nawet, czy jest w domu.

Był w domu: jego głośny, nieco ochrypły śmiech słychać było przez otwarte okna na ulicy. Na odgłos zajeżdżającego przed dom powozu stary Gordiejew wyjrzał przez okno i na widok syna głośno zawołał:

— A-a! Zjawiłeś się...

Po chwili, przycisnąwszy Tomasza jedną ręką do piersi, drugą oparł na jego czole i, odchylając wtył głowę syna, spojrzał mu w twarz rozradowanemi oczyma i z zadowoleniem zawołał:

— Opaliłeś się... zdrów... zuch! Proszę pani. Ładnego mam syna?

— Niebrzydki... — rozległ się miły srebrzysty głosik.

Tomasz wyjrzał z poza ramion ojca i zobaczył w kącie pokoju siedzącą przy stole maleńką kobietę o bujnych blond włosach; ciemne oczy, wąskie brwi i pulchne koralowe usta zaznaczały się wyraźnie na jej bladej twarzy. Za krzesłem, na którem siedziała, stał duży filodendron i jego wielkie

wycinane liście zwieszały się w powietrzu nad jej złocistą główką.

— Witam panią, — mówił z przymileniem Majakin, podchodząc do niej z wyciągniętą ręką. — Cóż, pani, jak widzę, wciąż ściąga z nas biednych kontrybucję?

Tomasz skłonił się jej w milczeniu, nie słuchając ani jej odpowiedzi Majakinowi, ani tego, co ojciec doń mówił. Pani przyglądała mu się pilnie, uśmiechając się doń życzliwie i wesoło. Obwinięta w jakąś ciemną tkaninę, drobna niemal dziecinna jej postać prawie zlewała się z ponsowem obiciem krzesła, wskutek czego jej złociste włosy i blada twarz jakby świeciły blaskiem na ciemnem tle. Siedząc tam w kącie, pod zielonemi liśćmi, była podobna do kwiatu i do świętego obrazu.

— Proszę-no spojrzeć, jak się to zapatrzył na panią... orzeł mój? — mówił Ignacy.

Oczy jej zwęziły się, zarumieniły się delikatnie policzki: roześmiała się — niby srebrzysty dzwonek zadźwięczał. I wstała w tejże chwili, mówiąc:

— Nie chcę przeszkadzać państwu, do widzenia!

Kiedy przechodziła bez szmeru około Tomasza, owionął go zapach perfum; dostrzegł, że ma ciemnoniebieskie oczy i prawie czarne brwi.

— Odpłynął szczupak, — cicho wycedził Majakin, patrząc ze złością wślad za nią.

— Opowiadaj-że nam, gdzieś był, coś widział? A dużo puściłeś pieniędzy? — huczał Ignacy, sadowiąc syna na fotelu, na którym dopiero co siedziała Medyńska. Tomasz spojrzał nań zukosa i usiadł na innym.

— Cóż, ładna kobietka? — mówił z uśmiechem Majakin, badając Tomasza swemi chytremi oczkami. — Byleś się przy niej na chwilkę zagapił, wnet ci wszystkie wnętrzności wygryzie...

Tomasz niewiadomo czemu drgnął i, nie odpowiadając na zaczepkę ojca chrzestnego, zaczął sprawozdawczym tonem opowiadać ojcu o swej podróży. Ignacy tymczasem przerwał mu:

— Zaczekaj, każę dać konjaku...

— A ojciec podobno wciąż tu pije... — z wymówką odezwał się Tomasz.

Ignacy spojrzał ze zdziwieniem i ciekawością na niego i zapytał:

— Tak się do ojca mówi, co?

Tomasz zmieszał się i spuścił głowę.

— No-no! — rzekł dobrodusznie Ignacy i kazał podać konjaku...

Majakin spojrzał na obydwóch przymrużonemi oczyma, westchnął, pożegnał się i wyszedł, zapraszając ich do siebie na herbatę.

— A gdzie ciotka Anfisa? — zapytał Tomasz, czując się jakoś onieśmielony tem sam na sam z ojcem.

— Pojechała do klasztoru... No, opowiadajże... a ja — napiję się...

W ciągu kilku minut Tomasz opowiedział ojcu o interesach i zakończył opowiadanie szczerem wyznaniem:

— Na własne potrzeby wydałem dużo pieniędzy...

— Ile?

— Rubli... sześćset...

— W ciągu półtora miesiąca! Niemało... Widzę, że za drogi jesteś dla mnie wyręczyciel... Gdzieżeś je podział?

— Trzysta pudów zboża podarowałem...

— Komu? Poco?

Tomasz opowiedział.

— Hm... to... mniejsza! — pochwalił go ojciec... — Znać pana po cholewach.. Cóż — dla honoru ojca... dla rozgłosu firmy... To żadna strata... dlatego... że dobra sława to najlepsza reklama w handlu... No, cóż jeszcze?

— Prócz tego... wydałem... tak jakoś...

— Mów otwarcie, nie o pieniądze mi chodzi, — chcę wiedzieć, jak żyłeś, — z naciskiem mówił Ignacy, przyglądając się pilnie i surowo Tomaszowi.

— Jadłem... piłem... — mówił wymijająco Tomasz, spuszczając ponuro i ze zmieszaniem głowę.

— Co piłeś? Wódkę?

— I wódkę...

— Ta-ak... czy to nie za wcześnie?...

— Może ojciec dowiedzieć się od Jefima, czy upijałem się...

— Poco mam się pytać Jefima? Sam powinieneś powiedzieć wszystko... Pijesz więc? To mi się nie podoba...

— Mogę nie pić...

— No-no! Chcesz konjaku?

Tomasz spojrzał na ojca i roześmiał się na całe gardło. Ojciec odpowiedział mu dobrodusznym uśmiechem.

— Ach ty... łotrze! Pij... byleś rozum miał... Cóż robić?... pijak prześpi się, ale głupi — nigdy... pamiętajmy choć o tem... na swoją pociechę... A z dziewczętami — hulałeś? Przyznaj się otwarcie! Cóż, bić ciebie będę, czy co?

— Hulałem... miałem nawet jedną na statku... Wiozłem ją z Permu do Kazania...

— No... — Ignacy westchnął ciężko i rzekł ponuro: — za wcześnie... splugawiłeś się...

— Mam lat dwadzieścia... A ojciec sam powiadał przecie, że za jego czasów żeniono piętnastoletnich... — odezwał się syn całkiem zmieszany.

— Tak, ale żeniono... No dobrze, dość już o tem... zadałeś się z babą — więc cóż? Baba — jak ospa, nie wykręcisz się od niej... Nie chcę i ja świętoszka udawać, prawda — lgnąłem do kobiet wcześniej, niż ty... Ale trzeba się z niemi mieć na ostrożności...

Ignacy zamyślił się i długo milczał, siedząc nieruchomo z nisko pochyloną głową.

— Pamiętaj, Tomaszu, — ciągnął dalej surowo i twardo, — że ja umrę wkrótce... Stary jestem. W piersiach mnie ściska, oddychać ciężko... umrę... Cały interes spadnie wtedy na ciebie... Chrzestny ojciec z początku dopomoże ci — słuchaj go! Zacząłeś... nieźle, załatwiłeś wszystko, jak należy, mocno trzymałeś cugle w ręku i chociaż pohulałeś... widać jednak, żeś rozumu nie tracił... Daj Boże i na przyszłość tak samo... Zapamiętaj jeno sobie: interes — to żywe i silne zwierzę, trzeba nim umiejętnie kierować, kiełznać mocno, w przeciwnym razie zmoże ciebie... Staraj się panować nad interesem... postaw się tak, żeby u stóp twych leżał, żebyś go zawsze miał na oku, żebyś każdą najmniejszą sprężynkę w nim widział...

Tomasz patrzał na szeroką pierś ojca, przysłuchiwał się jego niskiemu głosowi i myślał w duchu:

— Nieprędko jeszcze umrzesz!

Myśl ta sprawiała mu przyjemność i budziła w nim dobre, gorące uczucie dla ojca.

— Radź się zawsze ojca chrzestnego, — ma on tyle rozumu w głowie, że dla całego miasta wystarczy... brak mu tylko odwagi, gdyby nie to — zaszedłby wysoko. Tak, tak, powiadam, niedługo pożyję... Właściwie czas już wielki gotować się na śmierć... rzucić wszystko... za grzechy czynić pokutę i myśleć już tylko o tem, żeby ludziom dobrą o sobie pozostawić pamięć...

— Dobra pamięć pozostanie! — rzekł z przekonaniem Tomasz.

— Gdybyż było za co...

— A dom noclegowy?

Ignacy spojrzał na syna i roześmiał się:

— Już zdążył ci Jakób powiedzieć! Stary sknera... Czy bardzo narzekał na mnie?

— Trochę, — uśmiechnął się Tomasz.

— Ba, czyż ja go nie znam?

— Mówił o tem w ten sposób, jakgdyby te pieniądze jego były...

Ignacy oparł się o poręcz fotelu i zaśmiał się jeszcze głośniej.

— A to stary kruk, ha? Masz rację... Dla niego — czy to moje, czy jego pieniądze, to wszystko jedno... jednakowo drży o każdy grosz... Ma, łysy, w tem swój cel... Zgadnij jaki?

Tomasz myślał chwilkę i odrzekł: — Nie wiem.

— Głupiś... Chce kapitały połączyć...

— W jaki sposób?

— Ano, zgadnij!...

Tomasz spojrzał na ojca i — domyślił się. Twarz mu ściemniała, podniósł się z krzesła i rzekł stanowczo:

— O nie, nie chcę... ja się z nią nie ożenię!

— A to dla czego? Zdrowa, nieglupia dziewczyna, jedynaczka...

— A Taras? Nie zginął przecie! A zresztą... wcale nie chcę!

— Zmarnował się — zginął, niema co o nim mówić. Jest testament, w którym powiedziano: „cały mój majątek, ruchomy i nieruchomy, — córce mojej Lubie zapisuję"... A to, że jest twoją chrzestną siostrą, da się jakoś załatwić...

— Wszystko jedno, — rzekł Tomasz stanowczo — ja się z nią nie ożenię!

— Zresztą, mówić o tem za wcześnie... Ale — dlaczego ona ci tak do gustu nie przypadła?

— Nie podobają mi się takie...

— Ta-ak!... Hm... patrzcie!... A jakież to ci się podobają, jeżeli wolno zapytać?...

— Bardziej proste... Ona tam wciąż z gimnazistkami, z książkami pora się, uczona taka... śmiać się będzie ze mnie... — mówił wzburzony Tomasz.

— To prawda, — dajmy na to... zarozumiała jest... pewna siebie... Ale to — bagatela... wszelką rdzę da się odczyścić, jeżeli ręki przyłożyć... To rzecz przyszłości... Twój chrzestny ojciec — to rozumny staruszek... Życie miał spokojne, siedzące, otóż siedząc na jednem miejscu myślał o wszystkiem... warto posłuchać jego zdania, w każdej sprawie życiowej orjentuje się doskonale... Śród nas on — arystokracja—z czasów Katarzyny—cha! cha! Wysokiego mniemania o sobie... A ponieważ ród jego wygasł na Tarasie, postanowił—ciebie na miejsce Tarasa postawić, rozumiesz?

— O, co to — to nie... już ja sobie sam miejsce wybiorę — rzekł z uporem Tomasz.

— Głupi jeszcze jesteś... — zaśmiał się ojciec.

Powrót ciotki Anfisy przerwał ich rozmowę.

— Tomek! przyjechałeś... — wołała jeszcze za drzwiami. Tomasz wstał i wyszedł na jej spotkanie, uśmiechając się radośnie.

...I znowu wolno, spokojnie i monotonnie popłynęło jego życie. Ignacy, zachowując w stosunku do syna życzliwy i dobrodusznie żartobliwy ton, zaczął jednak wogóle obchodzić się z nim surowiej. Wytykał mu każdą drobnostkę i coraz częściej przypominał o tem, że wychowywał go swobodnie, niczem nie krępując i nigdy nie bijąc.

— Inni ojcowie kijem biją takich, jak ty, a ja nie ruszyłem cię nigdy palcem.

— Widocznie nie było za co, — odrzekł pewnego razu spokojnie Tomasz.

Ignacy rozgniewał się na syna za ten ton i słowa.

— Milcz! — krzyknął. — Zanadto sobie pozwalasz... Na wszystko masz odpowiedź. Ale patrz — bo moja ręka, choć była miękka, potrafi jeszcze tak ścisnąć, że ci się łzy z pięt poleją... Wyrosłeś za prędko... jak purchawka, co ledwo się od ziemi podniosła, a już śmierdzi...

— Za co ojciec się gniewa na mnie? — zapytał potem Tomasz ojca, kiedy ten był w dobrym humorze...

— A ty nie możesz ścierpieć, jak ojciec zburczy czasem, zaraz stajesz do kłótni!

— Krzywda przecie... Nie jestem gorszy... i widzę, jak prowadzą się w moim wieku inni...

— Głowa ci z karku nie spadnie, jeśli czasem zwymyślam... A wymyślam, bo widzę w tobie coś nie mojego... nie wiem, co takiego, ale widzę, że — ono jest w tobie i że ci na złe wyjdzie...

Po tych słowach ojca Tomasz zaczął się głębiej zastanawiać nad sobą. Sam czuł w sobie coś szczególnego, wyróżniającego go z pomiędzy rówieśników lecz nie mógł zrozumieć, co to jest takiego? I zaczął podejrzliwie śledzić siebie.

Lubił bywać na giełdzie, kręcić się śród gwaru i zgiełku poważnych ludzi, zajętych tysiącznemi interesami; pochlebiał mu szacunek, z jakim go witali mniej bagaci przemysłowcy, z jakim rozmawiali z nim, Tomaszem Gordiejewem, synem miljonera. Czuł się szczęśliwy i dumny, jeśli udawało mu się czasem zrobić coś w interesie ojca na własne ryzyko i zasłużyć za to na pochwałę i uśmiech ojca. Miał ambicję, żeby uchodzić za dorosłego, zajętego interesami człowieka, lecz żył samotnie, jak dawniej — przed wyjazdem do Permu — i nie szukał przyjaciół, chociaż codziennie spotykał się z wieloma swymi rówieśnikami synami kupców. Zapraszali go nieraz na pohulanki, lecz Tomasz szorstko i lekceważąco wymawiał się od zaproszeń, a nawet drwił:

— Obawiam się... wasi ojcowie dowiedzą się jeszcze o tem, i gdy was bić będą, może i mnie się co dostanie...

Nie podobało mu się w nich to, że hulają i łajdaczą się potajemnie przed rodzicami, za pieniądze skradzione z kas ojcowskich lub też za pożyczone na długoterminowe weksle i wysokie procenty. Oni także go nie lubili za tę jego wstrzemięźliwość i obrzydzenie do nich, w którem widzieli dużo obrażającej ich dumy. Gdy bywał w towarzystwie starszych, najczęściej milczał, bojąc wydać się głupim i nie rozumiejącym rzeczy.

Często wspominał Pelagję: zrazu wspomnienie to napełniało go tęsknotą i żalem... Lecz czas upływał i ścierał stopniowo jasne barwy z obrazu tej kobiety i powoli, niepostrzeżenie dla samego Tomasza miejsce Pelagji w jego marzeniach zajęła mała, anielska Medyńska. Przyjeżdżała do Ignacego prawie co niedziela z rozmaitemi prośbami, mającemi wogóle na celu — przyśpeszenie budowy domu noclegowego. Tomasz czuł się niezgrabny, ogromny, ciężki w jego obecności; to go krępowało i czerwienił się często, kiedy Zofja Pawłowna patrzała nań życzliwie swemi wielkiemi oczyma. Zauważył, że za każdym razem, gdy patrzyła na niego, — oczy jej ciemniały, a górna warga drgała i podnosiła się odrobinę do góry, ukazując drobne białe zęby. Przerażało go to zawsze. Zauważvwszv spojrzenia, jakie rzucał na Medyńską, ojciec rzekł mu:

— Nie wytrzeszczaj-no na nią tak bardzo oczu. Ona — jak węgiel brzozowy: z wierzchu skromny, gładki, ciemniusieńki, — zdawałoby się zupełnie zimny, a weź go do ręki — sparzy...

Medyńska nie budziła w młodzieńcu zmysłowej żądzy, gdyż nie miała w sobie nic, coby mu przypominało Pelagję. Wogóle nie była podobna do przeciętnych kobiet. Wiedział, że opowiadają o niej różne dwuznaczne historje, ale nie dawał temu wiary. Zmienił jednak do niej swój stosunek, gdy ujrzał ją razu pewnego w dorożce, siedzącą obok otyłego jegomościa w szarym kapeluszu, z pod którego długie pasma włosów spadały mu na ramiona. Miał twarz czerwoną, nadętą — jak pęcherz; nie miał ani wąsów, ani brody i podobny był zupełnie do przebranej kobiety... Tomaszowi powiedziano, że to jej mąż... Zbudziły się wtedy w nim mętne jakieś i sprzeczne uczucia: chciało mu się skrzywdzić budow-

niczego, ale jednocześnie uczuł zazdrość i szacunek dla niego. Medyńska wydała mu się mniej ładna i bardziej dostępna: żal mu jej było, a jednocześnie myślał ze złośliwą radością:

— Toż to musi wzdrygać się z obrzydzenia, gdy on ją całuje...

Przy tem wszystkiem uczuwał w sobie chwilami jakąś bezdenną, męczącą pustkę, której nie mogły zapełnić — ani wrażenia dopiero co ubiegłego dnia, ani wspomnienia dni poprzednich; i giełda, i interesy, i marzenia o Medyńskiej — wszystko to pochłaniała pustka... I to go trwożyło: w ciemnej głębi tej pustki podejrzewał utajone istnienie jakiejś wrogiej mu siły, bezkształtnej jeszcze, ale już z ostrożnością i uporem... dążącej do wcielenia się...

Tymczasem Ignacy, mało zmieniając się napozór, stawał się coraz bardziej niespokojny, zgryźliwy i coraz częściej uskarżał się na niedomaganie.

— Straciłem sen... a niegdyś chrapałem tak, że nawet gdyby obdzierano mnie ze skóry, nic nie usłyszałbym. A teraz przewracam się, przewracam z boku na bok i ledwo nad ranem zasypiam... I budzę się ciągle... serce bije nierówno, — to niby śpieszy się — tuk — tuk — tuk... to znów raptem zamiera, — jakgdyby wnet miało oderwać się i spaść gdzieś w głąb... na samo dno... Boże zmiłuj się nade mną w miłosierdziu swojem!

Wzdychając ze skruchą, wznosił ku niebu swoje surowe oczy, już mętne, pozbawione żywego blasku.

— Śmierć czyha na mnie gdzieś wpobliżu — mówił posępnie, lecz z pokorą.

I rzeczywiście — powaliła niebawem na ziemię jego wielkie i silne ciało...

Zdarzyło się to w sierpniu, wczesnym rankiem. Tomasz spał mocno i nagle poczuł, jak go ktoś trzęsie za ramię i usłyszał nad uchem ochrypły głos.

— Wstawaj...

Otworzył oczy i ujrzał ojca siedzącego na krześle przy jego łóżku i powtarzającego monotonnie i głucho:

— Wstawaj, wstawaj...

Słońce tylko co zeszło, a jego blask, padający na białą płócienną koszulę Ignacego, nie utracił jeszcze różowego zabarwienia.

— Wcześnie jeszcze, — rzekł Tomasz, wyciągając się i ziewając.

— Jeszcze zdążysz się wyspać... Potem...

Leniwie owijając się w kołdrę, Tomasz zapytał:

— Potrzeba czego?

— A wstań bracie, jak powiadam! — zawołał Ignacy i dodał tonem urazy: — widać potrzeba, kiedy budzę...

Wpatrzywszy się w twarz ojca, Tomasz zauważył, że twarz ta jest szara, zmęczona.

— Niezdrów jesteś? Doktora ci, nie?

— Po djabła! — Ignacy machnął ręką. — Toć nie młodzieniaszek jestem... i bez doktora, sam wiem...

— Co wiesz?

— A... już wiem! — tajemniczo rzekł stary i dziwnym jakimś wzrokiem rozejrzał się po pokoju. Podczas gdy Tomasz nakładał ubranie, ojciec jego, z głową na piersi zwieszoną, mówił powoli:

— Oddychać się boję... Tak mi się cni jakoś, że tylko pełną piersią nabiorę powietrza, — a serce pęknie na sztuki... Niedziela dziś! Po rannej mszy poślesz po popa...

— Cóż ci ojcze do głowy strzeliło! — uśmiechnął się Tomasz.

— Mnie — nic... Umyj się i wyjdź do sadu... Kazałem tam zanieść samowar... Na chłodzie porannym herbatki sobie łykniem... Chce mi się strasznie herbaty, mocnej, gorącej...

Stary ciężko podniósł się z krzesła i niepewnie stąpając bosemi nogami, zgięty, zgarbiony, opuścił pokój. Tomasz popatrzył za nim i kłujący chłód strachu ścisnął mu serce. Obmywszy się śpiesznie, poszedł do sadu...

Tam pod starą, rozłożystą jabłonią, w ogromnym dębowym fotelu siedział ojciec. Słoneczny blask padał przez gałęzie drzewa i cienkiemi wstążkami oplątywał białą postać starca w nocnej bieliźnie. W sadzie panowała taka jakaś przejmująca cisza, że nawet szelest gałęzi, nieostrożnie

w pośpiechu trąconej połą kurtki, wydał się Tomaszowi czemś niesamowicie głośnem — chłopak zadrżał... Na stole stał samowar, pomrukując, jak syty kot, i wyrzucając w powietrze strugę pary. W ciszy, na tle świeżej zieleni ogrodu, obmytej wczorajszym obfitym deszczem, ta jaskrawa plama bezczelnie połyskliwej, szumiącej miedzi, wydała się Tomaszowi czemś niepotrzebnem, zbędnem, nie harmonizującem ani z chwilą, ani z miejscem, ani z nastrojem, który opanowywał go na widok chorego, zgarbionego starca, odzianego w biel i siedzącego samotnie pod kopułą ciemnozielonego listowia, w którem chowały się wstydliwie czerwone jabłka.

— Siadaj — rzekł Ignacy...

— Posłaćby po doktora... — nieśmiało radził syn, siadając naprzeciwko...

— Nie trzeba... Na powietrzu jakgdyby odeszło... Tak ot, widzisz, herbaty łyknę, nuż będzie jeszcze lżej... — mówił Ignacy, nalewając herbatę, a Tomasz widział, że czajnik trzęsie się w ojcowskiej ręce.

Przysunąwszy sobie szklankę w milczeniu, Tomasz pochylił się nad herbatą i z ciężkiem sercem słuchał głośnego, krótkiego oddechu rodzica...

Wtem coś stuknęło o stół tak mocno, że aż naczynia zadźwiękły.

Tomasz wzdrygnął się, podniósł głowę i spotkał wylękłe, niemal nieprzytomne wejrzenie ojca. Ignacy patrzał na syna, szepcząc ochryple:

— Jabłko upadło... a huk, jak góra! Jak ze strzelby strzelił, taki trzask... co?

— Możeby ojcu konjaku do herbaty, — zapytał Tomasz.

— Nie trzeba...

Umilkli. Stado szczygłów przeleciało nad ogrodem, napełniając powietrze zawadyjacko - wesołym szczebiotem I znowu nad ogrodem zapanowała uroczysta cisza. Przerażenie wciąż jeszcze nie znikało z oczu Ignacego...

— Jezu Chryste! — przemówił półgłosem, żegnając się żarliwie. — Nadeszła oto... ostatnia moja godzina...

— Nie mów tak, ojcze! — wyszeptał Tomasz.

— Czemu nie mówić?... Wypijemy herbatę, poślij po popa i po kuma...

— Może lepiej zaraz...

— Zaraz zadzwonią na nabożeństwo... popa niema... niema się zresztą co śpieszyć, może przejdzie jeszcze...

Zaczął głośno łykać herbatę ze spodka...

— Powinienbym przeżyć jeszcze jaki rok, ze dwa... Młody jesteś... boję się bardzo o ciebie... Żyj uczciwie, cudzego nie żądaj, swego strzeż mocno...

Trudno mu było mówić, zatrzymał się i potarł pierś ręką.

— Na ludzi — nie licz... wiele się od nich nie spodziewaj... Wszyscy żyjemy poto, żeby brać a nie dawać... O Boże! zmiłuj się nade mną grzesznym!

Gdzieś daleko niski dźwięk dzwonu wtargnął w ciszę poranku. Ignacy z synem przeżegnali się potrzykroć...

Po pierwszym dźwięku śpiżu rozległ się drugi, trzeci i wkrótce powietrze napełniło się głosami dzwonów, które przywołując, leciały płynnie i miarowo ze wszystkich stron.

— Na ranną mszę dzwonią, — rzekł Ignacy, wsłuchując się w huk śpiżu. — Czy potrafisz rozpoznać dzwony po głosie?

— Nie, — odrzekł Tomasz.

— Wsłuchaj się... Ten oto — słyszysz? — co basem dzwoni, to w cerkwi ś. Mikołaja, — ofiara Piotra Wagina... a ten ochrypły to u ś. Barbary...

Śpiewne fale dźwięków drżały w powietrzu i rozpływały się w jasnym błękicie nieba. Tomasz patrzył w zamyśleniu w twarz ojca i widział, jak znika trwoga z jego oczu i jak wraca do nich życie...

Ale nagle twarz starca pociemniała bardzo, oczy rozszerzyły się i wyskoczyły z orbit, usta otworzyły się z wyrazem zdziwienia, a z gardła wyrwał się dziwny, syczący dźwięk:

— F... f... ach cha...

Następnie głowa Ignacego opadła na ramię, a jego ciężkie ciało zsunęło się zwolna z krzesła na ziemię, jakgdy-

by ziemia gwałtem pociągnęła je ku sobie. Przez kilka chwil Tomasz nie ruszał się i milczał, patrząc ze strachem i zdziwieniem na ojca, lecz później rzucił się ku Ignacemu, podniósł z ziemi jego głowę i spojrzał mu w twarz. Twarz była ciemna, nieruchoma i szeroko rozwarte oczy nic nie wyrażały: ani bólu, ani przestrachu, ani radości... Tomasz obejrzał się dookoła siebie: w ogrodzie, jak przedtem, nie było nikogo, a w powietrzu wciąż przepływał szumny zgiełk dzwonów... Ręce Tomasza zadrżały, wypuścił głowę ojca, która głucho uderzyła o ziemię. Ciepła, lepka krew polała się wąską strugą z otwartych ust po sinym policzku...

Tomasz uderzył się rękami w piersi i, klęcząc przy trupie, krzyknął dziko i głośno... Drżał cały z przerażenia i ciągle śród zieleni ogrodu szukał kogoś nieprzytomnemi oczyma...

## IV.

Śmierć ojca zaskoczyła niespodzianie Tomasza i przejęła go dziwnem uczuciem: w duszy jego zapanowała cisza, — gniotąca, nieruchoma cisza, — przytłumiająca wszystkie dźwięki życia. Dokoła niego uwijali się przeróżni znajomi, zjawiali się, znikali, mówili coś do niego, — dawał im bezsensowne odpowiedzi; rozmowy ich nie budziły w nim żadnych wyobrażeń, ginęły bez śladu w bezdennej głębi martwego milczenia, wypełniającego jego duszę. Nie płakał, nie tęsknił i nie myślał o niczem; ponury i blady, z nachmurzonemi brwiami, wsłuchiwał się ze skupieniem w tę ciszę, która wygnała zeń wszystkie uczucia, wyjałowiła serce i jak kleszczami dławiła mózg.

Pogrzebem zajmował się Majakin. Biegał prędko i rześko po pokojach, stukając głośno obcasami butów, wydawał rozkazy służbie, klepał chrześniaka po ramieniu, pocieszając:

— Czego chodzisz jak skamieniały, chłopcze? Wypłacz się, będzie ci lżej... Ojciec był już podeszły w leciech... siły się wyczerpały... Wszystkich nas śmierć czeka... uniknąć jej niepodobna... nie trzeba więc przed czasem zamierać...

Nie wskrzesisz go swą rozpaczą i na nic mu się nie zda twa boleść, powiedziano bowiem: „kiedy dusza po wyjściu z ciała ujrzy światłość wiekuistą, — wnet zapomni o wszystkich krewnych i znajomych"... co znaczy, że na nic mu się nie zdałeś, choćbyś płakał, czy śmiał się... Żywy powinien troszczyć się o to, co żywe... Lepiej płacz — to rzecz ludzka, daje wielką ulgę sercu...

Ale i te przemówienia nie zahaczały się o nic ani w głowie, ani w sercu Tomasza.

Dzięki jednak uporczywym zabiegom ojca chrzestnego, który wszelkiemi sposobami starał się obudzić go z odrętwienia, ocknął się wreszcie Tomasz dopiero w dzień pogrzebu.

Dzień był pochmurny. Za trumną Ignacego Gordiejewa ciągnął się czarną wstęgą, w tumanie gęstego kurzu, olbrzymi tłum ludzi; połyskiwały złote wyszycia ornatów, a głuchy szmer powolnych kroków zlewał się z uroczystą muzyką archierejskiego chóru. Tomasza potrącano ztyłu i z boków, a on szedł, nie widząc nic, prócz siwej głowy ojca w otwartej trumnie; żałosny śpiew odbijał się łkającem echem w jego piersi. Majakin zaś, idąc obok niego, natrętnie i bezustannie szeptał mu do ucha:

— Patrzaj, ile wali narodu — tysiące! I gubernator przyszedł osobiście odprowadzić twego ojca... prezydent miasta... prawie cały zarząd miejski... a za tobą — obejrzyj się, idzie Zofja Pawłowna... uczciło miasto Ignacego...

Tomasz zrazu nie słuchał tego, co szeptał mu do ucha ojciec chrzestny, ale, usłyszawszy nazwisko Medyńskiej, obejrzał się mimowoli poza siebie i ujrzał gubernatora. Drobna kropelka jakiejś słodyczy spłynęła mu do duszy na widok tego poważnego człowieka, kroczącego za trumną w jaskrawej wstędze przez ramię, z orderami na piersi i z wyrazem smutku na surowej twarzy.

„Błogosławiona droga którą dziś kroczysz, duszo ma"... — nucił wraz z chórem Jakób Tarasowicz pociągając nosem, i znowu szeptał do ucha chrześniakowi:

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy rubli — to taka suma, że warta jest tylu odprowadzających... Czy słyszałeś, że Sonia Medyńska piętnastego urządza poświęcenie funda-

mentów... akurat w czterdziesty dzień wypada od śmierci ojca....

Tomasz obejrzał się znowu i oczy jego spotkały się z oczami Medyńskiej. Pod wpływem pieszczoty jej wejrzenia westchnął głęboko i uczuł nagle jakby ulgę, jakgdyby gorący promień światła przeniknął do jego duszy, rozświecił ją i ogrzał. Wnet jednak pomyślał, że nie wypada mu tak rozglądać się na wszystkie strony. W cerkwi Tomasz uczuł ból głowy: zdawało mu się, że wszystko dokoła niego i pod nim chwieje się i kołysze. W gęstem, dusznem powietrzu, przesyconem kurzem, oddechem ludzi i dymem kadzideł, dygotały lękliwie płomyki świec. Zbudzona z odrętwienia dusza Tomasza upajała się chciwie uroczystą i potężną poezją żałobnego nabożeństwa, i kiedy rozległo się wzruszające wezwanie: „Zbliżcie się po ostatni pocałunek", — z piersi jego wyrwało się tak rozpaczliwe i głośne łkanie, że tłum drgnął od tego krzyku boleści.

Krzyknąwszy, zachwiał się na nogach. Chrzestny ojciec chwycił go pod ramię i zaczął popychać ku trumnie, wyciągając głośno z jakimś dziwnym zapałem słowa chóru:

— „Ca-a-łuj-cie tego, który żył z nami"... całuj Tomaszu, całuj!... „albowiem oto złożon będzie w grobie, przywalon kamieniem, pogrążon w ciemności, pogrzebion z umarłymi"...

Tomasz dotknął ustami czoła ojca i odskoczył z przerażeniem od trumny.

— Powoli! Omal nie obaliłeś mnie... — zauważył Majakin półgłosem, i te proste, spokojne słowa podtrzymały Tomasza mocniej, niż ręka chrzestnego ojca.

— „A gdy ujrzycie mnie leżącego bez tchu i bez słowa, to zapłaczcie po mnie, bracia i przyjaciele"... — prosił zmarły ustami chóru. Ale jego syn już nie płakał: czarna spuchnięta twarz ojca napełniała go przerażeniem i to przerażenie otrzeźwiło nieco jego duszę, upojoną żałosną muzyką płaczu cerkiewnego. Znajomi obstąpili go, pocieszając słowami życzliwości i współczucia; słuchał ich i wiedział, że żałują go wszyscy i że stał się im drogi. Chrzestny ojciec tymczasem szeptał mu do ucha:

— Uważaj, jak przymilają się do ciebie... czuje kot sadło...

Nie podobały się te słowa Tomaszowi, ale miały tę dobrą stronę, że wytrąciły go z osłupienia .

Na cmentarzu, podczas śpiewania „wiecznego odpoczynku", znowu gorzko i głośno zapłakał. Chrzestny ojciec schwycił go zaraz pod ramię i odprowadził od grobu, przemawiając tonem wyrzutu:

— Jakiś ty bracie słaby na duchu! Czyż myślisz, że mnie go nie żal? Przecież, jako przyjaciel najbliższy, poznałem dobrze prawdziwą jego wartość, a ty byłeś tylko jego synem... Pomimo to nie płaczę... Przeżyliśmy z nim razem przeszło lat trzydzieści... ile się przegadało, ile przemyślało, ile smutków przebolało wspólnie... Jesteś młody... nie masz się czego smucić! Przed tobą całe życie, zyskasz niejednego jeszcze przyjaciela. Jam już stary... pogrzebałem, jak widzisz, jedynego przyjaciela i zostałem teraz samotny, jak żebrak... Drugiego takiego przyjaciela już nie znajdę...

Tu zadrżał dziwnie i zaskrzypiał głos starca. Twarz jego wykrzywiła się, drżące usta rozciągnęły się szeroko, zmarszczki zarysowały się wyraźniej, a po nich spływać zaczęły z małych oczu drobne i gęste łzy. Był tak politowania godzien i niepodobny do siebie, że Tomasz zatrzymał się, przycisnął go z czułością do piersi i zawołał z trwogą:

— Ojczulku, gołąbku! nie płacz proszę... nie płacz...

— Otóż-to! — przemówił cicho Majakin i, westchnąwszy ciężko, przeistoczył się nagle w silnego i mądrego starca.

— Tak, nie wolno się rozrzewniać... — odezwał się tajemniczo, siadając w powozie obok chrzestnego syna. — Jesteś teraz, jak ten wódz na wojnie — powinieneś mężnie i odważnie dowodzić żołnierzykami swymi. A żołnierzyki twoje — to ruble, których masz w swem ręku wie-elką armję... Wojuj też niemi rozumnie !

Tomasz, zdziwiony nagłością tej przemiany, słuchał słów jego i przypomniały mu one niewiadomo dlaczego,

uderzenia grudek ziemi, które ludzie rzucali na trumnę Ignacego.

— Z kim mam wojować... — rzekł Tomasz z westchnieniem.

— Już ja cię nauczę! Czy ci ojciec nie mówił, że rozumu mam za dwóch i że należy mnie słuchać?

— Mówił...

— Słuchaj tedy! Jeżeli połączyć mój rozum z twoją młodą siłą — to można odnieść zwycięstwo... Ojciec twój był wielkim człowiekiem... ale nie umiał patrzeć daleko przed siebie i korzystać z rad moich... Nie rozumem, lecz raczej sercem zdobywał powodzenie w życiu... Ach, co też z ciebie będzie?... Przenieś się do mnie, bo samemu będzie ci smutno w domu...

— Jest ciocia...

— Ciocia... wiecznie choruje... niewiele zostało jej z życia na ziemi...

— Lepiej o tem nie mówić, — poprosił zcicha Tomasz.

— Owszem, będę mówił. Śmierci nie masz się czego lękać, — nie jesteś starą babą, co na piecu leży. Żyj sobie bezpiecznie i rób to, do czegoś powołany. A człowiek powołany jest do urządzenia życia na ziemi. Człowiek — to kapitał... składa się, jak rubel, z nędznych miedzianych groszy. Z pyłu ziemi, jak powiedziano... A w miarę tego, jak się obraca w życiu, jak nasiąknie tłuszczem, potem i łzami — rodzi się w nim stopniowo dusza i rozum... Odtąd zaczyna róść i wgórę i wdół... to patrz, cena jego — grosz, to — złoty, to — setka rubli... a bywa i droższy ponad wszelką cenę... Puszczony w obieg przez życie, powinien dlań procentować.... Życie samo zna wartość nas wszystkich i przed czasem z obrotu nas nie wycofa... nikt, bracie, o ile ma rozum, nie działa wbrew własnej korzyści... Czy słuchasz mnie?

— Słucham...

— A czy rozumiesz?

— Wszystko...

— Oj, czy naprawdę? — wątpił Majakin.

— Ale tylko... poco trzeba umierać? — zapytał cicho Tomasz.

Chrzestny ojciec spojrzał nań z politowaniem, pocmokał ustami i rzekł:

— Rozumny człowiek nie zapyta się o to nigdy. Rozumny człowiek sam widzi, że każda rzeka — zawsze dokądś płynie... gdyby nie płynęła, to byłoby to błoto, a nie rzeka...

— Napróżno ojciec kpi ze mnie... — rzekł posępnie Tomasz. — Morze przecież też nigdzie nie płynie...

— Ale on wchłania w siebie wszystkie rzeki... i silne burze na niem bywają... Podobnież i morze życia karmi się ludzkiemi namiętnościami... a śmierć odświeża jego wody... ażeby nie zatęchły... Jakkolwiek ludzie umierają, a przeto wciąż ich jest coraz więcej.

— Cóż z tego? Ojciec umarł...

— I ty umrzesz...

— Więc cóż mi z tego, że ludzi wciąż przybywa więcej? — uśmiechnął się smutnie Tomasz.

— E-eche-che! — westchnął Majakin. — Nikomu też nic z tego... Twoje spodnie na pewno rozmyślają również w ten sposób: co nam stąd, że na świecie jest bez liku wszelakich tkanin? Ty jednak ich nie słuchasz—znosisz i rzucisz..

Tomasz z wyrzutem popatrzył na chrzestnego ojca, a widząc że się starzec uśmiecha, zdziwił się i z odcieniem pewnego szacunku zapytał:

— Czyż rzeczywiście ojciec nie boi się śmierci?

— Ja, dziecino, najbardziej boję się głupoty, — ze skromną ironją odrzekł Majakin. — Ja rozumuję tak: daje ci głupiec miodu — pluń; daje ci mądry trucizny — pij! Tobie zaś powiem: marny to okoń, u którego szczecina nie sterczy do góry...

Drwiące słowa starca obraziły i rozgniewały Tomasza. Odwrócił się od niego i rzekł:

— Czy ojciec nie umie mówić bez tych wykrętów...

— Nie umiem! — zawołał Majakin, i oczy jego zabiegały trwożliwie. — Każdy mówi takim językiem, jaki posiada. Nie podoba ci się? Co?

Tomasz milczał.

— Ach ty... Pamiętaj o tem — kto uczy, ten kocha... Zapamiętaj to sobie doskonale... A o śmierci nie myśl... głupio, bracie, żywemu człowiekowi myśleć o śmierci. „Eklezjasta“ najlepiej o niej myślał, pomyślał i rzekł: „lepiej jest żywemu psu, niż zdechłemu lwu“.

Przyjechali do domu. Cała ulica zapchana była powozami, z otwartych okien domu płynął na ulicę gwar głośnych rozmów. Gdy Tomasz wszedł do salonu, wnet pochwycono go pod ręce i przyprowadzono do stołu z przekąskami, namawiając, aby wypił i zjadł cokolwiek. W salonie, jak na jarmarku, gwarno było, ciasno i duszno. Tomasz w milczeniu wypił jeden, drugi, trzeci kieliszek wódki... Wkoło niego mlaskano, cmokano ustami, nalewana z butelki wódka bulgotała, kieliszki brzęczały... Rozmawiano o wędzonym jesiotrze, o głosie solisty z archierejskiego chóru, i znów o jesiotrze, i o tem, że prezydent miasta też miał wygłosić mowę, ale nie miał odwagi zabierać głos po archiereju, obawiając się, że powie gorzej od niego. Ktoś opowiadał w rozczuleniu:

— Nieboszczyk robił zwykle tak: odkroi kawałek łososia, popieprzy go gęsto, przykryje drugim kawałkiem i dopiero, łyknąwszy kieliszek, je.

— Pó-ójdźmy za jego przykładem... — huczał gruby bas.

Tomasz chmurny, z goryczą w sercu, patrzał na te tłuste usta i szczęki, żujące smaczne jadła, chciał krzyknąć i precz wypędzić wszystkich tych ludzi, których powaga jeszcze niedawno wzbudzała w nim szacunek.

— Bądź więcej uprzejmy... rozmowny... — odezwał się półgłosem Majakin, znalazłszy się obok niego.

— A poco oni żrą tutaj? Do restauracji przyszli, czy co? — wybuchnął Tomasz ze złością.

— Cyt... — przerwał ze strachem Majakin i szybko obejrzał się z uprzejmym uśmiechem na twarzy.

Było za późno: uśmiech jego nic nie pomógł. Usłyszano słowa Tomasza — szmer i rozmowa zaczęły przycichać w salonie, niektórzy z gości zaniepokoili się jakoś, inni,

z obrażonemi minami, położyli noże i widelce i odeszli od stołu z przekąskami. Wszyscy patrzyli zezem na Tomasza.

Spojrzenia te spotykał, nie spuszczając oszu, zły i milczący.

— Proszę do stołu! — krzyczał Majakin, migając w tłumie ludzi jak iskra w popiele, — proszę siadać, bardzo proszę! Zaraz podadzą bliny.

Tomasz wzruszył ramionami i skierował się ku drzwiom, mówiąc głośno:

— Nie będę jadł obiadu...

Poza sobą słyszał nieprzyjemny zgiełk i przymilający się głos chrzestnego ojca, mówiącego do kogoś:

— To z żalu tak... Ignacy przecież był dlań i ojcem i matką...

Tomasz szedł do ogrodu na to samo miejsce, gdzie umarł ojciec, i tam usiadł. Uczucie samotności i tęsknoty rozpierało mu piersi. Żeby łatwiej oddychać, rozpiął kołnierz od koszuli, oparł się o stół i, ścisnąwszy głowę rękoma, skamieniał w nieruchomości. Mżył drobny deszcz i liście jabłoni szumiały melancholijnie od jego uderzeń. Długo siedział samotny, nie poruszając się i nie patrząc, jak drobne krople spadały z jabłoni na stół. Od wypitej wódki huczało mu w głowie, a w sercu rozsiadła się uraza do ludzi. Jakieś nieokreślone, bezprzedmiotowe uczucia rodziły się w nim i znikały; przed oczami migała łysa głowa chrzestnego ojca z wianuszkiem srebrnych włosów i z ciemną twarzą, podobną do twarzy świętych na starych obrazach. Ta twarz z ustami bez zębów i ze zjadliwym uśmiechem, budząc w Tomaszu obawę i niechęć, wzmagała w nim jeszcze bardziej świadomość samotności. Przypomniał sobie potem łagodne oczy Medyńskiej, jej drobną i elegancką postać, a obok niej niewiadomo dlaczego stawała zaraz dorodna, wysoka i rumiana Luba Majakinówna ze śmiejącemi się oczyma i ogromnym, złocisto-rudym warkoczem. — „Nie licz na ludzi... nie spodziewaj się od nich wiele"... — zadźwięczały mu w pamięci słowa ojca. Westchnął i obejrzał się dokoła... Liście drzew trzęsły się od uderzeń deszczu, w powietrzu pełno było melancholijnych dźwięków... Szare

niebo jakby płakało, a na drzewach drżały chłodne łzy. Duszę Tomasza przepełniało lękliwe uczucie sieroctwa... Ale z tego uczucia rodziło się już pytanie:

— Jak będę żył? Sam jestem teraz na świecie.

Deszcz zmoczył mu ubranie; uczuł chłodne dreszcze i poszedł do domu.

Życie targało go ze wszystkich stron, nie pozwalając mu skupić myśli i oddać się bolesnym rozmyślaniom o ojcu. W czterdziestym dniu po śmierci ojca, odświętnie ubrany, z przyjemnem uczuciem w piersi pojechał na ceremonję założenia fundametów pod przytułek noclegowy. W przeddzień uroczystości zawiadomiła go Medyńska listownie, że został wybrany na członka komitetu budowy i na honorowego członka towarzystwa, któremu osobiście przewodniczyła. To mu się podobało, a myśl o roli, jaką miał dziś odegrać podczas uroczystości, podniecała go. Jechał i myślał o tem, co go czeka i jak ma się zachować, aby nie skompromitować się przed ludźmi.

— Hej, hej! Stój!

Obejrzał się — Majakin w długim, do pięt sięgającym surducie, w wysokim kaszkiecie i z ogromnym parasolem w ręku, biegł szybko ku niemu.

— Podwieź-no i mnie... — mówił starzec, wskakując zręcznie, jak małpa, do powozu. — Powiedzieć prawdę — czekałem na ciebie... wyglądałem; czas, myślę, już mu jechać...

— Czy ojciec też tam jedzie? — zapytał Tomasz.

— A jakże? Trzeba zobaczyć, jak pieniądze mego przyjaciela zakopywane będą w ziemię...

Tomasz spojrzał nań zezem i zamilkł.

— Czego się krzywisz? Nie bój się, ty też zostaniesz dobroczyńcą ludzkości.

— Jakto? — zapytał Tomasz z udanym spokojem.

— Czytałem dzisiaj w gazecie, żeś obrany został członkiem komitetu budowy a oprócz tego członkiem honorowym tego towarzystwa...

— No, cóż — zostałem obrany...

— Zapłacisz słono za to członkostwo! — westchnął Majakin.

— Nie zbankrutuję chyba?

— Tego nie wiem... — odpowiedział złośliwie stary.

— Jestem tego zdania, że cała ta dobroczynność funta kłaków nie warta... a nawet, że się tak wyrażę, nie jest to żadna działalność, tylko tak — pusta zabawa, i to szkodliwa w dodatku.

— Czy szkodliwą jest rzeczą pomagać ludziom? — zapytał Tomasz wyzywająco.

— A to dopiero... głowa kapuściana! — rzekł Majakin z uśmiechem. — Przyjedź lepiej do mnie, to ci otworzę oczy na wszystko... Musisz się jeszcze uczyć!.. Przyjedziesz?

— Dobrze — zgodził się Tomasz.

— No, więc... Tymczasem trzymaj się z godnością podczas uroczystości... stań tak, żeby cię wszyscy widzieli. Gdybym ci nie przypomniał, gotów byłeś schować się za czyjemiś plecami...

— Poco mam się chować? — mruknął z niezadowoleniem Tomasz.

— To też mówię: niema czego się chować. Twój ojciec dał pieniądze, honory tedy tobie się w spadku należą. Honory — to też pieniądze... honorowany kupiec wszędzie kredyt znajdzie... i wszędzie ma wstęp... Wysuwaj się zatem naprzód, żeby każdy cię widział i żeby, jeżeli zrobiłeś za dziesiątkę... — oddano ci honoru za rubla... Będziesz się chował — głupio będzie.

Przyjechali na miejsce w chwili, kiedy wszystkie znakomitości były już zgromadzone i kiedy olbrzymi tłum ludu otaczał stosy drzewa i cegieł. Archierej, gubernator, przedstawiciele arystokracji miejscowej i administracji tworzyli wraz ze wspaniale wystrojonemi damami dużą jaskrawą grupę i przyglądali się pracy dwóch murarzy, przygotowujących cegły i wapno. Majakin skierował się z chrzestnym synem ku tej grupie, szepcząc mu do ucha:

— Nie bój się... chociaż zwierzchu jedwabie, ale wewnątrz pustka.

I wesołym, pełnym jednak uszanowania głosikiem powitał wpierw gubernatora, potem archiereja.

— Witam ekscelencję! Ośmielam się prosić o błogosławieństwo waszą przewielebność!

— A, Jakób Tarasowicz! — zawołał po przyjacielsku gubernator, ściskając z uśmiechem rękę Majakina i potrząsając nią akurat w tej chwili, kiedy starzec całował rękę archiereja. — Jak się macie nieśmiertelny staruszku?

— Pokornie dziękuję waszej ekscelencji! Najniższy szacunek Zofji Pawłownie — mówił szybko Majakin, uwijając się, jak bąk, w tłumie ludzi. Wciągu minuty zdążył przywitać się i z prezesem sądu, i z prokuratorem, i z prezydentem, i ze wszystkimi, z kim uważał za stosowne witać się pierwszy; takich zresztą znalazło się niewielu. Żartował, uśmiechał się i zwrócił na siebie odrazu uwagę wszystkich. Tomasz stał za nim, zwiesiwszy głowę; spoglądał zpode łba na tych ludzi, kapiących od złota i odzianych w drogie materje, zazdrościł starcowi odwagi i czuł się onieśmielony, co go wprawiało w jeszcze większe zakłopotanie. Naraz chrzestny ojciec wziął go za rękę i pociągnął k usobie:

— Proszę ekscelencji! oto mój chrześniak, Tomasz, jedyny syn nieboszczyka Ignacego.

— A-a! — wybełkotał basem gubernator. — Bardzo mi przyjemnie... Współczuję... twemu nieszczęściu, młodzieńcze! — rzekł ściskając rękę Tomasza i zamilkł; po chwili dodał stanowczo i z przekonaniem: — To bardzo ciężkie nieszczęście... utracić ojca.

I poczekawszy parę sedund na odpowiedź Tomasza, odwrócił się od niego, aby wyrazić uznanie Majakinowi:

— Zachwycony jestem pańską wczorajszą mową w magistracie! Piękna, rozumna... Ci wszyscy, co proponują użyć pieniądze na budowę tego klubu ludowego, zdradzają zupełne niezrozumienie istotnych potrzeb ludności...

— W dodatku, ekscelencjo, za mały kapitalik, — a cóż za interes, by miasto miało dokładać z własnych funduszów...

— Zupełnie słusznie! zupełnie słusznie!

— Trzeźwość, powiadam, rzecz dobra! Daj Boże ją

każdemu. Ja sam nie pijam... ale poco te przedstawienia, czytelnie i temu podobne, jeżeli lud czytać nawet nie umie?

Gubernator mruczał potakująco.

— Radziłem przeznaczyć te pieniążki na zakład techniczny... Jeżeli go urządzicie, powiadam, na małą skalę, to i tych pieniędzy wystarczy, a w razie czego można jeszcze poprosić w Petersburgu — tam dadzą! Wtedy i miasto nie będzie potrzebowało dokładać z własnych funduszów i sprawa sama daleko lepsza.

— Właśnie! Zgadzam się w zupełności z panem! A jak zakrzyczeli pana liberałowie nasi, co? Cha-cha!

— To już w ich zwyczaju leży — krzyczeć...

Głośne chrząkanie katedralnego protodiakona oznajmiło początek nabożeństwa.

Zofja Pawłowna podeszła do Tomasza, przywitała się i cichym, smutnym głosem rzekła:

— Patrzyłam na pańską twarz w dzień pogrzebu i serce ściskało mi się z żalu... Boże mój, myślałam, jak on musi cierpieć!

Tomasz słuchał i doznawał takiego uczucia, jakby pił — miód.

— Te krzyki rozpaczy! Wstrząsnęły mną do głębi... biedny mój chłopcze!.. Mogę chyba tak mówić do pana, bo jestem już staruszka...

— Pani! — zawołał Tomasz.

— Czyż nie? — zapytała, patrząc mu naiwnie w twarz.

Tomasz milczał, zawiesiwszy głowę.

— Czy pan nie wierzy, że jestem staruszką?

— Wierzę pani... to jest gotów jestem uwierzyć we wszystko, co pani mówi... ale to nieprawda! — mówił Tomasz gorąco półgłosem.

— Nieprawda — co? Czy pan nie wierzy?

— Nie! Nie to... a to, że... Wybaczy pani, ja nie umiem mówić! — rzekł Tomasz, cały czerwony ze zmieszania. — Nie mam wykształcenia...

— Nie trzeba się tem krępować... — odezwała się protekcjonalnie Medyńska. — Pan jeszcze młody, a wykształce-

nie dostępne jest dla wszystkich... Są wszakże ludzie, którym jest ono nietylko niepotrzebne, ale może zepsuć ich nawet... Są to ludzie o czystem sercu, łatwowierni, szczerzy, jak dzieci... pan właśnie do rzędu tych ludzi należy... Wszak pan jest taki, nieprawdaż?

Cóż mógł odpowiedzieć Tomasz na to pytanie? Rzekł tedy szczerze:

— Serdecznie dziękuję pani!..

A zobaczywszy, że jego słowa wywołały w oczach Medyńskiej wesoły błysk, uczuł się śmiesznym i głupim, i głosem zgnębionym przemówił:

— Tak, jestem taki — że co mam w duszy, to i na języku... Falszywym być nie potrafię... jeżeli śmieszy mnie co — śmieję się otwarcie... głupi jestem!

— Ach, pocóż tak? — zawołała z wyrzutem i, poprawiając suknię, musnęła niechcący dłonią jego zwieszoną rękę, w której trzymał kapelusz. Tomasz spojrzał na swoją rękę i uśmiechnął się zakłopotany, ale radośnie.

— Pan, oczywiście, będzie na obiedzie? — pytała Medyńska.

— Tak...

— A jutro na posiedzeniu u mnie?

— Bezwarunkowo!

— A może kiedykolwiek pan tak poprostu... odwiedzi mnie, co?

— Dziękuję pani! Przyjdę!..

— To ja powinnam podziękować za przyrzeczenie...

Rozmowa urwała się. W powietrzu rozbrzmiewał uroczyście cichy głos archiereja, który, wyciągnąwszy rękę nad fundamentem domu, czytał wyraźnie słowa modlitwy:

„...Niechaj go nie uszkodzi ani wiatr, ani woda, ani ogień, ani żadna klęska; niechaj oko Opatrzności czuwa nad nim i uchroni szukających w nim przytułku od wszelkiego złego..."

— Jak bogate w treść i piękne są nasze modlitwy, nieprawdaż? — pytała Medyńska.

— Tak... — odrzekł krótko Tomasz, nie rozumiejąc jej słów i czując, że znów się rumieni.

— Oni zawsze będą przeciwnikami naszych kupieckich interesów — przekonywująco i głośno szeptał Majakin, stojąc niedaleko Tomasza, obok prezydenta miasta. O co im chodzi? Byle tylko w jakikolwiek bądź sposób zasłużyć na pochwałę dzienikarską... a prawdziwej istoty rzeczy zrozumieć nie mogą... Żyją dla pozoru, a nie żeby ład zaprowadzić w życiu... dla nich to tylko dobre, co piszą w gazetach albo co jest w Szwecji! Wczoraj przez cały czas doktór karmił mnie tą swoją Szwecją: wykształcenie ludowe w Szwecji, powiada... i wszystko tam... w najlepszym gatunku! A jednak — co to jest Szwecja? Możliwe, że cała ta Szwecja — to tylko wymysł... przytacza się ot, dla przykładu... a żadnego wykształcenia i żadnych innych różnych różności może w niej wcale niema. My o Szwecji wiemy tylko tyle, że są zapałki szwedzkie i rękawiczki... Nie dla jakiejś tam Szwecji wreszcie żyjemy i przed nią nie będziemy składali egzaminu... na własną modłę powinniśmy kuć swoje życie. Czyż nie tak?

A protodiakon, odrzuciwszy wtył głowę, huczał:

— Fundatorowi tego domu... wieczny odpoczynek... racz mu dać Panie!

Tomasz drgnął, ale Majakin stał już przy nim i, targając go za rękaw, pytał:

— Czy jedziesz z nami na obiad?

Aksamitna, ciepła ręka Medyńskiej dotknęła znowu ręki Tomasza.

Obiad był istną torturą dla Tomasza. Znajdując się po raz pierwszy w życiu śród tych wystrojonych ludzi, widział, że oni i jedzą, i mówią i wszystko robią lepiej od niego, i czuł, że od Medyńskiej, siedzącej wprost naprzeciw niego, przedziela go nie stół, lecz wysoka góra. Obok niego siedział sekretarz tego towarzystwa, którego sam był członkiem honorowym — młody urzędnik sądowy, noszący dziwne nazwisko — Uchtiszczew. Mały, pulchny, z twarzą okrągłą, mówił wciąż wesoło dźwięcznym, wysokim tenorem.

— Najlepsza rzecz w naszem towarzystwie — to patronka, a najważniejsze zajęcie, któremu się tam oddaje-

my — to nadskakiwanie jej, najtrudniejsze zaś — to powiedzenie patronce takiego komplementu, z którego byłaby zadowolona, a najrozumniejsze — to zachwycanie się patronką w milczeniu i bez nadziei. Pan więc w istocie rzeczy nie jest członkiem „towarzystwa opieki nad"" i t. d., a członkiem towarzystwa Tantalów, wysługujących się pani Zofji Medyńskiej.

Tomasz słuchał jego gadulstwa, przyglądał się patronce, która rozmawiała o czemś żywo z policmajstrem, półgębkiem odpowiadał swemu sąsiadowi, udając zajętego jedzeniem, a w duchu pragnął, żeby to wszystko skończyło się co prędzej. Czuł, że jest głupi, śmieszny w oczach wszystkich i był przekonany, że wszyscy go bacznie śledzą i potępiają.

To go krępowało, jakby jakieś niewidzialne nici oplątywały go, nie pozwalając mu ani mówić, ani myśleć. Doszedł wreszcie do takiego stanu, iż szereg twarzy siedzących naprzeciwko niego osób zaczął wydawać mu się długiem jednolitem białem pasmem, nakrapianem punkcikami śmiejących się oczu, których spojrzenia kłuły go i dręczyły.

A Majakin siedział obok prezydenta miasta, szybko wywijał widelcem w powietrzu i wciąż o czemś rozprawiał. Prezydent, siwy starzec o twarzy czerwonej i krótkiej szyi, patrzył nań uważnie zukosa i od czasu do czasu potakiwał, stukając wielkim palcem po krawędzi stołu. Ożywiona rozmowa i śmiech zagłuszały potok wymowy chrzestnego ojca i Tomasz nie mógł usłyszeć z niej ani słowa, tem bardziej, że w uszach jego dzwonił bezustannie tenorowy głosik sekretarza:

— Niech pan patrzy, oto protodiakon już nabiera powietrza do płuc... zaraz wygłosi Ignacemu Matwiejewiczowi wieczny odpoczynek...

—Czy nie mógłbym się wynieść?—zapytał cicho Tomasz.

— Czemuż nie? Wszyscy to uwzględnią...

Niski bas diakona zagłuszył i jakby przytłumił szmer w sali, sławetni kupcy z zapałem podchwycili okrzyk, rozwierając szeroko usta, a Tomasz, korzystając z zamieszania wstał od stołu i wyszedł z sali.

Po chwili siedział w swoim pokoiku i oddychał swobodnie, myśląc o tem, że wśród tych panów niema dlań miejsca. W duchu nazywał ich wylizanymi gagatkami, nie podobała mu się ich elegancja, nie podobały się twarze, uśmiechy, wyrazy, ale swoboda ich ruchów, łatwość mówienia obszernie o wszystkiem, ich piękne stroje — wszystko to budziło w nim zazdrość i pewien szacunek. Świadomość, że nie umie mówić z taką łatwością i swobodą, jak oni, budziła w nim uczucie żalu i krzywdy; przypomniał sobie jednocześnie, że Luba Majakinówna już nieraz śmiała się z niego z tego powodu.

Tomasz nie lubił córki Majakina, a kiedy dowiedział się od Ignacego o zamiarach ojca chrzestnego ożenienia go z Lubą, zaczął unikać nawet spotkania z nią. Po śmierci ojca bywał jednak prawie codzień u Majakinów i razu pewnego Luba rzekła doń:

— Przyglądam się tobie i wiesz co? — widzę, że wcale nie jesteś podobny do kupca...

— Ty również nie jesteś podobna do córki kupieckiej... — rzekł Tomasz, spoglądając na nią podejrzliwie.

Nie rozumiał znaczenia jej słów: Czy chciała go niemi obrazić, czy też powiedziała je tak sobie.

— Chwała Bogu! — odrzekła i uśmiechnęła się dobrym, przyjaznym uśmiechem.

— Czego się cieszysz? — zapytał.

— Że nie jesteśmy podobni do naszych ojców.

Tomasz popatrzył na nią ze zdziwieniem i zamilkł.

— Powiedz szczerze, — mówiła, zniżając głos — przecież ty nie lubisz mego ojca? Nie podoba ci się on?

— Nie... bardzo...

— A ja go bardzo nie lubię.

— Za co?

— Za wszystko... Jak będziesz mądrzejszy — to zrozumiesz. Twój ojciec był lepszy.

— Naturalnie! — odrzekł Tomasz z pewną dumą w głosie.

Po tej rozmowie prawie odrazu utworzył się między nimi serdeczny stosunek, który w krótkim czasie, potęgując

się z dnia na dzień, przybrał charakter szczerej, ale nieco dziwnej przyjaźni.

Luba była w równym wieku ze swym chrzestnym bratem, ale traktowała go jako młodszego od siebie. Mówiła doń tonem pobłażliwym, jakim się mówi do dziecka, żartowała zeń często i mowę swą przeplatała czasem nieznanemi Tomaszowi wyrazami, które wymawiała ze szczególnym jakimś naciskiem i z widocznem zadowoleniem. Zwłaszcza lubiła mówić o swym bracie Tarasie, którego nigdy nie widziała, ale mówiła o nim zwykle tak, jakgdyby był jednym z owych śmiałych i szlachetnych rozbójników, o których opowiadała Tomaszowi ciotka Anfisa. Często, skarżąc się na swego ojca, mówiła Tomaszowi:

— Ty też będziesz takim... sknerą.

Wszystko to uderzało niemile młodzieńca i drażniło dotkliwie jego miłość własną. Niekiedy jednak była Luba prosta, szczera, jakoś dziwnie po przyjacielsku uprzejma dla niego; wtedy otwierał przed nią serce i oboje długo wynurzali sobie nawzajem swoje marzenia i uczucia.

Mówili wiele, szczerze — a jednak oboje nie rozumieli się wzajem: Tomaszowi zdawało się, że wszystko, co mówi Luba, jest mu obce a jej zgoła niepotrzebne, jednocześnie zaś widział, że jego prostacze rozmowy wcale jej nie zajmują i że ona nie chce ich zrozumieć. Najdłuższa nawet taka rozmowa pozostawiała w nich zawsze jakieś uczucie skrępowania i niezadowolenia z siebie. Jakgdyby niewidzialna ściana wyrastała nagle przed nimi i dzieliła ich. Nie śmieli dotknąć się tej ściany, powiedzieć sobie wzajem, że obecność jej odczuwają, i rozprawiali w dalszym ciągu, czując niewyraźnie, że w każdem z nich tkwi jednak coś, co mogłoby ich zbliżyć i złączyć.

Przyjechawszy do domu ojca chrzestnego, Tomasz zastał Lubę samą. Wyszła na jego spotkanie i widać było, że jest chora, czy też rozstrojona: oczy błyszczały gorączkowo i podkrążone były czarnemi obwódkami. Owijając się w puszystą chustkę, mówiła z uśmiechem:

— Jak to dobrze, że przyjechałeś! Siedzę sama... nudno, nie chce się nigdzie iść... Napijesz się może herbaty?

— Owszem... Coś ty taka, chora jesteś, czy co?

— Idź do jadalnego pokoju, a ja powiem, żeby podano samowar... — rzekła, nie odpowiadając na jego pytanie.

Przeszedł do jednego z małych pokoików domu, z dwoma oknami wychodzącemi na ogród. Pośrodku pokoju stał owalny stół, obstawiony dokoła staroświeckiemi, obitemi skórą krzesłami, na jednej ścianie wisiał zegar w długiej szafce ze szklanemi drzwiczkami, w rogu pokoju stała półeczka z naczyniem...

— Czy wracasz z obiadu? — zapytała Luba wchodząc.

Tomasz w milczeniu kiwnął głową.

— No cóż, wspaniały był obiad?

— Okrutnie! — uśmiechnął się Tomasz. — Siedziałem jak na rozżarzonych węglach... wszyscy — jak pawie, a ja — jak sowa...

Luba zdejmowała z półeczki naczynie i nic mu nie odpowiedziała.

— Czegoś ty doprawdy taka mizerna? — znowu zapytał Tomasz, spojrzawszy na jej zachmurzoną twarz.

Obróciła się do niego, a oczy jej błyszczały zachwytem i tęsknotą zarazem.

— Ach, Tomaszu! Jaką cudowną książkę przeczytałam! Gdybyś mógł to zrozumieć!

— Dobra, widocznie, książka, jeżeli taką zmianę wywołała w tobie... — uśmiechnął się Tomasz.

— Nie spałam... Czytałam noc całą... Bo pomyśl tylko: czytasz — i jakby otwierają się przed tobą drzwi do jakiegoś zupełnie innego świata... I ludzie inni, i mowa inna, i... wszystko! Całe życie inne...

— Nie lubię tego... — rzekł z niechęcią Tomasz — wymysły, kłamstwo... W teatrze też... kpią tam np. z kupców... a czyż oni rzeczywiście tacy głupi? Co? Weź chociażby chrzestnego ojca...

— Teatr — to szkoła, Tomaszu, — rzekła tonem mentorskim Luba — kupcy byli kiedyś takimi... I jakież to kłamstwa mogą być w książkach?

— Jak w bajkach... Nieprawdziwe to jakieś wszystko..

— Mylisz się! Nie czytałeś przecie książek, — jakże możesz sądzić? W nich właśnie jest prawdziwa rzeczywistość. One uczą, jak żyć.

— Ech! — machnął ręką Tomasz. — Daj spokój... żadnej korzyści z tych twoich książek!... Twój ojciec nie czytuje książek, a... jaki majster! Napatrzyłem się nań dzisiaj — aż zazdrość brała. Jak to on umie ze wszystkimi gadać... swobodnie, mądrze, dla każdego ma odpowiednie słowo... Widać odrazu, że osiągnie to, czego zechce.

— A czegóż on chce? — zawołała Luba. — Pieniędzy tylko i pieniędzy... A są przecie tacy, którzy pragną szczęścia dla wszystkich na ziemi... celowi temu poświęcają wszystkie swe siły, dla niego pracują, cierpią i giną! Czyż można równać ojca z nimi?

— Nie równaj!... Widocznie im podoba się jedno, a ojcu podoba się co innego.

— Nic się im nie podoba!

— Jakto?

— Wszystko chcą zmienić...

— Przecież dla czegośkolwiek muszą pracować? — rozumował Tomasz. — Do czegoś dążą, czegoś pragną?

— Szczęścia dla wszystkich!—gorąco zawołała Luba.

— No, tego ja nie rozumiem... — rzekł Tomasz, potrząsając głową. — Bo któż tam o moje szczęście troszczyć się będzie? I znowuż — Jakież to szczęście mogą mi oni dać, jeżeli ja sam... jeszcze nie wiem, czego mi potrzeba? Nie, przyjrzałabyś się lepiej tym... z którymi dziś obiad jadłem...

— To nie ludzie! — kategorycznie odcięła Luba.

— Już ja tam nie wiem, kto oni są według ciebie, ale widać odrazu — że każdy z nich wie, co robi. Sprytny naród... obrotny...

— Ach, Tomaszu! — z goryczą zawołała Luba. — Nic nie rozumiesz! Nic cię nie wzrusza... Leniwy jesteś, opasły jakiś....

— Och, zaczęła się litanja! Poprostu — nie rozejrzałem się jeszcze, i tyle.

— A ja myślę, że poprostu — jesteś pusty, — rzekła z naciskiem i stanowczo Luba.

— Nie byłaś w mej duszy... — odparł spokojnie Tomasz. — Nie znasz moich myśli...

— O czem ty możesz myśleć? — powiedziała Luba, wzruszając ramionami.

— Jakto! Jestem sam? To jedno... Muszę żyć? To drugie. Że w obecnym moim stanie niepodobna żyć — czyż ja tego nie rozumiem? Pośmiewiskiem ludzkiem być nie chcę... przecież nie umiem nawet mówić z ludźmi... Myśleć... też nie umiem... — zakończył Tomasz i uśmiechnął się smutnie.

— Trzeba czytać, trzeba uczyć się, — radziła Luba, chodząc po pokoju.

— W duszy mej coś się porusza, — ciągnął dalej Tomasz, nie patrząc na nią i mówiąc jakby sam do siebie, — ale nie mogę tego zrozumieć. Widzę, że chrzestny ojciec mówi... i do rzeczy... i rozumnie... Ale nie pociąga mnie to... Dla mnie daleko ciekawsi są tamci ludzie.

— Arystokracja? — zapytała Luba.

— Tak...

— Tam twoje miejsce! — z pogardliwym uśmiechem zawołała Luba. — Ach ty! Czyż to są ludzie? Czyż oni mają dusze?

— Skąd wiesz? Przecież ich nie znasz...

— A książki? Czyż nie czytałam?

Pokojówka przyniosła samowar i rozmowa urwała się. Luba w milczeniu zaparzała herbatę. Tomasz patrzył na nią, a myślał o Medyńskiej. Jakżeż chciałby z nią porozmawiać.

— Ta-ak, — przemówiła dziewczyna w zamyśleniu — coraz bardziej przekonywam się z dnia na dzień, że żyć — ciężko... Co mam robić? Zamąż iść? Za kogo? Za kupca, który przez całe życie będzie ludzi obdzierał, pił, grał w karty? Za barbarzyńcę? Nie chcę! Chcę być człowiekiem... ja już nim jestem, bo zrozumiałam, jak źle jest urządzone życie. Uczyć się? Czyż ojciec puści... Mój Boże! Chyba uciec stąd? Brak odwagi... Cóż mam czynić!

Załamała ręce i zwiesiła głowę nad stołem.

— Gdybyś wiedział, jak mi tu wszystko zbrzydło... Ani żywej duszy naokół... Zaraz po śmierci matki ojciec porozpędzał wszystkich. Niektórzy wyjechali kształcić się... Filipina wyjechała. Pisze wciąż, radzi: czytaj. Ach, ja też czytam! czytam! — zawołała z rozpaczą w głosie i po chwili ciągnęła ze smutkiem dalej:

— W książkach niema tego, czego sercu potrzeba... wielu rzeczy nie mogę w nich zrozumieć... Wreszcie, nudzi mię to... nudno czytać zawsze samej, samej, samej! Chciałoby się porozmawiać z człowiekiem, a człowieka niema! Nuda okropna... raz jeden się żyje i czasby już zacząć żyć... a człowieka wciąż niema i... niema! Poco żyć? Filipina mówi: czytaj a zrozumiesz. Ja łaknę chleba, a ona daje mi kamień... Rozumiem, że trzeba bronić tego, co się kocha i w co się wierzy... że trzeba walczyć...

I zakończyła prawie z jękiem.

— Ale jestem sama! Z kim walczyć? Niema wrogów... niema ludzi! Żyję jak w więzieniu!

Tomasz słuchał, przyglądając się uważnie palcom swej ręki, wyczuwał wielki smutek w jej słowach, ale nie rozumiał jej. I kiedy, zgnębiona i smutna, zamilkła, nie znalazł nic innego do powiedzenia, prócz słów wyrzutu:

— Sama mówisz, że książki nie mają dla ciebie żadnej wartości, a mnie uczysz: czytaj...

Spojrzała mu w twarz, a w oczach jej błysnęła złość.

— Jak jabym pragnęła, żeby zbudziły się w tobie wszystkie te męki... któremi ja żyję... Żebyś i ty, podobnie jak ja, nie sypiał rozmyślając po nocach, żeby i tobie wszystko obrzydło... i żebyś sam sobie obrzydł! Nienawidzę was wszystkich... nienawidzę!

Cała czerwona, patrzyła na niego z taką nienawiścią i mówiła z taką złością, że Tomasz uczuł się raczej zdumiony, niż obrażony. Nigdy jeszcze tak z nim nie rozmawiała.

— Co ci jest? — zapytał.

— I ciebie nienawidzę! Ty... czemże jesteś? Martwy, próżny... jak będziesz żył? Co dasz ludziom? — mówiła z jakąś szczególniejszą intonacją.

— Nic nie dam, niechaj się sami dobijają... — odpowiedział Tomasz, wiedząc, że temi słowy rozgniewa ją jeszcze bardziej.

— Nędznik! — zawołała pogardliwie dziewczyna.

Pewność i siła, które brzmiały w jej wyrzutach, zmuszały mimowolnie Tomasza do uważnego przysłuchiwania się jej gniewnej mowie; odczuwał w niej pewien sens. Przysunął się nawet bliżej do Luby, lecz ona, niechętna i zagniewana, odwróciła się od niego i zamilkła.

Na ulicy było jeszcze widno, na gałęziach lip przed oknami leżał jeszcze odblask zachodu, ale pokój przepełniony był już zmrokiem. Ogromne wahadło wyglądało co sekunda z szafki zegara i, błysnąwszy, chowało się z głuchem, monotonnem cyknięciem to w prawo to w lewo. Tomasz patrzył na wahadło i czuł, jak ogarnia go nuda. Luba wstała i zapaliła lampę wiszącą nad stołem. Twarz dziewczyny była blada i surowa.

— Napadłaś na mnie, — przemówił łagodnie Tomasz, — z jakiej racji? Nie rozumiem...

— Nie chcę z tobą rozmawiać! — gniewnie odrzekła Luba.

— To twoja rzecz... Ale w każdym razie... cóż zawiniłem?

— Ty?

— Ja...

— Zrazum-że wreszcie, że duszno mi! ciasno... Czyż to jest życie? Czyż tak ludzie żyją? Kto ja jestem? Rezydentka u ojca... trzyma mnie dla gospodarstwa... potem zamąż! znów gospodarstwo... To bagno... zalewa mnie... duszę się!..

— Gdzież tu moja wina? — zapytał Tomasz.

— Ty — nielepszy jesteś od innych...

— I to moja wina wobec ciebie?

— Tak! Powinieneś chcieć... być lepszym...

— Czyż ja tego nie chcę? — zawołał Tomasz.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale w tej chwili zadzwonił gdzieś dzwonek: wsunęła się głębiej w fotel i rzekła półgłosem:

— Ojciec...

— Mógłby przyjść trochę później, nie byłoby zmartwienia, — rzekł Tomasz. — Chciałbym posłuchać cię jeszcze... bardzo ciekawe... rzeczy...

— A! Dziatki, gołąbki moje! — zawołał Jakób Tarasowicz, ukazując się we drzwiach. — Herbatkę pijecie? Nalej mi, Lubo!

Uśmiechając się słodko i zacierając ręce, usiadł obok Tomasza i, trąciwszy go filuternie w bok, zapytał:

— O czemże gruchaliście?

— Tak... o różnych głupstwach, — odpowiedziała Luba.

— Czy ja się ciebie pytam? — wykrzywiwszy twarz powiedział ojciec. — Pilnuj swojej babskiej roboty i siedź cicho...

— Opowiadałem jej o obiedzie,—przerwał mu Tomasz.

— Aha! Ta-ak... Ja także będę mówił o obiedzie... Dość długo obserwowałem ciebie... niemądrze się zachowujesz!

— To jest jak? — zapytał Tomasz, marszcząc brwi.

— To jest poprostu niemądrze i basta. Rozmawia, naprzykład, z tobą gubernator, a ty milczysz...

— Cóż miałem mówić? Powiada, że to wielkie nieszczęście stracić ojca... sam wiem o tem... Cóż mu miałem powiedzieć?

— Ponieważ, wasza ekscelencjo, Bóg tak chciał, więc nie narzekam... Tak mogłeś odpowiedzieć, lub coś innego w tym rodzaju... Gubernatorzy, kochanku, bardzo lubią pokornych ludzi.

— Cóż mam owcę wobec niego udawać? — uśmiechnął się Tomasz.

— Właśnie, że byłeś naprawdę owcą, — a to źle.. Nie trzeba być ani owcą, ani wilkiem, a tylko tak jakoś odegrać przed nim rolę: wyście nasi ojcowie, myśmy wasze dzieci... zmiękłby zaraz...

— A to poco?

— Na wszelki wypadek... Gubernator, bracie, zawsze przydać się może.

— Czego też uczy go ojciec! — cicho lecz z oburzeniem odezwała się Luba.

— Jakto czego?

— Lokajstwa...

— Kłamiesz! Uczę polityki, a nie lokajstwa, polityki życiowej.... I wiesz co — wynoś się stąd lepiej! odejdź od pokusy... przygotuj nam lepiej przekąskę. Z Bogiem!

Luba prędko wstała i wyszła, rzuciwszy na poręcz krzesła ręcznik, który trzymała w ręce... Ojciec przymrużył oczy, popatrzył na nią, pobębnił palcami po stole i rzekł:

— Muszę nauczyć cię, Tomaszu. Wyłożę ci prawdziwą, rzeczywistą naukę i filozofję... i jeżeli zrozumiesz ją — unikniesz w życiu omyłek.

Tomasz spojrzał, jak zmarszczki ruszają się na czole starca, i wydały mu się one podobne do wierszy staro-słowiańskiego druku.

— Przedewszystkiem, Tomaszu, jeżeli już żyjesz na tej ziemi, obowiązany jesteś zastanowić się nad wszystkiem, co się wkoło ciebie dzieje. Poco? A poto, abyś sam nie ucierpiał z braku rozsądku i głupotą swą nie zaszkodził innym ludziom. A teraz posłuchaj: każda sprawa ludzka ma dwa oblicza: jedno widoczne dla wszystkich — fałszywe, drugie ukryte — i to właśnie jest istotne, rzeczywiste. To istotne właśnie trzeba umieć odnaleźć, żeby zrozumieć prawdziwy sens wszelkiej sprawy. Rozważ, naprzykład, naco są przytułki noclegowe, domy pracy, ochrony i inne tego rodzaju instytucje?

— Pocóż rozważać? — powiedział znudzony Tomasz. — Wszyscy wiedzą, na co... dla ubogich, dla chorych...

— Ach, bracie! Czasem wszyscy wiedzą, że ten oto człowiek jest łotrem i szubrawcem, a jednak wszyscy zowią go Janem albo Piotrem i tytułują szanownym albo czcigodnym.

— Do czego to zmierza?

— Wszystko do rzeczy... Mówisz tedy, że te domy są dla ubogich i żebraków, a więc — zgodnie z przykazaniami Chrystusa... Dobrze! A któż to jest ubogi? Ubogi, to czło-

wiek, którego los zmusił do przypominania nam o Chrystusie, to brat w Chrystusie, dzwon Pański, który budzi w nas sumienie... Staje on pod oknem i zawodzi: i tym śpiewem swoim przypomina nam o Chrystusie, o Jego świętym nakazie, żeby pomagać bliźniemu... Ludzie atoli urządzili swoje życie w ten sposób, że wcale nie mogą postępować według nauki Chrystusa i Jezus Chrystus stał się dla nas zupełnie zbyteczny. Nie raz, a chyba ze sto tysięcy razy skazywaliśmy Go na mękę, a nie możemy pomimo to wygnać Go z życia, dopóki ubodzy jego bracia wyśpiewują na ulicach Imię Jego i przypominają nam o Nim... I oto wpadliśmy teraz na pomysł zamknięcia ubogich w takich specjalnych domach, żeby nie włóczyli się po ulicach i nie budzili w nas sumienia.

— Ładny pomysł! — wyszeptał ze zdziwieniem Tomasz, patrząc wytrzeszczonemi oczyma na chrzestnego ojca.

— A co! — zawołał Majakin i oczy jego zaświeciły triumfem.

— Jakże to ojciec nieboszczyk... nie domyślił się? — zapytał z niepokojem Tomasz.

— Poczekaj! Posłuchaj-no jeszcze, dalej — gorzej będzie. Wpadliśmy tedy na pomysł zamykania ich w różnych domach; żeby jednak utrzymanie ich tam nie kosztowało drogo, zaczęliśmy zmuszać starców i kaleki do pracy... Teraz oto nie potrzebujemy już dawać jałmużny, a po uprzątnięciu z naszych ulic różnych oberwańców, nie widzimy już ich niedoli i nędzy i możemy spokojnie mniemać, że wszyscy ludzie na ziemi są syci, obuci, odziani... Oto jaki jest cel tych przeróżnych instytucyj, służą one do ukrycia prawdy... do wypędzenia Chrystusa z naszego życia! Zrozumiałeś?

— Ta-ak! — rzekł Tamasz, oszołomiony zręczną dialektyką starca.

— Niedość tego... kałuża niewyczerpana do dna!—zawołał Majakin, wymachując z ożywieniem ręką w powietrzu.

Zmarszczki mieniły się na jego twarzy; długi krogulczy nos drgał, a w głosie dźwięczała nuta jakiegoś natchnienia i zapału.

— Spójrzmy teraz na tę kwestję z innej strony. Któż daje najwięcej na te wszystkie domy, przytułki, ochrony dla biednych? Dają ludzie bogaci, kupcy, nasze kupiectwo... Dobrze! A któż kieruje życiem i urządza je? Szlachta, urzędnicy, i różni inni, nienasi ludzie... Oni wydają i prawa i gazety i nauki... wszystko oni. Dawniej siedzieli oni na ziemi, kiedy jednak ziemia wymknęła się im z pod nóg, poszli w służbę, na urzędy... Tak! Któż jednak w dzisiejszych czasach najwięcej ma siły? Kupiec w państwie jest pierwszą siłą, ponieważ ma miljony! Czy nie tak?

— Tak! — zgodził się Tomasz, chcąc co prędzej usłyszeć owe niedomówienia, które przebłyskiwały już w oczach ojca chrzestnego.

— Zważ to dobrze, — cedząc wyrazy, ciągnął dalej starzec, — że nie my, kupcy, urządzaliśmy życie i że do dziś dnia nie mamy w tem wszystkiem ani głosu, ani możności zabrania się do pracy. Inni urządzali życie, oni też zaprowadzili w niem wszelką nędzę i brud, żebraków i hultajów, a jeżeli oni rozpłodzili to śmiecie i zanieczyścili, zepsuli życie, — to, podług sprawiedliwości, niech sami je uprzątają. Tymczasem uprzątamy my, na ubogich składamy ofiary — my, opiekujemy się nimi — my... Osądź, proszę, poco nam łatać cudze łachmany, jeżeli nie myśmy je podarli? Poco mamy podtrzymywać i poprawiać budynek, jeżeli nigdy w nim nie mieszkaliśmy i jeżeli nie do nas on należy? Czy nie rozumniej będzie usunąć się, stać sobie na uboczu i patrzeć jak rozmnaża się cała ta zgnilizna i dławi, zjada obcego nam człowieka? Nie poradzi z nią sobie... środków nie ma. Zwróci się wówczas do nas... i powie: panowie, pomóżcie proszę! A my im na to: dajcie nam pole do pracy! Zaliczcie nas do rzędu budowniczych życia! A kiedy i nas dopuszczą — dopiero wtedy powinniśmy za jednym zamachem oczyścić życie z wszelkiego plugastwa i liszajów. Wtedy sam cesarz przekona się na własne oczy, gdzie są jego wierne sługi i ile, siedząc dotąd bezczynnie, nagromadzili w sobie rozumu... Rozumiesz?

— Jak nie mam rozumieć! — zawołał Tomasz.

Kiedy ojciec chrzestny mówił o urzędnikach, przypo-

mniał sobie osoby, które były na obiedzie, wspomniał rozmownego sekretarza i przez głowę przemknęła mu myśl, że ten mały okrąglutki człeczyna ma na pewno rocznego dochodu nie więcej nad tysiąc rubli, gdy on, Tomasz, ma miljon. Ale życie tego człowieka płynie tak łatwo i swobodnie, on zaś, Tomasz, nie umie i niemal wstydzi się żyć. To zestawienie i słowa ojca chrzestnego wznieciły w nim cały wicher myśli, ale on zdążył uchwycić i przyoblec w formę jedną tylko z nich.

— Rzeczywiście — czyż dla pieniędzy tylko pracować? Jaki sens w nich, jeżeli nie dają one władzy!

— A co! — zawołał Majakin, przymrużając oczy.

— Ach! — rzekł Tomasz z urazą, — a cóż mój ojciec na to? Czy chrzestny ojciec rozmawiał z nim?

— Przez lat dwadzieścia mówiłem...

— No i cóż on na to?

— Moja mowa nie trafiała do jego rozumu... nieboszczyk za grube miał kości w czaszce... Otwarta to była dusza, ale rozum miał gdzieś głęboko... schowany... Ta-ak, popełnił błąd... i wielka szkoda tych pieniędzy...

— Ja tam pieniędzy nie żałuję...

— Spróbowałbyś sam dorobić się choć dziesiątej części tego, wtedy mógłbyś mówić...

— Czy mogę wejść? — rozległ się za drzwiami głos Luby.

— Możesz... — odrzekł jej ojciec.

— Czy zaraz podać przekąskę? — zapytała wchodząc.

— Dawaj...

Luba podeszła do kredensu i zaczęła wyjmować naczynie... Majakin popatrzył na nią, pożuł ustami i, klepiąc Tomasza dłonią po kolanie, rzekł:

— Tak, chrześniaku! Trzeba to wszystko zrozumieć...

Tomasz uśmiechnął się, a w duchu pomyślał:

— Mądry... mądrzejszy chyba od ojca....

I jednocześnie odpowiedział sam sobie, ale jakby innym głosem:

— Mądrzejszy, ale gorszy...

## V.

Dwoisty stosunek Tomasza do Majakina potęgował się z biegiem czasu: przysłuchując się pilnie i z chciwą ciekawością jego rozmowom, czuł, że każde spotkanie z chrzestnym ojcem zwiększa w nim niechęć ku niemu. Czasami Jakób Tarasowicz budził w chrześniaku uczucie podobne do strachu, czasami nawet wstręt fizyczny. Wstręt ten uczuwał Tomasz zwykle wtenczas, kiedy stary był zadowolony z czegoś i śmiał się. Zmarszczki mu drżały od śmiechu, zmieniając co chwila wyraz twarzy; suche i cienkie wargi drżały rozciągając się, i ukazywały czarne szczątki zębów a ruda bródka jakby pałała ogniem i dźwięk głosu podobny był do skrzypienia zardzewiałych zawiasów. Nie umiejąc taić swych uczuć, Tomasz często zdradzał je słowem lub gestem, ale starzec jakby na to nie zważał i, nie spuszczając z oczu chrześniaka, kierował każdym jego krokiem. Nie zaglądał prawie do swojego sklepiku, pochłonięty całkiem interesami młodego Gordiejewa, pozostawiając Tomaszowi dużo wolnego czasu. Dzięki znaczeniu Majakina w mieście i rozległym jego stosunkom na Wołdze, interes szedł świetnie, lecz gorliwe zajęcie się Majakina interesem coraz bardziej utwierdzało Tomasza w przekonaniu, że chrzestny ojciec zdecydował się stanowczo ożenić go z Lubą, — i to odpychało go jeszcze silniej od starca.

Luba podobała mu się i zarazem budziła w nim jakąś podejrzliwą obawę. Nie wychodziła zamąż i chrzestny ojciec nigdy o tem nie wspominał, nie urządzał wieczorów, nie zapraszał nikogo z młodzieży do siebie i nie puszczał nigdzie Luby. Wszystkie jej koleżanki były już zamężne... Tomasz podziwiał jej wymowę i słuchał jej słów równie chciwie, jak i słów jej ojca; kiedy jednak zaczynała opowiadać z miłością i tęsknotą o Tarasie, zdawało mu się, że ma ona na myśli nie Tarasa, lecz kogoś innego, być może tego samego Jeżowa, który, według jej słów, musiał dla niewiadomych powodów opuścić uniwersytet i wyjechać z Moskwy. Miała w sobie wiele prostoty i dobroci i to w niej podobało się Tomaszowi; często, gdy słuchał jej roz-

mów, żal mu się jej robiło — sprawiała na nim wrażenie, że nie żyje, a śni na jawie...

Zachowanie się Tomasza na stypie pogrzebowej stało się głośne w całem mieście i zjednało mu wśród kupców zwłaszcza, nieprzychylną opinję. Bywając na giełdzie, zauważył, że wszyscy spoglądają nań drwiąco, nieżyczliwie i jakoś dziwnie z nim rozmawiają. Razu pewnego usłyszał nawet przyciszony ,ale lekceważący okrzyk za swojemi plecami:

— Pyszałek! Młokos...

Czuł, że to mowa o nim, ale nie obejrzał się i nie popatrzył, kto cisnął weń te słowa. Bogacze, wobec których z początku czuł się onieśmielony, coraz bardziej tracili w jego oczach urok swoich bogactw i rozumu. Nieraz już wydarli mu z rąk tę lub ową zyskowną dostawę; wiedział dobrze, że i w przyszłości zrobią to samo; wszyscy wydawali mu się jednako chciwi pieniędzy, zawsze gotowi do wzajemnego oszustwa. Kiedy zakomunikował to spostrzeżenie chrzestnemu ojcu, usłyszał taką odpowiedź:

— A cóż ty chciałeś? Handel — to tak jak wojna... stawia się wszystko na kartę. Tu walka idzie o kabzę, a w kabzie — dusza siedzi...

— To mi się nie podoba, — oświadczył Tomasz.

— I mnie się nie wszystko podoba... dużo fałszu. Ale w handlu nie można być otwartym, potrzebna jest polityka! Tutaj, bratku, gdy podchodzisz do człowieka, to trzymaj w lewej ręce miód, a w prawej nóż. Każdy chciałby za grosz dziesiątek nakupić.

— To już... niebardzo dobrze, — rzekł w zamyśleniu Tomasz.

— Dobrze — to potem będzie... kiedy zwyciężysz, wtedy i dobrze... Życie, braciszku, urządzone jest bardzo prosto: albo wszystkich gryź, albo sam w błoto leź...

Stary uśmiechnął się, a szczątki zębów w jego ustach nasunęły Tomaszowi zjadliwą myśl:

„Zagryzłeś widać, niejednego..."

— Jednem słowem — wojna! — powtórzył starzec.

— I to jest owo najprawdziwsze życie? — zapytał Tomasz, patrząc badawczo na Majakina.

— Jakto, najprawdziwsze?

— Czyż nic lepszego nie ma? Czy to już wszystko?

— Cóż więcej? każdy żyje dla siebie. Każdy sobie najlepszego życzy... A co to jest to najlepsze? Prześcignąć innych, wybić się ponad wszystkich. Otóż wszyscy starają się zająć pierwsze miejsce w życiu... jeden tak, drugi owak... ale wszyscy chcą koniecznie być, jak dzwonnica, widzialni zdaleka. Wywyższać się... takie już powołanie człowieka... Nawet w księdze Hioba powiedziano jest: „człowiek na kłopot się rodzi, jako iskry z węgla latają wgórę". Przypatrz się: nawet dzieci chcą się nawzajem prześcignąć w zabawie. Każda gra ma swój wysoki cel i dlatego jest zajmująca... Czy zrozumiałeś?

— To ja rozumiem! — odrzekł Tomasz z przekonaniem.

—Trzeba to i czuć także... samem rozumieniem daleko nie zajedziesz, a trzeba jeszcze chcieć, tak chcieć, żeby góra wydawała ci się pagórkiem, a morze — kałużą. Ach, ja w twoim wieku żyłem pełnią życia! Ty zaś wciąż jeszcze tylko jakby miarkujesz... Zresztą — dobry owoc nieprędko dojrzewa...

Rozmowy starca prędko osiągnęły to, na co były obliczone: Tomasz wsłuchał się w nie i wyjaśnił sobie cel życia. Trzeba być lepszym, niż inni, — zadecydował i podniecona ambicja wżarła się głęboko w jego serce... Wżarła się, ale nie wypełniła go całkowicie, pochłaniał je bowiem coraz więcej stosunek do Medyńskiej, który przybierał charakter namiętności. Ciągnęło Tomasza ku niej, pragnął widzieć ją zawsze, a wobec niej był onieśmielony, stawał się niezgrabny, głupi, wiedział o tem i cierpiał z tego powodu. Odwiedzał ją często, ale rzadko mógł zastać ją samą w domu: dokoła niej roili się zawsze uperfumowani eleganci, jak muchy koło kawałka cukru. Rozmawiali z nią po francusku, śpiewali, śmieli się, kiedy on milczał i patrzał na nich pełen niechęci i zazdrości. Siadywał zwykle gdzieś w kącie pretensjonalnie umeblowanego saloniku, — gdzie było bardzo trudno chodzić, żeby nie zawadzić o coś i nie przewrócić czegoś — siedział i przypatrywał się zpode łba wszystkim.

Po miękkich dywanach, bez szelestu przesuwała się pani domu, rzucając mu słodkie spojrzenia i uśmiechy; wkoło niej uwijali się jej wielbiciele i wszyscy omijali tak zwinnie, jak węże, rozmaite stoliki, krzesła, żardynierki parawaniki — cały magazyn ładnych i kruchych cacek, rozrzuconych po pokoju, w nieładzie, zarówno niebezpiecznym dla nich, jak i dla Tomasza. Kiedy szedł, dywan nie przytłumiał jego kroków i wszystkie te przedmioty czepiały się jego surduta, trzęsły się i spadały. Przy fortepianie stał tam bronzowy posążek, wyobrażający majtka rzucającego z rozmachem pas ratunkowy, na którym wisiały sznurki z drutu, — one to ciągle targały Tomasza za włosy. Wszystko to śmieszyło Zofję Pawłownę i jej wielbicieli, ale drogo kosztowało Tomasza, któremu robiło się to zimno to gorąco.

Nie było mu lżej jednak i wtedy, kiedy był sam na sam z nią. Przywitawszy go uprzejmym uśmiechem, zasiadała z nim w jednym z zacisznych kącików salonu i tam rozpoczynała rozmowę zazwyczaj od tego, że żaliła się przed nim na wszystkich:

— Nie uwierzy pan, z jaką przyjemnością widzę pana.

Przeginając się, jak kotka, zaglądała mu w oczy swojem ciemnem spojrzeniem, w którem świeciło wtedy coś drapieżnego.

— Tak lubię rozmawiać z panem, — mówiła słodko, cedząc wyrazy. — Wszyscy ci dokuczyli mi już... tacy nudni, ordynarni, zużyci. A pan — taki świeży, młody szczery. Wszak pan nie lubi ich także?

— Nie znoszę! — podchwycił Tomasz.

— A mnie? — pytała cicho.

Tomasz odwracał oczy w bok i z westchnieniem mówił.

— Po raz który zapytuje mnie pani o to...

— Czy panu trudno mi na to odpowiedzieć?

— Bynajmniej... ale poco?

— Muszę o tem wiedzieć...

— Pani igra ze mną... — mówił ponuro Tomasz.

A ona szeroko otwierała oczy i zapytywała tonem głębokiego zdziwienia:

— Jakto igram? Co to znaczy igrać?

I twarz jej przybierała tak anielski wyraz, że nie mógł jej nie wierzyć.

— Kocham panią... kocham! Czyż można — nie kochać pani? — mówił gorąco i zarazem ze smutkiem dodawał przyciszonym głosem: — Ale naco to pani!

— Otóż pan powiedział nareszcie! — wzdychała z zadowoleniem Medyńska i odsuwała się dalej od niego.

— Sprawia mi to zawsze wielką przyjemność, kiedy słyszę to z ust pańskich... mówił to pan tak jakoś szczerze, po młodemu.

— Czy chce pan pocałować mnie w rękę?

Chwytał w milczeniu jej białą delikatną rączkę i, schyliwszy się ku niej ostrożnie, całował długo, gorąco. Ona wyrywała mu rękę uśmiechnięta, piękna, lecz niewzruszona jego zapałem. Z zadumą i tym blaskiem w oczach, który zawsze niepokoił Tomasza, przyglądała mu się jakby czemuś badzo ciekawemu i rzadkiemu, i mówiła:

— Ile pan ma zdrowia, sił, młodzieńczości duchowej! Wie pan — wszak wy, kupcy, — to plemię, posiadające swoje oryginalne tradycje, olbrzymie zasoby energji ducha i ciała... Pan naprzykład; wszak pan — to drogocenny kamień i gdyby pana oszlifować... o!

Kiedy mówiła: wy, po waszemu, po kupiecku, — zdawało się Tomaszowi, że jakby go odtrącała od siebie temi słowy. Raziło go to i zasmucało. Milczał, patrząc na jej drobną postać, zawsze niezwykle jakoś pięknie odzianą, zawsze wonną, jak kwiatek, i dziewiczą. Czasami budziło się w nim nagle dzikie i brutalne pragnienie pochwycenia jej i wycałowania. Ale jej piękność i ta delikatność wysmukłego i giętkiego ciała napełniały go obawą, by przypadkiem nie uszkodzić, nie złamać, nie okaleczyć jej, a spokojny, łagodny głos i jasny, lecz jakby czatujący wzrok ochładzały jego porywy; miał wrażenie, że patrzy mu prosto do duszy i rozumie wszystkie jego poruszenia. Te wybuchy uczucia były rzadkie, wogóle zaś młodzieniec zachowywał się względem Medyńskiej jak względem bóstwa, w którem wszystko podziwiał — piękność, słowo każde, nawet strój. Obok tego

jednak dręczyła go nieustannie świadomość, że jest dla niej daleki i że ona jest wyższa duchowo od niego.

Stosunek ten ułożył się między nimi prędko; Medyńska po dwóch — trzech spotkaniach opanowała go całkowicie i zaczęła go doświadczać powoli. Władza nad zdrowym silnym mężczyzną nęciła ją zapewne, podobało się, że głosem i spojrzeniem może budzić i poskramiać w nim wybuchy namiętne, i upajała się tą grą, przekonana o sile swej władzy. Odchodził od niej niemal chory z podniecenia i wynosił ze sobą żal do niej, złość do siebie i wiele odurzających go uczuć. A po dwóch dniach powracał znów na mękę.

Razu pewnego zapytał ją nieśmiało:

— Proszę mi powiedzieć... Czy pani miała dzieci?

— Nie...

— Wiedziałem o tem! — zawołał radośnie Tomasz.

Spojrzała nań oczyma zupełnie małej i naiwnej dziewczynki i rzekła:

— Skądże pan wiedział o tem? I poco panu wiedzieć, czy miałam dzieci?

Tomasz zarumienił się, zwiesił głowę i zaczął mówić tak, jakgdyby słowa wydobywał z pod ziemi, a każdy wyraz ważył co najmniej kilka pudów.

— Widzi pani... jeżeli kobieta, która... to jest miała dzieci, to ma oczy... zupełnie inne...

— Ta-ak? A jakież?

— Bezwstydne! — wybuchnął Tomasz.

Medyńska zaśmiała się swoim srebrzystym śmiechem i Tomasz, patrząc na nią, roześmiał się również.

— Proszę mi wybaczyć! — rzekł wkońcu. — Wyraziłem się, może, niedobrze... nieprzyzwoicie...

— O nie, nie! Pan nic nie może powiedzieć nieprzyzwoitego... czysty, miły chłopiec. A więc moje oczy nie są bezwstydne?

— Pani oczy są.... anielskie! — rzekł uroczyście Tomasz, patrząc na nią pałającym wzrokiem.

Spojrzała nań tak, jak nie patrzyła jeszcze dotąd, — wzrokiem kobiety-matki, tęsknem spojrzeniem miłości, połączonej z trwogą o ukochanego.

— Idź, złoteńki... Jestem zmęczona i chcę odpocząć... — rzekła wstając i nie patrząc na niego.

Wyszedł z pokorą.

Przez pewien czas po tej rozmowie była względem niego surowa i bardziej uczciwa, jakgdyby litowała się nad nim, lecz wkrótce stosunek przybrał znowu dawną formę — igrania kota z myszą.

Stosunek Tomasza do Medyńskiej nie mógł ukryć się przed chrzestnym ojcem i starzec, wykrzywiając złośliwie usta, zapytał go pewnego razu:

— Tomku! Częściej macaj swą głowę, żebyś jej przypadkiem nie stracił.

— A to do czego zmierza? — zapytał Tomasz.

— Do Zośki... za bardzo już często do niej chodzisz.

— Co też ojciec? — szorstko odparł Tomasz. — I jaka ona Zośka dla ojca?

— Mnie nic to nie obchodzi, mnie od tego nie ubędzie, jeżeli ciebie obgryzą... A że ją nazywają Zośką — o tem wiedzą wszyscy... I o tem też wszyscy wiedzą, — że ona lubi cudzemi rękoma wyjmować z pieca kasztany.

— Mądra jest! — rzekł Tomasz stanowczo, marszcząc brwi i chowając ręce do kieszeni. — Wykształcona...

— Mądra, to prawda. Na ostatniem posiedzeniu doskonale wyprowadziła: dochodu dwa tysiące czterysta, rozchodu — tysiąc dziewięćset... A tymczasem rozchód nawet tysiąca nie wyniesie... bo przecie wszystko jej zadarmo robią... Wykształcona!.. Ciebie też wykształci... Urwisy zwłaszcza, którzy koło niej się uwijają...

— Nie urwisy, a... też rozumni ludzie! — odparł ze złością Tomasz, przecząc sam sobie. — Ja się uczę od nich. Czemże jestem? Ani do tańca, ani do różańca... Czego mnie nauczono? Tam zaś rozmawiają o wszystkiem... i każdy ma swe zdanie. Niechże mi ojciec nie przeszkadza zostać takim, jak inni, człowiekiem...

— Masz ci go! Jak się nauczył mówić! Sypie niby grad po dachu... ostro! No, dobrze... bądź sobie człowiekiem jak inni... tylko w tym celu bezpieczniej jest chodzić choćby do resturacji; zawsze tam ludzie lepsi, niż ci u Zofji. Nauczyłbyś się, chłopcze, lepiej poznawać ludzi, jacy do

czego... Zofja — naprzykład... Co ona zacz? Piękny owad ku ozdobie natury i — nic więcej.

Wzburzony do głębi Tomasz zacisnął zęby i wyszedł, wsunąwszy jeszcze głębiej ręce do kieszeni. Ale starzec wkrótce znów mówić zaczął o Medyńskiej.

Wracali z przystani, gdzie oglądali statki parowe, i siedząc w obszernych i wygodnych saniach przyjaźnie i z ożywieniem rozmawiali o interesach. Było to w marcu: pod płozami sań bulgotała woda, śnieg był już pokryty brudnym osadem, a słońce świeciło wesoło i ciepło na jasnem niebie.

— Jak wrócisz, to pierwsza rzecz — pójdziesz do swej pani? — zapytał niespokojnie Majakin, przerywając rozmowę o interesach.

— Pójdę, — odrzekł Tomasz krótko i z niezadowoleniem.

— Hm... Przyznaj się, często dajesz jej prezenty? — zapytał Majakin otwarcie i jakoś serdecznie.

— Co za prezenty? poco? — zdziwił się Tomasz.

— Czyż nie dajesz? Patrzcie... Czyżby ona tylko tak z miłości żyła z tobą?

W Tomaszu zawrzał gniew i wstyd: obrócił się nagle do starca i rzekł z wyrzutem:

— Ach! Ojciec już stary, a mówi takie rzeczy — że wstyd słuchać! Też... Czyż ona... przystałyby na coś podobnego?!

Majakin cmoknął ustami i wyśpiewał zrozpaczonym głosem:

— To ci du-reń! To ci głu-u-piec! — i nagle splunął gniewnie. — Tfu! Każde bydlę piło już z tego garnka, pozostały męty, a on głupiec omal że nie modli się do brudnego garnka... A niechże cię djabli! Idź do niej i powiedz otwarcie: pragnę zostać kochankiem pani... młody jestem, dużo ode mnie niech pani nie żąda.

— Ojcze! — odezwał się Tomasz ponuro i groźnie. — Ja tego słuchać nie chcę... Gdyby to kto inny...

— A któż ostrzeże ciebie, jeżeli nie ja. O Boże! — jęknął Majakin, klasnąwszy w dłonie. — To ona cię przez całą zimę za nos wodziła? To ci nos dopiero! A, łotrzyca!

Starzec był szczerze oburzony; złość, gniew, nawet łzy dźwięczały w jego głosie. Tomasz nigdy jeszcze nie widział go takim i milczał mimowolnie, patrząc na niego.

— Wszak ona ciebie znieprawi, zniszczy! Ach, Boże! Rozpustnica babilońska!..

Oczy Majakina szybko mrugały, usta drżały: grubjańskiemi, cynicznemi wyrazami jął mówić o Medyńskiej, zapalając się i krzycząc ze złości.

Tomasz czuł, że starzec mówi prawdę, a w ustach czuł suchość i gorycz.

— Dobrze, ojcze, dosyć... — poprosił wreszcie, cichym i złamanym głosem, odwracając głowę od Majakina.

— Ot, trzeba, żebyś się prędzej ożenił!—zawołał starzec.

— Na miłość Boską, nie mówmy o tem... — odezwał się głucho Tomasz.

Majakin spojrzał na chrześniaka i zamilkł. Twarz Tomasza jakby wydłużyła się, zbladła; w półotwartych ustach i w tęsknem spojrzeniu malował się wyraz ciężkiego i gorzkiego zdziwienia... Po prawej i lewej stronie drogi ciągnęło się pole, pokryte brudnemi plamami śniegu. Po czarnych miejscach, gdzie śnieg znikł, skakały skrzętnie gawrony. Pod płozami chlupała woda a brudny śnieg bryzgał z pod końskich nóg...

— Jakże głupi jest człowiek w młodości! — westchnął zcicha Majakin. Tomasz nie spojrzał nawet nań. — Pień stoi przed nim, a jemu się zdaje, że to łeb dzikiego zwierza... i straszy w ten sposób sam siebie... o-ho-ho!

— O co ojcu chodzi? proszę mówić wyraźnie — rzekł ponuro Tomasz.

— Co tu gadać? Rzecz jasna: dziewczęta — śmietanka, kobiety — mleko; kobiety blisko, dziewczęta daleko... idź więc do Zośki, jeżeli nie możesz obejść się bez tego i powiedz jej wprost... tak a tak... Zastanów-że się, głuptasie! Przecież jeżeli ona puszcza się, to łatwiej ci się dostanie... Czego się nadymasz? Czego się jeżysz?

— Bo ojciec nie rozumie... — powiedział zcicha Tomasz.

— Czego nie rozumiem? Ja wszystko rozumiem!

— Serca... człowiek ma serce... — cicho westchnął młodzieniec.

Majakin przymknął oczy i rzekł:

— Więc nie ma rozumu...

## VI.

Tomasz przyjechał do miasta, miotany bolesnem i mściwem uczuciem. Pałał namiętną żądzą obrażenia Medyńskiej, sponiewierania jej. Zacisnąwszy mocno zęby i wsunąwszy głęboko ręce do kieszeni, chodził przez kilka godzin po pustych pokojach swego domu, ze zmarszczonemi groźnie brwiami i co chwila wydymając naprzód pierś, jakgdyby przepełnionemu krzywdą sercu jego za ciasno było w piersi. Ciężko i miarowo tupał nogami po podłodze, jakby kując swą złość.

— Podła... anioła udaje!

Chwilami jednak nadzieja szeptała mu nieśmiałym głosem:

— „A może wszystko to kłamstwo, co o niej mówią"..

Ale wnet przypomniał sobie stanowczość i siłę, z jaką wypowiadał swe sądy ojciec chrzestny — i wszelka niepewność znikała. Zaciskał wtedy mocniej zęby i jeszcze bardziej wypinał naprzód pierś. Złe myśli wpijały mu się w serce, jak drzazgi, i przeszywały je ostrym bólem.

Obrzuciwszy Medyńską błotem, Majakin uczynił ją tem samem bardziej dostępną dla chrzestnego syna, co też Tomasz prędko zrozumiał. Kilka dni upłynęło śród wiosennych, pilnych zajęć i wzburzone uczucia Tomasza uspokoiły się. Smutek po stracie człowieka złagodził złość do kobiety, a myśl o możności posiadania jej, spotęgowała namiętne pożądanie. I niepostrzeżenie dla siebie samego zrozumiał to nagle i postanowił, że powinien pójść do Zofji Pawłowny i powiedzieć jej otwarcie, czego od niej chce. Powziąwszy to postanowienie, uczuł nawet jakąś radość i wnet udał się śmiało do Medyńskiej, myśląc po drodze tylko o tem jakby lepiej i zręczniej powiedzieć jej to, co potrzeba.

Służba Medyńskiej przyzwyczaiła się była do jego wizyt i na pytanie — czy pani w domu? — pokojówka odrzekła.

— Proszę do salonu... pani jest sama w domu.

Zrazu stchórzył trochę... ale gdy zobaczył w lustrze swoją kształtną, wysoką postać, pięknie zarysowaną wykwintnem ubraniem i swoją śniadą twarz, obramowaną gęstą czarną bródką, swe duże, ciemne, poważnie patrzące oczy, — podniósł ramiona i z pewnością siebie ruszył naprzód przez salę.

A na jego spotkanie cicho płynęły dźwięki strun dziwne — dźwięki: jakgdyby śmiały się cichym niewesołym śmiechem, skarżyły się na coś i rzewnie wciskały się do serca, jakby błagając o chwilę uwagi... Tomasz nie lubił słuchać muzyki — bo zawsze przejmowała go smutkiem. Nawet kiedy „maszyna" w restauracji zaczynała grać coś żałosnego, doznawał w piersi tęsknego udręczenia i prosił czasem, żeby zatrzymano „maszynę", albo uciekał od niej dalej, czując, że nie może słuchać tej mowy bez słów, ale pełnej łez i skarg. I teraz zatrzymał się mimowolnie u drzwi salonu.

Drzwi zawieszone były długiemi sznureczkami różnobarwnych paciorków, nawleczonych tak, iż tworzyły dziwaczny deseń, wyobrażający jakieś rośliny; sznureczki bujały się wolno, sprawiając wrażenie, jakby w powietrzu powiewały blade cienie kwiatów. Ta przezroczysta zasłona nie ukrywała przed Tomaszem wnętrza bawialni. Medyńska grała na mandolinie, siedząc na kanapie w swoim ulubionym kąciku. Duży japoński parasol, przymocowany do ściany, rzucał wielobarwny cień na drobną postać kobiecą w ciemnej sukni; wysoka, bronzowa lampa z czerwonym abażurem oblewała ją światłem wieczornej zorzy. Delikatne dźwięki cienkich strun drżały smutnie w ciasnym, pełnym miękkiego i wonnego zmroku pokoju. Oto nagle położyła mandolinę na kolana i, przebierając w dalszym ciągu po strunach palcami, jęła wpatrywać się pilnie w coś przed siebie. Tomasz westchnął...

Ciche dźwięki unosiły się dokoła Medyńskiej i twarz

jej przeistaczała się co chwila, jakgdyby skądciś padały na nią cienie, padały i rozpraszały się od blasku jej oczu.

Tomasz patrzał na nią i widział, że w osamotnieniu nie była tak ładna, jak wobec ludzi, — twarz jej była poważniejsza i starsza — w oczach nie było zwykłego wyrazu łagodności i uprzejmości, natomiast malowały się smutek i znużenie. Nawet w pozie przebijało się znużenie — jakgdyby chciała się podnieść i nie mogła. Tomasz uczuł, że to, z czem tutaj przyszedł, ustępuje w sercu jego miejsca jakimś innym uczuciom. Poruszył się i chrząknął.

— Kto tam? — zapytała kobieta, drgnąwszy. I struny też drgnęły, wydając trwożliwy dźwięk.

— To ja — rzekł Tomasz, odsuwając ręką sznureczki paciorków.

— A! Ale jak cicho... Miło mi widzieć pana... Proszę siadać!... Dlaczego pan nie był tak dawno?

Wyciągając doń rękę, drugą wskazywała mu obok siebie krzesło, a oczy jej uśmiechały się radośnie.

— Jeździłem obejrzeć swoje parostatki, — mówił Tomasz, z przesadną swobodą przysuwając krzesło bliżej kanapy.

— Cóż, czy dużo jeszcze śniegu na polach?

— O, dużo jeszcze... Ale już topnieje na dobre... Na drogach — wszędzie woda...

Patrzył na nią i uśmiechał się. Medyńska zauważyła zapewne zbytnią swobodę w jego zachowaniu się i coś nowego w jego uśmiechu — poprawiła suknię i odsunęła się od niego. Oczy ich spotkały się—i Medyńska spuściła głowę.

— Topnieje! — rzekła z zadumą, oglądając pierścionek na swym małym palcu.

— Tak... wszędzie potoki wody... — mówił Tomasz, przyglądając się pilnie swoim butom.

— To dobrze... Wiosna idzie.

— Już teraz nic jej nie powstrzyma...

— Idzie wiosna, — powtórzyła Medyńska cicho jakby przysłuchując się dźwiękom własnych słów.

— Ludzie zaczną się kochać, — rzekł Tomasz z uśmiechem i niewiadomo dlaczego mocno zatarł ręce.

— Czy i pan ma zamiar? — zapytała Medyńska oschle.

— O, ja... dawno już jestem... na całe życie zakochany...

I przysunął się ku niej z szerokim, nieśmiałym, uśmiechem na ustach.

Spojrzała nań przelotnie i zaczęła grać znowu, patrząc na struny i mówiąc z zadumą:

— Wiosna... Jak to dobrze, że pan dopiero rozpoczyna życie... Serce pełne siły... i niema w niem żadnych tajemnic...

— Zofjo Pawłowno! — przerwał jej Tomasz zcicha.

Powstrzymywała go łagodnym gestem.

— Chwileczkę ,kochany panie... Dziś mogę powiedzieć panu... coś dobrego... Wie pan, że człowiek, który dużo przeżył, miewa chwile, kiedy zajrzawszy do swego serca, znajduje tam niespodzianie... jakieś dawno zapomniane rzeczy. Leżały sobie lata całe gdzieś głęboko, na dnie serca... lecz nie straciły zapachu młodości i kiedy je pamięć poruszy... jakgdyby powieje na człowieka tchnienie wiosny.. ożywcza świeżość poranku życia... Miłe to... chociaż bardzo smutne.

Struny drżały i płakały pod jej palcami, a Tomaszowi zdawało się, że ich dźwięki i cichy głos kobiety łechcą pieszczotliwie jego serce... Ale pamiętając o swem postanowieniu, wsłuchiwał się w jej słowa i, nie rozumiejąc ich treści, myślał:

„Mów sobie! Teraz nie wierzę już niczemu"...

Ta myśl drażniła go. I żal mu było, że nie może słuchać jej słów z taką uwagą i ufnością, jak dawniej...

— Czy pan myśli czasem o tem, jak należy żyć? — zapytała.

— Czasem się o tem pomyśli... a potem znów się zapomni. Niema czasu! — rzekł Tomasz i roześmiał się. — I poco zresztą myśleć? Wszak wiadomo... widzisz, jak inni żyją... no, i sam tak żyć musisz...

— Ach, nie czyń pan tego! Miej litość nad sobą... Pan taki... sympatyczny!... Jest w panu coś szczególnego... co takiego? Nie wiem! ale to się czuje... Mnie się zdaje,

że panu będzie bardzo ciężko żyć... Jestem przekonana, że pan nie pójdzie utartą drogą ludzi waszej sfery... nie! Pana nie może zadowolić życie, poświęcone całkowicie zyskowi, pogoni za rublem... handlarstwu temu... o, nie! Ja wiem, zapragnie pan czegoś innego... czy tak?

Mówiła szybko i z niepokojem w oczach, a Tomasz, patrząc na nią, myślał:

„Do czego ona zmierza?".

I rzekł, rozciągając wyrazy:

— Może i zapragnę... a może już pragnę...

Przysunąwszy się do niego, zajrzała mu w twarz i mówiła tonem gorącej, szczerej prośby.

— Niech pan nie żyje, jak wszyscy! Niech pan urządzi sobie życie jakoś inaczej... Pan silny, młody... dobry.

— Jeżeli jestem dobry, to i mnie powinno być dobrze! — zawołał Tomasz, czując, jak opanowuje go wzruszenie i jak serce zaczyna mu bić niespokojnie.

— Ach, tak nie bywa! Na świecie zawsze dobrym jest gorzej, niż złym!... — rzekła ze smutkiem Medyńska.

I znowu drżące dźwięki zerwały się z pod jej palców. Tomasz czuł, że jeżeli zaraz nie zacznie mówić o tem, co zamierzał, — nic jej później nie powie...

„Boże, dopomóż!" — wymówił w myśli i z wysiłkiem zaczął przyciszonym głosem:

— Zofjo Pawłowno! Dość tego!... Muszę mówić... Oto co przyszedłem powiedzieć: dość! Trzeba postępować prosto... szczerze... Pani wabiła mnie ku sobie z początku... a teraz oto odsuwa się ode mnie... Nie rozumiem tego, co pani mówi... mam umysł tępy... ale czuję — pani chce się schować przede mną... wszak widzę — pani wie, z czem przyszedłem.

Oczy jego zapalały się i głos brzmiał donośniej i śmielej po każdem słowie. A ona pochyliła się całem ciałem naprzód i rzekła z trwożnem błaganiem:

— O, nie mów pan tak...

— Przeciwnie — będę mówił!

— Wiem, co pan chce powiedzieć...

— Nie wszystko pani wie! — rzekł z groźbą w głosie, powstając. — Zato ja wiem wszystko o pani — wszystko!

— Tak? Tem lepiej dla mnie... — odrzekła spokojnie Medyńska.

Podniosła się także z kanapy, jakby chcąc uciec, chwilę postała i opadła znowu na swoje miejsce. Twarz miała poważną, usta zaciśnięte, ale oczy spuszczone, i Tomasz nie widział ich wyrazu. Myślał, że kiedy jej powie: — wiem wszystko o pani! — zlęknie się, zawstydzi i, zmieszana, będzie go prosiła o przebaczenie za to, że igrała z nim. Wówczas on obejmie ją, przyciśnie mocno do piersi i przebaczy. Lecz tak się nie stało; czuł się zbity z tropu tym spokojem, z jakim przyjęła jego słowa; patrzył na nią, szukał wyrazów, aby mówić w dalszym ciągu, i nie znajdował ich.

— Tem lepiej... — powtórzyła sucho i stanowczo. — Więc pan się dowiedział o wszystkiem, czy tak? I potępił mnie pan, rozumie się... i słusznie... Rozumiem... zawiniłam wobec pana... Ale... nie, nie mogę tłumaczyć się...

Zamilkła i nerwowym ruchem podniósłszy ręce do góry, schwyciła się za głowę... i zaczęła poprawiać włosy.

Tomasz westchnął głęboko. Słowa Medyńskiej zabiły w nim jakąś nadzieję, — której istnienie w swem sercu uczuł dopiero teraz, kiedy była stracona. Potrząsając głową, odezwał się z gorzkim wyrzutem:

— Patrzyłem niegdyś na panią i myślałem: jaka ona piękna... dobra... droga! A pani ot, sama mówi — zawiniłam... ach!

Głos młodzieńca urwał się, a kobieta zaśmiała się zcicha.

— Jaki pan miły i zabawny... I jaka szkoda, że pan nie może zrozumieć... tego wszystkiego!

Tomasz patrzył na nią, czując się rozbrojony jej łagodnemi słowami i smutnym uśmiechem. To zimne i brutalne uczucie, które miał dla niej w sercu, — tajało w nim od ciągłego blasku jej oczu. Wydawała mu się teraz malutka, bezbronna, jak dziecko. Mówiła coś głosem tkliwym, jakby prosząc, i uśmiechała się wciąż; ale on nie słyszał tego, co mówiła:

— Przyszedłem do pani, — rzekł wreszcie, przerywając, — bez litości... — Myślałem — powiem jej! A nic nie powiedziałem... nie chce się... Serce zmiękło... jakieś ciepło powiało na mnie od pani... Ach! Poco zobaczyłem panią! Cóż mnie po pani? Trzeba uciekać, widocznie...

— Proszę — nie uciekać! — rzekła pośpiesznie, wyciągając do niego rękę. — Pocóż tak surowo? Niech się pan na mnie nie gniewa! Co panu po mnie? Panu potrzeba innej przyjaciółki, takiej prostej i zdrowej na duszy, jak pan... powinna być zawsze wesoła, szczera... A ja, wszak stara już jestem... Ciągle oto nuda mnie zjada... życie moje takie puste i nudne... takie proste! Czy pan wie, — że kiedy człowiek przyzwyczai się do wesołego życia, a nie może już radować się — to czuje się bardzo źle! Chce żyć wesoło, chce śmiać się... tymczasem śmieje się nie on, lecz życie się zeń śmieje... A ludzie... Posłuchaj pan! Radzę panu, jak matka, proszę i błagam, niech pan nie słucha nikogo, prócz własnego serca! Żyć trzeba tak, jak ono panu podpowie. Ludzie nic nie wiedzą, nie mogą powiedzieć nic prawdziwego... nie trzeba ich słuchać.

Usiłując mówić prosto i zrozumiale, śpieszyła się i słowa z ust jej płynęły jedno po drugiem, pośpiesznie, bez związku. Żałosny uśmiech igrał przez cały czas na jej ustach i twarz była niełladna.

— Życie jest bardzo surowe... chce ono, aby wszyscy ludzie ulegali jego żądaniom, i tylko bardzo silni mogą bezkarnie stawiać mu opór... Czyż może być inaczej? O, gdyby pan wiedział, jak ciężko jest żyć! Człowiek do tego dochodzi, że zaczyna się bać samego siebie... rozdwaja się, staje się sędzią i przestępcą zarazem, sam siebie sądzi, szuka uniewinnienia przed sobą... i gotów dni i noce przepędzać z tym, którym pogardza, który budzi w nim wstręt — byleby nie zostać sam na sam ze sobą!

Tomasz podniósł głowę i rzekł z nieufnością i zdziwieniem:

— Nie mogę zrozumieć w żaden sposób — o co chodzi? Luba mówi to samo...

— Co za Luba? Co mówi?

— Siostra... To samo mówi, — skarży się ciągle na życie. Nie można, powiada, żyć...

— O, ona jeszcze młoda! I wielkie to szczęście, że już teraz mówi o tem...

— Szczę-ę-ście — pytał szyderczo Tomasz. — Dobre mi szczęście, które każe jęczeć i skarżyć się wciąż...

— Niech się pan skargom przysłuchuje, zawsze wiele mądrego jest w skargach ludzkich... o! jest w nich nawet więcej mądrości, niż we wszystkiem innem... Nawet niech się pan w nie wsłuchuje, — to się pan nauczy, jak znaleźć własną drogę...

Tomasz słuchał tego głosu, dźwięczącego tonem głębokiego przekonania i z niepewnością rozglądał się dokoła siebie. Wszystko było dlań znane oddawna, ale w tej chwili wydawało się czemś nowem: mnóstwo drobiazgów zapełniało pokój, wszystkie ściany zawieszone były obrazami, półeczkami, piękne i jaskrawe sprzęty skakały same zewsząd do oczu. Czerwonawe światło lampy nawiewało smutek. Pokój zalany był zmrokiem, wśród którego gdzie niegdzie mdławo przeświecały błyski złoconych ram i białe plamy porcelany. Ciężkie materje wisiały nieruchomo na drzwiach. Wszystko to krępowało i dusiło Tomasza, czuł się jakby splątany. Żal mu było kobiety, ale jednocześnie drażniła go ona i rozstrajała.

— Czy pan słyszy, jak ja mówię z panem? Chciałabym być pańską matką, siostrą... Nikt nie budził we mnie nigdy takiego ciepłego, serdecznego uczucia, jak pan... A pan patrzy na mnie tak... nieprzyjaźnie... Czy pan mnie ufa? Tak? czy nie?

Popatrzył na nią i odrzekł z westchnieniem:

— Już sam nie wiem... Wierzyłem...

— A teraz? — zapytała żywo.

— A teraz — lepiej, żebym odszedł! Nic nie rozumiem... choć chcę zrozumieć. I siebie nie rozumiem... Szedłem do pani i wiedziałem, co mam powiedzieć... A wyszło wszystko nawspak... Potargała mi pani duszę, rozjątrzyła... A potem powiada — jestem ci matką! To znaczy — odczep się!

— Proszę zrozumieć — że żal mi pana! — zawołała cicho kobieta.

Rozdrażnienie Tomasza wciąż wzrastało i mowa jego, w miarę jak mówił, stawała się szydercza... Mówiąc, wstrząsnął ramionami, jakgdyby chciał wyswobodzić się z więzów, które go oplątywały.

— Żal? A to dlaczego? Ja tego nie żądam... Ach, nie mogę mówić! Brak mi słów... Powiedziałbym pani!... Źle pani postąpiła ze mną — czasami myślę, poco pani ciągnęła mnie ku sobie? Czyż byłem zabawką dla pani?

— Chciałam tylko widzieć pana koło siebie... — brzmiała cicha, szczera odpowiedź.

Nie słyszał tych słów.

— A gdy doszło do obrachunku — zlękła się pani i odsunęła ode mnie... Skrucha przyszła... ha! Życie złe! I poco skarżyć się na jakieś życie? Co za życie? Człowiek — to życie, poza człowiekiem niema więcej żadnego życia... A pani wymyśliła jakiegoś potwora... dla zamydlenia oczu, dla uniewinnienia siebie... Rozbawi się pani, zaplącze w przeróżnych wymysłach i głupstwach i — dalejże jęczeć! Ach, życie! Och, życie! A czyż nie sama pani stworzyła je sobie? I swojemi skargami tylko innych pani w błąd wprowadza... Zbłądziła pani z drogi, a pocóż i mnie bałamucić? Ze złości chyba, czy co: ponieważ mnie źle, niechaj i tobie źle będzie — zatruję i tobie serce swojemi łzami!... Czy tak?

Ach pani! Bóg obdarzył panią pięknością anielską, ale gdzież serce?

Stał przed nią cały drżący i mierzył ją od stóp do głowy pełnym wyrzutu wzrokiem. Teraz wyrazy wydobywał z piersi swobodnie, mówił niegłośno lecz z mocą i doznawał nawet przyjemności w mówieniu. Kobieta, podniósłszy głowę, wpatrywała się w niego szeroko rozwartemi oczyma. Usta jej drżały, a w ich kącikach zarysowywały się ostre zmarszczki.

— Piękny człowiek żyć dobrze powinien... A o pani mówią...

Głos mu się urwał nagle, machnął ręką i rzekł głucho:

— Żegnam!

— Żegnam!... — rzekła cicho Medyńska.

Nie podał jej ręki i, odwróciwszy się, odszedł. Ale już przy drzwiach salonu uczuł litość dla niej i spojrzał na nią przez ramię: stała w kącie ze spuszczoną głową i bezradnie zwieszonemi wzdłuż ciała rękoma.

Zrozumiał, że nie wolno mu tak odejść, zmieszał się i cicho, ale bez skruchy przemówił:

— Powiedziałem co krzywdzącego — proszę wybaczyć! Pomimo wszystko ja przecież... kocham panią... — i westchnął ciężko. A ona zaśmiała się cichutko i dziwnie.

— Nie, pan mnie nie skrzywdził... Proszę iść z Bogiem.

— A więc żegnam!—powtórzył Tomasz jeszcze ciszej.

— Tak... — odrzekła również cicho.

Tomasz odrzucił ręką sznureczki paciorków; zakołysały się, zaszeleściły i dotknęły jego policzka. Drgnął od tego chłodnego dotknięcia i wyszedł ze smutnem i ciężkiem uczuciem w piersi; serce mu biło, jakgdyby oplątywała je miękka lecz mocna sieć...

Była już noc, księżyc świecił i mróz przykrył kałuże tafelkami matowego srebra. Tomasz szedł chodnikiem i rozbijał laską te tafelki, a one pękały, wydając żałosny chrzęst. Cienie domów leżały na drodze w kształcie czarnych czworokątów, a drzewa rzucały na ziemię dziwaczne desenie. Niektóre z nich podobne były do cienkich macek, rozpaczliwie chwytających się ziemi...

„Co ona teraz robi?" — myślał Tomasz, wyobrażając ją sobie samotną w kącie ciasnego pokoju, śród czerwonawego zmroku...

„Lepiej zapomnieć o niej"... — postanowił. Ale zapomnieć nie mógł: stała wciąż przed nim, — budząc w nim naprzemian to przykry żal, to rozdrażnienie, a nawet złość. Obraz jej był tak wyraźny a myśli o niej tak ciężkie, jakgdyby niósł tę kobietę ze sobą w piersi. Naprzeciwko niego jechała dorożka, napełniając ciszę nocy turkotem kół po kamieniach i skrzypieniem ich po lodzie. Dorożkarz i pasażer chwiali się i podskakiwali w niej; pochyleni naprzód,

tworzyli wraz z koniem jedną dużą czarną masę. Ulica upstrzona była plamami światła i cieni, lecz wdali mrok był gęsty, — jakgdyby zagradzała ulicę wysoka ściana, wznosząca się od ziemi do nieba. Niewiadomo dlaczego Tomasz pomyślał, że ci ludzie nie wiedzą dokąd jadą... I on sam również nie wie, dokąd idzie... I przypomniał sobie swój dom — sześć obszernych pokojów, które sam jeden zajmował. Ciotka Anfisa przeniosła się była do klasztoru i stamtąd zapewne już nie wróci, umrze... W domu — stary i głuchy stróż, Jan, kucharka Barbara, stara panna, i czarny kudłaty pies z tępym, jak u suma, pyskiem. Pies także stary...

„Może i naprawdę trzeba się ożenić"... — pomyślał Tomasz z westchnieniem.

Sama myśl o tem, jak łatwo może się ożenić, wydała mu się śmieszna. Jutro może powiedzieć chrzestnemu ojcu, żeby mu wyswatał pannę, i zanim upłynie miesiąc, zamieszka z nim razem w domu kobieta. I w dzień i w nocy będzie z nim. Powie jej: „Chodźmy na spacer", — i ona pójdzie... Powie: „Chodźmy spać!"—też pójdzie... Zechce go pocałować — i będzie całowała, nawet gdyby tego nie chciał. A gdyby jej powiedział: nie chcę, odejdź! — obraziłaby się... O czem będzie z nią mówił? I co ona może mu powiedzieć... Myślał i wyobrażał sobie znajome panny, córki kupców. Niektóre z nich były bardzo ładne; wiedział, że każda wyszłaby chętnie za niego, ale on nie chciałby żadnej z nich widzieć przy sobie, jako żonę... Jaki to wstyd być musi i jak nieprzyjemnie dziewczynie, kiedy zostaje żoną... Co mówią do siebie młodzi po ślubie w sypialni? Tomasz usiłował zastanowić się nad tem, coby sam powiedział w tym wypadku, i zaśmiał się wstydliwie, nie znalazłszy odpowiednich słów... Potem przypomniał sobie Lubę Majaknównę. Ta na pewno przemówiłaby pierwsza, nagadałaby mnóstwo bezsensownych, cudzych słów... Niewiadomo dlaczego zdawało mu się, że ona zawsze używa jakichś pożyczonych, cudzych słów i że mówi nie to, co dziewczyna w jej wieku i w jej stanie mówić powinna.

Tu myśl jego zatrzymała się na skargach Luby. Szedł wolniej, uderzony tem, że wszyscy ludzie, z którymi żyje

blisko i rozmawia wiele — mówią z nim zawsze o życiu. Ojciec, ciotka, ojciec chrzestny, Luba, Zofja Pawłowna, — wszyscy oni albo uczą go, jak zrozumieć życie, albo skarżą się na nie. Przypomniały mu się słowa o losie, wypowiedziane przez nieznajomego starca, na parostatku, i wiele innych uwag o życiu, gorzkich skarg i utyskiwań na nie, które słyszał przelotnie od różnych ludzi.

„Co to znaczy? — myślał, — czemże jest życie, jeżeli nie tworzą go sami ludzie? A ludzie mówią zawsze w taki sposób, jakgdyby życie — to nie byli oni sami, lecz coś istniejącego poza nimi i przeszkadzającego im żyć. Może to djabeł?".

Przykre uczucie strachu ogarnęło go nagle; drgnął i obejrzał się szybko dokoła. Pusto i cicho było na ulicy: ciemne okna domów patrzyły ponuro w mrok nocy, a po ścianach i płotach posuwał się wślad za Tomaszem jego cień.

— Dorożka! — zawołał głośno, przyśpieszając kroku. Cień zakołysał się i lękliwie począł pełzać za nim, niemy i czarny. I zdawało się Tomaszowi, że czuje na swych plecach jakiś zimny oddech i że coś olbrzymiego, niewidzialnego i strasznego dopędza go i chwyta. W przerażeniu puścił się biegiem na spotkanie dorożki, która z hałasem wyłoniła się skądciś z mroku, a gdy wskoczył do niej, nie mógł długo obejrzeć się za siebie, chociaż bardzo tego pragnął...

## VII.

Minął prawie tydzień od czasu rozmowy z Medyńską. Obraz jej dniem i nocą nasuwał się nieodstępnie Tomaszowi, budząc w jego sercu uczucie głuchego bólu i tęsknoty. Chciało mu się okropnie pójść do niej. Był prawie chory od pragnienia serca swego, ale milczał ponuro, marszczył brwi a nie chcąc ulec temu pragnieniu, zajmował się gorliwie interesami i podniecał w sobie niechęć do tej kobiety. Czuł, że jeżeli pójdzie do niej, to ujrzy ją już nie taką, jaką zostawił, że po rozmowie z nim musiało się w niej coś zmienić i że nie spotka go już tak łaskawie, jak

dawniej, i nie roześmieje się do niego jasnym uśmiechem, który budził w nim jakieś szczególne uczucia i nadzieje. Obawa ta powstrzymywała go, hamował się więc i męczył...

Tęsknota za kobietą i praca nie przeszkadzały mu rozmyślać o życiu. Nie rozumował nad tą zagadką, wywołującą już w jego sercu trwożne uczucie, — nie umiał bowiem rozumować; ale jął przysłuchiwać się pilnie wszystkiemu, co ludzie mówili o życiu i starał się zapamiętać to, co słyszał. Nic mu to nie wyjaśniało, powiększało tylko wątpliwości i budziło w nim podejrzliwe uczucie względem ludzi. Widział, że byli przebiegli, chytrzy i rozumni; w stosunkach z nimi trzeba było zawsze mieć się na ostrożności; wiedział i to, że nikt w ważnych wypadkach nie mówi tego, co myśli. Śledząc ich uważnie, czuł, że westchnienia i skargi ich na życie budzą w nim nieufność. Podejrzliwym wzrokiem przypatrywał się wszystkim w milczeniu i cienka zmarszczka bróździła jego czoło...

Pewnego ranka ojciec chrzestny rzekł doń na giełdzie:

— Przyjechał Ananij... Chce widzieć się z tobą.... Zajdź do niego wieczorkiem, ale uważaj — trzymaj język za zębami... Będzie cię ciągnął za język, żeby się o interesach czegoś dowiedzieć... Chytry, stary djabeł... Lis-świętoszek... oczy pod niebiosa wzniesie, a tymczasem zapuści ci w zanadrze łapę i wyciągnie kabzę... Strzeż się...

— Czyśmy mu co winni? — zapytał Tomasz.

— A jakże! nie zapłacono za barkę... niedawno wzięto pół setki pięciosążniowych belek... Jeżeli będzie odrazu żądał całkowitej należności — nie dawaj... Rubel—rzecz lepka: im dłużej pokręci się w twych rękach, tem więcej przylgnie do niego groszy... Rubel — to jak dobry gołąb — polata w powietrzu i przyprowadzi ci całe stado do gołębnika...

— Jakże nie oddać, jeżeli zażąda?

— A niech płacze - prosi, ty też stękaj, a nie dawaj...

— Pójdę... — powiedział Tomasz.

Ananij Sawwicz Szczurow prowadził na wielką skalę handel drzewem, miał ogromny tartak, budował barki, spuszczał tratwy... Miewał stosunki handlowe z nieboszczykiem Ignacym i Tomasz nieraz widział tego wysokiego i pro-

stego jak sosna starca, z długą białą brodą i długiemi rękoma. Jego wyniosłą i piękną postać z otwartą twarzą i jasnem spojrzeniem wzbudzała w Tomaszu uczucie szacunku, chociaż słyszał od ludzi, że Szczurow wzbogacił się nieuczciwą pracą i niezbyt pochwalebny żywot pędzi u siebie w domu, w głuchej wsi leśnego powiatu. Ojciec też opowiadał Tomaszowi, że za młodu Szczurow, kiedy był jeszcze biednym chłopcem, dał przytułek w swoim ogrodzie, w łaźni, zbiegłemu katorżnikowi, który robił dla niego fałszywe pieniądze. Od tego czasu Ananij zaczął wzbogacać się. Pewnego razu spaliła się łaźnia, a w jej popiołach znaleziono zwęglone zwłoki człowieka z rozbitą czaszką. Opowiadano we wsi, że Szczurow sam zabił swego robotnika, — zabił, a potem spalił. Takie pogłoski krążyły o wielu bogaczach miasta — wszyscy jakoby zdobyli miljony drogą łupiestw i zabójstw i — głównie — puszczaniem w obieg fałszywych pieniędzy. Tomasz od dzieciństwa przysłuchiwał się podobnym opowieściom, ale nigdy przedtem nie zastanawiał się nad ich prawdziwością.

Wiedział również o Szczurowie, że stary przeżył dwie żony, — jedna z nich umarła w objęciach Ananija pierwszej nocy po ślubie. Odbił następnie żonę własnemu synowi i ten rozpił się z rozpaczy i omal nie zginął od pijaństwa, ale opamiętał się wporę i uciekł szukać ratunku w pustelni nad Irgizem. Po śmierci synowej - kochanki, Szczurow wziął sobie do domu niemą dziewczynę-żebraczkę i żyje z nią dotychczas; niedawno powiła mu martwe dziecko... Po drodze do hotelu, w którym się zatrzymał Szczurow, Tomasz mimowolnie przypomniał sobie wszystko, co słyszał o starcu od ojca i innych ludzi i poczuł, że Szczurow zaczynał budzić w nim szczególniejszą ciekawość.

Kiedy Tomasz otworzył drzwi i zatrzymał się z uszanowaniem na progu małej stancyjki o jednem oknie, z którego widać było tylko zardzewiały dach sąsiedniego domu, — zobaczył, że stary Szczurow dopiero co się przebudził, siedzi zgarbiony na łóżku, oparłszy się o nie rękami, z głową zwieszoną tak, że długa biała jego broda leży na kolanach. Pomimo przygarbionej postaci znać było, że starzec jest olbrzymiego wzrostu.

— Kto tam? — zapytał Szczurow gniewnym głosem, nie podnosząc głowy.

— Ja. Dzień dobry, Ananiju Sawwiczu...

Starzec podniósł powoli głowę i, przymrużywszy duże oczy, spojrzał na Tomasza.

— Syn Ignacego?

— Tak...

— No to chodź tu... siadaj przy oknie... zobaczę, jak wyglądasz... Może poczęstować herbatą, co?

— Owszem...

— Numerowy! — krzyknął starzec, wyprężając piersi, i, zebrawszy brodę w garść, zaczął przyglądać się w milczeniu Tomaszowi. Tomasz też patrzył na niego zpode łba.

Wysokie czoło starca całe było poorane zmarszczkami, a skóra na niem była ciemna. Siwe, kędzierzawe kosmyki włosów okrywały jego skronie i ostre uszy; niebieskie spokojne oczy nadawały górnej części twarzy wyraz mądry i łagodny. Ale policzki i usta były grube, czerwone i jakby obce, nielicujące z resztą twarzy. Cienki, długi nos tak był zakrzywiony, jakby chciał się schować w białych wąsach; starzec poruszał wargami, z pod których błyskały żółte, ostre zęby. Miał na sobie różową perkalową koszulę, przepasaną jedwabnym paskiem i czarne wpuszczone w buty spodnie. Tomasz patrzył na jego usta i myślał, że starzec jest napewno takim, jak o nim mówią...

— Dawniej, dzieckiem, więcej podobny byłeś do ojca... — rzekł nagle Szczurow i westchnął. Potem zapytał po chwili milczenia: — Czy pamiętesz ojca? Modlisz się za niego?

— Powinieneś, powinieneś się modlić! — ciągnął, wysłuchawszy krótkiej odpowiedzi Tomasza. — Ignacy był wielkim grzesznikiem... i umarł bez pokuty... nagle... wielki grzesznik!

— Nie więcej grzeszny chyba od innych, — odparł Tomasz.

— Od kogo, naprzykład? — zapytał surowo Szczurow.

— Czyż mało jest grzeszników!

— Większym grzesznikiem od nieboszczyka Ignacego jest jeden tylko człowiek na ziemi — twój chrzestny ojciec, Jakób, farmazon przeklęty... — wyrecytował starzec.

— Czy pan wie o tem na pewno? — zapytał Tomasz z uśmiechem.

— Ja? Wiem! — rzekł stanowczo Szczurow, potrząsając głową, i oczy jego pociemniały. — Ja sam też stanę przed Panem... nie bez grzechu... Przed święte Jego oblicze poniosę ciężkie brzemię ze sobą... Dogadzałem również djabłu... tylko, że ja wierzę w miłosierdzie Boskie, a Jakób w nic nie wierzy: ani w sny, ani w śpiew ptasi... on i w Boga nie wierzy... wiem to doskonale! I za to, że nie wierzy, jeszcze na tej ziemi będzie ukarany!

— I o tem pan wie? — zapytał Tomasz.

— I o tem... — Wiem nawet i to, że ty słuchasz mnie i drwisz z moich słów... Myślisz sobie: patrzcie, jaki jasnowidzący! Ale człowiek, który wiele grzeszył, jest zawsze rozumny... Grzech kształci... Dlatego Majakin jest taki mądry...

Słuchając ochrypłego i stanowczego głosu starca, Tomasz pomyślał:

„Śmierć widocznie przeczuwa"...

Numerowy, drobny człowieczek o bladej, jakby wytartej twarzy, przyniósł samowar i wybiegł szybko drobnemi krokami z pokoju. Starzec rozwiązywał jakieś węzełki na oknie i mówił, nie patrząc na Tomasza:

— Jesteś zuchwały... I wejrzenie masz — ponure... Dawniej było więcej jasnookich ludzi... dlatego, że dawniej jaśniejsze były dusze... Dawniej wszystko było jakieś prostsze — i ludzie i grzechy... a teraz wszystko zbyt mądre... eche — che!

Zaparzył herbatę, usiadł naprzeciw Tomasza i zaczął znowu:

— Ojciec nieboszczyk w twoim wieku... — był wówczas pompiarzem i stał pod naszą wioską z barkami — w twoim wieku Ignacy był dla mnie jasny, jak szkło... Spojrzałem tylko nań i widziałem odrazu, co to za człowiek. A patrząc na ciebie — nie widzę — coś ty za jeden? Ty

sam, chłopcze, nie wiesz tego... i dlatego zginiesz... Wszyscy teraźniejsi ludzie muszą zginąć dlatego — że nie znają siebie. A życie — to bezdroże, trzeba umieć odnaleźć na niem swoją drogę... gdzie ona? I wszyscy grzeszą... a djabeł — cieszy się... Czyś żonaty?

— Nie jeszcze, — odparł Tomasz.

— Otóż to... nie żonaty, a już dawno pewnie utraciłeś niewinność... No, a w interesie — czy dużo pracujesz?

— Jak czasem... teraz z ojcem chrzestnym...

— Jaka to praca! — kiwając głową, mówił starzec i oczy jego wciąż mieniły się, ciemniejąc, to rozjaśniając się naprzemian. — Teraz pracy nie znają! Dawniej kupiec za interesem jeździł końmi... w zamieć, po nocy... jechał! Czaili się nań zbójcy po drodze i zabijali... umierał, jak męczennik, zmywając krwią swoje grzechy... Teraz jeżdżą w wagonach... posyłają depesze... a nawet, jak opowiadają, wymyślono sposób, że człowiek mówi u siebie w kantorze, a słychać go o pięć wiorst... wymysły djabelskie!... Człowiek siedzi... nie rusza się... i grzeszy dlatego, że nudzi się, że nie ma roboty: maszyna wszystko robi za niego... Niema pracy, a bez pracy — biada człowiekowi! Otoczy się maszynami i myśli — ach, jak dobrze! A właśnie ta maszyna — to djabelska pułapka na ciebie. Za jej pomocą usidla cię... W pracy nie masz czasu na grzechy, a przy maszynie — czasu wolnego huk! Od tego człowiek ginie, jak robak, mieszkaniec wnętrza ziemi, ginie od słońca... Swoboda zgubi człowieka!

I mówiąc to tonem głębokiego przeświadczenia, uderzył poczterykroć palcem w stół. Twarz jego świeciła wyrazem złośliwego triumfu, a pierś podnosiła się wysoko. W słowach siwobrodego starca dźwięczała tak niezłomna wiara, że Tomasz, słuchając go i patrząc nań, zapomniał o wszystkiem, co wiedział złego o nim i w co wierzył niedawno, jako w prawdę.

— Kto daje swobodę ciału — gubi duszę! — mówił Ananij, patrząc na Tomasza tak dziwnie, jakby poza nim widział jeszcze kogoś, komu boleśnie strasznie było słuchać słów jego i czyj strach i ból go cieszył... — Wy wszyscy,

teraźniejsi, zginiecie od tej swobody... Djabeł was usidlił... odebrał wam pracę, podsunąwszy maszyny i depesze... Już swoboda pożera dusze ludzkie... Powiedz-no, dlaczego dzieci są gorsze od ojców? Dzięki swobodzie, tak! Dlatego i piją, i żyją rozpustnie z kobietami... i mają mniej zdrowia, bo mniej roboty... i wesołości prawdziwej nie znają, bo nie znają frasunku... Wesołość zjawia się w chwili odpoczynku, a teraz nikt się nie męczy...

— No, — wtrącił cicho Tomasz — dawniej chyba nie mniej pili i prowadzili rozpustne życie...

— Skąd wiesz? Milczałbyś lepiej! — krzyknął Ananij, łyskając surowo oczyma. — Dawniej i sił miał człowiek więcej... według siły były i grzechy... Wy zaś, teraźniejsi, posiadacie mniej siły, ale więcej grzechów... dęby... I Bóg sądzić ich będzie podług ich sił... Aniołowie Boscy zważą ich ciała, zmierzą ich krew... i zobaczą, że grzech nie przeważy swym ciężarem wagi i ciała i krwi... czy rozumiesz? Bóg nie ukarze wilka za to, że pożarł owcę... ale jeżeli nędzny szczur porwie się na owcę — On szczura osądzi!

— Skąd ludzie mogą wiedzieć, jak Bóg osądzi człowieka? — zapytał Tomasz w zamyśleniu. — Trzeba, żeby sąd był jawny...

— Poco — jawny?

— Żeby ludzie rozumieli...

— A któż, prócz Boga, może być moim sędzią?

Tomasz spojrzał na starca i zamilkł, zwiesiwszy głowę. Przypomniał mu się znowu zbiegły katorżnik, zabity i spalony przez Szczurowa, i znowu wierzył, że to tak było. Ten starzec na pewno wpędził do grobu swemi okrutnemi pieszczotami i żony i kochanki, — zgniótł je swą kościstą piersią, wyssał z nich sok życia temi grubiemi wargami, dotychczas jeszcze czerwonemi, jakgdyby nie obeschła na nich krew kobiet, umierających w objęciach długich i kościstych jego rąk. I oto teraz w oczekiwaniu śmierci, która już gdzieś blisko niego krąży, liczy swoje grzechy, sądzi ludzi i siebie zapewne sądzi.... i mówi: któż może być moim sędzią, prócz Boga?

„Boi się on, czy też nie?" — pytał sam siebie Tomasz i zamyślił się, przypatrując się zpode łba starcowi.

— Tak, chłopcze! Myśl... — mówił Szczurow, kiwając głową, — myśl o tem, jak należy ci żyć... Z małemi kapitałami w sercu, a z wielkiemi projektami... obyś nie zbankrutował tylko! cha-cha-cha!

— Skąd pan wie, ile mam czego w sercu? — rzekł ponuro Tomasz, obrażony jego śmiechem.

— Widzę! Ja wszystko wiem... dlatego — że żyję już długo! O-o-ho! jak ja długo żyję! Wyrosły przy mnie drzewa i zostały zrąbane, zbudowano już z nich domy... i domy te już nawet spróchniały... a ja to wszystko widziałem i wciąż żyję... Jak wspomnę czasami swoje życie, to myślę: czyżby jeden człowiek mógł tyle zrobić? Czyżbym ja to wszystko przeżył?... — Starzec spojrzał surowo na Tomasza, pokiwał głową i zamilkł.

Nastała cisza. Coś skrzypiało zcicha za oknem, na dachu; turkot kół i głuchy gwar ludzki donosiły się z dołu, z ulicy. Samowar wyśpiewywał na stole smutną melodję. Szczurow wpatrywał się w nalaną szlankę herbaty, gładził brodę i słychać było, jak w piersi mu rzęzi, jakby poruszał się w niej jakiś wielki ciężar.

— Ciężko ci żyć bez ojca? — rozległ się nagle jego głos.

— Przyzwyczaiłem się już... — odpowiedział Tomasz.

— Jesteś bogaty... a gdy Jakób umrze, będziesz jeszcze bogatszy... bo wszystko tobie zostawi...

— Naco mi? Nie potrzebuję.

— A komuż? Ma jedną córkę... powinieneś się z nią ożenić... A to, że ona jest chrzestną i mleczną siostrą — to błahostka! Można jakoś załatwić... Ożeniłbyś się... bo co za sens tak żyć? Pewnie włóczysz się wciąż do dziewcząt?

— Nie.

— Gadaj zdrów! E-che-che!... wymierają kupcy... Opowiadał mi pewien leśnik, — kłamał, czy nie, — że dawniej wszystkie psy były wilkami... i wyrodziły się w psów... Podobnież i nasz stan — też prędko wszyscy bę-

dziemy psami... Wykształcimy się w naukach, na łby powtykamy modne kapelusze i wszystko co trzeba zrobimy, żeby swój wygląd zatracić... I niczem nie odróżnisz nas od reszty ludzi... zaprowadzono taki porządek, żeby wszystkie dzieci oddawać do gimnazjów... I kupców, i szlachtę i mieszczan — wszystkich przemalują na jeden kolor... na szaro, i wszystkich uczą jednych i tych samych nauk... hodują człowieka jak drzewo... Poco to — niewiadomo nikomu... Nawet polano różni się jedno od drugiego chociażby sęczkiem... a tutaj chcą ludzi tak ostrugać, żeby wszyscy wyglądali jednakowo... Z nami, ze starymi, prędko koniec.. tak! Za jakie lat pięćdziesiąt nikt już chyba nie uwierzy, że żyłem na świecie ja... Ananij, syn Sawwy, przezwiskiem Szczurow... tak! Żem ja, Ananij, nikogo się nie bał, prócz Boga... I że za młodu byłem chłopem i miałem dwie i ćwierć dziesięciny ziemi, a pod starość nagromadziłem jedenaście tysięcy dziesięcin, wszystkie pod lasem... i może ze dwa miljony gotówki.

— Wszyscy wciąż mówią — peniądze, pieniądze... — wtrącił Tomasz z niezadowoleniem. — A co za pociechę ma z nich człowiek?

— Hm... — mruczał Szczurow. — Lichy z ciebie będzie kupiec, jeżeli nie rozumiesz potęgi pieniędzy...

— Któż ją rozumie? — zapytał Tomasz...

— Ja! — odrzekł z mocą Szczurow — i każdy rozumny człowiek... Jakób też rozumie... Pieniądze? To, chłopcze, wielka rzecz! Rozłóż je przed sobą i pomyśl -- co one zawierają w sobie? Wtedy zrozumiesz, że to wszystko siła ludzka, że to wszystko — rozum ludzki... Tysiące ludzi włożyło życie w twe pieniądze i tysiące włoży... A ty możesz wrzucić je wszystkie do pieca i patrzeć, jak one będą się paliły... I wtedy zrozumiesz, że — jesteś mocarzem...

— Tego nigdy nie robią...

— To dlatego, że głupcy nie miewają pieniędzy... Pieniądze wkłada się w interes... z interesu wielu ludzi żyje... a ty nad tymi wszystkimi ludźmi jesteś panem.... Poco Pan Bóg człowieka stworzył? A poto, żeby człowiek modlił się do niego... Był sam i nudno mu było samemu... ot, i zapragnął władzy... A że człowiek stworzony jest, jak po-

wiedziano, na obraz i podobieństwo Boga, więc i człowiek pragnie władzy... A cóż mu da władzę, jeżeli nie pieniądze?... A widzisz... No, a przyniosłeś mi pieniądze?

— Nie... — odparł Tomasz. Od słów starca czuł zamęt i ciężar w głowie, był przeto zadowolony, że rozmowa zwróciła się nareszcie na inne tory.

— To źle, — rzekł Szczurow, marszcząc brwi. — Termin minął — czas płacić...

— Jutro wypłacę połowę...

— Dlaczegóż połowę? Zapłać wszystko!

— Pieniądze są nam teraz bardzo potrzebne...

— A niema ich? No, ale mnie są również potrzebne...

— Proszę poczekać!...

— O, nie chcę czekać! Ty — nie to, co ojciec... młokosom zbytnio ufać nie można... możesz roztrwonić w ciągu miesiąca cały swój majątek... a ja z tego powodu poniosę straty... Przynoś mi jutro wszystko, w przeciwnym bowiem razie zaprotestuję weksle. U mnie to prędko!

Tomasz patrzył na Szczurowa i dziwił się. Nie był to wcale ten sam starzec, który jeszcze przed chwilą z miną proroka rozprawiał o djable... I twarz i oczy miał wtedy inne, teraz zaś patrzył surowo, usta uśmiechały się bezlitośnie, a na policzkach, koło nosa drapieżnie drgały jakieś żyłki. Tomasz widział, że jeżeli nie zapłaci w terminie, to on rzeczywiście nie będzie miał litości i protestem weksli zniesławi firmę...

— Co, widać — źle idą interesy? — uśmiechnął się Szczurow. — No, powiedz otwarcie, — gdzieś puścił ojcowskie fundusze?

Tomaszowi nagle chciało się wypróbować starca:

— Interesy idą niezbyt świetnie... — rzekł posępnie. — niema dostaw... zaliczki nie wpłynęły... więc ciężko trochę.

— Tak!... Pomóc może?

— Jeżeli łaska... prosiłbym o odroczenie terminu,— poprosił Tomasz, spuszczając skromnie oczy.

— Hm... pomóc chyba przez pamięć na ojca? Owszem, pomogę...

— A na jakiż termin odłożymy? — dopytywał się Tomasz.

— Tak na pół roku...

— Bardzo dziękuję...

— Niema za co... Więc dłużny mi jesteś jedenaście tysięcy sześćset... Otóż napisz mi weksle na piętnaście, wypłać od tej sumy procenty zgóry... a dla zabezpieczenia wezmę na zastaw od ciebie dwie barki...

Tomasz wstał z krzesła i, uśmiechając się, rzekł:

— Proszę przysłać jutro weksle... zapłacę co do grosza...

Szczurow podniósł się także ociężale z krzesła i, nie spuszczając oczu pod szyderczem spojrzeniem Tomasza, podrapał się spokojnie w piersi i mruknął:

— Tem lepiej...

— Dziękuję... za życzliwość...

— Co tam! Nie dałeś się... a tobym ja cię pogłaskał! — rzekł leniwie stary, szczerząc zęby.

— Tak! Wpaść w wasze rączki...

— Cieplutko byłoby...

— Sprawilibyście łaźnię, co się zowie...

— No, ale dosyć już o tem! — rzekł surowo Szczurow. — Chociaż myślisz o sobie, żeś niegłupi... za wcześnie to jednak... Doprowadziłeś do rozegranej, a już zaczynasz się chwalić! Wygraj u mnie... a wtedy możesz zatańczyć z radości... No, żegnaj... A pieniążki przygotuj na jutro...

— Niema obawy... Do widzenia!

— Z Bogiem!

Wyszedłszy za drzwi, Tomasz usłyszał, jak starzec ziewnął przeciągle i głośno, a potem zanucił chrypliwym basem:

„Ot-wórz nam podwoje mi-ło-sier-dzia... błogosławiona Bogarodzico"...

Z tej wizyty wynosił Tomasz podwójne uczucie: Szczurow i podobał mu się i zarazem napawał go wstrętem. Wspominał rozprawy starca o grzechu, myślał o jego silnej wierze w miłosierdzie Boskie — i doznawał uczucia podobnego do szacunku.

„Ten także mówi o życiu... i chociaż zna swoje grzechy, nie płacze jednak, nie skarży się... Zgrzeszyłem — po-

wiada — i odpowiadać będę... Ta-ak. A ona?" Przypomniał sobie Medyńską, i tęsknota ścisnęła mu serce.

„A ona — żałuje niby za grzechy... a zrozumieć trudno — czy tak tylko naumyślnie, żeby uniknąć odpowiedzialności, czy istotnie boli ją serce... A ten powiada: kto, prócz Boga, może być moim sędzią? Widzisz go..."

Tomaszowi się zdawało, że zazdrości staremu, ale wnet przypomniał sobie, jak on go chciał obedrzeć. Scena ta napawała go obrzydzeniem do Szczurowa; nie mógł tedy pogodzić swoich sprzecznych uczuć i, pełen wątpliwości, uśmiechnął się.

— Byłem u Szczurowa!... — rzekł, przyszedłszy do Majakina i siadając przy stole.

Majakin w zatłuszczonym szlafroczku i ze „szczotami" w ręku, kręcił się niecierpliwie w swoim skórzanym fotelu i zawołał z ożywieniem:

— Nalej mu herbaty, Lubo! Opowiadaj, Tomaszu... Na dziewiątą muszę być w zarządzie miejskim, opowiadaj prędzej.

Tomasz opowiedział mu ze śmiechem o tem, jak Szczurow proponował mu przepisanie wekslów.

— Ach, ach! — potrząsając z politowaniem głową, zawołał Jakób Tarasowicz. — Popsułeś mi wszystkie szyki! Czyż można tak obcesowo załatwiać interes z człowiekiem? Tfu! Djabli mnie skusili posłać ciebie! Trzeba było pójść samemu... Zrobiłbym z nim, cobym zechciał!

— Wątpię! Powiada on o sobie: dąb jestem...

— Dąb? A ja — piła... Dąb! Dobre drzewo, ale owoce jego przydatne są tylko dla świń...

— Zresztą, wszystko jedno, trzeba płacić...

— Z tem się ludzie rozumni nie śpieszą... A ty — zarabyś biegł, żeby co prędzej wypłacić pieniądze... to mi kupiec!

Jakób Tarasowicz był stanowczo niezadowolony z chrzestnego syna. Marszczył brwi i rozkazywał gniewnie córce, która w milczeniu nalewała herbatę:

— Przysuń mi cukier... nie widzisz?...

Twarz Luby była blada, wzrok zamglony, a ręce

poruszały się leniwie. Tomasz patrzył na nią i pomyślał:

„Jaka cicha przy ojcu“...

— O czem-że rozmawiał z tobą? — zapytał Majakin.

— O grzechach...

— Naturalnie! Każdemu człowiekowi własna sprawa jest najbliższa... a on — to przecież fabrykant grzechów... Na niego dawno i w ciężkich robotach i w piekle czekają — i doczekać się nie mogą.

— A mówić umie — wtrącił Tomasz, mieszając herbatę w szklance...

— Bardzo wymyślał na mnie? — wypytywał Majakin, kurcząc twarz złośliwie.

— Trochę...

— A cóż ty na to?

— Ja.. słuchałem...

— Hm... cóżeś słyszał?

— Silnemu, powiada, wszystko będzie przebaczone,— dla słabego niema przebaczenia...

— Co za mądrość, pomyślałby ktoś!... O tem i pchły wiedzą...

Pogardliwy stosunek chrzestnego ojca do Szczurowa drażnił bezwiednie Tomasza, więc, patrząc w twarz staremu, rzekł z uśmiechem:

— Chrzestnego ojca on nie lubi...

— Mnie, bracie, nikt nie lubi! — odrzekł Majakin z dumą. — I niema za co mnie lubić, nie jestem dziewczyną... Ale za to szanują mnie... A szanują tylko tych, których się boją...

I stary uśmiechnął się chełpliwie...

— A mówić umie... — powtórzył Tomasz. — Skarżył się... Wymierają, powiada, prawdziwi kupcy... Wszystkich ludzi, powiada, uczą jednej i tej samej nauki... żeby wszyscy byli jednakowi...

— Sądzi więc, że tak być nie powinno?

— Zapewne...

— Du-reń! — przeciągnął pogardliwie Majakin.

— Dlaczego? Czyż to dobrze? — zapytał Tomasz, spoglądając na chrzestnego ojca z niedowierzaniem.

— Co dobrze — tego nie wiemy, a co rozumne — to możemy widzieć... Jeżeli widzimy, że różnych ludzi spędzają w jedno miejsce i tam wpajają im jedno i to samo przekonanie, to musimy przyznać, że to jest rozumne... Bo czemże jest człowiek w państwie? Tylko jedną z cegiełek, a wszystkie cegły powinny być jednakiej miary... rozumiesz? Tak samo i ludzi jednakowego wzrostu i wagi — jak zechcę, tak tak ułożę...

— Komuż to przyjemnie być cegłą, — rzekł ponuro Tomasz.

— Tu nie o przyjemność chodzi, lecz o fakt... Jeżeliś z twardego materjału, to nie łatwo cię uciosać... Nie każdemu człowiekowi można pysk wygładzić... ale jeżeli go postukać młotem, to może się okazać złotem... A jak łeb pęknie, — to trudno! za słaby był widocznie...

— I o pracy też mówił... maszyny, powiada, robią teraz wszystko, dlatego tyle rozpusty wśród ludzi...

— Trafił kulą w płot! — machnął lekceważąco ręką Majakin. — Dziwi mnie tylko twoje upodobanie do wszelkiego rodzaju bredni!

— Czyż i to nieprawda? — zapytał Tomasz z posępnym uśmiechem.

— Czyż on może prawdę wiedzieć? Maszyna... Zastanowiłby się stary pień nad tem — co to jest maszyna? Żelazna przecie — a więc niema jej co żałować! nakręciłeś — i kuje ci ruble... bez żadnych słów, bez kłopotów... puściłeś i kręci się. A człowiek — i niespokojny i politowania godzien... a nawet bywa czasami bardzo biedny... Wyje, jęczy, płacze, prosi... upija się... ach, ileż w nim siedzi rzeczy zbytecznych i niepotrzebnych, na mój rozum. A w maszynie, jak w arszynie — tyle zawartości, ile tego wymaga potrzeba... Ale pójdę ubierać się... Czas już na mnie...

Wstał z krzesla i wyszedł, głośno szurgając pantoflami po podłodze. Tomasz patrzył wślad za nim i rzekł półgłosem, marszcząc brwi:

— Sam djabeł chyba nie zrozumie tego wszystkiego... jeden mówi tak, drugi — owak...

— Tak samo i w książkach, — dodała cicho Luba.

Tomasz spojrzał na nią, uśmiechając się dobrodusznie. Odpowiedziała mu niewyraźnym uśmiechem. W oczach jej malowały się znużenie i smutek...

— Wciąż czytasz? — zapytał Tomasz.

— Ta-ak... — odpowiedziała ze smutkiem dziewczyna.

— I wciąż nudzisz się?

— Och, jakie nudy... Sama jak palec... Niema do kogo słowa przemówić...

— Źle...

Nic nie odpowiedziała mu na to, zwiesiła tylko głowę i zaczęła powoli przebierać palcami koronkę ręcznika.

— Wyszłabyś zamąż... — rzekł Tomasz, czując, że mu jej żal...

— Daj mi spokój, proszę... — odrzekła Luba, marszcząc brzydko czoło.

— Przecież wyjdziesz kiedyś...

— Otóż to! — zawołała z westchnieniem. — I ja tak myślę, że trzeba... to jest, że będę musiała wyjść... Ale jak się to stanie? Czy wiesz — teraz mam takie uczucie, jakgdyby między mną a ludźmi wisiała jakaś mgła... gęsta, gęsta mgła!

— To tak od tych książek — wtrącił Tomasz.

— Nie przerywaj! I coraz bardziej przestaję rozumieć, co się dokoła mnie dzieje... Wszystko nie podoba mi się... wszystko jest mi obce... Wszystko nie takie jak trzeba, wszystko nie to... Widzę... rozumiem to, a powiedzieć, co nie tak, i dlaczego — nie umiem...

— Nie tak, nie tak...—zamruczał Tomasz.—Wszystko to z tych książek... A jednak i ja również czuję, że nie tak... Może to dlatego, żeśmy jeszcze młodzi... z głupoty...

— Zdawało mi się z początku — mówiła Luba, nie słuchając go — że w książkach wszystko rozumiem... A teraz...

— Rzuć je do licha! — radził Tomasz.

— Ach, czyż można je rzucić? Nie wiesz nawet, ile jest różnych myśli na świecie! O, Boże! Są takie, co poprostu pożar wzniecają w głowie... W jednej książce powiedziano, że wszystko, co istnieje na ziemi, jest mądre...

— Wszystko? — zapytał Tomasz.
— Wszystko! A w drugiej — zupełnie naodwrót...
— Słuchaj! Czyż to nie brednie?
— O czem rozmawiacie? — zapytał Majakin, zjawiając się we drzwiach, ubrany w długi surdut i z jakiemiś medalami na szyi i piersi.
— Tak sobie... — rzekła niechętnie Luba.
— O książkach — dodał Tomasz.
— O jakich książkach?
— Luba czyta... i przeczytała, że wszystko na ziemi jest mądre...
— No?
— A ja mówię, że to kłamstwo.
— Ta-ak... — Jakób Tarasowicz zamyślił się, skubiąc bródkę i mrużąc oczy.
— Co to za książka? — zapytał córkę po chwili.
— Taka maleńka... żółta... — odparła niechętnie Luba.
— Połóż-no mi ją na biurko... Niegłupio powiedziane: wszystko na ziemi jest mądre! Widzisz go... domyślił się jakiś... Tak... to nawet bardzo zręcznie powiedziane... I gdyby nie durnie — to byłoby zupełnie prawdziwe... Ale ponieważ durnie zawsze znajdują się nie na swojem miejscu, — to nie można powiedzieć, żeby wszystko na ziemi było mądre... Przejrzę zresztą książkę... może w niej znajdę co mądrego... Do widzenia, Tomaszu! Posiedzisz jeszcze, czy może podwieźć cię?...
— Posiedzę jeszcze...
— To dobrze...
Luba i Tomasz znów zostali sam na sam.
— Jakiego masz ojca! — rzekł Tomasz ruchem głowy wskazując na Majakina.
— Jakiego?
— Na wszystko ma odpowiedź i o wszystkiem potrafi mieć własne zdanie...
— Tak... rozumny... Szkoda tylko, że nie rozumie, jak mi jest ciężko żyć... — ze smutkiem rzekła Luba.
— Ja również nie rozumiem... wiele w tem wszystkim wymyślonego...

— Cóż ja wymyślam? — krzyknęła dziewczyna z rozdrażnieniem.

— Bo wszystko to są... nie twoje przecież myśli... cudze...

— Cudze... cudze...

Chciała powiedzieć coś zjadliwego, ale urwała i zamilkła. Tomasz patrzył na nią i, porównywając ją z Medyńską, pomyślał ze smutkiem:

„Jak wszystko jest różne... i ludzie, i kobiety... i czuje się zawsze różnie"...

Oboje siedzieli naprzeciw siebie, zamyśleni i nie patrzyli na siebie.

Na dworze zapadał zmrok, a w pokoju było już zupełnie ciemno. Wiatr kołysał lipy, gałęzie ich stukały o ściany domu, jakgdyby zimno im było i dlatego prosiły się do pokoju...

— Lubo! — odezwał się cicho Tomasz.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Wiesz... po... pogniewałem się z Medyńską...

— Z jakiego powodu? — zapytała, ożywiając się nagle.

— A... tak... doszło do tego, że obraziła mnie... obraziła.

— No to bardzo dobrze, że pogniewałeś się. Zawróciłaby ci doreszty głowę.. marna kokietka... jeszcze nawet gorsza... ach, jakie ja rzeczy wiem o niej!

— Taką wcale nie jest, — rzekł Tomasz ponuro. — Nic nie wiesz... wszyscy wy kłamiecie!

— Wcale nie...

— Wiesz co, Lubo, — cicho i błagająco przemówił Tomasz. — Nie mów źle o niej... nie trzeba... Wiem wszystko... jak Bóg miły! Sama mi to powiedziała...

— Sa-ma!? — zawołała ze zdziwieniem Luba. — A to... jaka... dziwna! Cóż powiedziała?...

— Że zawiniła... — wymówił Tomasz z wysiłkiem i roześmiał się boleśnie.

— Tylko? — z rozczarowaniem zawołała Luba.

— Czyż to mało?

— A cóż będzie teraz?

— Nad tem właśnie się zastanawiam...

— Czy bardzo ją... kochasz?

Tomasz milczał, popatrzył przez okno i ze zmieszaniem odrzekł:

— Nie wiem... Zdaje mi się jednak... że teraz jeszcze więcej, niż przedtem...

— Przed kłótnią?...

— Tak...

— Dziwię się, jak można taką kochać? — zapytała dziewczyna, wzruszając ramionami.

— Taką? I jak jeszcze można! — zawołał Tomasz.

— Nie rozumiem... Nie, to dlatego tylko, że przywiązałeś się do niej, że nie widziałeś lepszej od niej...

— Nie widziałem! — zgodził się Tomasz i po chwili milczenia dodał z wahaniem: — A może lepszych niema...

— Śród naszych... — dodała Luba.

— Ona mi... bardzo potrzebna! Dlatego, widzisz, że się przed nią wstydzę.

— Czegóż to?

— A wogóle... Boję się jej... to jest nie chcę, żeby źle myślała o mnie... jak o innych. Czasami — nuda mnie żre! Nieraz pomyślę — zahulać chyba, żeby wszystkie żyły zatrzeszczały? A przypomnę ją sobie — i nie mam odwagi... I tak we wszystkiem — najpierw myślę: co będzie, jak ona się dowie? I lęk mnie ogarnia...

— Ta-ak, — przeciągnęła dziewczyna w zamyśleniu, — więc ty ją kochasz... Ja również... gdybym kochała, myślałabym zawsze o nim... co on powie?

— I wszystko u niej... jakieś szczególne, — cicho opowiadał Tomasz. — Mówi po swojemu... i taka piękna, Boże! I taka maleńka... jak dziecko...

— O cóż poróżniliście się? — zapytała Luba.

Tomasz przysunął się z krzesłem do niej i nachylony zaczął jej opowiadać przyciszonym głosem. Mówił i w miarę tego, jak przypominał sobie słowa powiedziane przez Medyńską, budziły się w nim uczucia, które wywołały te słowa:

— Powiadam jej — ach ty! Igrałaś ze mną — poco? — mówił gniewnie i z wyrzutem. A Luba z rumieńcem na

twarzy zachęcała go do dalszych wynurzań, przytakując głową:

— Tak! To dobrze! A cóż ona na to?

— Milczy! — rzekł smutnie Tomasz, wzruszajac ramionami. — To jest mówiła... różne rzeczy... ale cóż z tego?

Machnął ręką i umilkł. Luba, bawiąc się warkoczem, też milczała. Samowar już zgasł. W pokoju zmrok stawał się coraz gęstszy, ciemność patrzyła przez okna i czarne konary lip kołysały się w zamyśleniu tam, za oknami.

— Zapaliłabyś światło... — zagadnął Tomasz.

— Jacyśmy oboje z tobą nieszczęśliwi... — rzekła Luba i westchnęła.

Nie podobało się to Tomaszowi.

— Ja — nie jestem nieszczęśliwy... — zaprzeczył stanowczym głosem. — Ja poprostu... nie przyzwyczaiłem się jeszcze do życia.

— Człowiek, który nie wie, co jutro zrobi, — jest nieszczęśliwy! — ze smutkiem mówiła Luba. — A ja nie wiem... I ty też... I dokąd iść? Iść jednak trzeba... Czemu moje serce nigdy nie bywa spokojne... wciąż drży w niem jakieś pragnienie...

— Tak samo i ja, — powiedział Tomasz. — Myślę, myślę... a o czem? — Nie umiem sobie zdać sprawy... i serce mi się ściska... Ach!... Trzeba jednak iść do klubu...

— Nie odchodź... — poprosiła Luba.

— Trzeba... tam na mnie czeka ktoś... Pójdę... Żegnaj!

— Do widzenia! — podała mu rękę i smutnie spojrzała mu w oczy.

— Położysz się spać? — zapytał Tomasz, ściskając mocno jej rękę.

— Poczytam trochę...

— Ciągnie do książki, jak pijaka do wódki... — rzekł z politowaniem.

— Bo i cóż jest lepszego?

Idąc ulicą, spojrzał w okna domu i w jednem z nich ujrzał twarz Luby. Była również niewyraźna jak i wszystko to, co mu dziewczyna mówiła, jak i jej pragnienia. Tomasz kiwnął jej głową i ze świadomością własnej nad nią wyższości pomyślał:

„Zaplątała się, jak tamta..."

Na to wspomnienie potrząsnął głową i, jakby pragnąc odegnać od siebie myśl o Medyńskiej, przyśpieszył kroku.

Zbliżała się noc. Chłodny, orzeźwiający wiatr miotał się gwałtownie po ulicy, zamiatając śmiecie na chodnikach i ciskając kurz w twarze przechodniom. Było ciemno, a w ciemności jacyś ludzie kroczyli pośpiesznie. Tomasz marszczył się od kurzu, mrużył oczy i myślał:

„Jeżeli teraz spotkam kobietę — to Zofja Pawłowna powita mnie łaskawie, po dawnemu... Jutro pójdę do niej... A jeżeli mężczyznę — to jutro nie pójdę... poczekam jeszcze"...

Spotkał psa i to go tak rozdrażniło, że chciał uderzyć go laską...

A w klubie, przy bufecie spotkał wesołego Uchtiszczewa. Tuż przy drzwiach rozmawiał z jakimś otyłym i wąsatym jegomościem, ale zobaczywszy Gordiejewa ruszył na jego spotkanie, uśmiechając się i mówiąc:

— Moje uszanowanie, skromny miljonerze!

Tomasz lubił go za jego wesołe usposobienie i spotykał go zawsze z przyjemnością. Ściskając rękę Uchtiszczewa przyjaźnie i mocno, zapytał:

— Z czego pan wnosi, że jestem skromny?

— Jeszcze się pyta! Człowiek, co żyje jak pustelnik, nie pije, nie gra, nie lubi kobiet... ale, ale! Czy wiecie, Tomaszu Ignatjewiczu? Nasza niezrównana patronka wyjeżdża jutro zagranicę na całe lato.

— Zofja Pawłowna? — zapytał Tomasz.

— No, tak! Zachodzi słońce życia mego... a może i pańskiego?

Uchtiszczew zrobił komicznie chytrą minę i zajrzał Tomaszowi w twarz.

A ten stał przed nim i czuł, że głowa jego opada na piersi i że nie może zapanować nad sobą...

— Tak, świetlana Aurora...

— Wyjeżdża Medyńska? — rozległ się tuż obok niski, basowy głos. — Doskonale! Jakżeż sie cieszę...

— Dlaczegóż? — zawołał Uchtiszczew.

Tomasz uśmiechał się głupkowato i patrzył z roztargnie-

niem na wąsatego jegomościa — towarzysza Uchtiszczewa. Ten poważnym gestem gładził swe wąsy, z pod których lały się na Tomasza ciężkie, tłuste, obrzydliwe słowa.

— A dlatego, widzi pan, że w mieście będzie mniej o jedną kokotkę...

— Fe, Marcinie Nikiticzu, — z wyrzutem przerwał Uchtiszczew, marszcząc brwi.

— Skąd pan wie, że ona kokietka? — ponuro zapytał Tomasz, przysuwając się do wąsatego pana. Ten zmierzył go lekceważącem spojrzeniem, odwrócił się i, drygnąwszy nogą, wycedził:

— Nie powiedziałem ko-kiet-ka...

— Nie wolno, Marcinie Nikiticzu, w ten sposób wyrażać się o kobiecie, która... — przemówił Uchtiszczew przekonywającym głosem, ale Tomasz przerwał mu:

— Za pozwoleniem! Chcę tego pana zapytać, co on... jaki to on wyraz powiedział?

Wyrzekłszy to stanowczo i spokojnie, Tomasz wsunął głęboko ręce do kieszeni spodni i wyprostował się, wskutek czego cała jego postać przybrała odrazu jawnie wyzywający wygląd... Wąsaty pan zmierzył go znowu wzrokiem i drwiąco się uśmiechnął...

— Panowie! — cicho wtrącił Uchtiszczew.

— A więc, — głęboko wzdychając i nie spuszczając oczu z wąsala, rzekł Tomasz, — niech pan mi objaśni...

Uchtiszczew klasnął w dłonie i odbiegł od nich gdzieś na bok...

— Kokotka, jeżeli pan pragnie wiedzieć, — to kobieta, która się sprzedaje... — rzekł półgłosem wąsal, coraz bardziej przybliżając do Tomasza swoją szeroką, tłustą twarz.

Tomasz zaryczał zcicha i zanim tamten zdążył się odsunąć od niego, pochwycił go prawą ręką za kędzierzawe szpakowate włosy. Kurczowym ruchem ręki jął trząść jego głowę, lewą rękę podniósł do góry i bijąc, głuchym głosem powtarzał w takt uderzeń:

— Za plecami... nie plotkuj... a mów... w oczy otwarcie... otwarcie w oczy...

Doświadczał palącej rozkoszy, widząc, jak tłuste ręce miotają się śmiesznie w powietrzu i jak nogi człowieka, któ-

rego bił, podginają się bezradnie i wloką po podłodze. Z kieszeni wysunął się złoty zegarek i ślizgał się po okrągłym brzuchu, bujając się na łańcuszku. Upojony swą siłą i upokorzeniem tego poważnego człowieka, pełen mściwej radości, włóczył go Tomasz po podłodze, rycząc złowrogo i dziko. W tej chwili przeżywał wielkie uczucie — uczucie wyzwolenia się z męczącego ciężaru, oddawna przygniatającego jego piersi tęsknotą i bezsilnością. Czuł, że go schwycono ztyłu, w pasie i za plecy, że go trzymają za ręce, zginają je i łamią, że ktoś nadeptał mu na palce u nogi, ale nic nie widział, śledząc nabiegłemi krwią oczyma ciemną i ciężką masę, stękającą i wijącą się pod jego ręką... Oderwano go nareszcie, rzucono się nań i niby przez czerwonawą mgłę widział przed sobą na podłodze, u nóg swych, pobitego przezeń człowieka. Rozczochrany, najeżony, suwał po podłodze nogami, usiłując wstać; dwóch jakichś czarnych ludzi trzymało go pod pachy, ręce jego wisiały w powietrzu, jak nadłamane skrzydła, a on łkającym głosem krzyczał:

— Mnie bić... nie wolno! Mam order... łotrze! A łotrze! Mam dzieci... mnie wszyscy znają! A nikczemnik!... Rozbójnik! Poczekaj!

A Uchtiszczew szeptał na ucho Tomaszowi:

— Chodź pan, na miłość Boską!...

— Poczekajcie, dam mu jeszcze raz w pysk — prosił Tomasz. Ale pociągnięto go przemocą. Dzwoniło mu w uszach, serce biło prędko, ale czuł się lekko i dobrze. Znalazłszy się na schodach, westchnął głęboko i swobodnie, a zwracając się do Uchtiszczewa, rzekł z dobrodusznym uśmiechem:

— Dobrze mu dałem, co?

— Ależ słuchajcie! — zawołał z oburzeniem wesoły sekretarz. — To licho wie co! Niech djabli porwą... pierwszy raz widzę coś podobnego!

— Kochany panie! — rzekł łagodnie Tomasz. — Czyż on nie wart był lania? Czyż nie popełnił podłości? Jak można tak mówić o kimś za oczy? Nie, jeżeli masz co do powiedzenia, to idź do niej i powiedz to jej w oczy...

— A niechże pana djabli wezmą! Przecież nie o nią panu chodziło, nie za nią tylko pan go sprałeś?

— To jest, jakto nie za nią? A za kogóż? — zdziwił się Tomasz.

— Za kogo? Nie wiem... widocznie mieliście jakieś porachunki ze sobą! O, Boże! Nie zapomnę nigdy!

— A ten jegomość, co to za jeden? — zapytał Tomasz i nagle roześmiał się. — Jak on krzyczał... dureń!

Uchtiszczew spojrzał mu badawczo w twarz i zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, — czy pan doprawdy nie wie, kogo bił? I czy rzeczywiście tylko z powodu Zofji Pawłowny?

— Jak mi Bóg miły! — potwierdził Tomasz.

— Tak... Djabli wiedzą, co takiego!... — Przystanął ze zdumieniem, wzruszył ramionami i machnąwszy ręką szedł dalej chodnikiem, spoglądając zukosa na Tomasza. — Ale za to możecie odpowiadać...

— Chyba do sądu mnie pozwie?...

— Daj Boże, żeby tylko to... Jest to zięć wicegubernatora...

— Czy-yż!? — przeciągnął Tomasz i twarz mu się wydłużyła.

— Ta-ak. Prawdę mówiąc, jest to wierutny oszust i łotr... Wychodząc z tego założenia, przyznać należy, że wart był bicia. Ale biorąc pod uwagę, że dama, w której obronie pan wystąpił, też...

— Panie! — rzekł stanowczo Tomasz, kładąc rękę na ramieniu Uchtiszczewa. — Pan mi się zawsze bardzo podobał... i oto teraz idzie pan ze mną... Rozumiem to i potrafię ocenić... Ale nie odzywaj się pan tylko o niej źle. Jakakolwiek jest ona według pana, — dla mnie jest ona — najlepsza. Mówię to otwarcie i kiedy idziesz pan już ze mną, — to nie ruszaj jej... Uważam ją za uczciwą — a więc jest uczciwa...

Gdy mówił to, w głosie jego dźwięczało wielkie wzruszenie; Uchtiszczew spostrzegł to, spojrzał na Tomasza i rzekł w zamyśleniu:

— Ciekawy z pana człowiek... przyznać trzeba...

— Jestem prosty... dziki człowiek.. Pobiłem oto i — cieszę się... A tam niechaj będzie, co chce...

— Boję się — że źle będzie... Wie pan, — otwartość za otwartość — i pan mi się podobał... chociaż — hm! niebezpiecznie z panem... Opanuje pana... taki szał rycerski i można oberwać po karku...

— Cóż znowu! To dopiero pierwszy raz... nie codzień przecie biję ludzi... — rzekł Tomasz zawstydzony. Towarzysz jego zaśmiał się.

— Jaki pan... dziwny! Wszak taka rozprawa na pięści — to licho wie co, dzika, z przeproszeniem — barbarzyńska rzecz... Ale trzeba przyznać, — w danym wypadku wybór pański padł trafnie... pobiłeś pan rozpustnika, cynika, pasożyta... i człowieka, który bezkarnie obdarł i wyzuł z mienia swych siostrzeńców.

— Chwała Bogu! — zawołał z zadowoleniem Tomasz. — Przynajmniej ukarałem go trochę...

— Trochę? No, przypuśćmy, że trochę... Tylko, drogie dziecko... zechciej przyjąć ode mnie radę... jestem przecież sądownik... Że on, Kniaziew, łotr, to prawda! Ale i łotra nie wolno bić, ponieważ jest istotą społeczną, pozostającą pod opieką prawa. Nie wolno go tknąć dopóty, dopóki nie przekroczy granicy kodeksu karnego... I wtedy nawet nie pan, ale my, sędziowie, wymierzymy mu karę... Niechże więc pan będzie cierpliwy...

— A czy on prędko dostanie się w wasze ręce? — zapytał Tomasz naiwnie.

— Niewiadomo... Ponieważ nie jest głupi, to prawdopodobnie nigdy się nie dostanie... I po wszystkie dni swego żywota będzie i ze mną i z panem stał na jednym i tym samym poziomie równości wobec prawa... Boże, co ja mówię! — westchnął Uchtiszczew z komiczną miną.

— Zdradzasz pan tajemnicę zawodową? — uśmiechnął się Tomasz.

— Żadne tajemnice, tylko... nie powinienem być lekkomyślnym... Do djabła! A jednak... i mnie ta historja podnieciła... Doprawdy, Nemezys nawet i wtedy wymierza sprawiedliwość, kiedy wierzga poprostu jak koń...

Tomasz zatrzymał się nagle, jakby natrafił na jakąś przeszkodę.

— Nemezys — bogini sprawiedliwości... — plótł Uchtiszczew. — Co panu?

— Zaczęło się przecież od tego, — powoli i głucho wymówił Tomasz, — że pan powiedział, — jakoby ona miała wyjechać...

— Kto?

— Zofja Pawłowna...

— Tak, wyjeżdża... Więc cóż?

Stał przed Tomaszem i patrzył nań śmiejącemi się oczyma. Gordiejew milczał zwiesiwszy głowę, i końcem laski uderzał o kamień chodnika.

— Cóż, idziemy dalej... — rzekł Uchtiszczew.

Tomasz zaczął iść, mówiąc obojętnie.

— Niech wyjeżdża... A ja sam...

Uchtiszczew, wymachując laseczką, zaczął pogwizdywać, spoglądając zukosa na swego towarzysza.

— Nie przeżyję bez niej? — zapytał Tomasz, patrząc gdzieś przed siebie i po chwili milczenia odpowiedział cicho i z wahaniem:

— Jeszcze jak...

— Niech pan posłucha! — zawołał Uchtiszczew, — dam panu dobrą radę... człowiek powinien być sobą... a pan... Pan jesteś bohater epiczny, że tak powiem, i liryzm panu nie do twarzy. To nie pański rodzaj...

— Mów pan do mnie jakoś prościej, — rzekł Tomasz, wysłuchawszy uważnie przemowy Uchtiszczewa.

— Prościej? Dobrze... Chcę powiedzieć — przestań pan myśleć o tej kobiecie... Dla pana jest to napój zatruty...

— I ona mówiła mi to samo... — wtrącił posępnie Tomasz.

— Mówiła? — zapytał Uchtiszczew i zamyślił się. — Hm... A co... Możebyśmy poszli na kolację?

— Chodźmy — zgodził się Tomasz i nagle zacisnąwszy pięści i wymachując niemi, ryknął z wściekłością:

— Iść — to iść! Zahulam tak... tak po tem wszystkiem zahulam... że tylko patrz!

— Ale pocóż? My — skromniutko...

— Nie, poczekaj! — rzekł Tomasz żałośnie, wziąwszy go za ramię. — Cóż to? Czym gorszy od innych? Wszy-

scy żyją sobie... kręcą się, zabiegają, każdy ma swój punkt oparcia... A mnie — nuda żre... Wszyscy są zadowoleni z siebie i z życia... a te ich skargi — to kłamstwo! To oni tak udają... dla ozdoby... Ja nie mam poco udawać — głupi jestem... Ja, bracie, nic nie rozumiem... ja, poprostu, chcę żyć! Nie umiem myśleć... nuda mię żre... jeden mówi to, drugi owo... Tfu! A ona... ech! Gdybyś wiedział... przecież liczyłem na nią... czekałem... na co czekałem?... — nie wiem!... Ale ona — jest najlepsza... I wierzyłem — że pewnego dnia powie mi takie słowo... takie ważne słowo... oczy ma takie cudowne! Boże! Wstydziłem się spoglądać w te oczy... Tak, myślałem—powie mi ona na to słowo... i wszystko mi się odrazu wyjaśni... Przecież jam szedł do niej nietylko z miłością, — ale z duszą całą... Szukałem... myślałem, że jeżeli ona jest taka piękna, to zdawało mi się, że i ja przy niej stanę się człowiekiem?

Uchtiszczew patrzył, jak z ust jego towarzysza z trudem i bez związku wylatywały słowa, widział, jak od wysiłku drgały mu mięśnie na twarzy i czuł, że pod tą nawałnicą oderwanych wyrazów kryje się wielka rozpacz. Było coś wzruszającego w bezsilnej niemocy tego zdrowego i dzikiego młodzieńca, który kroczył szerokiemi i nierównemi krokami po trotuarze. Drepcząc za nim na swych krótkich nóżkach, Uchtiszczew czuł się w obowiązku uspokajać go. Wszystko, co mówił i robił tego wieczora Tomasz, wzbudzało w wesołym sekretarzu wielkie zainteresowanie, a nadto schlebiała mu szczerość młodego bogacza. Szczerość ta przygniotła go swą olbrzymią siłą, stracił pod jej naciskiem przytomność umysłu i chociaż, pomimo swych lat młodych, miał na wszystko gotową odpowiedź, — nieprędko ją jednak teraz znalazł.

— Ciemno i ciasno mi... — mówił Gordiejew, — czuję — jak spada na moje barki brzemię, a co to takiego? — nie mogę zrozumieć... Dławi mnie ono, krępuje... i dlatego nie umiem znaleźć prawdziwej drogi... nie daje mi żyć... Przysłuchuję się — każdy mówi co innego... a ona mogłaby mi powiedzieć...

— Ej, kochanku! — przerwał Tomaszowi Uchtiszczew, biorąc go łagodnie pod rękę. — Tak nie wolno! Do-

pieroś pan wstąpił w życie, a już filozofujesz! Nie, tak nie można! Życie dane jest nam dla życia! Żyj tedy — i pozwól żyć innym... Oto filozofja! A ona — ba! Czyż na niej jednej cały świat zbiegł się klinem? Jeżeli pan chce, poznajomię pana z taką jadowitą bestyjką, że z pańskiej filozofji odrazu nie pozostanie ani okruszyny w duszy! Wspaniała babuleńka! A jak ona potrafi korzystać z życia! Też, wie pan, coś z eposu. I piękna... jak Fryne, można powiedzieć! Będziecie pasowali do siebie! Do licha! Naprawdę, cudowna myśl... poznajomię pana! Trzeba klin klinem wybijać...

— Wstydzę się... — ponuro i smutnie rzekł Tomasz. — Póki ona żyje — nie mogę nawet patrzeć na kobiety.

— Taki zdrowy, życiem tryskający człowiek — ho-ho! — zawołał Uchtiszczew i zaczął tonem mentora przekonywać Tomasza, żeby koniecznie dał ujście swemu uczuciu w dobrej hulatyce, oczywiście w towarzystwie kobiet.

— To będzie wspaniale... i konieczne dla pana — proszę wierzyć! A sumienie... przepraszam! pan nieco fałszywie określa... to nie sumienie staje panu na przeszkodzie, lecz... nieśmiałość, jak sądzę... Żyje pan poza towarzystwem... jest nieśmiały i... niezręczny. Zdaje pan sobie z tego niejasno sprawę... i tę właśnie świadomość uważa za głos sumienia. W danym wypadku nie może być nawet mowy o sumieniu — poco tu zresztą sumienie, kiedy całkiem naturalną jest rzeczą weselić się człowiekowi, gdyż jest to i jego potrzebą i prawem?

Tomasz szedł, stosując swe kroki do kroków towarzysza, i patrzył wzdłuż drogi. Ciągnęła się ona między dwoma rzędami domów była podobna do ogromnego rowu, napełnionego mrokiem. Zdawało się, że droga ta nie ma końca i że po niej płynie powoli wdal coś ciemnego i tamującego oddech. Przekonywający i łagodny głos Uchtiszczewa dźwięczał monotonnie w uszach Tomasza i chociaż nie rozróżniał wyrazów, czuł jednak, że są one jakieś lepkie, czepiają się go i pomimo jego woli ryją się mu w pamięci. Pomimo to, że obok niego szedł człowiek, czuł się samotny, zgubiony w mroku. Ciemność obejmowała go i wlokła za sobą powoli, a on czuł, jak go ciągnie dokądś i nie miał siły się oprzeć.

Znużenie jakieś przeszkadzało mu myśleć, nie chciał opierać się namowom towarzysza — bo i poco?

— Nie każdemu zdrowo jest filozofować — mówił Uchtiszczew, wymachując w powietrzu laseczką i upajając się własną mądrością. — I jeżeli pan będzie filozofował, to któż będzie żył i używał życia? A żyje się tylko raz... I dla tego potrzeba się śpieszyć... dalibóg, prawdę mówię! Zresztą, co tu długo rozprawiać — oddaje się pan w moje ręce? Ja pana uzdrowię. Jedziemy zaraz do pewnego wesołego domu... mieszkają tam dwie siostrzyczki... zgoda?

— Cóż? Jedziemy... — odparł spokojnie Tomasz i ziewnął. — Czy aby nie za późno? — zapytał, spojrzawszy na niebo okryte chmurami.

— Do nich nigdy nie jest za późno! — zawołał wesoło Uchtiszczew.

## VIII.

Na trzeci dzień po zajściu w klubie znalazł się Tomasz o siedem wiorst od miasta, w leśnej przystani kupca Zwancewa, w towarzystwie składającem się z syna owego kupca, Uchtiszczewa, jakiegoś poważnego jegomościa z faworytami, łysą głową i czerwonym nosem, i czterech dam... Młody Zwancew nosił binokle, był chudy, blady i kiedy stał, to wciąż mu nogi drgały, jakgdyby ze wstrętu, że muszą podtrzymywać to wątłe ciało, ubrane w długie palto z kapiszonem, z którego fałd wyzierała mała zabawna główka w żokejskiej czapce. Jegomość z faworytami nazywał go J e a n i wymawiał to imię w taki sposób, jakgdyby cierpiał na chroniczny katar. Damą J e a n'a była wysoka, korpulentna kobieta z okazałym biustem. Miała spłaszczoną z boków głowę, niskie, wtył odchylone czoło, ostry i długi nos, nadający jej twarzy ptasi wyraz. Brzydka ta twarz była zupełnie nieruchoma, jedynie małe, okrągłe, zimne oczy ciągle się uśmiechały przenikliwie i chytrze. Dama Uchtiszczewa nazywała się Wiera; była to wysoka i blada kobieta o rudych, olbrzymich włosach, osłaniających głowę nakształt ogromnej czapki, która zsuwała się na uszy, policzki i wysokie czoło;

z pod czoła spokojnie i leniwie patrzyły duże, niebieskie oczy.

Jegomość z faworytami siedział obok młodziutkiej i rumianej dziewczyny, głośno śmiejącej się bez przerwy z tego, co on, schylony nad jej ramieniem, szeptał jej do ucha.

Tomasz siedział przy wysokiej, zgrabnej brunetce o smagłej twarzy z lekko kręcącemi się włosami, ubranej w czarną suknię. Głowę trzymała tak wysoko podniesioną i spoglądała na wszystkich z tak dumną pobłażliwością, że odrazu widać było, iż czuje się pierwszą osobą w tem towarzystwie.

Towarzystwo roztasowało się na ostatniem przęśle tratwy, wysuniętej daleko w pustą równinę rzeki. Na tratwie rozesłane były deski, na których pośrodku stał zbity naprędce stół; wszędzie leżały rozrzucone puste butelki, koszyki z prowizją, papierki z cukierków, skórki z pomarańcz... W rogu tratwy nasypana była kupka ziemi, na której palił się ogień; chłop w krókim kożuchu siedział skurczony, grzał nad ogniem ręce i spoglądał zukosa w stronę „państwa". „Państwo" dopiero co zjadło zupę ze szterletów, a teraz raczyło się winem i owocami.

Zmęczone dwudniową hulatyką i dopiero co skończonym obiadem, towarzystwo czuło się zmęczone. Wszyscy patrzyli na rzekę, rozmawiali, ale długie pauzy raz wraz przerywały rozmowę. Dzień był jasny i—jak na wiosenny czas—dość chłodny. Jasne, zimne niebo rozpostarło się majestatycznie nad mętną wodą szeroko rozlanej rzeki, spokojnej, jak niebo, i bezgranicznej, jak morze. Daleki górzysty brzeg owinięty był łagodnie niebieskawą krepą mgły, w której, na szczycie gór, świeciły się, jak duże gwiazdy, krzyże cerkwi. Przy górzystym brzegu na rzece panował ruch — snuły się parostatki, których sapanie rozlegało się ciężkiem westchnieniem na tratwach i na łąkach, gdzie cichy plusk fal napełniał powietrze miękkiemi, lękliwemi dźwiękami. Ogromne barki ciągnęły tam, jedna za drugą, przeciw prądowi, prując powierzchnię rzeki. Czarny dym wydobywał się ciężkiemi kłębami z kominów i topniał powoli w powietrzu, pełnem jaskrawych blasków słońca. Czasami huczał świstek — jakgdyby jakiś olbrzymi zwierz, przerażony bezlitośnie pracą,

złościł się i ryczał. A na łąkach wpobliżu tratew było cicho i spokojnie. Samotne, zatopione przez powódź drzewa, okrywały się już jasno-zielonemi pędami liści. Woda nadała tym drzewom wygląd kulisty, ukrywając ich pnie, a odbijając szczyty, i — zdawało się, że za najlżejszym powiewem wiatru popłyną one, dziwacznie piękne, po zwierciadlanem łonie rzeki...

Ruda niewiasta, patrząc melancholijnie w przestrzeń, zanuciła cicho i smutnie:

*„Wzdłuż rzeki Wołgi*
*Łódź lekka płynie...“*

Brunetka, przymrużywszy swe duże, poważne oczy, rzekła, nie patrząc na nią.

— I bez tego nudzimy się...

— Nie przeszkadzaj... niechaj śpiewa! — poprosił dobrodusznie Tomasz, zajrzawszy w twarz swojej damie. Był blady, w oczach jego płonęły jakieś iskierki, a na ustach błąkał się niewyraźny i leniwy uśmiech.

— Zaśpiewajmy chórem!... — zaproponował jegomość z faworytami...

— Nie, niechaj one obie zaśpiewają!... z ożywieniem zawołał Uchtiszczew. — Zaśpiewaj, Wiera, tę... wiesz? „Pójdę o brzasku zorzy“... jak dalej? Paulinko, zanućcie!

Chichotka spojrzała na brunetkę i zapytała z odcieniem uszanowania w głosie:

— Czy można zaśpiewać, Saszo?

— I ja też będę śpiewała... — oświadczyła przyjaciółka Tomasza, i zwróciwszy się do niewiasty o ptasiej twarzy, rzekła rozkazująco:

— Wasso, śpiewaj ze mną!

Ta przerwała natychmiast swą rozmowę ze Zwancewem, pogładziła ręką gardło i wlepiła swe okrągłe oczy w twarz siostry. Sasza wstała, oparła się ręką o stół i podniósłszy dumnie głowę, przemówiła śpiewnie silnym, prawie męskim głosem:

*„Dobrze temu żyć na świecie,*
*Czyje serce nie zna troski.*
*Nie zna troski, ni miłości!"*

A siostra pochyliła głowę i przeciągle, żałośnie, wysokim kontraltem jęknęła:

*„A w mojej piersi dziewiczej"*

A Sasza, spojrzawszy pałającemi oczyma na siostrę, rzuciła niskim głosem:

*„Serce wyschło niby trawka!..."*

Oba głosy zlały się i pięknym, pełnym, drżącym od nadmiaru siły akordem popłynęły nad wodą. Jeden użalał się na nieznośny ból serca i upojony jadem swej skargi — łkał smętnie w bezsilnej boleści, łkał, zalewając łzami płomienie swych męczarni. Drugi — bardziej niski i męski — rozlegał się potężnie w powietrzu, przepełniony uczuciem krwawej krzywdy i chęcią zemsty. Wyraźnie wymawiane słowa wydobywały się z piersi zwartym potokiem i w każdym wyrazie czuć było wrzącą krew, którą wzburzyła doznana krzywda i żądza zemsty.

*„Już ja mu za to odpłacę..."*

śpiewała żałośnie Wassa z zamkniętemi oczyma:

*„Tęsknotę w sercu zaszczepię..."*

z pewnością siebie i groźbą obiecywała Sasza, wyrzucając w powietrze mocne, silne dźwięki, podobne do uderzeń... I nagle, zmieniając tempo śpiewu i podnosząc głos, zanuciła pieśń pełną lubieżnej radości i groźby, również przeciągle, jak siostra:

*„Tęsknotą serce wysuszę,*
*„Jako wiatr trawę na łące...*

Tomasz, oparłszy się łokciami o stół, zwiesił głowę i zmarszczywszy brwi, patrzył w twarz śpiewającej kobiety, w jej czarne, przymknięte oczy. Skierowane gdzieś wdal, połyskiwały one tak złowrogo, że aksamitny głos, płynący z jej piersi, wydawał mu się od tego połysku równie czarny, jak jej oczy. Przypomniał sobie jej pieszczoty i pomyślał:

„Skąd ona taka? Aż straszno z nią"...

Uchtiszczew, przytulony do swej towarzyszki, słuchał pieśni z błogim wyrazem na twarzy, cały rozpromieniony z zadowolenia. Jegomość z faworytami i Zwancew pili wódkę i cicho szeptali o czemś, pochyleni ku sobie. Ruda niewiasta siedziała zamyślona i przyglądała się dłoni Uchtiszczewa, trzymając ją w swoich rękach; wesoła zaś dziewczyna posmutniała i z nisko zwieszoną głową słuchała nieruchomo pieśni, jakby oczarowana nią. Chłop odchodził od ogniska. Stąpał ostrożnie po deskach, stając na palcach, z rękami założonemi wtył, a na szerokiej, brodatej twarzy igrał uśmiech zdziwienia i jakiejś naiwnej radości.

*„O gdybyś wiedział młodzieńcze..."*

wołała żałośnie Wassa, kołysząc głową. A siostra jej wysunąwszy pierś naprzód i jeszcze wyżej podnosząc głowę, zakończyła pieśń triumfującą i potężną nutą:

*„„Co to tęsknota miłosna-a-a!"*

Skończywszy, obejrzała się dumnie dokoła i, usiadłszy obok Tomasza, objęła go silną i twardą ręką za szyję.

— Ładna pieśń, co?

— Śliczna! — westchnął Tomasz, uśmiechając się do niej.

— Brawo-o! Brawo, Aleksandro Saweljewno! — wrzeszczał Uchtiszczew, a reszta biła w dłonie. Lecz ona na nich nie zwracała uwagi i, mocno obejmując Tomasza, mówiła:

— A ty mi co podaruj za tę piosenkę...

— Dobrze, podaruję... — zgodził się Tomasz.

— Co?

— Powiedz sama, co chcesz...

— Powiem ci w mieście... A jeśli podarujesz to, co zechcę — och, jak będę cię kochała!

— Za podarunek? — zapytał Tomasz, uśmiechając się niedowierzająco. — Mogłabyś i bez niego...

Spojrzała nań spokojnie i po chwili namysłu rzekła stanowczo:

— Bezinteresownie — za wcześnie na to... Nie chcę udawać, poco cię okłamywać!... Mówię szczerze — kocham za pieniądze, za podarunki... Dlatego — że mężczyźni nie mają nic, prócz pieniędzy... Nie mogą też dać nic więcej ponad pieniądze... nic wartościowego... Ja to wiem... Można i bez tego kochać... prawda. Poczekaj, — jak ci się przyjrzę, to może pokocham bezpłatnie... A tymczasem — wybacz... przy mojem życiu potrzeba mi dużo pieniędzy...

Tomasz słuchał jej, uśmiechał się i drżał przy każdem dotknięciu jej silnego i pięknego ciała. A w uszach dźwięczał dokuczliwie kwaśny, przepity i nudny głos Zwancewa:

— Nie lubię... i nie mogę wyczuć piękna w tej tyle sławionej rosyjskiej pieśni... Co w niej jest takiego? hę? Wycie wilka... dzikiego... głodnego... Wszystko to — jakaś psia niemoc, zbydlęcenie wogóle... Brak wesołości... brak szyku... żywych i orzeźwiających dźwięków... Nie, gdyby pan posłuchał, co i jak śpiewa chłop francuski... o! Albo Włoch...

— Ależ za pozwoleniem... — wołał oburzony Uchtiszczew.

— Z tem muszę się zgodzić... — rosyjskie pieśni są monotonne i posępne... niema, wie pan, w nich tego blasku kultury... —ze smutkiem mówił jegomość z faworytami, pociągając wino ze szklanki.

Słońce zachodziło. Zapadając gdzieś daleko za lasem, stroiło go w purpurę i rzucało na ciemną, chłodną wodę różowe i złote plamy. Tomasz patrzył tam, na tę grę słonecznych promieni, śledził, jak przelewały się one po cichej, gładkiej równinie wód i łowiąc uchem urywki rozmowy, wyobrażał sobie słowa, jako rój ciemnych motyli, latających niespokojnie w powietrzu. Sasza, położywszy głowę na jego

ramieniu, szeptała mu coś do ucha, a on rumienił się i burzył, czując, jak jej słowa wzbudzają w nim pragnienie objęcia tej kobiety i całowania jej bez końca. Poza nią nikt z zebranych tu ludzi nie interesował go, Zwancew zaś i jegomość byli mu nawet wstrętni...

— A ty czego się tu gapisz, co? — usłyszał żartobliwie-groźne wołanie Uchtiszczewa.

Uchtiszczew krzyknął na chłopa. Ten szybko zdarł z głowy czapkę, uderzył się nią po kolanie i odrzekł z uśmiechem.

— Podszedłem posłuchać, jak pani śpiewa...

— Pięknie śpiewa, co?

— Co tu gadać! — odparł chłop z zachwytem w oczach, przyglądając się Saszy.

— Otóż-to! — zawołał Uchtiszczew.

— Pani ma wielką siłę głosu w piersiach — rzekł chłop, kiwając głową.

Słowa jego wywołały śmiech wśród dam, a dwuznaczniki pod adresem Saszy — śród mężczyzn.

Wysłuchawszy tego spokojnie i ani słowa nie odrzekłszy, Sasza zapytała chłopa:

— A ty śpiewasz?

— Ech, jaki tam mój śpiew! — machnął ręką.

— Jakie umiesz piosnki?

— A różne... Ja śpiewać lubię...

I uśmiechnął się z miną winowajcy.

— Może zaśpiewasz co ze mną.

— E, gdzie tam! Czyż mogę z panią?

— No, zaczynaj!

— A czy mogę usiąść?

— Chodź tu, do stołu...

— Jak to wesoło! — zawołał Zwancew, krzywiąc twarz.

— Jeżeli się pan nudzi — to niechaj się pan utopi...— odrzekła Sasza, błysnąwszy gniewnie oczyma.

— O nie, za zimna woda... — odparł Zwancew, kurcząc się pod jej spojrzeniem.

— Jak się panu podoba! — wzruszyła ramionami.

— A już czas na pana... i wody teraz dużo, nie zanieczyściłbyś wszystkiej zgnilem swem cielskiem...

— Śliczny dowcip, fe! — syknął młodzik, odwracając się od niej, i z pogardą dodał: — w Rosji nawet kokotki są brutalne...

Z temi słowy zwrócił się do swego sąsiada, lecz ten odpowiedział mu tylko pijanym uśmiechem. Uchtiszczew był również pijany. Patrząc osowiałemi oczyma w twarz swojej damy, mruczał coś i nic nie słyszał. Dama o ptasiej twarzy jadła cukierki, trzymając pudełko tuż pod samym nosem. Paulinka poszła na koniec tratwy, przystanęła tam i rzucała skórki z pomarańcz do wody.

— Nigdy jeszcze nie zdarzało mi się być na tak głupim spacerze i... w takiem towarzystwie, — żałośnie skarżył się sąsiadowi Zwancew.

Tomasz śledził go z uśmiechem i cieszył się, z tego, że ten wątły i brzydki młodzieniec nudzi się i że go obraziła Sasza. Z sympatją i uznaniem spoglądał na swą towarzyszkę, — podobała mu się z tego, że rozmawia ze wszystkimi tak prosto i trzyma się tak dumnie, jak prawdziwa pani.

Chłop usiadł na deskach u nóg Saszy, objął rękoma swe kolana, podniósł ku niej twarz i słuchał z powagą jej słów.

— Podnoś głos wyżej, kiedy ja zniżam... rozumiesz...

— Rozumiem... tylko... proszę pani? Dla odwagi czy nie możnaby się napić?!

— Tomaszu, nalej mu szklankę!

Gdy, wychyliwszy szklanicę, chłop odchrząknął, oblizał usta i rzekł: „teraz mogę"... zakomenderowała, marszcząc brwi:

— Zaczynaj...

Wykrzywiwszy usta i skierowawszy oczy ku jej twarzy, chłop zaśpiewał wysokim tenorowym głosem:

„*Nie chce mi się ani jeść, ani pić*".

Drgnąwszy całym ciałem, Sasza żałośnie załkała:

„*Nie idzie wino do gardła*"...

Cłop uśmiechnął się słodko, pokiwał głową i, zamknąwszy oczy, wyrzucił w powietrze drżący potok wysokich tonów:

*„Nadeszła dla mnie chwila pożegnania"*.

A Sasza, drżąc i wyginając się, wybuchnęła płaczem:

*„Z krewnymi muszę się rozstać"*...

Zniżając głos i kołysząc się cały, z dziwną mocą akcentując boleść rozstania, chłop mówił — śpiewał:

*„Ach, w obce kraje iść muszę"*.

Gdy dwa łkające i tęsknotą nabrzmiałe głosy wlały się w ciszę i chłód wieczoru, — jakgdyby nagle zrobiło się cieplej jakoś i jaśniej dokoła; wszystko jakby uśmiechało się bolesnym uśmiechem współczucia dla cierpień człowieka, którego jakaś ciemna siła wyrywa z rodzinnego gniazda i pędzi w obce kraje na ciężką pracę i poniewierkę. Jakgdyby nie dźwięki, nie piosnka, lecz te gorące łzy serca ludzkiego, w których wylała się ta skarga, szalona tęsknota i ból ran otrzymanych w walce z surowem życiem, głębokie cierpienie od ciosów, zadanych człowiekowi żelazną dłonią losu — wszystko to ujęte było w proste i nieokreślone słowa i w żałosnych dźwiękach leciało ku dalekiemu i pustemu niebu, i tam konało bez echa.

Odsunąwszy się od śpiewaków, Tomasz patrzył na nich z uczuciem jakiegoś przestrachu; do piersi wlewała mu się pieśń wrzącą falą, a szalona siła tęsknoty, tkwiąca w niej, boleśnie ściskała mu serce. Czuł, że mu w piersi wzbierają łzy, że szczypie go coś w gardle, a twarz kurczy się żałośnie. Jak za mgłą widział czarne oczy Saszy, — nieruchome i błyszczące posępnie wydawały mu się one ogromne i jakgdyby coraz się zwiększały. Doznawał wrażenia, że to nie dwoje ludzi śpiewa — a wszystko naokół śpiewa i płacze, drży i wije się w mękach boleści, rwie się dokądś, rozpaczliwie, wybucha gorącemi łzami, a wszystko, co żyje, splotło się

w jednym potężnym uścisku rozpaczy. On sam śpiewa wraz ze wszystkimi — z ludźmi, z rzeką i z dalekim brzegiem, skąd dolatują ciężkie westchnienia i zlewają się z pieśnią.

Chłop ukląkł i, patrząc na Saszę, wymachiwał rękoma, a ona pochyliła się ku niemu i przytakuje mu ruchem głowy: śpiewają bez słów, samemi dźwiękami, i Tomaszowi nie chce się wierzyć, że to tylko dwie piersi ludzkie z taką potężną siłą napełniają powietrze lamentem i jękiem.

Gdy skończyli śpiewać, Tomasz, drżąc ze wzruszenia, patrzył na nich z twarzą mokrą od łez i uśmiechał się smutnie:

— Piękna pieśń! — rzekł.

—Co — wzruszyła cię? — zapytała Sasza. Blada ze zmęczenia, oddychała ciężko i szybko. Tomasz spojrzał na chłopa. Ten ocierał swe spocone czoło i rozglądał się dokoła zupełnie błędnemi oczyma, jakby nie rozumiejąc — co się stało.

Była cisza. Wszyscy siedzieli nieruchomo w milczeniu.

—Ach, Boże! — westchnął Tomasz, podnosząc się z miejsca.

—Ależ ty śpiewasz! no no! — zawołał z podziwem, zwracając się do chłopa.

— Ach, proszę wielmożnego pana! — westchnął chłop i dodał z przekonaniem: — Jak bieda przyciśnie — to i wół słowiczego głosu dobędzie... Ale skąd pani tak śpiewa... to już jednemu Bogu wiadomo... a śpiewa — to każda żyłka drży, zdaje się... to jest poprostu — kładź się i umieraj z tęsknoty...

— Bardzo dobrze zaśpiewaliście! — rzekł Uchtiszczew pijanym głosem.

— Nie, djabli wiedzą, co takiego! — prawie ze łzami krzyknął nagle rozdrażniony Zwancew, zrywając się od stołu. — Przyjechałem zabawić się... chcę weselić się, a tu wycia pogrzebowe!... Co za nonsens! Nie chcę więcej... odjeżdżam!

— Jean! I ja odjeżdżam z tobą... też się nudzę... — oświadczył jegomość z faworytami.

— Wasso! — wołał Zwancew na swoją damę, — Ubieraj się!...

— Tak, czas jechać, — rzekła spokojnie do Uchtiszczewa jego ruda towarzyszka. — Zimno... i prędko będzie już ciemno...

— Stefan! pakuj wszystko, — rozkazywała Wassa chłopu.

Wszyscy zaczęli się zbierać z pośpiechem i razem mówić; Tomasz patrzył na nich bezmyślnemi oczyma i wciąż drżał. Bladzi, zmęczeni ludzie chodzili po tratwach chwiejnemi nogami i mówili coś do siebie bez sensu i związku. Sasza potrącała ich bez ceremonji, składając swoje rzeczy.

— Stefanie? Krzyknij, żeby konie dawali...

— A ja-a... napiję się jeszcze konjaku... kto jeszcze chce ze mną konjaku? — pytał miodowym głosem jegomość z faworytami, trzymając w ręku butelkę.

Wassa otulała szalem szyję Zwancewowi. Ten stał przed nią z kwaśno wykrzywionemi ustami, zmarszczony, niezadowolony, podrygując nogami. Tomaszowi przykro było patrzeć na nich, poszedł tedy na drugą tratwę. Dziwił się, że ci wszyscy ludzie zachowują się w ten sposób, jakby nie słyszeli pieśni, która żyła w jego piersi, budząc w niej niespokojne pragnienie życia, dokonania czegoś, mówienia o czemś. Ale mówić nie miał z kim.

Słońce już zaszło i dal tonęła w sinawej mgle. Tomasz popatrzył tam i odwrócił się. Nie chciało mu się jechać do miasta z tymi ludźmi, i pozostać tu z nimi też nie chciał. A oni wciąż przechadzali się nierównym krokiem po tratwie, zataczając się z boku na bok i mrucząc jakieś słowa bez związku. Kobiety były trzeźwiejsze od mężczyzn, ruda tylko nie mogła długo podnieść głowy z ławy, a podniósłszy się jednak wreszcie, oświadczyła:

— No, pijana jestem...

Tomasz usiadł na jakimś pieńku, podniósł siekierę, którą chłop rąbał drzewo na ogień i zaczął bawić się nią, podrzucając i łowiąc ją w powietrzu.

— Ach, mój Boże... jakie to wszystko głupie! — rozległ się rozkapryszony głos Zwancewa.

Tomasz poczuł, że nienawidzi wszystkich, prócz Saszy, budzącej w nim jakiś niepokój, w którym mieściły

się i podziw dla niej i lęk, że ona może uczynić nagle coś niespodzianego i strasznego.

— B-bydlę! krzyknął piskliwie Zwancew i Tomasz ujrzał, jak pchnął chłopa w pierś, poczem chłop zdjął czapkę w poczuciu swej winy i odszedł na stronę...

— Du-reń! — krocząc za nim i wymachując ręką, wołał Zwancew.

Tomasz zerwał się na równe nogi i groźnie, głosem donośnym, zawołał:

— Ty! Nie rusz go!

— Co-o? — zwrócił się do niego Zwancew.

— Stefanie, chodź tu! — zawołał Tomasz.

— Cham! — rzucił pogardliwie Zwancew, patrząc na Tomasza.

Tomasz podniósł ramiona i postąpił krok ku niemu. Ale nagle strzeliła mu do głowy pewna myśl! Uśmiechnął się złośliwie i cicho zapytał Stefana:

— Czy przęsła w trzech miejscach związane ze sobą?

— W trzech, a jakże!

— Rąb wiązania...

— A oni?...

— Milcz! Rąb!...

— Ale przecież...

— Rąb! Tylko tak... żeby nie spostrzegli.

Chłop wziął siekierę, podszedł zwolna do tego miejsca, gdzie przęsło tratwy łączyło się ściśle z drugiem przęsłem, i uderzywszy parę razy siekierą wrócił do Tomasza.

— Ja za to nie odpowiadam, wielmożny panie — rzekł.

— Nie obawiaj się...

— Popłynęli... — wyszeptał chłop ze strachem i przeżegnał się pośpiesznie. A Tomasz patrzył, śmiał się pocichu i doznawał jakiegoś ostrego uczucia, łechcącego mu serce jakimś dziwnym, przyjemnym i słodkim strachem.

Ludzie snuli się wciąż po tratwie w różnych kierunkach, nie śpiesząc, potrącając się wzajem, pomagając damom wkładać okrycia, śmiejąc się i rozmawiając, a tratwa wolniutko i niezdecydowanie odpływała z prądem.

— Jeżeli prąd zniesie ich na barki, — szeptał chłop, —

albo natkną się na pale — rozbije się tratwa na drobne kawałki...

— Milcz...

— Utoną...

— Wsiądziesz do łódki, dopędzisz...

— Dobrze!... Zaraz... A to cóż? Szkoda, ludzie przecież... I za nich trzeba odpowiadać... — Zadowolony, rzucił się chłop w podskokach przez tratwy do brzegu, uśmiechając się radośnie. A Tomasz stał nad wodą i miał wielką chęć krzyknąć na nich, ale się powstrzymał, chcąc żeby tratwa odpłynęła nieco dalej i żeby ci pijani ludzie nie mogli przeskoczyć na pobliskie tratwy. Doznawał niewymownie miłego uczucia, widząc, jak tratwa porusza się powoli na wodzie i z każdą sekundą oddala się od niego coraz bardziej. Wraz z tymi ludźmi na tratwie i z jego piersi jakgdyby odpływał ten dziwny, niepojęty ciężar, który go wypełniał i gniótł. Wciągał w siebie świeże powietrze, a wraz z niem zdrowe, orzeźwiające ukojenie. Na samym końcu tratwy stała, obrócona plecami do Tomasza, Sasza; patrząc na jej piękną, wysmukłą postać, mimowoli przypominał sobie Medyńską. Tamta była niższego wzrostu... Wspomnienie o niej jakby ukłuło go i głosem donośnym i żartobliwym krzyknął:

— Hej, szanowne towarzystwo! Żegnajcie... cha-cha-cha!...

Odrazu ciemne postaci ludzi posunęły się nagle wszystkie ku niemu i zbiły w kupkę pośrodku tratwy. Ale już między nimi i Tomaszem błyszczał chłodny pas wody szerokości prawie sążniowej. Przez kilka sekund... trwało milczenie...

I nagle posypał się na Tomasza cały huragan piskliwych, pełnych panicznego strachu głosów, wstrętnie żałosnych, ponad wszystkiemi i najwstrętniej ze wszystkich rozdzierał ucho cienki, drżący krzyk Zwancewa:

— Ra-atujcie...

Ktoś — pewnie poważny jegomość z fawor̄ytami — ryczał basem:

— Topią... topią ludzi...

— Czyż to wy ludzie? — zawołał ze złością Tomasz, rozdrażniony krzykami, które jakgdyby go kąsały.

A ludzie w szale przerażenia miotali się po tratwie, która kołysała się pod ich nogami i wskutek tego płynęła szybciej; słychać było, jak wzburzona woda z pluskiem bije o nią i chlupie pod nią. Krzyki rozdzierały powietrze, ludzie skakali, wymachiwali rękoma i tylko kształtna postać Saszy stała na końcu tratwy, nieruchoma i milcząca.

— Kłaniajcie się rakom! — krzyknął Tomasz. Czuł się coraz lżejszy i weselszy w miarę oddalania się tratwy.

— Tomaszu Ignatjewiczu! — niepewnym, ale trzeźwym już głosem przemówił Uchtiszczew, — niech pan pamięta, że to niebezpieczny żart... Ja się poskarżę...

— Jak się utopisz? Skarż się! — wesoło odparł Tomasz.

— Ty, zabójco... — wrzeszczał szlochając Zwancew. Ale w tej chwili rozległ się głośny plusk wody, która jakby jęknęła z przestrachu czy zdziwienia. Tomasz drgnął i zamarł. Potem rozległy się dzikie wycia kobiet, przerażone wołania mężczyzn i wszystkie postaci na tratwie zamarły w nieruchomości. I Tomasz skamieniał, patrząc na wodę. A ku niemu po wodzie płynęło coś czarnego, otoczonego aureolą bryzgów...

Raczej instynktem niż rozmysłem wiedziony, rzucił się Tomasz piersiami na bale tratwy i zwiesiwszy głowę nad wodą, wyciągnął ręce przed siebie. Minęło kilka długich, jak wieki chwil. Zimne, mokre ręce chwyciły go za szyję i ciemne oczy błysnęły tuż przed nim...

Znikł niepojęty strach, który nagle nim owładnął, zmieniając się w dziką, szaloną radość. Chwycił wpół kobietę, wydobył ją z wody, przycisnął do piersi i ze zdziwieniem, nie wiedząc co powiedzieć, patrzył jej w oczy. Oczy te uśmiechały się doń łagodnie...

— Zimno mi... — rzekła Sasza i zadrżała całem ciałem.

Na dźwięk jej głosu uszczęśliwiony Tomasz zaśmiał się, wziął ją na ręce i szybko, pędem prawie, rzucił się po tratwach do brzegu. Była mokra i zimna, jak ryba, ale

miała gorący oddech, który palił Tomaszowi policzki i napełniał pierś jego nieokiełznaną radością.

— Chciałeś mnie utopić? — mówiła, tuląc się mocno do niego — Za wcześnie jeszcze... poczekaj...

— Jakeś dobrze zrobiła, — mówił Tomasz, biegnąc.— Zuch z ciebie!

— Ale i tyś wpadł na dobry pomysł... chociaż napozór takiś... spokojny...

— A tamci — wciąż jeszcze wrzeszczą, — cha-cha!

— Pal ich licho! Jak utoną — pójdę z tobą na Sybir... — powiedziała kobieta tak, jakby temi słowy chciała go pocieszyć i dodać odwagi. Zaczęła drżeć i dreszcze jej ciała, odczuwane przez Tomasza, zmuszały go do przyśpieszenia biegu.

Wślad za nimi płynęły z rzeki krzyki i wołania o pomoc. Tam, po spokojnej wodzie, od brzegu ku głównemu nurtowi, sunęła drobna wysepka, na której miotały się ciemne ludzkie postaci.

Noc osłaniała je zwolna swojemi skrzydłami.

## IX

Pewnego razu w niedzielę po południu Jakób Tarasowicz Majakin pił herbatę u siebie w domu i rozmawiał z córką. Pod zieloną koroną drzew wiśniowych siedział na ławie z rozpiętym kołnierzykiem i z ręcznikiem owiniętym dokoła szyi, wymachiwał rękoma w powietrzu, ocierając pot z twarzy, i mówił szybko, bez przerwy.

— I głupi i podły jest ten człowiek, który pozwala swemu brzuchowi panować nad sobą! Czyż nic lepszego niema na świecie, nad picie i żarcie? Czemże możesz poszczycić się przed ludźmi, jeżeli jesteś świnią?

Rozdrażnienie i złość świeciły w oczach starca, usta krzywiły się pogardliwie i zmarszczki drgały na jego ciemnej twarzy.

— Gdyby Tomek był moim rodzonym synem — jabym go wyszkolił!

Luba, bawiąc się gałązką akacji, słuchała słów ojca w milczeniu i spoglądała na jego wzruszoną i drżącą twarz uważnie i badawczo. Pełen nieufności i chłodu stosunek jej do ojca zmieniał się niepostrzeżenie dla niej samej wraz z wiekiem. Zawsze zajęty interesami, zawsze rześki i rozumny, starzec kroczył samotny swoją drogą, ona zaś widziała to jego osamotnienie, a oczy patrzyły na ojca z takim wyrazem, jakgdyby, nie mogąc przekonać, błagały o to, by im uwierzono.

— A-ach ty! — rzekł starzec z westchnieniem, przerywając jej. — Naczytałaś się! Powiedz mi tedy — co to za jedni? Niewiadomo! Jeżow naprzykład.. kto on taki? Licho go wie! Szukają tylko prawdy — powiadasz. Patrzcie!? Widzisz go, jacy skromni?! A jeżeli ta właśnie prawda jest najtrudniejszą do zdobycia, najcenniejszą rzeczą? A może jej każdy szuka w milczeniu? Wierzaj mi — człowiek bezinteresownym być nie może... dla cudzego dobra nie zechce się borykać... a jeżeli o to walczy — jest durniem i człowiekiem nieużytecznym! Trzeba, żeby człowiek umiał stanąć we własnej obronie... w obronie swojej krwawicy... a wtedy — dobije się! Ot ci i prawda! Czytam jedną i tę samą gazetę od czterdziestu lat i dobrze widzę... ot, naprzykład widzisz przed sobą moje oblicze, a tam, na samowarze — też moja twarz, lecz inna... Otóż te gazety wszystkiemu nadają oblicze samowarowe, a nie widzą rzeczywistego... Ty zaś im wierzysz... A ja wiem — na samowarze twarz moja przekształcona. Nikt nie zdoła wypowiedzieć rzeczywistej prawdy...

— Ojcze! — smutnie zawołała Luba. — Wszak książki i gazety stają w obronie spraw ogólnych, wszystkich ludzi.

— A w której gazecie piszą np. o tem, że nudno ci żyć i że już dawno czas wyjść ci zamąż? Więc znaczy, że twojej sprawy nikt nie broni! Ach ty! I mojej też nie bronią... Kto wie, czego ja chcę? Kto, prócz mnie, zna moje potrzeby?

— Nie, tatku, nie o to chodzi! Nie potrafię przekonać ojca, ale czuję — że nie tak! — mówiła Luba prawie z rozpaczą.

— O to samo! — zapewniał ją stary. — W Rosji zapanował zamęt i niema w niej żadnej ostoi: wszystko się zachwiało! Wszyscy żyją nawspak, chodzą bocznemi drogami, żadnego porządku niema w życiu... Tylko każdy wrzeszczy odmiennym głosem. A czego komu potrzeba — tego nikt nie wie i nie rozumie! Wszędzie mgła... wszyscy we mgle chodzą... wszyscy mgłą oddychają, a wskutek tego i krew mają stęchłą... stąd wrzody... Ludzie posiadają swobodę rozumowania, ale nie wolno im nic robić, — z tego powodu człowiek nie żyje, lecz gnije i cuchnie...

— Cóż trzeba robić? — zapytała Luba, opierając się łokciami o stół i pochylając ku ojcu.

— Wszystko! — z zapałem wołał stary. — Rób wszystko! Dalejże, do czego kto zdatny! Ale na to potrzeba ludzi wyzwolić... dać im zupełną swobodę! Jeżeli nadszedł już taki czas, że każdy smarkacz myśli o sobie, że on — może wszystko i jest stworzony do budowania życia — więc dać mu, ścierwu, swobodę! Masz, psi synu, żyj! Ano, jak sobie poradzisz! A-a! A wtedy nastąpi taka komedja: gdy człowiek poczuje, że zdjęto zeń wędzidło,— wnet wzbije się powyżej własnych uszu i, jak piórko na wietrze, zacznie się miotać to w tę, to w ową stronę... Wyobrazi sobie, że jest cudotwórcą, i zacznie wtedy wydobywać z siebie swego ducha...

Stary zamilkł na chwilę i ze złośliwym uśmiechem, zniżywszy głos, ciągnął dalej:

— A tego właśnie twórczego ducha posiada zaledwie odrobinę! Dzień jeden lub dwa nadymać się będzie, rzucać się będzie na wszystkie strony i — zmęczy się prędko, biedaczek! Zgniły ma rdzeń... che-che-che! Wtedy go, — che-che-che! — gołąbka, pochwycą w swe ręce prawdziwi, dostojni ludzie, ci prawdziwi ludzie, którzy mogą zostać... rzeczywistymi panami życia... którzy będą kierowali życiem nie zapomocą kija lub pióra, ale palcem i rozumem. Co, zapytają, zmęczyliście się panowie, hę? Nie starczyło oddechu? Ta-ak... — I podniesionym głosem tak zakończył:

— Teraz więc siedźcie cicho, tacy-owacy, milczeć i ani pisnąć! W przeciwnym bowie razie zmieciemy was

z oblicza ziemi, jak liszki z drzewa! Cyt, gołąbki! Che-che-che! Taka komedja się stanie! Che-che-che.

Stary był w wesołem usposobieniu. Zmarszczki jego były w ciągłym ruchu; upajając się własną wymową, drżał cały, przymrużał oczy i cmokał ustami, jakby coś smakując...

— A wówczas ci, którzy w tym chaosie wezmą górę, — zaprowadzą ład, urządzą życie na swój sposób, rozumnie... I pójdzie robota nie na chybił-trafił, a jak z nut! Nie dożyjemy tego, szkoda!...

Słowa ojca padały na Lubę jedno po drugiem, jak oka olbrzymiej sieci, — padały i oplątywały dziewczynę, która nie mogąc z nich się uwolnić, milczała, oszołomiona potokiem słów ojca. Patrząc wytężonym wzrokiem w jego twarz, szukała dla siebie punktu oparcia w jego słowach i zdawało się jej, że słyszała w nich coś takiego, o czem czytała w książkach i co wydawało się jej rzeczywistą prawdą. Ale złośliwy, triumfujący śmiech ojca szarpał jej serce, a te zmarszczki, które pełzły po jego twarzy, jak małe ciemne żmijki, napawały ją trwogą. Czuła, że on jakby odwraca ją gdzieś wbok od tego, co wydawało się jej tak proste i jasne w marzeniach.

— Ojcze! — zapytała, idąc za nagle zbudzoną w niej myślą i pragnieniem. — A czemże... czemże jest, według ojca... Taras?

Majakin drgnął. Ściągnął gniewnie brwi, wbił swe przenikliwe oczy w twarz córki i zapytał oschle:

— A to co za rozmowa?

— Czyż nie wolno o nim mówić? — rzekła cicho zmieszana Luba.

— Nie chcę o nim mówić... I tobie nie radzę! — pogroził palcem córce i marszcząc się gniewnie, zwiesił głowę. Ale powiedziawszy, że nie chce mówić o synu, źle prawdopodobnie siebie zrozumiał, ponieważ po chwili milczenia przemówił ponuro i gniewnie:

— Taras — to też wrzód. Życie dyszy dokoła was, młokosów, a wy nie umiecie rozróżnić prawdziwych jego aromatów i łykacie chciwie wszelakie smrody, i dlatego w waszych łbach panuje zamęt... Dlatego nie jesteście do ni-

czego zdolni i dręczcie się tą swoją niemocą... Taras... ta-ak! Teraz ma lat około czterdziestu... stracony dla mnie!... Katorżnik... i to ma być mój syn? Głupie prosię... nie chciał rozmawiać z ojcem i — wpadł...

— Cóż on takiego zrobił? — zapytała Luba, przysłuchując się chciwie słowom ojca...

— Kto tam wie? Pewnie i sam siebie teraz nie może zrozumieć... o ile doszedł do rozumu... A chyba — że zmądrzał, bo niegłupiego ojca syn... i niemało przecierpiał... A psują tych nihilistów... Gdybym ja miał władzę nad nimi... i ich zaprzągłbym do pracy... Na pustynię! Do miejsc bezludnych — marsz! Hej, mądrale, urządzajcie tam życie według swego planu! Zobaczymy! A naczelnikiem postawiłbym nad nimi silnego chłopa... Ano, szlachetni panowie, karmiono was, pojono, uczono was — czegoście się nauczyli? Spłacajcie dług, z łaski swojej. Ta-ak, jabym złamanego grosza na nich nie stracił, a wycisnąłbym z nich wszystkie soki — oddaj! Człowieka nie wolno zmarnować... do więzienia wsadzić — to mało! Wykroczyłeś przeciwko prawu i myślisz, żeś pan? Nie, bratku, popracuj... Z jednego ziarna cały kłos wyrasta, a czyż można pozwolić, żeby człowiek ginął marnie!... Oszczędny stolarz każdą trzaskę zużyje w robocie — podobnież i każdy człowiek cały do szczętu winien być spożytkowany dla pracy. Ostatni śmieć znajdzie dla siebie w życiu odpowiednie miejsce, a człowiek nie jest wcale śmieciem... Ach! źle jest, kiedy siła działa bez rozumu, ale niedobrze, jeżeli i rozum nie ma siły. Ot, naprzykład, Tomek... Spójrz-no kto tam idzie...

Obróciwszy się, zobaczyła Luba, że ścieżką ogrodową idzie Jefim, kapitan „Jermaka", i zdjąwszy czapkę, kłania się jej z uszanowaniem. Szedł, jak winowajca, i cały był jakiś przybity. Majakin spostrzegł to, zaniepokoił się odrazu i zawołał:

— Skąd? Co się stało?

— To — ja, do pana! — rzekł Jefim z niskim ukłonem, zatrzymując się przy stole.

— Widzę, że do mnie... o co chodzi? Gdzie parostatek?

— Parostatek — tam! — wskazał Jefim gdzieś w powietrzu ręką i ciężko przestąpił z nogi na nogę.

— Gdzież u djabła? Mów wyraźniej — co się stało? —gniewnie krzyknął stary.

— Nieszczęście, panie...

— Rozbiliście się?

— Nie, Bóg strzegł...

— Spaliliście się? No, gadaj prędzej...

Głęboko odetchnąwszy, Jefim przemówił zwolna:

— Barkę Nr. 9-ty zatopiliśmy... Człowiekowi krzyże przełamaliśmy... a jeden gdzieś się podział, utonął zapewne... I jeszcze jest pięciu potłuczonych... niebardzo... ale zawsze...

— Ta-ak! — przeciągnął Majakin, mierząc kapitana złowrogim wzrokiem. — Skórę z ciebie zedrę...

— To nie ja! — odparł szybko Jefim.

— Nie ty? — krzyknął stary i zatrząsł się cały, — A więc kto?

— Sam właściciel...

— Tomek? A ty.. ty co?

— Ja — leżałem pod pokładem...

— Jakto! Leżałeś...

— Związany...

— Co-o? — wrzasnął stary cienkim głosem.

— Niech pan pozwoli, pokolei... Otóż młody pan podchmielony był i zaczął krzyczeć: idź precz! Sam będę kierował! Ja mówię — nie można! Jestem przecież kapitanem... Związać go, powiada! Związano mnie i spuszczono pod pokład... A ponieważ młody pan miał już w czubku, więc chciał sobie pofiglować. Naprzeciwko nas płynęło sześć pustych barek , ciągnionych przez „Czarnogórca". Tomasz Ignatjewicz zagrodził im drogę... Gwizdały one... prawdę powiedzieć, nie raz jeden gwizdały!

— I cóż?

— I nie podołaliśmy... dwie przednie wpadły na nas . jak uderzyły w bok naszej, ta na drobne kawałki... One też się rozbiły obie... ale nam się dostało daleko gorzej...

Majakin wstał z krzesła i zaśmiał się starczym, złowro-

gim śmiechem, a Jefim wzdychał, wymachiwał rękoma i mówił:

— Charakter to u młodego pana bardzo silny... Na trzeźwo to milczy i chodzi zamyślony, ale jak tylko podmoczy winem swoje sprężyny — strach!... Wtedy nie panuje nad sobą i sam dla siebie, za przeproszeniem, jest najgorszym wrogiem! A ja proszę o zwolnienie mnie od obowiązku, Jakóbie Tarasowiczu! Nie przyzwyczajony jestem — bez gospodarza, nie umiem pracować bez pana...

— Milczeć! — surowo odezwał się Majakin. — Gdzie Tomasz?

— Tam, na miejscu... Wnet oprzytomniał po tym wypadku i posłał zaraz po robotników... Będzie wydobywał barkę... może już zaczął...

— Czy on tam sam jeden? — zapytał Majakin, spuszczając głowę.

— Niezupełnie... — cicho odparł Jefim, spoglądając zukosa na Lubę.

— Jakto?

— Jest z nim jakaś pani...

— Tak...

— Jakaś niby nie przy zdrowych zmysłach... — dodał Jefim, wzdychając. — Wciąż śpiewa... bardzo ładnie śpiewa... zgorszenie tylko.

— Nie pytam się ciebie o nią! — krzyknął ze złością Majakin. Zmarszczki na jego twarzy ściągnęły się boleśnie i Lubie zdawało się, że ojciec zaraz zacznie płakać.

— Uspokój się, ojcze! — prosiła łagodnie. — Może niewielka strata...

— Nie wielka? — wrzasnął Jakób Tarasowicz. — Co ty, głupia, rozumiesz! Czyż o barkę mi chodzi? Ach ty! Człowiek ginie! Ot co! A przecież on potrzebny mi jest! Potrzebny, do wszystkich djabłów!

Starzec potrząsnął gniewnie głową i pobiegł szybkim krokiem ku domowi.

...A Tomasz w tym czasie był o jakie czterysta wiorst od chrzestnego ojca w wiejskiej chacie, na brzegu Wołgi. Przebudził się dopiero co i leżąc na podłodze pośrodku

chaty, na posłaniu ze świeżego siana, patrzył przez okno na niebo, pokryte szaremi postrzępionemi chmurami.

Wiatr targał je i pędził kędyś wdal; ciężkie i senne, toczyły się po niebie olbrzymiem stadem, dopędzały się wzajem, zlewały w jednolitą masę, znów rozpadały się na szmaty, wirując — spuszczały się nisko ku ziemi i znów podnosiły się wgórę, pochłaniając się wzajem.

Nie poruszając ociężałą od pijaństwa głową, Tomasz długo patrzył na nie i zdawało mu się, że i w jego piersi kłębią się również jakieś samotne, milczące chmury, kłębią się, chłód nawiewają do serca i uciskają je. W tym sennym ruchu chmur na niebie była jakaś niemoc i lęk... i taka sama niemoc i lęk napełniały jego serce... Nie rozumiejąc, przebiegał w myśli wszystko, co przeżył wciągu ostatnich miesięcy.

Zdawało mu się, że wpadł do mętnego, gorącego potoku i oto porwały go ciemne fale, pudobne do tych ciemnych chmur na niebie, porwały i unoszą gdzieś, jak wiatr niesie chmury... W mroku i szumie, który go otaczał, widział niewyraźnie, jak wraz z nim pędzą jeszcze jacyś ludzie... dzisiaj — nie ci, co wczoraj, codzień nowi, ale zawsze jednacy, wstrętni i politowania godni. Pijani, hałaśliwi, chciwi, kręcili się i wirowali dokoła niego, hulali za jego pieniądze, wymyślali mu, bili się między sobą, krzyczeli, płakali nawet nieraz. A on bił ich. Pamięta, że pewnego razu uderzył kogoś w twarz, zerwał z kogoś surdut i wrzucił go do wody, i że ktoś całował jego ręce mokremi, chłodnemi ustami, obrzydliwemi jak u żaby... Całował, z płaczem prosił o litość... Jakieś twarze przesuwały mu się w pamięci, dźwięki i wyrazy dźwięczały w głowie... Kobieta w żółtym, jedwabnym, rozpiętym na piersi kaftanie, śpiewała głośnym, łkającym głosem:

„*Więc żyjemy, dopókiśmy młodzi...*
„*A tam — niech zawali się świat!*"

...Wszystkich tych ludzi unosi ta sama ciemna fala, która niesie i jego, unosi ich jak wióry — przerażonych,

zdziczałych... Wszyscy, jak i on, lękają się snać spojrzeć przed siebie, aby zobaczyć, dokąd unosi ich ta dzika, potężna fala. I strach swój zlewając winem, mkną naprzód z prądem, borykając się, wrzeszczą, popełniają tysiące głupstw, błaznują, hałasują, i nigdy nie znają wesela. On również robił to samo, kręcąc się śród nich... I teraz zdawało mu się, że robił to wszystko ze strachu przed samym sobą, aby prędzej przejść przez ten okres życia, albo — aby myśleć, co będzie dalej...?

Wśród zgiełku hulatyk, w tłumie ludzi porwanych rozpustą, opanowanych gwałtownemi namiętnościami, napół oszalałych i nieprzytomnych — jedynie Sasza była zawsze zrównoważona i spokojna. Nie upijała się nigdy, do ludzi mówiła zawsze stanowczym, rozkazującym głosem i ruchy jej były również stanowcze i spokojne, jakgdyby ten potok nie opanowywał jej, lecz przeciwnie — ona sama kierowała burzliwym jego biegiem. Wydawała się Tomaszowi najmądrzejsza z całego otoczenia i najbardziej chciwa hałasu i wesela; i do wszystkich ludzi przemawiała jednakowo: do dorożkarza, lokaja i majtka mówiła tym samym tonem i temi samemi słowy, co do swych koleżanek i do Tomasza. Była młodsza i piękniejsza od Pelagji, ale pieszczoty jej były jakieś milczące, chłodne... Tomaszowi zdawało się, że kryje ona w swem sercu jakąś straszną tajemnicę, że nigdy nikogo nie pokocha i przed nikim serca nie otworzy. Ta jej skrytość budziła w nim uczucie lękliwej ciekawości i chęć przeniknięcia do tej zimnej obojętnej duszy.

Pewnego razu rzekł do niej:

— Ileśmy jednakże puścili z tobą pieniędzy!

Spojrzała na niego i zapytała:

— A pocóż je oszczędzać?

„Istotnie, poco?" — pomyślał Tomasz, zdziwiony jej zdrowym rozsądkiem.

— Kto ty jesteś? — zapytał ją innym razem.

— Czyż zapomniałeś jak się nazywam?

— Nie o to mi chodził...

— Więc o co?

— Pytam, skąd pochodzisz...

— A! Z jarosławskiej gubernji... z Uglicza... mieszczanka jestem... harfiarka... Cóż, słodsza będę dla ciebie, kiedy dowiedziałeś się, kim jestem?

— Czyż dowiedziałem się? — zapytał Tomasz z uśmiechem.

— Nie dość ci? Więcej ci nic nie powiem... Poco? wszyscy jesteśmy z jednego miejsca rodem... i ludzie i bydlęta... Cóż zresztą można o sobie powiedzieć... poco? wszystko to przelewanie z pustego w próżne... Pomyślmy lepiej, jak mamy dzień dzisiejszy spędzić?

Tego dnia pojechali parostatkiem na spacer, z orkiestrą, pili szampana i oboje upili się. Sasza śpiewała jakąś dziwnie smutną piosnkę, a Tomasz płakał, jak dziecko, wzruszony śpiewem. Potem tańczył z nią, wreszcie spocony i zmęczony skoczył w ubraniu ze statku do wody i omal nie utonął.

Przypominając sobie teraz to wszystko i wiele innych rzeczy, wstydził się sam za siebie i czuł niechęć do Saszy. Patrzył na wiotką jej postać, słuchał równego jej oddechu i czuł, że nie kocha tej kobiety i że ona nie jest mu potrzebna. W podchmielonej jego głowe rodziły się jakieś szare, mętne myśli. Wszystko, co przeżył przez ten czas, jakby zwinęło się w nim w ciężki, zimny kłębek, który oto tarza się teraz w jego piersi, rozkręca się powoli i swemi cienkiemi szaremi pasmami wiąże go i oplątuje...

„Co się ze mną dzieje? — myślał, — zacząłem hulać... z jakiego powodu? Nie umiem żyć... sam siebie nie rozumiem... Czem ja jestem?"

Pytanie to uderzyło go; zastanowił się nad niem, usiłując domyśleć się, czemu nie potrafi żyć statecznie i spokojnie, jak żyją inni. Ale ogarnęły go jeszcze większe wyrzuty sumienia i niepokój; zaczął przewracać się na sianie i w rozdrażnieniu trącił łokciem Saszę.

— Ostrożnie! — mruknęła przez sen.

— Dobrze, dobrze... niewielka pani! — warknął Tomasz.

— Co?

— Nic...

Obróciła się do niego plecami i, ziewnąwszy słodko, przemówiła leniwie:

— Śniło mi się, że zostałam znowu harfiarką. Śpiewam niby solo, a naprzeciw mnie stoi ogromny kudłaty pies, wyszczerzył zęby i czeka aż skończę... A ja przestraszyłam się go... i wiem, że on mnie pożre, jak tylko śpiewać przestanę... i oto wciąż śpiewam, śpiewam... a w tem zabrakło mi niby głosu... Strach! A on — wciąż kłapie zębami... Mój Boże!... Co to może znaczyć?

— Przestań pleść! — przerwał jej posępnie Tomasz. — Powiedz mi lepiej: co ty wiesz o mnie?

— Wiem to, żeś się obudził — odrzekła, nie odwracając się do niego.

— Przebudziłem się? To prawda — mówił zamyślony Tomasz i, założywszy ręce na głowę, ciągnął: — Dlatego też pytam, — com ja za człowiek według twego zdania?

— Podchmielony — odparła, ziewnąwszy Sasza.

— Aleksandro! — zawołał błagalnie Tomasz — nie żartuj! Powiedz, naprawdę, co ty myślisz o mnie?

— Nic nie myślę! — odrzekła sucho. — Czego naprzykrzasz się z głupstwami?

— Czyż to głupstwa? — rzekł Tomasz ze smutkiem.— Niech was — djabli! Dla mnie jest to właśnie najważniejsze... najistotniejsze...

Westchnął ciężko i zamilkł. Przez chwilę Sasza leżała w milczeniu, potem przemówiła zwykłym swoim obojętnym głosem:

— Powiedzieć mu — kim jest i czemu jest taki a nie inny? Patrzcie... A to z jakiej racji mam o każdym myśleć? O sobie pomyśleć — i to... nie mam czasu... a może i nie chcę...

Tomasz zaśmiał się sucho i rzekł:

— Żebym to ja mógł również... niczego nie chcieć...

Wtedy kobieta oderwała głowę od poduszki, popatrzyła Tomaszowi w twarz i znów się położyła, mówiąc:

— Mędrkujesz... Słuchaj — to ci na dobre nie wyjdzie... O tobie nic powiedzieć nie mogę. O człowieku nic pewnego powiedzieć nie można... któż go może zrozumieć?

Sam siebie nie zna... A więc powiem ci, jesteś lepszy od innych... Cóż z tego?

— A dlaczego lepszy? — zapytał Tomasz, zatopiony w myślach.

— A... tak! Jak zaśpiewać ci ładną piosenkę — to płaczesz... popełni kto podłość — bijesz go... Z kobietami prosty jesteś, nie wyśmiewasz się... cichy... ale potrafisz również być zuchem...

Wszystko to nie zadowoliło Tomasza.

— Niewszystko mówisz! — rzekł zcicha.

— Nie wiem, czego ci potrzeba... Ale, ale, co będziemy robili — jak wydobędą barkę?

— Cóż możemy robić? — zapytał Tomasz.

— Jedźmy do Niżniego lub do Kazania?

— A poco?

— Pohulamy...

— Nie chcę więcej hulać...

— Cóż będziesz robił?

— Co? Nic...

— Ta-ak...

I oboje zamilkli, nie patrząc na siebie.

— Nieznośny masz charakter, — przemówiła Sasza— Nudny charakter...

— W każdym razie nie będę już więcej pił! — stanowczo oświadczył Tomasz.

— Kłamiesz! Czy myślisz — że dobrze tak żyć?

— Zobaczę.

— Nie, odpowiedz — czy dobrze?

— A co jest lepszego?

Tomasz popatrzył na nią zboku i rzekł z rozdrażnieniem:

— Jakie ty masz słowa jakieś... ohydne...

— Aha, i tu nie dogodziłam, — rzekła Sasza z uśmiechem.

— No, ludzie! — mówił Tomasz ze zmarszczoną boleśnie twarzą. — Jak kłody... Żyją niby... a jak? Nikt nie rozumie. Idzie to naoślep dokądś... i ani sobie, ani innym nic nie może powiedzieć... Kiedy pełza karaluch — to wie dokąd i poco... a ty co? Ty dokąd?

— Czekaj! — powstrzymała go Sasza i zapytała spo-

kojnie: a co ci do mnie? Bierz ode mnie co chcesz, ale nie wdzieraj się do mej duszy!

— Do du-szy! — wymówił pogardliwie Tomasz. Do jakiej duszy? Cha-cha!

Sasza wstała. Zaczęła przechadzać się po pokoju, zbierając wszędzie porozrzucane ubranie. Tomasz obserwował ją i był niezadowolony z tego, że nie obraziła się na niego za to, co powiedział o jej duszy. Miała obojętną i, jak zawsze, spokojną twarz, a on chciałby ją widzieć złą i obrażoną, chciałby czegoś bardziej ludzkiego od kobiety.

— Dusza! — zawołał, nastając na swojem. — Czyż człowiek, posiadający duszę, może żyć tak, jak ty żyjesz? W duszy — ogień się pali... i mieści się wstyd...

Ona tymczasem siedziała na ławce i wkładała pończochy, ale na jego słowa podniosła głowę i spojrzała mu w twarz badawczo gniewnemi oczyma.

— Czemu tak patrzysz? — zapytał Tomasz.

— Poco to mówisz? — odrzekła, nie spuszczając zeń oczu.

— Tak... chcę...

— Zastanów się — co robisz?

Czuć było groźbę w jej zapytnaiu. Tomasz uczuł jakiś lęk i już łagodniej rzekł:

— Jakże, nie mam mówić?

— Oj ty! — westchnęła Sasza i zaczęła znów się ubierać.

— Cóż ja?

— A tak.. Zupełnie, jakgdybyś miał dwóch ojców... Wiesz, co zauważyłem w ludziach?

— Co takiego?

— Że człowiek, co nie jest odpowiedzialny sam za siebie — boi się siebie, nic nie jest wart!

— Czy o mnie mówisz? — zapytał Tomasz po chwili milczenia.

— I o tobie...

Narzuciła na ramiona luźny różowy szlafroczek i, stojąc pośrodku pokoju, zwróciła się do leżącego u jej nóg Tomasza i rzekła niskim, głuchym głosem:

— O mojej duszy nie masz prawa tak mówić... Nie masz prawa do niej! A ja — mogę mówić! Gdybym zechciała, powiedziałabym wam wszystkim... ale jak! Tylko — kto będzie miał odwagę wysłuchać mnie, jeżeli przemówię na cały głos? A jednak mam dla was słowa... jak młoty! Takbym wam po łbach zastukała... że powarjowalibyście. Ale was słowo nie uzdrowi — bo wszyscy wy jesteście podli... Was należałoby piec na ogniu... jak wypalają patelnie w wielki poniedziałek...

Podniósłszy ręce ku głowie, rozpuściła porywczo włosy i kiedy rozsypały się czarnemi ciężkiemi splotami po jej plecach — potrząsnęła dumnie głową i rzekła z pogardą:

— Nie zważaj na to, że jestem ladacznica! W błocie człowiek bywa czyściejszy, niż ten, kto chodzi w jedwabiach... Żebyś wiedział, co myślę o was, samcach, jaką pałam do was nienawiścią! Dlatego milczę... boję się, że jeżeli ją wam wyśpiewam, pustka zapanuje w duszy... nie będę miała czem żyć...

Tomasz patrzył na nią i podobała mu się teraz. W słowach jej brzmiał jakiś znany, pokrewny mu nastrój. Uśmiechnął się i z zadowoleniem w głosie rzekł:

— I ja też czuję — coś rośnie w mojej duszy... Ach, nadejdzie chyba czas, kiedy i ja przemówię swojemi słowami.

— Przeciw komu? — niedbale zapytała Sasza.

— Ja — przeciwko wszystkim! — zawołał Tomasz, zrywając się na nogi: — Przeciw fałszowi... Zapytam...

— Zapytaj się, czy samowar gotów? — przerwała mu obojętnie Sasza.

Tomasz spojrzał na nią i krzyknął gniewnie:

— Idź do djabła! Pytaj się sama...

— Zapytam... Poco łajesz?

I wyszła z izby. Wiatr gwałtowną wichurą unosił się nad rzeką i uderzał o jej łono; pokryta niespokojnemi, szaremi falami rzeka rwała się konwulsyjnie na spotkanie wiatru, cała spieniona od gniewu, z szumem i pluskiem. Krzewy rosnącej nad brzegiem wierzbiny, dygocąc, pochylały się nisko ku ziemi, jakgdyby chciały przypaść do niej, lub też, oderwać się od niej i lecieć wdal, gnane wichurą. W po-

wietrzu rozlegał się świst, wycie i odgłos ciężkich westchnień, wydobywających się z kilkudziesięciu piersi ludzkich:

— Idzie — idzie — idzie!

Dwe duże barki stały na kotwicy przy górzystym brzegu; wysokie ich żagle, sterczące ku niebu, bujały się trwożnie z boku na bok, niby rysując w powietrzu niewidzialny deseń. Oba pokłady barek pokryte były rusztowaniem, zbudowanem z grubych sosen; tu i ówdzie widać było bloki, na nich wisiały łańcuchy i liny, kołyszące się w powietrzu; ogniwa łańcuchów cicho brzęczały... Tłum chłopów w niebieskich i czerwonych koszulach ciągnął po pokładzie długą sosnę i, tupiąc ciężko nogami, wzdychał całą piersią:

— Idzie — idzie — idzie.

Rusztowanie oblepione było wszędzie niebieskiemi, czerwonemi plamami ciał ludzkich; wydymając koszule i spodnie, wiatr nadawał ludziom dziwne kształty, już to garbatych, już to okrągłych i nadętych, jak pęcherze. Na rusztowaniu i pokładach barek ludzie coś wiązali, rąbali, piłowali, wbijali gwoździe i wszędzie migały duże ręce z zakasanemi po łokcie rękawami koszul. Wiatr roznosił po powietrzu drżący i różnorodny, ożywiony i silny gwar: piła gryzła drzewo, zachłystując się od złośliwej radości; głucho wzdychało i jęczało drzewo pod ciosami siekier; deski trzeszczały boleśnie, hebel skowytał zjadliwie. Żelazny brzęk łańcuchów i żałosne skrzypienie bloków zlewały się z gniewnym szumem fal, a wiatr wył hucząc i rozsiewał po rzece gwar roboty, i pędził chmury po niebie.

— Michale... — krzyknął jakiś głos z wierzchołka rusztowania. A z pokładu olbrzymi chłop, zadarłszy do góry głowę, odpowiadał:

— Co-o-o? — a wiatr igrał długą, rudą jego brodą i ciskał mu ją w twarz.

— Podaj-no koniec...

Jakiś huczący bas wrzeszczał, jak w tubę:

— Widzisz, ślepy djable, jak ślicznie przybiłem tarcicę?! Czy nie widzisz? Przetrę ja ci ślepie!

— Dalej, bracie, bierzmy się!

— Dalej... dalej-że!... — ciągnął ktoś wysokim tenorem.

Tomasz, piękny i kształtny, stał w krótkiej marynarce i w długich butach, oparty plecami o maszt i, skubiąc bródkę drżącą ręką, przyglądał się radośnie raźnej pracy chłopów. Rozlegający się dokoła hałas budził w nim pragnienie krzyczenia, mozolenia się wraz z chłopami, rąbania drzewa, dźwigania ciężarów, rozkazywnia — zwrócenia w ten sposób na siebie uwagi wszystkich i pokazania swej siły i zręczności. Hamował się jednak i nieruchomo stał w milczeniu: obawiał się i wstydził czegoś. Krępowało go to, że jest panem, że gdy weźmie się sam do pracy, to nikt chyba nie uwierzy, iż robi to wprost z ochoty, a nie dlatgo żeby ich zachęcić, dać im przykład. I możliwe, że chłopi śmiać się zeń będą jeszcze...

Rudy, kędzierzawy parobek, z rozpiętym kołnierzem u koszuli, przebiegał raz wraz koło niego, to z deską na plecach, to z siekierą w ręku; podskakiwał w biegu, jak rozbawiony koziol, śmiał się dźwięcznie, wesoło, żartował na wszystkie strony, niemiłosiernie łajał i pracował niezmordowanie, pomagając bądź jednemu, bądź drugiemu, i biegając szybko i zręcznie po pokładzie, zawalonym trzaskami i drzewem. Tomasz nie spuszczał go z oczu i zazdrościł temu wesołemu chłopakowi, od którego biło zdrowie, energja i siła.

„Szczęśliwy pewnie"... — myślał Tomasz, i myśl ta wywołała w nim ostrą, palącą żądzę dokuczenia mu w jakikolwiek sposób, zdetonowania go. Wszystkich naokół ogarniał zapał gorączkowej pracy, wszyscy zgodnie i śpiesznie umacniali rusztowanie, urządzali bloki, przygotowując się do wyciągania barki zatopionej na dnie rzeki, i wszyscy byli rześcy, weseli i — znać było, że żyli. A on stał zdala od nich, nie wiedząc co ma robić, nic nie umiejąc, czując się zbyteczny w tem wielkiem mrowisku pracy. Doznawał uczucia krzywdy, widząc, jak jest odosobniony, im bardziej przyglądał się tym ludziom, tem silniej wzmagało się w nim to uczucie krzywdy. Najwięcej bolała go myśl, że przecież to wszystko — robi się dla niego, a jednak on w tem wszystkiem nie bierze udziału...

„Gdzież jest moje miejsce? — myślał z goryczą. —

Gdzież moja praca?... Czy jestem wyrodkiem? Nie mniej mam siły, niż pierwszy lepszy... A na co mi ona?"

Dzwoniły łańcuchy, jęczały bloki, nad rzeką rozlegał się huk siekier, a barki kołysały się pod naciskiem fal... Tomaszowi zdawało się jednak, że buja się nie wskutek kołysania się pokładu pod jego nogami, lecz dlatego, że nie umie na niczem oprzeć się mocno...

Przedsiębiorca, niski chłop ze śpiczastą siwą bródką, wąziutkiemi oczyma i szarą pomarszczoną twarzą, podszedł do niego i powiedział zcicha, ale jakimś szczególnym, uroczystym tonem:

— Wszystko gotowe, Tomaszu Ignatjewiczu, teraz już wszystko w porządku... Zaczniemy, z Boską pomocą...

— A zaczynaj... — odrzekł łagodnie Tomasz, odwracając się od przenikliwego spojrzenia wąskich oczu chłopa.

— Ot i chwała Bogu! — rzekł przedsiębiorca, zapinając bez pośpiechu kurtkę i przybierając poważną minę. Potem, powoli obracając głowę, obejrzał rusztowania na barkach i krzyknął donośnym głosem:

— Na swoje miejsca, dziatki!

Chłopi rozbiegli się po barkach, w zwartych gromadkach stanęli przy kołowrotach i zaprzestali rozmowy. Niektórzy powdrapywali się zręcznie na rusztowanie, skąd spoglądali w milczeniu, trzymając się za liny.

— Baczność, bracia! — rozlegał się dźwięczny i spokojny głos przedsiębiorcy. — Czy wszystko w porządku? Gdy przyjdzie na babę pora rodzić — nie czas jej wtedy koszule szyć... A teraz... pomódlmy się Bogu!

I cisnąwszy czapkę na pokład, przedsiębiorca wzniósł twarz ku niebu i jął żegnać się siarczyście. Za nim wszyscy chłopi, podniósłszy głowy ku chmurom, zaczęli również szeroko wymachiwać rękami, kładąc znak krzyża na piersi. Inni modlili się głośno i głuchy, przytłumiony szept zlewał się z szumem fal:

— Boże pobłogosław!... Przenajświętsza Bogarodzico... Święty Mikołaju, patronie...

Tomasz słuchał tych okrzyków, i padały one kamieniem na jego duszę. Wszyscy stali z obnażonemi głowami,

on tylko jeden zapomniał był zdjąć czapkę. Przedsiębiorca, po skończeniu modlitwy, rzekł doń z wyrzutem:

— Należałoby i panu westchnąć do Pana Boga...

— Pilnuj swego nosa... a mnie nie ucz! — odrzekł Tomasz, rzucając nań gniewne spojrzenie. — Im dalej postępowała praca, tem ciężej i boleśniej odczuwał, że jest zbyteczny wśród tych spokojnych i ufnych w swoje siły ludzi, gotowych do podniesienia z dna rzeki na jego rozkaz kilkudziesięciu pudów. Pragnął, żeby doznali niepowodzenia, żeby skompromitowali się wszyscy wobec niego — i w głowie jego zabłysła zła myśl:

„Może łańcuchy się zerwą"...

— Baczność, chłopcy! — krzyczał przedsiębiorca. — zaczynajcie wszyscy jednocześnie... W imię Boże! — I nagle, klasnąwszy w dłonie, wrzasnął przeraźliwie:

— Za-czy-naj!

Robotnicy pochwycili jego okrzyk i wszyscy w jeden głos krzyknęli:

— Za-czy-naj!

Zazgrzytały i skrzypnęły bloki, zabrzęczały łańcuchy, wyprężając się od zawieszonego na nich ciężaru; robotnicy, oparłszy się piersiami o ramiona kołowrotu, ryczeli i ciężko tupali po pokładzie. Fale z szumem pluskały między barkami, jakby nie chcąc ludziom dać wydrzeć swej zdobyczy. Wszędzie dokoła Tomasza wyciągały się łańcuchy i liny drżały od napięcia, jak ogromne szare robaki pełzały po pokładzie, mimo jego nóg, niewiadomo dokąd, podnosiły się do góry, ogniwo za ogniwem, potem spadały z łoskotem — wszystkie jednak dźwieki tłumił ogłuszający ryk robotników.

— Wszy-scy razem, razem, razem... — śpiewali zgodnie, triumfująco. A w potężną falę ich głosów wpijał się, jak ostrze noża, dźwięczny głos przedsiębiorcy.

— Starajcie się dziatki!... — razem... razem...

Dziwne wzruszenie opanowało Tomasza: porywała go nieprzezwyciężona chęć wmieszania się w ten gwar podniesionych głosów, szeroki i potężny, jak rzeka, w ten denerwujący hałas, zgrzyt i szczęk żelaza i głuchy szum fal. Wal-

cząc z tem pragnieniem, drżał cały, a pot oblewał mu czoło; nagle oderwał się od masztu i jednym skokiem dopadł do kołowrotu, blady ze wzruszenia.

— Ra-zem! ra-zem... — wołał dzikim głosem. Z impetem uderzył piersią o ramię kołowrotu i, nie czując bólu, jął z rykiem chodzić dokoła, opierając się silnie nogami o pokład. Coś potężnego, gorącego wlewało mu się do piersi, zastępując ten wysiłek, który zużywał na obracanie dźwigni. Opanowała go radość niewysłowiona, która wylewała się nazewnątrz w formie podniesionego krzyku. Doznawał wrażenia, jakgdyby sam jeden, własną siłą obracał dźwignię, podnosił ciężar i jakgdyby siła ta wciąż wzrastała. Pochylony naprzód, z głową spuszczoną, szedł jak byk na spotkanie siły ciążenia, odpychającej go wtył, a jednak mu ustępującej. Każdy krok naprzód podniecał go jeszcze więcej, każdy zużyty wysiłek wnet zastępowało palące uczucie dumy, w głowie mu się kręciło, oczy krwią nabiegły, nie widział nic, czuł tylko, że wszystko mu ustępuje, że on zwycięży, że zaraz oto obali własną siłą coś ogromnego, coś zastępującego mu drogę — obali, zwalczy, a wtedy odetchnie lekko, swobodnie, pełen dumnej radości. Po raz pierwszy w życiu doznał tak podniosłego, potężnego uczucia, i całą mocą swej chciwej, zgłodniałej duszy wchłaniał je, upajał się niem, i głośnemi, pełnemi radości okrzykami wyrażał swą radość, wołając wraz z robotnikami:

— No, ra-zem, no, razem, razem...

— Stój! Trzymać! Stój!

Coś trąciło Tomasza w piersi i odrzuciło wtył...

— Winszuję pomyślnego ukończenia, Tomaszu Ignatjewiczu! — mówił doń przedsiębiorca, i zmarszczki na jego twarzy drżały radośnie. — Chwała Bogu! Ale zmęczył się pan, co?

Chłodny wiatr dął w twarz Tomaszowi. Szmer zadowolenia rozlegał się dokoła niego; przekomarzając się żartobliwie, rozweseleni chłopi zbliżali się do niego z uśmiechem na spoconych twarzach i otaczali go zwartem kołem. W roztargnieniu uśmiechał się: podniecenie, z którego jeszcze nie ochłonął, nie pozwalało mu zrozumieć, co się

stało i czemu wszyscy naokół tak są uradowani i zadowoleni.

— Sto siedemdziesiąt tysięcy pudów niby rzodkiew z grzędy wyrwaliśmy! — odezwał się ktoś.

— Powinienby właściciel za to przynajmniej wiaderko wódki wystawić...

Stojąc na zwojach lin, Tomasz patrzył przez głowy robotników i oto ujrzał, że między barkami, tuż przy nich, wynurzyła się z wody trzecia barka, czarna, śliska, rozbita, łańcuchami oplątana. Pognieciona cała, jakgdyby spuchnięta wskutek jakiejś strasznej choroby, bezradna i niedołężna, zawisła nad wodą między towarzyszkami swemi, opierając się o nie. Pośrodku niej sterczał rozpaczliwie złamany maszt: po okrytym plamami rdzy pokładzie sączyły się czerwone strugi wody, do krwi podobne. Tu i ówdzie na pokładzie leżały rozrzucone kupy żelastwa, czarne, mokre odłamki drzewa, sznury...

— Podnieśliśmy? — zapytał Tomasz, nie wiedząc, co ma powiedzieć na widok tego bezkształtnego, ciężkiego cielska, i jakby urażony myślą, że z takim zapałem i radością rzucił się do pracy poto tylko, żeby tę brudną, rozbitą poczwarę z wody wyciągnąć...

— Cóż teraz... — zapytał niewyraźnie.

— A nic! Wyładować ją trzeba co prędzej, a potem dać ze dwudziestu cieśli, oni ją migiem wyporządzą! — pocieszającym głosem mówił przedsiębiorca.

A rudy wyrostek, zaglądając z szerokim i wesołym uśmiechem w oczy Tomaszowi, pytał:

— Czy będzie dla nas wódeczka?

— Nie możesz poczekać! — strofował go przedsiębiorca. —Widzisz — człowiek zmęczony...

Wtedy chłopi zaczęli mówić:

— Pewnie, że można się było zmęczyć!

— Niełatwa praca!

— Wiadoma rzecz, człowiek nieprzyzwyczajony zawsze łatwo się męczy...

— Nie jestem wcale zmęczony... — rzekł posępnie

Tomasz, i znowu posypały się uwagi chłopów, którzy otaczali go coraz ciaśniejszem kołem.

— Niby zabawka jaka...

— Robota, o ile kto bierze się do niej z ochotą — wcale przyjemna rzecz...

— Wszystko jedno, co z babą swawolić...

Tylko rudy wyrostek upierał się wciąż przy swojem

— Proszę wielmożnego pana! Gdyby tak antałeczek? — mówił z uśmiechem, wzdychając.

Tomasz patrzył na otaczające go brodate twarze i nagle zbudziła się w nim chęć zwymyślania ich. Ale wszystko splątało się w jego głowie, nie mógł zebrać myśli; wreszcie, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, rzekł z gniewem:

— Wam tylko aby się upić! — A zresztą wszystko wam jedno, co robić! Lepiej pomyślelibyśmy o tem, co, i jak, i poco? Ach, wy!

Na twarzach otaczających go ludzi odmalowało się zdumienie: niebieskie i czerwone postacie zaczęły wzdychać, drapać się w głowę i przestępować z nogi na nogę. Niektórzy, rzuciwszy na Tomasza beznadziejne spojrzenie, odwrócili się od niego.

— Ta-ak! — odezwał się z westchnieniem przedsiębiorca. — Nie zawadziłoby pomyśleć o tem, co, i jak, i dlaczego... Święta prawda...

Rudy wyrostek został przy własnem zdaniu; uśmiechając się dobrodusznie, machnął ręką i oświadczył:

— Nam nad robotą niema co myśleć! Jest — to robimy! U nas to tak: zarobiłeś rubla i — chwała ci Boże! Wszystko potrafimy zrobić...

— A czy wiesz, co trzeba robić? — pytał Tomasz rozdrażniony tą odpowiedzią.

— Wszystko trzeba... i to, i tamto...

— No, a sens jaki?

— Dla ludzi naszego stanu we wszystkiem jeden i ten sam sens... zarobiłeś na chleb, na podatki: to i dobrze! A jeżeli jeszcze masz na kieliszeczek...

— Ach ty! — pogardliwie zawołał Tomasz. — Głupstwa gadasz! Nic nie rozumiesz...

— Czyż to nasza rzecz rozumieć? — rzekł rudy wyrostek, potrząsając głową.

Znudziła mu się rozmowa z Tomaszem; posądzał go, że nie chce dać na wódkę, i to go gniewało.

— Otóż to! — rzekł Tomasz pouczająco, nie zwracając uwagi na rzucane nań zukosa drwiące spojrzenia. — A kto rozumie... ten wie, że trzeba dla wieczności pracować!

— Dla Boga... niby... — wytłumaczył przedsiębiorca, patrząc na chłopów i, westchnąwszy nabożnie dodał: — To prawda... święte słowa!

Tomasz ożywiał się; zapragnął powiedzieć im coś niezmiernie ważnego, co zmusiłoby wszystkich tych ludzi do innego względem niego stosunku; nie podobało mu się bowiem, że wszyscy, prócz rudego wyrostka, milczą i spoglądają nań nieżyczliwie, posępnem i zdumionem okiem.

— Trzeba brać się do takiej roboty, — mówił, ściągając brwi, — żeby i za tysiąc lat ludzie mogli powiedzieć: oto co zrobili bogorodzcy chłopi... tak!

Rudy wyrostek spojrzał ze zdziwieniem na Tomasza i zapytał:

— Wypić mam Wołgę, czy co? — A potem parsknął, pokiwał głową i oświadczył: — Nie podołamy... pękniemy wszyscy!

Słowa jego zdetonowały Tomasza; popatrzył dokoła siebie: chłopi uśmiechali się ponuro, lekceważąco, ironicznie... Uśmiechy te kłuły go, jak szpilki.

Poważny chłop o dużej siwej brodzie, który dotychczas nie odzywał się wcale, zbliżył się do Tomasza i rzekł zwolna:

— A gdybyśmy i Wołgę wypili do dna i zakąsili tą oto górą jeszcze — zapomną i o tem, wielmożny panie. Wszystko się zapomina... życie jest długie... Nie nam dokonywać takich prac, które przetrwałyby wiecznie... ot, rusztowanie potrafimy zbudować...

Rzekł i, splunąwszy sceptycznie sobie pod nogi, odszedł obojętnie i zniknął w tłumie. Mowa jego dobiła ostatecznie Tomasza; czuł, że chłopi uważają go za głupiego. Dla ura-

towania tedy swej powagi właściciela w ich oczach, w celu zwrócenia znowu na siebie znużonej już uwagi chłopów, wyprostował się, nadął śmiesznie policzki i huknął pewnym siebie głosem:

— Ofiaruję wam... trzy wiadra gorzałki!

Krótkie przemówienia zawsze są bardziej treściwe i zdolne wywołać silne wrażenie. Chłopi rozstąpili się przed Tomaszem z uszanowaniem i dziękowali mu za szczodrość pełnemi wdzięczności uśmiechami i zgodnym wesołym gwarem.

— Przewieźcie mnie na brzeg, — rzekł Tomasz, czując, że budzące się w nim na nowo podniecenie nie potrwa długo. Jakiś robak ssał mu serce, znów czuł budzącą się w nim nudę.

— Nudzę się! — rzekł, wszedłszy do izby, po której Sasza w eleganckiej różowej sukni krzątała się koło stołu, ustawiając na nim wódki i przekąski. — Nudno mi, Aleksandro! Tybyś mi choć raz w czemś pomogła!

Popatrzyła nań uważnie i, usiadłszy na ławce ramię przy ramieniu, rzekła:

— Jeżeli się nudzisz — to oznaka, że czegoś chcesz... Czego ci potrzeba?

— Nie wiem sam! — zwiesiwszy smutnie głowę, odparł Tomasz.

— Więc pomyśl... poszukaj...

— Nie umiem myśleć... rozmyślania do niczego nie prowadzą...

— Oj ty... dzieciaku! — cicho i z politowaniem rzekła Sasza, odsuwając się od niego. — Głowę masz od parady...

Tomasz nie dosłyszał jej tonu i nie zauważył ruchu. Oparty rękoma o ławkę, pochylił się naprzód, wlepił oczy w podłogę i mówił, kołysząc się całem ciałem:

— Myślę czasem, myślę... a myśli, jak smoła, oblepią duszę... I nagle wszystko zniknie, jakgdyby gdzieś zapadło się w ziemię. I w duszy tak ciemno, wilgotno i pusto, jak w piwnicy... zupełnie nic niema! Aż strach chwyta... jakgdybyś nie był człowiekiem, a jakąś bezdenną jamą... Czego chcę?

Sasza spojrzała nań zukosa i w zamyśleniu zanuciła półgłosem:

*„Ach, wiatr powieje — mgła od morza przyjdzie"*...

— Nie chcę hulać... obrzydło mi to! Wciąż jedno i to samo: ludzie, zabawa, wino... Staję się zły — biłbym wszystkich... Nie podobają mi się ludzie... Nie można ich wcale zrozumieć — poco żyją? A kiedy mówią niby prawdę — kogo słuchać? Jeden mówi — to, drugi — owo... A ja nic nie potrafię powiedzieć...

*„Och, jak mi nudno, miły, żyć bez ciebie"*

nuciła Sasza, patrząc przed siebie na ścianę.

A Tomasz wciąż kiwał się i mówił:

— Czasami zdaje mi się, że jakaś wina ciąży na mnie... wszyscy żyją, hałasują, a ja patrzę i łypię tylko oczyma... I nie czuję wcale gruntu pod sobą... Matka, czy co, obdarzyła mnie taką obojętnością? Chrzestny ojciec powiada — że była jak lód... I że wciąż gdzieś ją ciągnęło... Otóż i mnie ciągnie... ciągnie do ludzi. Chciałbym pójść i powiedzieć: bracia, pomóżcie. Nauczcie! Nie potrafię żyć! Ale obejrzę się dokoła — a tu niema do kogo przemówić... To nikomu niepotrzebne... wszyscy hołota! Nawet jakby gorsi ode mnie... ja przynajmniej wstydzę się żyć tak, jak żyję... a oni — bynajmniej! Żyją, działają...

Tomasz zaklął głośno — i zamilkł. Sasza przerwała śpiew i odsunęła się od niego jeszcze dalej. Za oknem szumiał wiatr, zasypując kurzem szyby okien. Na piecu szeleściły prusaki, pełzając po wiązce łuczywa. Gdzieś na podwórzu ryczało żałośnie cielę.

Sasza drwiąco spojrzała na Tomasza i rzekła:

— Oto ryczy jeszcze jeden taki nieszczęśliwy... Poszedłbyś do niego, możebyście się zrozumieli. — I położywszy na jego kędzierzawej głowie rękę, trąciła go żartobliwie w bok...

— Zastanowiłbyś się lepiej nad tem — jaka z takich ludzi korzyść? Poco jęczysz? Jeżeli znudziło ci się hulać — zajmij się czemś... jakąś pracą...

— O, Boże, — potrząsnął głową Tomasz — trudno tak mówić, żeby cię zrozumiano... trudno! — I z rozdraż-

nieniem prawie krzyknął: Jaką pracą? Praca mnie nie pociąga! I co to jest praca? Pusta nazwa tylko — praca! A jeżeli zajrzeć do głębi, w rdzeń — to głupstwo! Nie rozumiem ja tego, czy co? Ja wszystko rozumiem, wszystko widzę i czuję!... Tylko język mam... niemy... Co za pożytek z pracy? Pieniądze? Mam ich za wiele! Mogę przywalić cię niemi na śmierć, i z głową zasypać... Wszystkie te prace, to tylko oszukaństwo. Patrzę na tych działaczów — cóż oni są? A jednak kręcą się jak mucha w ukropie naumyślnie dlatego, żeby samych siebie nie widzieć... Chowają się djabły... A gdyby wyzwolić ich od tych zabiegów, — co byłoby? Zaczną się szamotać jak ślepi... zgubią wszelki wątek... powarjują! Ja to wiem! Czy sądzisz, że jak jest jaka praca — to już w niej i całe szczęście człowieka? O, mylisz się — jeszcze czegoś potrzeba... nie wszystko jeszcze!... Rzeka płynie, żeby po niej pływali, drzewo rośnie na pożytek, pies domu pilnuje... wszystko na świecie ma swoje usprawiedliwienie! A ludzie — jak karaluchy — są zupełnie zbyteczni na ziemi... Wszystko jest dla nich, a oni dla kogo? Aha? Jaki cel ich istnienia? Cha-cha!

Tomasz triumfował. Zdawało mu się, że znalazł argument dobry dla siebie i silny przeciwko ludziom. Cieszył się tedy i śmiał się głośno:

— Czy głowa cię nie boli? — troskliwie zapytała go Sasza, patrząc w jego twarz badawczy wzrokiem.

— Dusza mnie boli! — zawołał Tomasz zapalczywie. — Boli dlatego, że... prosta jest i szczera... byle czem się nie zadowoli... Powiedz jej, jak żyć? dlaczego? Oto — chrzestny ojciec ma rozum! Ten powiada — sam stwarzaj życie! On jeden taki... Ja się go zapytam, poczekaj! A wszyscy mówią — życie nas pożarło! życie nas zdławiło... Zapytam się ich także. I w jakiż sposób stwarzać życie? Na to potrzeba je chwycić w garść... opanować... Nie wziąwszy do rąk gliny, nie ulepisz garnka...

— Słuchaj! — poważnie odezwała się Sasza — według mego zdania, powinieneś się ożenić — i basta!

— Poco? — zapytał Tomasz, wzruszywszy ramionami.

— Chomonta ci potrzeba...

— Żyję przecież z tobą... Wszystkie wy chyba jesteście jednakie? Jedna nie słodsza od drugiej... Przed tobą miałem jedną... z tej samej kategorji, co i ty... Ale nie, ona z własnej ochoty... podobałem się jej i... zgodziła się... Ładna była... a co do reszty — to we wszystkiem była podobna do ciebie, chociaż tyś od niej piękniejsza... Potem wpadłem w oko jednej pani... rzeczywistej pani, szlachciance! Mówiono, że się puszcza... Ja jednak nie zdobyłem jej... Ta-ak... rozumna była, wykształcona... żyła zbytkownie... Myślałem sobie: oto gdzie doznałem rzeczywistego szczęścia! Ale nie poszczęściło się... a kto wie — gdyby się było udało... wszystko może wzięłoby inny obrót... Ciągnęło mnie do niej... sądziłem — że się nie oderwę... A teraz oto — rozpiłem się, zalałem ją winem — i zapominam pomału... A to też niedobrze... Ech, człowiek! Podłe zwierzę, prawdę powiedzieć...

Tomasz umilkł i zamyślił się. A Sasza wstała z ławki i przeszła się po izbie, przygryzając wargi. Potem zatrzymała się przed nim, i zarzuciwszy sobie ręce na głowę, rzekła:

— Wiesz co? Odejdę od ciebie...

— Dokąd? — zapytał Tomasz, nie podnosząc głowy.

— Nie wiem... wszystko jedno!

— A dlaczego?

— Wciąż mówisz niepotrzebne rzeczy. Nudzę się z tobą... w melancholję mnie wpędzisz...

Tomasz podniósł głowę, spojrzał na nią i zaśmiał się boleśnie...

— Czy-yż? Czyż naprawdę?

— Bo widzisz tak: jeżeli zastanowię się dobrze, to zrozumiem, co mówisz i dlaczego. Należę przecie także do rzędu takich jak ty ludzi... i mój czas nadejdzie kiedyś — przyjdzie chwila namysłu... I wtedy zginę... Ale teraz jeszcze za wcześnie dla mnie... Nie, ja jeszcze chcę żyć... A potem niech będzie, co ma być!

— A ja — czy też zginę? — zapytał obojętnie Tomasz znużonym głosem.

— A jakże! — z przekonaniem odparła spokojnie Sa-

sza. —Tacy ludzie zawsze giną... Kto ma charakter niezłomny, a rozumu nie ma — cóż warte jego życie? A tacy my właśnie jesteśmy...

— Ja nie mam żadnego charakteru... — rzekł Tomasz, przeciągając się... Potem po chwili milczenia dodał: — I rozumu nie mam...

Przez chwilę milczeli oboje, patrząc sobie w oczy.

— Cóż będziemy robili? — zapytał Tomasz.

— Trzeba jeść obiad.

— Nie, wogóle, potem?

— Potem? N-n-nie wiem...

— Więc odejdziesz?

— Odejdę... Na pożegnanie poweselmy się jeszcze. Pojedźmy do Kazania i tam zahulamy... Wieczny odpoczynek ci tam odśpiewam...

— To można! — zgodził się Tomasz. — Należy nawet — na pożegnanie... Hej, do licha! Życie... wesołe! Słuchaj, Saszo, o was powiadają, że jesteście chciwe na pieniądze, a nawet że jesteście złodziejki...

— Niechaj gadają... — rzekła spokojnie Sasza.

— Czyż to cię nie obraża? — z zaciekawieniem zapytał Tomasz. — Ty naprzykład — chciwa nie jesteś... dobrze ci ze mną... bogaty jestem, a ty odchodzisz... świadczy to, że nie jesteś chciwa....

— Ja? — Sasza pomyślała chwilę i rzekła machnąwszy ręką: — Być może, że nie jestem chciwa — cóż z tego? Przecież nie jestem jeszcze zupełnie... upadłą... taką, co po ulicy spaceruje... A obrażać się — na kogo? Niech mówią, co chcą... Ludzkie gadanie to samo, co psów szczekanie... znam dobrze te wszystkie honory i świętości ludzkie.. o-och, jak doskonale je znam! Gdyby obrano mnie sędzią — uniewinniłabym tylko trupa! — I zaśmiała się niedobrym śmiechem, a potem rzekła: — Dosyć głupstw, siadaj do stołu!...

...Następnego dnia rankiem Tomasz i Sasza stali obok siebie na pomoście statku, podchodzącego do przystani

w Ujściu. Duży czarny kapelusz Saszy zwracał ogólną uwagę publiczności swojem dziarsko wywiniętem rondem i białemi piórami. Tomasz wstydził się stać obok niej, czuł bowiem, jak po jego zawstydzonej twarzy jakby pełzały ciekawe spojrzenia wszystkich. Parostatek, szumiąc i dygocąc, zbliżał się bokiem do przystani, która, jak zwykle latem, przepełniona była tłumem oczekującej nań publiczności. Śród różnobarwnych twarzy i postaci zdawało się Tomaszowi, że widzi kogoś znajomego, który wciąż chował się jakby za plecami innych, ale nie spuszczał zeń oczu.

— Chodźmy do kajuty! — rzekł zaniepokojony do przyjaciółki.

— Nie ukrywaj nigdy swych grzechów przed ludźmi, — z uśmiechem odparła Sasza. — Znajomego zobaczyłeć, czy co?

— A... ta-ak... ktoś mnie śledzi...

— Może niańka ze smoczkiem? Cha-cha-cha!

— Czego rżysz! — gniewnie spojrzawszy na nią, rzekł Tomasz. — Myślisz — boję się?

— Już widzę twoją odwagę...

— Zobaczysz! Nie boję się nikogo... — rzekł ze złością, ale, wpatrzywszy się w tłum, stojący na przystani, zmienił się nagle na twarzy i cicho dodał:

— To mój ojciec chrzestny...

Na samym brzegu przystani, wciśnięty pomiędzy dwiema grubemi kobietami, stał Jakób Majakin i, podniósłszy do góry swą świątobliwą twarz, ze złośliwą grzecznością machał lekko w powietrzu czapką. Bródka jego drżała, łysina lśniła się, a oczy, jak szpilki, kłuły Tomasza.

— A to jastrząb! — mruknął Tomasz, również uchylając czapki i kiwając głową ojcu chrzestnemu.

Jego ukłon sprawił widocznie Majakinowi wielką przyjemność, skulił się bowiem jakoś, zadreptał nogami, i twarz jego jakby opromieniła się zjadliwym uśmiechem.

— Posadzą pewnie chłopczyka na pokutę! — drwiła z Tomasza jego towarzyszka.

Jej słowa i uśmiech ojca chrzestnego podrażniły Tomasza.

— Zobaczymy, co będzie... — rzekł przez zęby.

Parostatek stanął i ludzie, jak fala, rzucili się do przystani. Majakin, zasłonięty tłumem, zniknął na chwilę z przed oczu Tomasza, ale niebawem wynurzył się znowu, uśmiechając się złośliwym, triumfującym uśmiechem. Tomasz patrzył nań zpode łba, schodząc powoli ze schodków na jego spotkanie. Trącano go w plecy, popychano, ściskano, — i wszystko to jeszcze bardziej podniecało Tomasza. I oto zetknął się w pierś ze starym, który powitał go grzeczniutkim ukłonem i pytaniem:

— Dokąd-to, Tomaszu Ignatjewiczu, raczysz podróżować?

— We własnym interesie, — odrzekł szorstko Tomasz, nie witając się z chrzestnym ojcem.

— Bardzo to chwalebne! — rzekł Jakób Tarasowicz, cały rozpromieniony. — A ta pani z piórami w jakim charakterze szanownemu panu towarzyszy?

— Jako kochanka, — odparł głośno Tomasz, nie spuszczając oczu przed ostrem spojrzeniem ojca chrzestnego.

Sasza stała ztyłu i przez ramię Tomasza spokojnie mierzyła wzrokiem małego staruszka, który głową nie sięgał Tomaszowi do podbródka. Publiczność, zaciekawiona głośną odpowiedzią Tomasza, spoglądała na nich, węsząc awanturę. Majakin, obawiając się skandalu, wnet odczuł bojowy nastrój chrzestnego syna. Pożuł ustami i spokojnie odezwał się do Tomasza:

— Chciałbym porozmawiać z tobą... Może pójdziemy do hotelu?...

— Mogę... byle nie na długo...

— Nie masz tedy czasu? Oczywiście — śpieszysz się zapewne rozbić jeszcze jedną barkę? — nie wytrzymawszy, rzekł stary.

— Czemuż ich nie rozbijać, jeżeli są na rozbicie? — wyzywająco, lecz stanowczo odparł Tomasz.

— Oczywiście! Nie ty je budowałeś... więc nie masz co żałować. No, pójdziemy... A czy nie możnaby tej panienki na jakiś czas... chociażby w wodzie utopić? — szepnął Majakin.

— Jedź, Saszo, do miasta, weź pokój w Syberyjskim zajeździe... przyjadę prędko! — rzekł Tomasz i, zwracając się do Majakina, zuchowato oświadczył:

— Jestem gotów!... Chodźmy...

Do hotelu szli obaj w milczeniu. Tomasz, widząc, że chrzestny ojciec, żeby mu dorównać kroku, podskakuje idąc, naumyślnie kroczył szerzej, i to, że stary nie może iść z nim razem, podtrzymywało i wzmagało w nim gwałtowne uczucie protestu, które zaledwie mógł pohamować.

— Chłopak! — rzekł łagodnie Majakin, wszedłszy do sali hotelowej i skierowując się do odległego kąta. — Podaj-no mi buteleczkę kwasu...

— A mnie — konjaku, — rozkazał Tomasz.

— Otóż to... Kiedy karta nie idzie, wal zawsze ostatniego atuta! — rzekł drwiąco Majakin.

— Ojciec nie zna mojej gry! — rzekł Tomasz, sadowiąc się przy stole.

— Oj, oj! Wielu tak gra...

— Tak?

— Tak jak ty... śmiało, ale głupio...

— Ja zwykle gram tak, że albo łeb rozbiję na drobne kawałki, albo mur rozwalę! — rzekł głośno Tomasz i uderzył pięścią w stół.

— Czy nie piłeś jeszcze dzisiaj? — zapytał Majakin z uśmiechem.

Tomasz rozsiadł się w krześle wygodniej i z twarzą wykrzywioną hamowanem wzburzeniem, przemówił:

— Ojciec jest rozumnym człowiekiem... szanuję ojca za rozum...

— Dziękuję, synku!... — złożył ukłon Majakin, powsając i opierając się rękoma o stół.

— Niema za co... Chcę powiedzieć, że nie mam już lat dwudziestu i że nie jestem smarkaczem...

— Przecież! — zgodził się Majakin. — Sporo wieku przeżyłeś, niema co mówić! Gdyby komar tyle żył, przerósłby kurę...

— Dajmy pokój żartom!... — przerwał Tomasz z ta-

kim spokojem, że zastanowiło to nawet Majakina i zmarszczki na jego twarzy poruszyły się trwożnie.

— Poco tu ojciec przyjechał? — zapytał Tomasz.

— Nabroiłeś tu przecie... chcę więc zobaczyć, czy dużo? Jestem, uważasz, bądź co bądź twoim krewnym... i prócz mnie nie masz nikogo na świecie...

— Napróżno się ojciec niepokoi... I powiem więcej... Albo proszę mi dać zupełną swobodę, albo proszę wziąć w swoje ręce cały mój majątek... wszystko! Wszystko co do grosza!

Ta propozycja wyrwała się Tomaszowi zupełnie dla niego niespodzianie, przedtem nie pomyślał nigdy o czemś podobnem. Teraz, kiedy wypowiedział te słowa, zrozumiał nagle, że gdyby ojciec chrzestny zabrał od niego cały majątek, stałby się zupełnie wolnym człowiekiem, mógłby iść gdzie chce, robić, co mu się podoba... Dotychczas był czemś związany i skrępowany, ale nie znał swych więzów i nie umiał ich zerwać, a teraz oto same zeń opadają tak łatwo i prosto. Lękliwa i radosna nadzieja obudziła się w jego piersi, jakgdyby spostrzegł nagle, że do mglistej nocy jego życia przedarło się skądciś światło i otworzyła się przed nim szeroka, przestronna droga... Jakieś dziwne obrazy wyłaniały się w jego mózgu i, śledząc ze zdziwieniem ich zmianę, bełkotał bez związku:

— Tak... tak będzie najlepiej! Proszę wziąć wszystko i — basta! A ja — pójdę, gdzie oczy poniosą!... Nie mogę tak żyć... zdaje mi się, jakgdybym dźwigał na sobie kajdany... Jakgdybym był cały spętany... Tego — nie wolno, tamtego — nie wolno... Chcę żyć swobodnie... żebym sam mógł wszystko wiedzieć... poszukam sobie własnej drogi... Bo kim-że jestem? Więźniem... Proszę, z łaski swojej, zabrać wszystko... wszystko do djabła! Uwolnijcie mnie. Co za kupiec ze mnie? Nic mnie nie nęci... A tak — usunąłbym się od ludzi... od wszystkiego... postarałbym się o jakieś zajęcie... jakąkolwiek robotę, pracowałbym... jak Bóg miły! Ojcze! puśćcie mnie na swobodę... A tak — ot, piję... z babą się wdałem...

Majakin patrzył na niego i słuchał jego mowy uważ-

nie z surową, nieruchomą, jakby skamieniałą twarzą. Dokoła nich wrzał głuchy restauracyjny gwar, koło nich przechodzili jacyś ludzie i kłaniali się Majakinowi, lecz on nic nie widział, uporczywie wpatrując się w twarz chrzestnego syna, uśmiechającego się z roztargnieniem, radośnie a jednocześnie smutnie...

— O-och, moja ty kwaśna jagodo! — przerwał mu z westchnieniem Majakin. — Widzę, żeś się zaplątał... I pleciesz — trzy po trzy... Nie mogę zrozumieć — czy mówisz to pod wpływem konjaku, czy z głupoty?

— Ojcze! — zawołał Tomasz. — Wszak to możebne! Wszak były takie wypadki, że ludzie rzucali swe mienie i ratowali duszę od zguby...

— Nie za moich czasów to było... i nie bliscy mi ludzie tak czynili! — surowo odrzekł Majakin. — A tobym im... pokazał...

— Wielu z nich nawet świętymi zostało... gdy odeszli..

— Ba... u mnieby nie odeszli! Przecież to prosta i jasna rzecz — w warcaby umiesz grać? Otóż posuwaj się z miejsca na miejsce, dopóki cię nie zjedzą, a jeżeli nie zjedzą — jedź do damki! I wtedy masz przed sobą wszystkie drogi otworem. Zrozumiałeś? Ale poco rozmawiam z tobą poważnie? Tfu!...

— Ojcze! Czemu ojciec nie chce? — z bólem zawołał Tomasz.

— Słuchaj-no! Jeżeli jesteś kominiarzem — leź, psi synu, na dach!... Strażakiem — stój na wieży! Każdy gatunek człowieka powinien mieć własną kolej życia... Cielęta nie mogą ryczeć jak niedźwiedzie! Żyjesz własnem życiem — żyj tedy! I nie rób hałasu, nie leź, gdzie nie potrzeba... Urządzaj sobie życie według swego planu. — I z ciemnych ust starca polał się drżący i błyskotliwy potok mowy, znanej Tomaszowi, drżącej, lecz pewnej siebie i śmiałej. Ale on nie słuchał jej, zatopiony w myślach o swobodzie, która wydawała mu się bardzo łatwa do osiągnięcia. Myśl ta wpiła mu się w mózg, a w piersiach wzmagało się wciąż pragnienie zerwania z tem życiem męt-

nem i nudnem, z ojcem chrzestnym, z parostatkami, z hulatyką, — ze wszystkiem, co go dławiło i nie dawało żyć.

Słyszał mowę starca, jakby z oddali: zlewała się z brzękiem naczyń, z szuraniem nóg po podłodze, z pijanym krzykiem gości.

— A wszystkie te brednie powstały w twojej głowie z głupiego, młodocianego junactwa! — mówił z naciskiem Majakin, uderzając ręką w stół. — Twoja odwaga — to głupstwo, a wszystkie te wywody twoje — to brednie... Czy nie chcesz czasem wstąpić do klasztoru? A może chcesz — z torbami po świecie?

Tomasz słuchał w milczeniu. Otaczający go gwar jakgdyby odsuwał się odeń coraz dalej. W wyobraźni swej widział siebie śród olbrzymiego tłumu ludzi, którzy niewiadomo poco miotają się, popychają nawzajem, wpatrują się gdzieś chciwie wytrzeszczonemi oczyma, wrzeszczą, wymyślają, padają, cisną się i tłoczą na jednem miejscu. Źle się czuł śród nich dlatego, że nie rozumiał ich, czego chcą, i nie wierzył ich słowom. I gdyby się mógł wyrwać z pośród nich na wolność, na kraniec życia i spojrzeć na nich stamtąd — wtedy mógłby wszystko zrozumieć i zobaczyć, gdzie jest właściwe jego miejsce.

— Rozumiem przecież, — mówił łagodniej Majakin, widząc zamyślenie Tomasza i przypuszczając, że rozmyślał nad jego słowami — rozumiem, że pragniesz szczęścia dla siebie... Ale nie daje się ono tak łatwo... Trzeba poszukać go, jak grzyba w lesie, trzeba dobrze karku nazginać... a i znalazłszy wreszcie — przyjrzyj się dobrze, czy to nie psiarka?

— A więc, czy uwolni mnie ojciec? — podniósłszy głowę, zapytał nagle Tomasz, a Majakin spuścił oczy pod płonącem jego spojrzeniem.

— Ojcze! Chociaż na czas pewien! Pozwól mi odetchnąć... usunąć się od wszystkiego — prosił Tomasz. — Rozejrzę się, zobaczę, co i jak... i wtedy dopiero... A tak cóż — rozpiję się...

— Nie pleć! Poco błaznujesz? — krzyknął Majakin gniewnie.

— W takim razie, dobrze! — odrzekł spokojnie Tomasz. — Ślicznie! Więc ojciec nie chce? Roztrwonię wszystko! Nie mamy więcej o czem mówić... do widzenia! Teraz ja się wezmę do roboty — zobaczy ojciec! Ucieszy się... wszystko pójdzie z dymem!

Tomasz był spokojny, mówił z przekonaniem; zdawało mu się, że kiedy tak postanowił, ojciec chrzestny nie będzie mógł mu przeszkodzić. Ale Majakin wyprostował się na krześle i rzekł również spokojnie i stanowczo:

— A czy wiesz, co ja mogę z tobą zrobić?

— Co sobie ojciec zechce! — rzekł Tomasz, machnąwszy ręką.

— Właśnie. Otóż chcę tego: — przyjadę do miasta i poczynię starania, żeby cię uznano za obłąkanego i zamknięto w domu warjatów...

— Czyż to tak można? — niedowierzająco, ale już z obawą w głosie zapytał Tomasz.

— U nas, kochany przyjacielu, wszystko można...

— Tak...

Tomasz zwiesił głowę, popatrzył zpodełba w twarz ojca chrzestnego i drgnął pomyślawszy:

„Może posadzić... nie pożałuje"...

— Jeżeli ty na serjo chcesz głupstwa robić — to i ja muszę również na serjo postępować z tobą... Przyrzekłem ojcu twojemu, że cię na nogi postawię... I postawię... a jak stać nie będziesz — zakuję w żelazo... Wtedy staniesz... Wiem zresztą — wszystkie te twoje gadania, to niedorzeczne pomysły pijanej głowy. Ale jeżeli nie opamiętasz się... jeżeli w dalszym ciągu będziesz się awanturował i nagromadzone przez ojca mienie bezmyślnie trwonił — to ja cię nakryję razem z głową... uleję dzwon nad tobą... Nie radzę ci ze mną żartować...

Majakin mówił tonem łagodnym. Małe jego oczki, otoczone ciemną siecią drobniutkich zmarszczek ,uśmiechały się drwiąco i zimno. Zmarszczki na jego czole tworzyły dziwny deseń, sięgający łysiny. Twarz miała nieugięty i bezlitosny wyraz, który napawał Tomasza jakimś smutkiem i chłodem.

— Z tego wynika, że nie mam dokąd iść? — zapytał ponuro Tomasz. — Ojciec zagradza mi wszystkie drogi?

— Droga otwarta... idź! A ja pokieruję tobą... bądź spokojny — będzie dobrze! Trafisz akurat na miejsce...

Ta pewność, ta niezachwiana pewność siebie oburzyła Tomasza. Schował ręce do kieszeni, żeby nie uderzyć starca, wyprostował się na krześle i, zacisnąwszy zęby, rzekł z hamowaną wściekłością:

— Czego się ojciec wciąż chwali? Żeby przynajmniej było czem się chwalić? — Gdzież jest syn, Taras? Czemże jest córka? Ładny mi kierownik życia! Tak, ojciec jest rozumny... wszystko wie... Proszę tedy powiedzieć — poco żyje na świecie? Poco pieniądze gromadzi? Chyba nie myśli wcale umierać? Cóż? Zwyciężył mnie ojciec, zawojował, mocno trzyma w garści! Poczekajcie jeszcze... może jeszcze się wyrwę! To nie koniec! A chwalić się ojciec nie ma czem! Czego w życiu dokonał? Czem na pamięć ludzką zasłużył? Mój ojciec przynajmniej dom wybudował, a wy co?

Zmarszczki Majakina drgnęły i wydłużyły się pionowo, przez co twarz jego nabrała płaczącego, bolesnego wyrazu. Otworzył usta, ale nie wyrzekł nic, patrząc ze zdziwieniem i niemal ze strachem na chrzestnego syna.

— Czy może mi ojciec co powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? — nie spuszczając oczu, pytał Tomasz tłumionym szeptem.

— Milczeć, szczeniaku! — zasyczał starzec, rzucając trwożne spojrzenie na salę.

— Powiedziałem wszystko! A teraz — odejdę! Może mnie ojciec nie puści?

Tomasz wstał z krzesła, włożył czapkę na głowę i zmierzył starca nienawistnym wzrokiem.

— Idź... a ja cię... — złapię! Tak będzie, jak ja chcę! — mówił Majakin jąkającym się głosem.

— A ja — będę hulał! Wszystko przehulam!...

— Dobrze... Zobaczymy!

— Żegnam! Bohater!... — roześmiał się Tomasz.

— Do prędkiego zobaczenia! Ja od swego nie od-

stąpię... ja to lubię... i ciebie lubię... to nic, dobry z ciebie chłopak! — mówił Majakin urywanym szeptem, jakgdyby mu tchu brakło.

— Lubienia mi waszego nie potrzeba. Wolałbym radę dobrą i naukę... Ale ojciec niczego nauczyć nie potrafi! — rzekł Tomasz, odwróciwszy się do starego plecami, i wyszedł z sali.

Majakin został sam. Siedział przy stole i pochylony nad nim, rysował na tacy desenie, maczając drżący palec w rozlanym kwasie. Ostra jego głowa zwieszała się coraz niżej nad stołem, jakby nie mógł rozróżnić i zrozumieć tego, co kreślił jego palec na tacy.

Na łysinie błyszczały krople potu, a zmarszczki na policzkach drżały.

W restauracji rozlegał się głośny gwar, od którego brzęczały szyby w oknach. Z Wołgi dolatywały gwizdania parostatków, głuchy szum kół, uderzających o wodę, nawoływania ludzkie — niezmordowana fala życia płynęła naprzód bez namysłów i wahań.

Przywoławszy lokaja kiwnięciem głowy, Jakób Tarasowicz zapytał go z jakimś szczególniejszym naciskiem:

— Ile się ode mnie za to wszystko należy?

## X.

Przed kłótnią z Majakinem Tomasz hulał trochę z nudów, trochę z ciekawości, — teraz zaś zaczął hulać ze złości, z rozpaczy niemal, pełen mściwych uczuć i jakiegoś zuchwalstwa względem ludzi, które go samego dziwiło. Widział, że otaczający go ludzie pozbawieni są, jak i on, twardego gruntu pod nogami i celu w życiu, tylko że nie rozumieją tego, albo naumyślnie nie chcą zrozumieć, żeby nie mącić sobie wesołego, bezmyślnego życia naoślep. Nie znajdował w nich nic, coby mógł uważać za trwałe, rozumne; trzeźwi — wydawali mu się nieszczęśliwymi i głupimi, a pijani — byli dlań wstrętni i jeszcze bardziej głupi. Nikt nie wzbudzał w nim szacunku i głębszego, serdecznego za-

interesowania; nie pytał ich nawet o imiona, zapominał, kiedy i gdzie zapoznał się z nimi, i zachowując się względem nich z pogardliwą ciekawością, doznawał zawsze chęci wyrządzenia im jakiejś krzywdy. Dnie i noce spędzał z nimi po różnych wesołych zakładach i wertepach, i rodzaj tych jego znajomości zależał zwykle od jakości miejsca, w którem je zawierał. W drogich i eleganckich restauracjach otaczały go jakieś męty tak zwanej lepszej publiczności: szulerzy, śpiewacy, sztukmistrze, aktorzy, zrujnowani obywatele ziemscy. Ci ludzie z początku zachowywali się względem niego protekcjonalnie, chwalili się przed nim swemi wydelikaconemi gustami, znajomością win i potraw, a następnie schlebiali mu, starali się przypodobać, pożyczali od niego pieniądze, które trwonili bez liku, czerpiąc z banków i pożyczając już na weksle. W tanich zaś i podrzędnych restauracjach kręcili się koło niego, jak jastrzębie, fryzjerzy, markierzy, subjekci, drobni urzędnicy i chórzyści; śród tych ludzi czuł się daleko lepiej, swobodniej. Widział w nich ludzi prostych, nie tak potwornie wykoszlawionych, jak ta cała „lepsza publiczność" z pierwszorzędnych restauracyj, — byli mniej zepsuci, rozumniejsi, bardziej dlań zrozumiali; ujawniali niekiedy zdrowe, silne uczucia i mieli w sobie zawsze coś bardziej ludzkiego. Lecz i ci, jak i „wyborowa publiczność", chciwi byli na pieniądze i łupili go bezczelnie, a on widział to i drwił z nich brutalnie.

Były naturalnie i kobiety. Zdrów fizycznie, ale nie zmysłowy, Tomasz kupował je, drogie i tanie, piękne i brzydkie, obsypywał suto pieniędzmi, zmieniał niemal co tydzień, ale obchodził się z niemi wogóle lepiej, niż z mężczyznami. Kpił z nich, mówił im krzywdzące i obelżywe wyrazy, ale nigdy, nawet będąc podchmielony, nie mógł się pozbyć wobec nich jakiegoś uczucia skrępowania. Wszystkie one — najbardziej natrętne, zdrowe i bezwstydne — wydawały mu się słabe i bezbronne, jak małe dzieci. Skory do bicia, nigdy nie tknął kobiety, chociaż czasami w rozdrażnieniu łajał je grubjańsko. Czuł się niezrównanie silniejszy od kobiety i każda wydawała mu się niezrównanie nieszczęśliwsza od niego. Te, które oddawały się roz-

puście z cynizmem, budziły w Tomaszu uczucie wstydu, które czyniło go nieśmiałym i niezręcznym.

Sasza w kilka dni po przyjeździe do Kazania poszła na utrzymanie do jakiegoś kupczyka, który hulał wraz z Tomaszem. Odjeżdżając gdzieś nad Kamę z nowym panem, rzekła do Tomasza:

— Żegnaj, miły chłopaku! Może się jeszcze spotkamy... jedna droga przed nami! Jeno radzę ci, serce trzymaj na wodzy... Hulaj sobie, ile wlezie... a tam... gdy wysączysz wszystko do dna — kielich o ziemię i basta... Żegnaj!

I mocno pocałowała go w usta, przyczem oczy jej pociemniały jeszcze bardziej.

Tomasz rad był, że się jej pozbył: dokuczyła mu już i przerażała swym chłodem i obojętnością. Ale naraz drgnęło coś w nim, odwrócił się od niej i przemówił zcicha:

— Może trudno ci będzie tam żyć... to wracaj znów do mnie...

— Dziękuję — odparła, i niewiadomo czemu zaśmiała się dziwnym jakimś, ochrypłym śmiechem...

Tak żył Tomasz z dnia na dzień, kręcąc się wciąż na jednem miejscu i śród jednych i tych samych ludzi. Uważał siebie za wyższego od nich jeszcze i dlatego, że coraz częściej myślał o możliwości wyrwania się z tego życia, że coraz silniej opanowywało go pragnienie wolności i że coraz wyraźniej widział siebie odsuniętym daleko od życia, zdala od tego zgiełku i walki życiowej. Nieraz w nocy, zostawszy sam na sam ze sobą, zamykał oczy i wyobrażał sobie ciemny, wielki, niezliczony, przerażający swym ogromem tłum ludzi. W jakiejś kotlinie, otoczonej pagórkami i napełnionej tumanem kurzu, tłum ten z gwarem i gorączkowym pośpiechem tłoczył się na jednem miejscu i był podobny do ziaren w koszu młyńskim. Jakgdyby niewidzialne żarna, ukryte pod jego nogami, mełły go, i ludzie falą przepływali ponad temi żarnami, to jakby śpiesząc nadół, by dostać się pod kamień i zniknąć, to jakby wyrywając się ku górze, żeby uniknąć zguby. Ludzie ci byli także podob-

ni do raków, dopiero co złowionych i wrzuconych do dużego kosza, — czepiając się wzajemnie, poruszali się z trudnością, pełzali dokądciś, przeszkadzali sobie wzajem i nic nie mogli zrobić, aby wydostać się z niewoli.

Wśród tego tłumu rozpoznawał Tomasz znane sobie twarze: oto ojciec jego pędzi gdzieś, rozpychając i potrącając wszystkich po drodze; pracuje szerokiemi łapami... przebojem sunie naprzód, głośno się śmieje... i znika, zapadając się gdzieś w głąb, pod nogami ludzkiemi. Oto ojciec chrzestny zwija się jak wąż, już to skacząc ludziom na plecy, jużto prześlizgując się między ludzkiemi nogami, i pracuje całem swem chudem, ale giętkiem i sprężystem ciałem... Luba krzyczy i szamocze się, śpiesząc za ojcem porywczemi, lecz słabemi ruchami, i to pozostaje daleko wtyle, to zbliża się znowu do niego. Cicho stąpając z przyjemnym uśmiechem na twarzy, stroniąc od wszystkiego i ustępując wszystkim z drogi, posuwa się powoli ciotka Anfisa... postać jej kołysze się wśród ciemności, jak skromny płomień woskowej świecy... i gaśnie, znikając w mroku. Pelagja podąża gdzieś szybko prostą drogą... Zofja Medyńska stoi z bezradnie zwieszonemi rękoma, jak stała wtedy, po raz ostatni — w swoim salonie... Oczy ma duże, a w nich maluje się jakaś wielka trwoga. Jest tu i Sasza. Obojętna, nie zwracając uwagi na szturchańce, idzie prosto w sam wir życia i śpiewa na cały głos swe piosnki, patrząc spokojnie swemi ciemnemi oczyma przed siebie... Tomasz słyszy gwar, wycie, śmiech, krzyki pijanych, zajadły spór o grosze; śpiew i płacz unoszą się nad tą olbrzymią szamoczącą się gromadą żywych ciał ludzkich, stłoczonych w jamie; skaczą one, padają, pełzają, gniotą się wzajemnie, wskakują sobie na plecy, pchają się wszędzie, jak ślepe, uderzają o siebie, borykają się i, padając, znikają z oczu. Pieniądze szeleszczą i latają, jak nietoperze, nad ludzkiemi głowami, a ludzie wyciągają po nie chciwie ręce; złoto i srebro brzęczy, dzwonią butelki, strzelają korki, ktoś szlocha i głos kobiecy zawodzi żałośnie:

*„Więc żyjmy, dopókiśmy młodzi,*
*A tam — niech zapadnie się świat!"*.

Obraz ten wyrył się w pamięci Tomasza, rozrastał się zwolna i stawał się coraz wyraźniejszy i żywszy, budząc w jego piersi jakieś mgliste, chaotyczne, nieokreślone uczucie, do którego jak strumienie do rzeki wlewały się i strach, i bunt, i żal, i złość. Wszystko to wrzało w jego piersi i rozpierało ją wielkiem, potężnem pragnieniem, które tamowało mu dech i wyciskało z oczu łzy; chciał krzyczeć, wyć, jak dziki zwierz, przerazić wszystkich ludzi — powstrzymać ich bezmyślne szamotanie się, tchnąć w ich hałaśliwe i czcze życie coś nowego, swego, powiedzieć im jakieś głośne, stanowcze słowa, skierować wszystkich w jedną stronę, a nie przeciwko samym sobie. Chciał chwycić ich za łeb, porozrywać sczepionych, zbić jednych, drugich przygarnąć życzliwie, upominać, zagrzewać, olśnić jakimś wielkim celem...

Sam nie czuł w sobie nic — ani tych słów potrzebnych, ani ognia; tkwiło w nim tylko jedno pragnienie, zrozumiałe dlań, ale nieziszczalne... Wyobrażał sobie siebie ponad tem życiem, poza tą kotliną, w której tłoczą sie ludzie; widział siebie stojącym mocno na nogach — i niemym. Mógłby krzyknąć ludziom:

— Jak żyjecie? Czyż wam nie wstyd?

Ale, jeżeli, usłyszawszy jego głos, zapytają: A jak żyć należy?

Rozumiał doskonale, że po takiem pytaniu musiałby chyba stoczyć się z wysokości, na której stał, tam, ludziom pod nogi, pod młyński kamień. I śmiechem powitanoby jego zgubę.

Czasami zdawało mu się, że pijaństwo pożera mu mózg, że jest obłąkany i dlatego dręczą go te straszne i ponure widzenia. Wysiłkiem woli odpędzał od siebie te obrazy, ale jak tylko zostawał sam i nie był zbyt pijany — wnet wpadał znów w stan majaczenia. Pragnienie wolności wzrastało w nim i wzmagało się. Nie mógł jednak wyrwać się z więzów swego bogactwa. Majakin, mając od niego zupełną plenipotencję do prowadzenia całego interesu, postępował teraz w taki sposób, że Tomasz codziennie niemal zmuszony był odczuwać ciężar leżących na nim obowiąz-

ków. Raz po raz zwracano się do niego po zapłatę, proponowano mu zawieranie umów na przewóz ładuków; oficjaliści osobiście i piśmiennie zwracali się do niego z takiemi drobnostkami, o które dawniej nie pytali go nigdy. Odnajdywano go w restauracjach i rozpytywano, co i jak należy zrobić; odpowiadał im, sam częstokroć nie wiedząc, co i jak trzeba zrobić, spostrzegał ich ukryte lekceważenie i prawie zawsze widział, że robią nie tak, jak rozkazał, a inaczej i lepiej. W tem wszystkiem wyczuwał rękę ojca chrzestnego i rozumiał, że stary usiłuje skrępować go dlatego, żeby skierować go na swoją drogę. Jednocześnie zaś przekonywał się, że nie jest panem swego interesu, lecz tylko składową jego częścią i do tego nic nie znaczącą częścią. To drażniło go i jeszcze bardziej odpychało od starca i silniej podsycało pragnienie wycofania się z interesu, chociażby za cenę ruiny majątkowej. Z wściekłości trwonił pieniądze po restauracjach i przeróżnych jaskiniach, lecz to trwało niedługo — Jakób Tarasowicz pozamykał w bankach bieżące rachunki, wybrawszy wszystkie depozyty. Niebawem spostrzegł Tomasz, że i na weksle nie pożyczają mu tak chętnie, jak z początku. To zadrasnęło jego ambicję, a do reszty zgnębiła go i przestraszyła wiadomość, że ojciec chrzestny puścił w świecie handlowym pogłoskę, jakoby on, Tomasz, dostał obłąkania, i że prawdopodobnie trzeba będzie utworzyć nad nim opiekę. Granic władzy ojca chrzestnego Tomasz nie znał i nie miał odwagi poradzić się kogokolwiek w tym względzie: był przekonany, że starzec w świecie handlowym jest — potęgą i że może zrobić wszystko, co zechce. Czując rękę Majakina na sobie, doznawał z początku lęku, ale potem pogodził się z tem, machnął na wszystko ręką i w dalszym ciągu pędził swe pijackie życie bez troski; bawiło go tylko jedno — ludzie. Z dniem każdym przekonywał się coraz bardziej, że są bezmyślniejsi i pod każdym względem gorsi od niego, że nie są panami życia, lecz jego niewolnikami, i że ono kieruje nimi, jak chce, nagina i łamie, jak mu się podoba, a oni poddają mu się bez szemrania i nikt z nich nie pragnie wolności dla siebie. A on jej pragnął gorąco i dlatego dumnie wynosił się

ponad swych przygodnych towarzyszów i nie chciał widzieć w nich nic, prócz złego...

Zdarzało się często, że Tomasz zaczynał nagle mówić coś takiego, co jemu samemu wydawało się zbyt śmiałem i co jednocześnie podnosiło go we własnych oczach. Były to jakieś niespodziane, śmiałe myśli i słowa, które nagle wybuchały, jak iskry — chwilowe wrażenie jakgdyby wykrzesywało je z mózgu Tomasza. I sam to spostrzegał niejednokrotnie, iż to, co był obmyślał, wypowiada zwykle gorzej i mętniej, niż to, co odrazu i nagle zapalało się w jego sercu i wybuchało.

Szedł tak przez życie, jakgdyby brnął przez bagno, które go lada chwila mogło pochłonąć, a ojciec chrzestny— wił się jak piskorz na suchutkiej i twardej wysepce i bystrym wzrokiem śledził go z oddali.

Po kłótni z Tomaszem, Majakin wrócił do siebie posępny i zamyślony. Wyprostowany był, jak mocno napięta struna, a oczki jego paliły się suchym blaskiem. Zmarszczki zarysowały się chorobliwie, twarz jakby jeszcze więcej skurczyła się, zmalała i pociemniała; Luba, ujrzawszy go, pomyślała, że musi być poważnie chory, tylko panuje nad sobą i krzepi się. Stary w milczeniu biegał nerwowo po pokoju, na pytania córki rzucał krótkie wyrazy, wreszcie krzyknął na nią:

— Dajże mi spokój! Widzisz — że jestem zajęty czem innem.

Zobaczywszy, że bystre i przenikliwe oczy ojca patrzały teraz zamglone i smutne, Luba poczuła litość w sercu i postanowiła zbadać, co mu dolega. Kiedy siadł do obiadu, podeszła nagle do niego, położyła rękę na jego ramieniu i, zaglądając mu w twarz, zapytała pieszczotliwie:

— Tatku! Czy tatko niezdrów — proszę powiedzieć!

Pieszczoty córki zdarzały się rzadko i zawsze rozbrajały samotnego starca, chociaż nigdy nie odwzajemniał się za nie, cenił je jednak bardzo. I teraz, ruchem ramion uwolniwszy się od jej rąk, odrzekł:

— Idź, idź na swoje miejsce... Już cię widzę, pali ciekawość babska...

Ale Luba nie odeszła; zaglądając mu natrętnie w oczy, z urazą w głosie zapytała...

— Dlaczego zawsze, ojcze, mówisz ze mną w ten sposób... jakbym była mała albo bardzo głupia?

— Dlatego, żeś duża, a niezbyt rozumna... Ta-ak! Masz oto cały powód! Idź, siadaj i jedz...

Luba odeszła i usiadła w milczeniu naprzeciw ojca, zaciąwszy nadąsane usta. Majakin wbrew zwyczajowi jadł powoli, długo mieszał łyżką barszcz i przyglądał mu się uporczywie.

— O, gdyby twój zaśmiecony umysł mógł zrozumieć ojcowskie myśli! — powiedział nagle z westchnieniem, podobnem do świstu.

Luba odłożyła łyżkę i prawie ze łzami w głosie przemówiła:

— Poco mnie tatko obraża? Przecież tatko widzi — jestem samotna! zawsze samotna! Chyba ojciec rozumie, jak mi ciężko żyć... a nigdy nie powie do mnie życzliwego słowa... Nigdy nic! I ojciec przecież samotny... i ojcu ciężko... Widzę to... Ojcu bardzo ciężko żyć... ale — ojciec sam winien temu! Sam...

— Masz ci, przemówiła oślica Balaamowa! — odezwał się z uśmiechem stary. — Ho-ho! Cóż dalej?

— Ojciec jest zbyt dumny ze swego rozumu...

— A co jeszcze?

— To niedobrze... i bardzo mnie boli... czemu ojciec mnie odtrąca? Przecież nie mam nikogo prócz ojca...

Łzy cisnęły się do jej oczu: ojciec to zauważył i twarz mu zadrżała.

— Gdybyś ty nie była dziewczyną! — zawołał. — Gdybyś ty miała rozum... ach, Lubo! Wtedy plunąłbym na wszystkich... na Tomka... Daj spokój, nie becz!

Wytarła oczy i zapytała:

— Cóż Tomek?

— Buntuje się... Cha-cha! Weźcie ode mnie, powiada, cały majątek, dajcie mi swobodę... Szuka ratunku po szynkach... Oto, co nasz Tomek zamyśla...

— Cóż... takiego?... — niepewnym głosem zapytała Lu-

ba. Chciała powiedzieć, że pragnienie Tomasza jest dobre i szlachetne, jeżeli tylko na serjo tego pragnie; ale obawiała się rozgniewać ojca swojego słowami, i jeno patrzyła nań pytającym wzrokiem.

— Cóż takiego? — zapalając się i drżąc, przemówił Majakin. — To u niego albo z przepicia się, albo też — co nie daj Boże! — po matce... sekciarce... I jeżeli to matczyne nasienie zacznie w nim kiełkować — wielką będę miał z nim biedę! Ciężka walka gotuje się między nami... On— wystąpił przeciwko mnie... wielką zuchwałość ujawnił odrazu... Młody... niema w nim jeszcze chytrości... Przepiję, powiada, wszystko puszczę z dymem... Ja ci przepiję!

Majakin podniósł nad głową rękę i, ścisnąwszy pięść, pogroził nią gniewnie.

— Jak śmiesz? Kto stworzył cały interes, kto go postawił na nogi? Czy ty? Ojciec twój... Włożył w to czterdzieści lat pracy, a ty chcesz to zburzyć? Wszyscy my powinniśmy to ławą, jak jeden człowiek, to w pojedynkę, ostrożnie, gęsiego, jeden za drugim, iść do jedynego celu... My, kupcy, przez całe wieki dźwigaliśmy Rosję na swych barkach i teraz dźwigamy... Piotr Wielki był mądry car... umiał nas ocenić... Jak on nas popierał? Drukował książeczki specjalne, żeby zapoznać nas z handlem... Oto mam książkę Polidora Wirgiljusza Urbińskiego, wydrukowaną z jego rozkazu o różnych wynalazcach... w 720 roku wydrukowana... tak! To trzeba zrozumieć... A on zrozumiał... i otworzył nam drogę... A teraz — my stoimy na własnych nogach... czujemy swoje stanowisko. Wolności nam trzeba! Myśmy zakładali fundament życia — sami kładliśmy się w ziemię zamiast cegieł... teraz zaś musimy budować piętra... dajcie nam jeno swobodę działania! Oto jaką drogą pójść powinien człowiek naszego stanu... Oto gdzie nasze zadanie... A Tomek tego nie rozumie... A rozumieć przecie powinien i — pchać nasze dzieło dalej... Ma fundusz ojca... Ja zdechnę — i mój zabierze: tylko pracuj, szczeniaku! A on głupstwa jakieś plecie. Nie, poczekaj! Ja cię nauczę rozumu!

Podniecenie tamowało mu dech; patrzył na córkę pa-

łającemi oczyma tak gniewnie, jakby na jej miejscu siedział Tomasz. Lubę przestraszało to podniecenie, ale nie miała odwagi pohamować ojca, więc w milczeniu patrzyła na jego ponurą i surową twarz.

— Ojcowie utorowali drogę — po niej powinieneś kroczyć. Pięćdziesiąt lat pracowałem — poco? Żeby pracę moją inni dokończyli po mnie... moje dzieci... Dzieci moje! Gdzież są moje dzieci?

Starzec smutnie zwiesił głowę i głosem złamanym i głuchym, jakby wydobywającym się gdzieś z głębi, ciągnął dalej:

— Jeden — „katorżnik"... stracony... drugi — pijak i mała w nim nadzieja... Córka... Komuż przed śmiercią oddam swoją pracę?... Gdybym miał zięcia... Sądziłem — wyszumi się, ustatkuje Tomek, — wydam cię za niego i razem z tobą wszystko — masz! Ale Tomek nic nie wart... A natomiast innego — nie widzę! Jacy teraz ludzie! Dawniej naród był żelazny, a teraz — jak ta guma... Gnie się każdy i w nikim niema najmniejszej mocy... Co to? Dlaczego?

Majakin patrzył z trwogą na córkę, ona zaś milczała.

— Powiedz, — pytał ją — czego ty chcesz? Jak, według twojego zdania, powinno się żyć? Czego się domagasz? Uczyłaś się, czytałaś — czego ci potrzeba?

Na głowę Luby posypały się niespodziewane pytania i oszołomiły ją. Była i zadowolona z tego, że ojciec pyta ją o to, i bała się mu odpowiedzieć, żeby nie stracić w jego oczach. I oto, skurczywszy się jakoś cała, jakgdyby zamierzała przeskoczyć przez stół, rzekła z niepewnością i drżeniem w głosie:

— Żeby wszyscy byli szczęśliwi... i zadowoleni... wszyscy ludzie — równi... i wszyscy posiadali jednakowe do życia prawa... do dóbr życiowych... potrzebna jest wszystkim swoboda... tak jak powietrze... i równość — we wszystkiem!

Słuchając zrazu wzruszonej jej mowy, ojciec patrzył w jej twarz z trwożnem zaciekawieniem w oczach, ale w miarę tego, jak rzucała mu pośpiesznie swe słowa, wyraz

jego oczu stopniowo się zmieniał, aż wreszcie rzekł ze spokojną pogardą:

— Tego się spodziewałem: jesteś pozłacany bałwan!

Pochyliła głowę, ale wnet ją podniosła i ze smutkiem zawołała:

— Wszak ojciec sam mówi: swoboda...

— Milcz już lepiej! — krzyknął na nią stary. — Nawet i tego nie widzisz, co z każdego człowieka tak jawnie wyłazi nazewnątrz... W jaki sposób mogą być wszyscy szczęśliwi i równi, kiedy każdy chce się wywyższyć nad innym? Nawet żebrak posiada własną duszę i zawsze czemśkolwiek chwali się przed innymi... Małe dziecko — i to chce być pierwszem śród towarzyszy... Człowiek człowiekowi nigdy nie ustąpi — tylko głupcy tak myślą... Każdy — ma własną duszę... i oblicze własne... tylko tego, kto nie kocha swej duszy i nie dba o swoje oblicze, można ociosać na jedną modłę... Ach ty!.. Naczytałaś się, nażarłaś się śmiecia...

Gorzki wyrzut i zjadliwa pogarda malowały się na twarzy starca. Z chałasem odsunął fotel od stołu, zerwał się z niego i, założywszy ręce wtył jął drobnemi krokami biegać po pokoju, potrząsając głową i mówiąc coś do siebie złym, świszczącym szeptem... Luba, blada ze wzruszenia i urazy, zgnębiona poczuciem swej głupoty i niemocy wobez ojca, przysłuchiwała się jego szeptowi, a serce jej biło niespokojnie.

— Sam pozostałem... sam... jak Hiob... O Boże! Co pocznę? O... sam! Czym nie rozumny? Czym nie przebiegły? A i mnie życie zawiodło i oszukało... kogóż ono lubi? Dla kogo łaskawe? I dobrych bije i złych nie oszczędza... Nikt nie zrozumie jego sprawiedliwości...

Śledząc go pałającemi oczyma, odezwała się nagle cichutko:

— Tatku... drogi! Proszę się nie martwić... wszak Taras żyje... może on...

Majakin nagle stanął jak wryty, i podniósł zwolna głowę.

— Drzewo, które skrzywiło się, nie wytrzymało za

młodu, — tem łatwiej ulegnie złamaniu na starość... Ale w każdym razie... obecnie i Taras jest dla mnie słomką... Chociaż wątpię, czy jest więcej wart od Tomasza... Gordiejew ma przynajmniej charakter... odwagę ojcowską posiada... On wiele może dźwignąć na sobie... A Taras... toś w sam czas o nim przypomniała... ta-a-k!

Starzec, przed chwilą złamany, skarżący się i miotający w rozpaczy po pokoju, jak mysz w pułapce, teraz znów podszedł spokojnie i stanowczo do stołu, ustawił starannie przy nim swój fotel i usiadłszy, rzekł:

— Trzeba będzie dowiedzieć się o nim... mieszka w Usolju, jest w jakiejś fabryce... Od kupców słyszałem — że tam sodę, czy coś wyrabiają... Dowiem się szczegółowo... Napiszę...

— Niech tatko pozwoli, żebym ja napisała do niego? — drżąc i rumieniąc się z radości, poprosiła cicho Luba.

— Ty? — zapytał Majakin, rzucając na nią przelotne spojrzenie, a po chwili milczenia i namysłu rzekł:

— Dobrze! To może nawet... lepiej. Napisz... Zapytaj — czy się nie ożenił? jak mu się powodzi? Co zamierza robić? Zresztą, jak przyjdzie czas, powiem ci, co masz napisać...

— Byle, tatku, prędzej!... — wtrąciła dziewczyna.

— Prędzej to należałoby wydać cię zamąż... Mam ja tu jednego na oku, rudego... chłopak, niby wcale nie głupi!.. Zagranicznego pokroju, mówiąc między nami...

— Czy może Smolin? — zapytała Luba z trwogą i zaciekawieniem.

— A gdyby i on... cóż z tego? — pytał badawczo Jakób Tarasowicz.

— Nic... Nie znam go... — odparła wymijająco Luba.

— Poznasz... Czas, Lubo, czas! Na Tomka słaba nadzieja... chociaż ja od niego nie odstąpię...

— Na Tomasza nie liczyłam... Cóż on dla mnie?

— Szkoda... Gdybyś była rozumniejsza — możeby nie zmarniał!.. Kiedy patrzyłem na was oboje, to myślałem: zwabi sobie dziewczyna chłopaka! Dobry będzie interes! Ale — zawiodłem się... myślałem, że własne dobro potra-

łisz zrozumieć bez mojej rady... Tak, dziewczyno! — zakończył pouczająco.

Luba, słuchając mowy ojca, zamyśliła się. Zdrowa i silna, coraz częściej myślała w ostatnich czasach o zamążpójściu, ponieważ nie widziała innego wyjścia ze swojej samotności. Dawno już zaniechała była myśli o opuszczeniu domu ojcowskiego i wyruszeniu w świat, żeby się czegoś nauczyć i pracować, tak samo jak zaniechała wielu innych pragnień niemniej gorących, choć nieglębokich i nieokreślonych. Przeróżne książki, które przeczytała, pozostawiły w jej umyśle jakiś mętny osad. Osad ten rozwinął w niej uczucie niezadowolenia ze swego życia, dążenie do osobistej niezależności, pragnienie uwolnienia się od krępującej opieki ojca — ale nie miała ani sił do urzeczywistnienia tych pragnień, ani wyraźnego wyobrażenia, jak je urzeczywistnić. A natura robiła swoje, i dziewczyna nieraz na widok młodych matek z dziećmi na rękach doznawała przykrego uczucia krzywdy i tęsknoty. Czasami zatrzymywała się przed lustrem, przyglądała się w niem swej pełnej, świeżej twarzy z ciemnemi obwódkami dookoła oczu i litowała się nad sobą: czuła, że życie ją omija, pozostawia ją gdzieś na uboczu. Teraz słuchając mowy ojca, wyobrażała sobie jaki może być ten Smolin? Widywała go, gdy był jeszcze gimnazjastą; twarz miał wtedy całą w piegach, z zadartym nosem, był zawsze czyściutki, poważny i nudny. Tańczył niezgrabnie, mówił nieciekawie... Od tej pory upłynęło wiele czasu: bawił zagranicą, uczył się tam czegoś, — jakiż on teraz? Od Smolina przeskoczyła myślą do brata i pomyślała z niepokojem, czy też on odpowie na jej list? Jaki on? Postać brata, jak go sobie wyobrażała, zasłoniła przed nią i ojca i Smolina, i obiecywała już sobie. że do czasu spotkania się z Tarasem za nic nie zgodzi się wyjść zamąż, kiedy nagle odezwał się do niej ojciec:

— Hej, Lubo! Cóżeś się tak zamyśliła? O czem?

— Tak sobie... wszystko szybko przemija... — z uśmiechem odparła Luba.

— Co szybko?

— A wszystko... Przed tygodniem nie wolno było rozmawiać z ojcem o Tarasie, a teraz oto...

— Mus, dziewczyno! Mus — to potęga, która i stalowy pręt skręci, jak sprężynę... a stal jest nieugięta.·. Taras... zobaczymy! Człowiek wart jest o tyle, o ile potrafi stawić czoło przeciwnościom życiowym... jeżeli nie one nim lecz on niemi kieruje na swój sposób — to kłaniam się uniżenie! Pozwól uścisnąć swą dłoń i pracujmy razem... A-ach, stary jestem... a życie teraz piorunem leci! Z każdym rokiem coraz więcej zajmujące, coraz bardziej nęci! Chciałbym tak żyć wciąż, bez końca, i wciąż działać!...

Stary cmokał ustami, pocierał ręce, a oczki jego połyskiwały chciwie.

— A ot, wy wodę macie w żyłach, nie krew! Nie zdążyliście jeszcze wyrosnąć, a już jesteście przeżyci i zbutwiali, jak stara rzodkiew... I chociaż życie posiada coraz więcej uroku, — dla was jest ono niedostępne... Sześćdziesiąt siedem lat żyję na tej ziemi i oto stoję już nad grobem, ale widzę: niegdyś, za młodu, mniej było kwiatów na ziemi, i kwiaty były nie tak piękne... Wszystko pięknieje! Co za gmachy stanęły! Jakie przeróżne narzędzia handlowe... Parostatki! A we wszystkiem — bezmiar rozumu! Patrzysz i myślisz: oj ludzie, jakie zuchy! Sprytnie urządziliście sobie życie... Wszystko dobrze, wszystko miło, tylko wy, nasi następcy — nie macie żadnego czucia! Bylejaki szarlatan, i ten jest od was śmielszy... Oto masz Jeżowa — cóż on takiego? A wyobraża sobie, że jest waszym sędzią... a nawet sędzią całego życia... ten ma odwagę... A wy... tfu! Żyjecie, jak nędzarze... w radości jesteście — bydłem, a w nieszczęściu — gnojem! Niedołęgi... wartoby wam w żyły ognia nalać... skórę z was zedrzeć i solą żywe ciało posypać — dopierobyście skakali!

Jakób Tarasowicz, malutki, pomarszczony i kościsty, ze szczątkami sczerniałych zębów w ustach, łysy i ciemny, jakby spalony skwarem życia, drżał cały z zapału i podniecenia, obsypując pogardliwemi słowami swą młodą, wysoką i dorodną córkę. Ona patrzyła nań oczyma winowajcy,

uśmiechała się z zakłopotaniem i w sercu jej wciąż rósł szacunek dla tego starca, który miał w sobie jeszcze tyle sił żywotnych.

---

A Tomasz błąkał się wciąż i dokazywał, spędzając dnie i noce w resturacjach i jaskiniach, utrwalając w sobie coraz większą pogardę i nienawiść do otaczających go ludzi. Czasami ogarniało go nagłe pragnienie spotkania na swej drodze mądrego i śmiałego człowieka, któryby go skarcił i powstrzymał silnem słowem. Pragnienie to stawało się coraz silniejsze i wyraźniejsze dla niego — a było ono jakby wołaniem o pomoc człowieka, który poczuł, że się zaplątał i ginie...

— Bracia! — krzyknął pewnego razu napół pijany siedząc przy stole w restauracji, w otoczeniu jakichś ciemnych i żarłocznych postaci, które tak wiele jadły i piły, jakgdyby przedtem w ciągu długich dni nie miały nic w ustach. — Bracia! Nudzę się z wami! Zbijcie mnie... wypędźcie!.. Podli jesteście... bo pomiędzy sobą bliżsi jesteście, niż ze mną... Dlaczego? Przecież i ja jestem też pijakiem i podlecem... a jednak — obcy wam jestem! Widzę — że obcy... Ze mną pijecie, a za mojemi plecami plujecie na mnie... ja to czuję! Za co?

Być może, niejeden z nich w głębi duszy nie uważał się za niższego lub gorszego od niego: ale on był bogaty, — i to właśnie przeszkadzało im traktować go po koleżeńsku, a nadto krępowało ich i to, że wciąż smagał ich jakiemiś ironiczno-gniewnemi, drwiącemi wyrzutami. Następnie — był silny i skory do bójek, — nie śmieli ani słówka pisnąć przeciw niemu. A on pragnął tego właśnie i pragnął coraz bardziej, żeby ktoś z pomiędzy nich, pogardzonych przezeń, stanął przeciwko niemu oko w oko i powiedział mu coś takiego, coby go, jak dźwignią, odrzuciło wbok z tej pochyłej drogi, której niebezpieczeństwo czuł i po której staczał się ze wstrętem i obrzydzeniem...

Wreszcie pragnienie Tomasza zostało zaspokojone.

Pewnego razu rozdrażniony tem, że nie zwracano nań uwagi, krzyknął na swoich spółbiesiadników:

— Hej, pluskwy! Milczeć!... Kto was poi, karmi? Czyście zapomnieli? Ja was nauczę porządku! Nauczę szanować mnie! Aresztanci! Ja mówię — więc cyt wszyscy!

Wszyscy rzeczywiście zamilkli, zapewne z obawy utracenia jego łaski, albo poprostu ze strachu, że to silne i zdrowe zwierze pobije ich. Siedzieli chwilę w milczeniu, tając w sobie złość przeciwko niemu, pochyleni nad talerzami, i usiłując ukryć przed nim swój strach i pomieszanie. Tomasz zmierzył ich dumnem okiem i, zadowolony z nich niewolniczej pokory, rzekł chełpliwie:

— Aha! Przycichliście... tak właśnie! U mnie — subordynacja! Ja...

— Kiep! — rozległ się czyjś donośny i spokojny głos.

— Co-o? — ryknął Tomasz, zeskakując z krzesła. — Kto to mówi?

W końcu stołu podniósł się wtedy jakiś dziwny, sterany człowiek, wysoki, w długim surducie, ze stogiem szpakowatych włosów na ogromnej głowie. Włosy miał gęste i szorstkie, sterczące kosmykami we wszystkie strony, a twarz żółtą, ogoloną, z dużym garbatym nosem. Tomaszowi wydał się podobny do wiechcia, którym myją pokład na statku, i to porównanie rozweseliło go.

— Do-bryś! — rzekł z uśmiechem. — Poco łajesz, hę? Czy wiesz, z kim masz do czynienia?

Człowiek tragicznym ruchem aktora wyciągnął w kierunku Tomasza rękę z długiemi, jak u kuglarza, palcami, i przemówił ochrypłym basem:

— Tyś, zgniłku, bolączką swojego ojca, który, aczkolwiek był łupieżcą — w porównaniu jednak z tobą był zacnym człowiekiem...

Na te słowa gniew zatamował Tomaszowi oddech w piersi; dziko patrzył wytrzeszczonemi oczyma i milczał, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to zuchwałe wystąpienie. A człowiek, stojący naprzeciw niego, grzmiał chrapliwym i podniesionym głosem, wytrzeszczając swe duże, wyblakłe i zapuchnięte oczy.

— Wymagasz od nas szacunku dla siebie — durniu! — Czem zasłużyłeś na szacunek? Kim jesteś? Pijakiem trwoniącym fundusze ojca... Powinieneś być raczej dumnym z tego, że ja, znakomity artysta, bezinteresowny i wierny sługa sztuki, chcę pić z tobą z jednej butelki!

— Ach ty, ar-r-resztancie! — zaryczał Tomasz, rzucając się na artystę. Ale go złapano i przytrzymano. Szamocząc się w objęciach trzymających go ludzi, zmuszony był słuchać cierpliwie, jak człowiek, podobny do wiechcia, gromił go grubym i ochrypłym głosem.

— Rzuciłeś ludziom parę groszy z ukradzionego rubla i mniemasz, żeś bohater! A tymczasem jesteś podwójny złodziej: ukradłeś bowiem rubla, a teraz kradniesz naszą wdzięczność za swe parę groszy!... Ale ja ci jej nie dam! Ja, który całe swe życie poświęciłem tępieniu przywar ludzkich, staję przed tobą i mówię śmiało: dureń jesteś i nędzarz, ponieważ zanadtoś bogaty! Wielka to prawda: wszyscy bogacze są nędzarzami... Wiedzcież teraz, jak znakomity kuplecista Rzymski-Kanibalski służył prawdzie!

Tomasz stał już spokojnie śród ludzi, którzy obstąpili go zwartem kołem, i słuchał chciwie piorunującej mowy aktora. Doznawał w tej chwili takiego wrażenia, jakgdyby łechtano go w bolące miejsce i uśmierzano w ten sposób ostry ból. Publiczność burzyła się: jedni usiłowali powstrzymać potok krasomówstwa aktora, drudzy chcieli wyprowadzić z pokoju Tomasza. On odtrącał ich w milczeniu, słuchał i coraz bardziej zdawał się być pochłonięty piekącą rozkoszą upokorzenia, którego doznał wobec tych ludzi. A aktor grzmiał dalej, ośmielony bezkarnością swego wystąpienia.

— Sądzisz, że jesteś władcą życia? Tyś — nędzny niewolnik rubla....

Ktoś z publiczności czkał głośno i prawdopodobnie, niezadowolony z siebie z tego powodu, przy każdej czkawce klął:

— O, do d-djabła...

Jakiś znów grubas o okrągłej, jak księżyc, twarzy, litu-

jąc się nad Tomaszem, czy też znudzony tą sceną, wymachiwał rękami, wołając żałośnie:

— Pa-a-nowie! Da-ajcie spokój! Co robicie! Wszak wszyscy jesteśmy grzeszni! Stanowczo wszyscy... wierzajcie mi!

— Mów dalej! — mruczał Tomasz. — Mów wszystko! Ja cię nie ruszę...

Lustra na ścianach odbijały tę pijaną rzeszę, a odbici w nich ludzie wydawali się bardziej obrzydliwi i szpetni, niż byli w rzeczywistości...

— Nie chcę mówić! — krzyknął aktor, — nie chcę pereł prawdy i świętego oburzenia miotać przed tobą...

Zerwał się i podniósłszy wspaniale głowę do góry, skierował się tragicznemi krokami ku drzwiom.

— Kłamiesz! — ryknął Tomasz, wyrywając się za nim. — Czekaj! Wyprowadziłeś mnie z równowagi, — więc mnie uspokój teraz.

Schwytano go, otoczono i coś mu krzyczano, a on wyrywał się, przewracając wszystkich. Kiedy na swej drodze spotykał namacalne przeszkody — walka z niemi uspakajała go, skupiając wszystkie jego uczucia w jedno dążenie — obalenia tego, co mu przeszkadza. I teraz, rozepchnąwszy wszystkich i wydostawszy się na ulicę, był już mniej podniecony. Stojąc na chodniku, rozglądał się po ulicy i ze wstydem myślał:

„Jak mogłem pozwolić temu oberwańcowi drwić ze mnie i od złodziei wymyślać mojemu ojcu"?

Dokoła było ciemno i cicho; księżyc świecił jasno i wiał łagodny, orzeźwiający wiatr. Nadstawiwszy twarz pod ochładzające jego tchnienie, Tomasz ruszył szybkiemi krokami przeciw wiatrowi, oglądając się z obawą, aby ktokolwiek z karczemnej kompanji nie poszedł za nim: rozumiał, że został poniżony w oczach tych ludzi. Szedł i myślał z goryczą o tem, że oto doczekał się, iż jakiś wywłoka zwymyślał go publicznie haniebnemi słowy, a on, syn znanego kupca, nie mógł niczem odpłacić mu za obrazę.

„To mi się należało! — pomyślał Tomasz z goryczą. — Zasłużyłem na to! A nie trzeba ci było leźć w błoto...

I znowuż — sam chciałeś... sam wszystkich zaczepiałeś... Więc — masz!" I uczuł nagle — litość dla siebie samego. Całkiem już wytrzeźwiony, szedł gdzieś ulicami i wciąż szukał w sobie jakiegoś punktu oparcia... Ale wszystko chybotało się w nim niespokojnie i tłoczyło, tworząc chaos, z którego nie wyłaniała się żadna określona myśl... Niby w ciężkim śnie pogrążony doszedł do rzeki, usiadł na deskach złożonych na brzegu i jął patrzeć na spokojną, ciemną, drobnemi falami okrytą wodę. Spokojnie i prawie bez szmeru płynęła szeroka, potężna rzeka, niosąc w swej piersi ogromne ciężary. Kołysały się na niej szeregi czarnych statków, a ognie sygnałowe i gwiazdy odbijały się w wodzie; małe lekkie fale łagodnie i z cichym szelestem wbiegały na brzeg prosto pod nogi Tomasza... Z nieba spływał jakiś smutek; uczucie osamotnienia dręczyło Tomasza...

„Chryste Panie! — myślał, patrząc z rozpaczą w niebo... — Jak mi się nie wiedzie! Nic we mnie niema... niczem mnie Bóg nie obdarzył... Naco ja komu jestem potrzebny?

„Inni ludzie też nic nie rozumieją, ale myślą przynajmniej, że wszystko wiedzą i dlatego lżej im jest, lżej żyć... A ja — nic nie mam na swe usprawiedliwienie... Noc oto... a ja sam jeden i nie mam dokąd iść... Nikomu nic nie mam do powiedzenia... nikogo nie kocham... Mam jedynego ojca chrzestnego, ale ten bez duszy... myśli, że niema na świecie lepszego i mądrzejszego od niego... i Ty, Boże, to znosisz... A ja... Gdyby chociaż jakie nieszczęście mnie spotkało... żebym tak zachorował... Ale zdrów jestem... mocny jak żelazo... Piję, hulam... tarzam się w błocie... a ciało nawet nie rdzewieje, tylko dusza boli... O Panie! Naco mi takie życie?"

W skołatanej głowie biednego samotnika rodziły się jedna za drugą nieśmiałe, protestujące myśli, a cisza dokoła niego stawała się coraz większa i noc ciemniejsza. Niedaleko od brzegu kołysała się na kotwicy mała łódka i coś skrzypiało na niej żałośnie...

„Jak mam się wyzwolić od takiego życia? — rozmyślał Tomasz, patrząc na łódkę. — Co począć, co robić? Wszyscy pracują..."

I nagle uderzyła go myśl, która wydała mu się bardzo ważna:

„Ciężka praca tańsza jest od pracy lekkiej! Jeden za marnego rubla wkłada w pracę wszystkie swe siły, a drugi — kiwnięciem jednego palca zdobywa tysiące...“

Myśl ta podnieciła go: zdawało mu się, że oto odnalazł w życiu ludzkiem jeszcze jeden fałsz, który ludzie starannie ukrywają... Przypomniał sobie jednego ze swych palaczy — starego Eljasza, który za dwadzieścia groszy wyręczał kolegę w pilnowaniu paleniska i pracował zamiast niego przez osiem godzin w dusznem i gorącem powietrzu. Pewnego razu zachorował z przepracowania i leżał na pokładzie, a gdy Tomasz zapytał go, dlaczego zabija się pracą, odparł z niechęcią:

— A dlatego, że dla mnie każdy grosz stanowi więcej, niż dla pana sto rubli... oto dlaczego!..

I rzekłszy to, stary z trudem odwrócił się plecami do Tomasza.

Zatrzymawszy się na palaczu, myśl Tomasza nagle i bez wysiłku ogarnęła wszystkich tych maluczkich ludzi, którzy uginają się pod brzemieniem ciężkiej pracy. — Dziwna rzecz — po co oni żyją? Jakie zadowolenie daje im to życie? Wciąż tylko są zajęci swą brudną, ciężką pracą, jedzą źle, ubierają się nędznie, upijają się. Niektórzy mają po lat sześćdziesiąt, a wciąż pracują narówni z młodymi... I wszyscy oni wydali się Tomaszowi wielką kupą robactwa, które roi się na ziemi poto tylko, aby się najeść... W jego pamięci odżywały pokolei zetknięcia się z tymi ludźmi, ich zdania o życiu — to drwiące i smutne, to beznadziejne i ponure, — ich żałosne pieśni... I przypomniał sobie, jak razu pewnego w kantorze mówił Jefim do pisarza, najmującego majtków:

— Przyszli łopuchowscy chłopi prosić o robotę, pamiętaj, więcej nad dziesięć rubli na miesiąc im nie dawaj. Docna latoś pożar ich zniszczył i wielka u nich teraz nędza — zgodzą się i na dziesięć...

Siedząc na deskach, Tomasz kołysał się całem ciałem, a z mroku, wiszącego nad rzeką, ciągnęły ku niemu w mil-

czeniu przeróżne postacie ludzkie—majtkowie, palacze, subjekci, kelnerzy z restauracji, napół pijane, umalowane kobiety. Przeciągali przed nim w powietrzu, jak cienie, wiało od nich jakąś słonawą wilgocią, ciemna i zbita ich gromada toczyła się zwolna i cicho, jak jesienne obłoki na niebie. Cichy plusk fal napełniał duszę beznadziejnym smutkiem. Gdzieś daleko, na drugim brzegu rzeki paliło się ognisko; otoczone ze wszystkich stron ciemnością, która je chwilami zupełnie pochłaniała, migotało w mroku ledwie dostrzegalną dla oka czerwonawą plamą. Lecz oto na nowo buchnął ogień — ciemności rozstąpiły się przed niem, i widać było, jak płomień rwie się w górę. A potem przygasał znowu...

„Boże, Boże! — ze smutkiem i goryczą myślał Tomasz, czując, jak tęsknota coraz silniej ściska go za serce. — I ja też... taki sam samotny, jak ten ogień... Z tą tylko różnicą, że nie rozsiewam wokoło światła, lecz tylko swąd i czad... Gdybym chociaż spotkał rozumnego człowieka... Gdyby porozmawiać z kimkolwiek... Nie potrafię żyć sam jeden... Ja nic nie mogę... Gdybym spotkał człowieka...?"

Zdala na rzece ukazały się dwa duże purpurowe ognie, a nad niemi wysoko — trzeci. Coś tam głucho huczało, coś czarnego posuwało się ku Tomaszowi...

„Parostatek idzie z dołu... — pomyślał. — Na nim zapewne niejedna setka ludzi... a ja nikogo z nich nie obchodzę... Wszyscy wiedzą, dokąd płyną... Każdy siebie pilnuje. Każdy na pewno wie, czego chce... a ja? I kto mi powie? Gdzie znajdę takiego człowieka?"

Minęło jeszcze dni kilka od tej ciężkiej nocy i Tomasz znowi zahulał. Stało się to niespodziewanie, wbrew jego życzeniom. Postanowił był powstrzymać się od pijaństwa i dlatego poszedł na obiad do jednego z drogich hoteli, spodziewając się, że nie spotka tam nikogo ze znajomych spółbiesiadników, którzy zwykle wybierali dla hulatyki miejsca tańsze i mniej przyzwoite. Ale omyliła go rachuba: odrazu wpadł w przyjacielskie objęcia owego kupczyka, który wziął był do siebie na utrzymanie Saszę.

Pobiegł do Tomasza, uściskał go i roześmiał się wesoło:

— A to dopiero spotkanie! A ja objadam się tu już trzeci dzień i nudzę się straszliwie... W całem mieście niema ani jednego porządnego człowieka, tak, iż wczoraj musiałem zapoznać się nawet z dziennikarzami... Niczego sobie, ludzie weseli... chociaż udawali z początku arystokratów i wciąż mnie traktowali zgóry, ale potem popili się wszyscy nazabój... Dzisiaj to samo będzie — klnę się na kapitały mego ojca! Zapoznam was z nimi... Jest tu zwłaszcza jeden feljetonista, wiecie — ten, co to was wówczas tak ubrał... jak go tam? Bardzo wesoły chłopak! Żeby to można było takiego wynająć na własny użytek?! Dać mu tam cośniecoś i niech rozwesela! Co, pyszne? Trzymałem pierwej takiego kuplecistę — no, i wiecie, wcale wesoło było z nim... Bywało, zakomenderuję: „Rymskij, syp kuplety!" — wnet zaczyna, powiadam wam — boki zrywać... Szkoda, uciekł gdzieś... Jesteście już po obiedzie?

— Nie jeszcze... A cóż tam Aleksandra? — zapytał Tomasz, ogłuszony nieco krzykliwą mową tego barczystego chłopa o twarzy czerwonej i w jaskrawem ubraniu.

— No, wiecie, — zmarszczył się ten — ta wasza Aleksandra, to licho wie co! Ponura jakaś... można, do licha ciężkiego, zanudzić się z nią na śmierć! Zimna jak żaba, brr! Nie, dam jej dymisję...

— Zimna — to prawda, — rzekł Tomasz i zamyślił się.

— Każdy człowiek powinien starać się jak najlepiej wykonywać swe obowiązki, — mówił kupczyk pouczającym tonem, — i, jeżeli idziesz do kogoś na utrzymanie, też powinnaś spełniać swój obowiązek jak najlepiej... o ile jesteś porządną kobietą... Cóż napijemy się wódki?

Rozpoczęła się pijatyka.

Wieczorem siedziała już w hotelu liczna i gwarna kompanja, a Tomasz pijany, ale smutny i cichy, przemawiał do niej plączącym się językiem:

— Ja tak rozumiem: jedni — to robaki, drudzy — to wróble... Wróble — to są kupcy... One dziobią robaki... Takie ich przeznaczenie... I one są potrzebne... A ja... i wy wszyscy — do niczego... My żyjemy na świecie licho wie

poco... niema dla nas żadnego usprawiedliwienia... Wcale nie jesteśmy potrzebni... poco? To trzeba zrozumieć... Bracia! My wszyscy — zmarniejemy... jak Bóg miły! A dlaczego zmarniejemy? Dlatego, że... wszystko w nas niepotrzebne, zbyteczne... i w duszy pustka... i całe życie nasze — pustka! Bracia! Widzicie, płaczę... naco ja jestem potrzebny? Na nic!... Zabijcie mnie... żebym umarł... Śmierci pragnę...

I płakał rzęsistemi, pijackiemi łzami. Jakiś również pijany, czarny, niewielkiego wzrostu człeczyna przysiadł się do niego, przypomniał mu coś, podsuwał usta do pocałunków i krzyczał, stukając nożem w stół:

— Prawda! Milczeć! Niech mówi prostota! Dajcie głos słoniom i mamutom życiowego nieładu! Święte słowa wyrzeka prostacze ruskie sumienie! Rycz, Gordiejew! Rycz na wszystko!.. — I znów czepiał się ramion Tomasza i lazł mu na piersi, zbliżając do jego twarzy swą okrągłą, czarną, gładko ostrzyżoną głowę, która tak nieustannie kręciła się na jego ramionach na wszystkie strony, że Tomasz nie mógł dojrzeć jego twarzy; złościł się nań za to i wciąż odtrącał od siebie, krzycząc w rozdrażnieniu:

— Nie leź! Gdzie masz pysk? Idź precz!

Pijany, ogłuszający śmiech rozległ się dokoła nich, a zadyszany kupczyk ryczał do kogoś ochrypłym głosem:

— Chodź do mnie! Sto rubli miesięcznie, stół i mieszkanie! Słowo honoru! Chodź! Słowo honoru! Pluń na gazetę... ja drożej ci zapłacę!

Ocknął się Tomasz w małym pokoiku o dwóch oknach i wzrok jego najpierw zatrzymał się na suchem, stojącem pod oknem drzewie. Gruby jego pień z odartą korą i spróchniałym rdzeniem zasłaniał dostęp światłu do pokoju, pogięte i czarne nagie gałęzie smutnie i bezwładnie rozpostarły się w powietrzu i skrzypiały żałośnie, kołysząc się powoli. Padał deszcz, po szybach spływały strugi wody; słychać było, jak spada ona z dachu na ziemię i chlupie. Do tego żałosnego dźwięku dołączał się drugi, pośpieszny i urywany

dźwięk skrzypiącego po papierze pióra i jakieś urywkowe mruczenie.

Obróciwszy z trudnością chorą i ciężką głowę na poduszce, ujrzał Tomasz małego, czernego mężczyznę, który siedział przy stole, szybko skrobał piórem po papierze, potrząsał okrągłą głową, kręcił nią na wszystkie strony, ściągał ramionami i całem swem drobnem ciałem, ubranem w kalesony i nocną koszulę — kręcił się bezustannie na krześle, jakgdyby nie mógł ani usiedzieć, ani wstać. Lewą ręką, chudą i cienką, to pocierał mocno czoło, to robił w powietrzu jakieś niezrozumiałe znaki; bosemi nogami szurgał po podłodze; na szyi drgała mu żyła, nawet uszy się poruszały. Kiedy zwracał twarz do Tomasza — ten widział cienkie, szepczące coś usta, ostry nos, zwisający nad rzadkiemi wąsikami, które skakały do góry przy każdym jego uśmiechu... Miał żółtą, obrzękłą pomarszczoną twarz i dziwne odbijające od niej czarne, pełne życia, błyszczące oczki.

Zmęczony patrzeniem na niego, jął Tomasz powoli rozglądać się po pokoju. W ściany powbijane były duże gwoździe, a na nich wisiały pęki gazet, skutkiem czego ściany wyglądały, jak spuchnięte. Sufit był wyklejony niegdyś białym papierem, który się powydymał miejscami, popękał i zwisał brudnemi strzępami; na podłodze poniewierały się buty, ubranie, książki, podarte papiery...

Człeczyna rzucił pióro, pochylił się nad stołem, dziarsko zabębnił po nim palcami i zanucił coś cichuteńko, słabiutkim głosikiem.

Tomasz westchnął ciężko i rzekł:

— Czy nie możnaby dostać... wody selcerskiej?

— Aha! — zawołał człeczyna i, zeskoczywszy z krzesła, znalazł się przy szerokiej, obitej ceratą kanapie, na której leżał Tomasz. — Jak się masz kolego! Selcerskiej? I owszem! Z konjakiem czy bez?

— Wolę z konjakiem... — rzekł Tomasz, ściskając wyciągniętą doń suchą i gorącą dłoń i przypatrując się badawczo twarzy małego człowieka.

— Jegorowno! — krzyknął ten w kierunku drzwi

i, zwróciwszy się do Tomasza, zapytał: — Nie poznajesz mnie, Tomaszu Ignatjewiczu?

— Przypominam sobie... coś.. jakbyśmy się spotykali...

— Spotkanie to trwało cztery lata... ale to było dawno! Nazywam się Jeżow...

— Boże! — zawołał Tomasz ze zdziwieniem, podnosząc się na kanapie. — Czyż to ty?

— Tak jest, bracie, chwilami sam temu nie wierzę, a jednak fakt realny jest czemś takiem, od czego wszystkie zwątpienie odbija się, jak piłka gumowa od żelaza...

Twarz Jeżowa wykrzywiła się śmiesznie, a ręce niewiadomo poco zaczęły macać pierś.

— No-o-o! — przeciągnął Tomasz. — Aleś się postarzał! A-jaj-aj! Ile masz lat?

— Trzydzieści...

— A wyglądasz na pięćdziesiąt.. zeschły, żółty... Nie słodko ci, snadź, żyć? I pijesz pewnie...

Żałość ogarnęła Tomasza, gdy ujrzał wesołego i rześkiego kolegę szkolnego tak zniszczonego i zmienionego na tle tej zawalonej papierami nory. Patrzał nań, mrugając smutnie oczyma i widział jak twarz Jeżowa wciąż drga, a oczy płoną rozdrażnieniem. Jeżow odkorkowywał butelkę z wodą i, zajęty tą czynnością, milczał, ściskając butelkę kolanami i napróżno wytężając siły, żeby wyciągnąć z niej korek. I ta jego bezsilność również wzruszyła Tomasza.

— Porządnie wyssało cię życie... A uczyłeś się przecie... Widocznie i nauka niewiele pomaga człowiekowi — mówił zamyślony Gordiejew.

— Pij! — rzekł blady z wysiłku Jeżow, podając mu szklankę. Następnie potarł czoło, usiadł na kanapie przy Tomaszu i przemówił:

— Daj spokój nauce! Nauka to boski napój... tymczasem jednak nie przefermentował jeszcze i nie jest zdatny do użytku, jak wódka nieoczyszczona z niedogonu. Dla uszczęśliwienia człowieka, przyjacielu, nauka jeszcze nie gotowa... a ludzi żywych, którzy jej łakną, przyprawia tylko o ból głowy... takich oto jak my teraz... Cóż to, tak nieostrożnie pijesz?

— Ja?.. A cóż mam robić? — zapytał Tomasz z uśmiechem.

Jeżow spojrzał badawczo na Tomasza przymrużonemi oczyma i rzekł:

— Zestawiając twoje pytanie z tem wszystkiem, coś płótł wczoraj domyślam się że hulasz, przyjacielu, też nie z nadmiaru wesela...

— Ach! — westchnął ciężko Tomasz, powstając z kanapy. — Jakież moje życie? Zupełny... bezsens... Żyję samotny... nic nie rozumiem... a chce się czegoś... chce się plunąć na wszystko i zapaść się gdzieś! Uciec od wszystkiego... Nuda żre!

— To ciekawe! — rzekł Jeżow, zacierając ręce i wciąż się kręcąc na miejscu. — To ciekawe, o ile to jest prawdziwe i głębokie, ponieważ dowodzi, że święty duch niezadowolenia z życia przeniknął już i do kupieckich sypialni, do trupiarni dusz pogrążonych w morzu tłustych barszczów, w jeziorach herbaty i w innych płynach... Wyłóż mi wszystko pokolei... Napiszę może o tem cały romans, bracie...

— Opowiadano mi, żeś już coś o mnie napisał? — zapytał zaciekawiony Tomasz i jeszcze raz przyjrzał się uważnie dawnemu koledze, nie mogąc zrozumieć, co może napisać taki zdechlak, jak on.

— Napisałem! Czyś czytał?

— Nie, jakoś nie zdarzyło mi się...

— A cóż ci mówiono?

— Żeś podobno zwymyślał mnie porządnie.

— Hm... A sam, czy nie ciekaw jesteś przeczytać? — dopytywał się Jeżow, przyglądając się uporczywie Gordiejewowi.

— Owszem, przeczytam! — zapewnił go Tomasz, czując, że Jeżowa jakgdyby uraził taki lekceważący stosunek do jego utworów. — Rzeczywiście — wszak to rzecz ciekawa, co napisano o mnie... dodał dobrodusznie, uśmiechając się do kolegi. W istocie, nie odczuwał żadnej ciekawości i mówił to przez litość dla Jeżowa.

Spotkanie to obudziło w nim łagodne i dobre uczucia, obudziło wspomnienia dzieciństwa, które migały w jego pamięci — migały, jak drobne ogniki, świecące mu lękliwie z odległej przeszłości.

Jeżow podszedł do stołu, na którym stał gotujący się już samowar, nalał w milczeniu dwie szklanki mocnej jak smoła herbaty i rzekł:

— Chodź pić herbatę... I opowiadaj o sobie...

— Nie mam co opowiadać... Nic nie widziałem w życiu... puste moje życie! Wolę, żebyś ty mi opowiedział o sobie, w każdym razie pewno więcej wiesz ode mnie...

Jeżow zamyślił się, nie przestając kręcić się na jednem miejscu i nerwowo poruszać głową. Jedynie w zamyśleniu twarz jego nieruchomiała, wszystkie zmarszczki na niej skupiały się koło oczu i otaczały je jakby promieniami, a oczy skutkiem tego zapadały głębiej pod czoło.

— Tak, bracie, widziałem cośniecoś i wiem... — przemówił, potrząsając głową... — I wiem może więcej, niż należy mi wiedzieć, a takie wiedzenie jest równie szkodliwe dla człowieka, jak niewiedzenie tego, co jest niezbędne... Opowiedzieć ci, jak żyłem? Mogę... to jest, spróbuję. Nigdy nikomu nie opowiadałem o sobie... ponieważ w nikim nie budziłem zaciekawienia... gorzka to rzecz, gdy się żyje na świecie i nie budzi się w ludziach żadnego zainteresowania!..

— Z twej twarzy i ze wszystkiego już widzę, że nie na różach upływało ci życie! — wtrącił Tomasz, czując pewne zadowolenie, że i kolega jego nie miał, snadź, słodkiego życia...

Jeżow jednym tchem wypił swoją herbatę, cisnął szklankę na spodek, oparł nogi na krawędzi krzesła i, objąwszy rękoma kolana, położył na nich podbródek. W tej skulonej pozie, maleńki i giętki jak guma, zaczął mówić:

— Student Saczkow, mój były nauczyciel, a obecnie doktór medycyny, winciarz i karjerowicz, mówił czasami do mnie, kiedy umiałem dobrze lekcję: „Zuch Kola! Jesteś zdolnym chłopcem. My, ludzie z gminu, ludzie prości i biedni, z tylnych oficyn życia, powinniśmy się uczyć i uczyć,

aby wysunąć się na czoło społeczeństwa... Rosja potrzebuje rozumnych i uczciwych ludzi, staraj się być takim, a będziesz panem swego losu i pożytecznym członkiem społeczeństwa. Na nas, ludziach z gminu, opiera teraz kraj swoje najlepsze nadzieje, my powołani jesteśmy do wniesienia doń światła i prawdy." i t. d. Ja mu, bydlęciu, wierzyłem... I od tej pory minęło już blisko lat dwadzieścia, — my, ludzie z gminu, wyrośliśmy, ale rozumu tośmy nie nabyli i nie wnieśli światła do życia. Rosja cierpi po dawnemu na swą chroniczną chorobę — na nadmiar łotrów, a my, ludzie z gminu, z radością zapełniamy gęste ich zastępy. I oto mój nauczyciel, powtarzam — lokaj, bezosobowa i milcząca istota, której jakiś burmistrz przewodzi... a ja — pajac na służbie u społeczeństwa. Mnie bracie, tu w mieście prześladuje sława... Idę ulicą i słyszę — dorożkarz powiada swemu koledze: „Oto idzie Jeżow! Ostro bestja wymyśla, niech go kaczki zdepczą!" Tak! I tego też dobijać się trzeba...

Twarz Jeżowa ściągnęła się zjadliwie i zaśmiał się jakoś bezdźwięcznie samemi ustami. Tomasz nie zrozumiał jego przemówienia i, byle coś powiedzieć, rzekł bez żadnej myśli:

— Nie trafiłeś tedy tam, gdzie zamierzałeś...

— Tak, myślałem, że wyrosnę na coś większego... I wyrósłbym! Wyrósłbym na pewno!

Zerwał się z krzesła i zaczął biegać szybko po pokoju, wołając piskliwie:

— Ale żeby zachować siebie w całości dla życia i żeby zostać w nim wolnym człowiekiem — na to niezbędne są olbrzymie siły! Miałem je... miałem spryt, zręczność... i wszystko zmarnowałem dlatego tylko, żeby się czegoś nauczyć... a co teraz wcale nie jest mi potrzebne... zużyłem całego siebie, żeby coś w sobie zachować... Do djabła! Ja sam i wielu innych ze mną... wszyscy ograbiliśmy samych siebie poto, żeby coś dla życia uzbierać... Pomyśl, — chcąc zostać pożytecznym człowiekiem, wszelkiemi sposobami zapierałem się osobistej swej godności... Aby móc uczyć się i nie zdechnąć z głodu, przez sześć lat zkolei dawałem jakimś głupcom lekcje i znosiłem masę poniżeń od różnych

tatusiów i mamuś, nie krępujących się w pomiataniu mną... Zarabiając na chleb i herbatę, nie mogłem już, bo nie miałem czasu, zarobić na buty i musiałem zwracać się do towarzystw dobroczynności z najpokorniejszemi prośbami o zapomogę!... O, gdybyż dobroczyńcy mogli tylko obliczyć, ile, podtrzymując ciało, zabijają ducha w człowieku! Gdybyż wiedzieli, że w każdym rublu, który dają, zawiera się dziewięćdziesiąt dziewięć kopiejek trucizny dla duszy! O, gdyby pękli z nadmiaru dobroci i dumy, którą czerpią ze swei świętej działalności! Niema na ziemi człowieka wstrętniejszego i obrzydliwszego nad tego, co daje jałmużnę, jak niema człowieka nieszczęśliwszego nad tego, co ją bierze!

Jeżow podniecony biegał po pokoju, zataczając się jak pijany, a papier pod jego nogami szeleścił i fruwał w powietrzu. Jeżow zgrzytał zębami, kręcił głową i wymachiwał rękoma. Tomasz patrzał nań ze współczuciem i jednocześnie widok jego miotania się i męki sprawiał mu dziwną przyjemność. „Nie ja tylko... i jemu ciężko żyć“... — myślał, słuchając jego słów.

— Otruty ludzką dobrocią — ciągnął Jeżow ochrypłym głosem — ginąłem wskutek tej fatalnej zdolności każdego biedaka, wybijającego się nawierzch — wskutek zdolności poprzestawania na małem w nadziei osiągnięcia czegoś większego... A wiesz? — z braku poczucia własnej godności marnieje więcej ludzi, niż z suchot, i oto dlaczego trybuni ludu przyjmują najczęściej posady dozorców policyjnych!

— Pal ich licho, dozorców! — wtrącił Tomasz, machnąwszy ręką. — Opowiadaj o sobie...

— O sobie! Otom — cały! — zawołał Jeżow, zatrzymawszy się pośrodku pokoju i uderzając się rękoma w pierś. — Wszystko, co mogłem — już dokonałem, zdobyłem stanowisko klowna, zabawiającego publiczność i — nic więcej nie wskóram! Wiedzieć, że trzeba działać, i nie móc, nie mieć sił na to — to okropna męczarnia!

— Ależ poczekaj! — odezwał się z ożywieniem Tomasz. — Powiedz-no — co robić, żeby żyć spokojnie... to jest, żeby być z siebie zadowolonym?

— Na to trzeba żyć niespokojnie i unikać, jak zarazy, nawet możności bycia zadowolonym z siebie!

Słowa te przebrzmiały dla Tomasza jak pusty dźwięk, i zamarły, nie poruszywszy w jego sercu żadnego uczucia, nie zbudziwszy w głowie ani jednej myśli.

— Trzeba być zawsze rozmiłowanym w czemś takiem, co jest niedostępne dla ciebie... Człowiek pnący się do góry, staje się wyższym...

Teraz, kiedy przestał mówić o sobie, Jeżow mówił innym tonem, spokojniej. Głos jego brzmiał twardo i stanowczo, a twarz nabrała poważnego i surowego wyrazu. Stał pośrodku pokoju, podniósłszy rękę z wyciągniętym palcem, i mówił, jakby czytając:

— Ludzie są nikczemni dlatego, że dążą do sytości... Człowiek syty jest zwierzęciem, ponieważ sytość jest zadowoleniem ciała... I zadowolenie ducha przemienia człowieka w zwierzę...

Znowu go coś targnęło, jakby wszystkie jego żyły i mięśnie wyprężyły się nagle, i znów w podnieceniu zaczął biegać po pokoju.

— Człowiek zadowolony z siebie — to stwardniały wrzód na ciele społeczeństwa... to mój zaklęty wróg. Opycha się groszowemi prawdami, obryzganemi posoką stęchłej mądrości i podobny jest do śpiżarni, w której skąpa gospodyni przechowuje wszelkiego rodzaju rzeczy, wcale jej niepotrzebne i na nic niezdatne... Dotkniesz się do takiego człowieka, otworzysz drzwi do takiej śpiżarni, i uderzy cię zapach zgnilizny i wsączy się w powietrze, którem oddychasz, struga jakiejś stęchlizny... Ci nieszczęśni mianują się ludźmi silnego ducha, ludźmi zasad i przekonań... a nikt nie chce zauważyć tego, że przekonania dla nich — to tylko wierzchnie ubranie, którem przykrywają żebraczą goliznę swych dusz. Na wąskich czołach takich ludzi promienieje zawsze znany wszystkim napis: spokój i umiarkowanie — fałszywy napis! Potrzyj ich czoło twardą ręką, a ujrzysz prawdziwy znak na niem wyryty: ograniczoność i tępota ducha!...

Tomasz patrzał, jak Jeżow miotał się po pokoju, i ze

smutkiem myślał: „Kogo on tak łaje? Nie rozumiem... A musieli go jednak bardzo skrzywdzić...

— Iluż takich ludzi widziałem! — wołał Jeżow z gniewem i oburzeniem — ileż to życie namnożyło tych drobnych kramików. Znajdziesz w nich perkal na śmiertelną koszulę, i dziegieć, i cukierki, i boraks do tępienia robactwa, ale nie znajdziesz nic świeżego, gorącego, nic zdrowego! Chory na duszy, zmęczony samotnością, przychodzisz do nich, przychodzisz spragniony usłyszenia czegoś żywego... A oni proponują ci jakąś ciepłą żujkę, przeżute przez nich myśli książkowe, skisłe od starości... A są te suche myśli zawsze tak marne i ubogie w treść, że dla wyrażenia ich potrzeba ogromnej ilości pustych i dźwięcznych słów. Kiedy słucham takiego człowieka, to zdaje mi się, że mam przed sobą sytą i opojoną klacz, obwieszoną dzwoneczkami: wiezie oto wóz śmieci za miasto i — nieszczęsna! — zadowolona jest ze swego losu...

— Też chyba zbyteczni ludzie... — wtrącił Tomasz.

Jeżow zatrzymał się przed nim i rzekł ze zjadliwym uśmiechem:

— Nie, oni nie są zbyteczni, o nie! Istnieją jako wzór... jako przykład tego, jakim człowiek być nie powinien. Właściwie mówiąc — miejsce ich jest w anatomicznem muzeum, tam, gdzie przechowują się przeróżne potwory, wszelakie chorobliwe anomalje... W życiu, bracie, nic niema zbytecznego... w niem nawet ja jestem potrzebny! Niepotrzebni są tylko ci, w których duszach zagnieździło się niewolnicze tchórzostwo przed życiem, w których piersi — miast zamarłego serca — ogromny wrzód najwstrętniejszego samoubóstwienia, — lecz i oni są potrzebni choćby dlatego, żebym ja mógł wylać na nich swoją nienawiść...

Przez cały dzień, aż do wieczora, burzył się Jeżow i sarkał na nienawistnych mu ludzi; Tomasz słuchał go i, chociaż nie wszystko rozumiał, odczuwał wszakże ton nienawistnej zawziętości w słowach kolegi, i mimowoli poddawał się mu... Chwilami jednak budziła się w nim pewna nieufność do Jeżowa:

— Słuchaj... a ludziom w oczy czy potrafisz tak mówić? — zapytał.

— Przy każdej sposobności... I co niedziela — w gazecie... Chcesz — przeczytam?

Nie czekając odpowiedzi Tomasza, zerwał ze ściany kilka arkuszy gazety i, biegając w dalszym ciągu po pokoju, zaczął mu czytać. Ryczał, wykrzykiwał, śmiał się, szczerzył zęby i był podobny do złego psa, zrywającego się z łańcucha w bezsilnej wściekłości. Tomasz nie mógł ułowić myśli w artykułach kolegi, ale czuł w nich brutalną śmiałość, zjadliwą drwinę, i okrutną nienawiść, i to mu sprawiało przyjemność... jakgdyby go miotełkami parzono w gorącej łaźni...

— Zręcznie! — wołał, podchwytując jakikolwiek oderwany frazes. — Mocno powiedziane!

Raz wraz migały przed nim znajome nazwiska kupców i znakomitych mieszczan, których Jeżow gromił otwarcie i śmiało, to pokryjomu kłuł boleśnie cienkiem, jak igła żądłem.

Potakiwanie Tomasza i jego płonące zadowoleniem oczy podniecały Jeżowa, i coraz głośniej wył i ryczał, to rzucając się wyczerpany na kanapę, to zrywając się znowu i podbiegając do Tomasza.

— A przeczytaj i o mnie! — zawołał Tomasz.

Jeżow pogmerał w kupie gazet, wyrwał z niej jeden arkusz i, wziąwszy go w obie ręce, stanął przed Tomaszem z rozstawionemi nogami, a Tomasz rozparł się w fotelu z wygniecionem siedzeniem i przysłuchiwał się z uśmiechem.

Notatka o Tomaszu zaczynała się od opisu hulatyki na tratwach i Tomasz słuchając, czuł jak niektóre oddzielne wyrazy kąsają go, jak komary. Spoważniał, zwiesił głowę i milczał ponuro. A komarów przybywało coraz więcej...

— Już za wiele sobie pozwoliłeś! — powiedział wreszcie, zmieszany i niezadowolony. — Przecież tem, że potrafisz błotem obrzucać człowieka, niewiele się zasłużysz...

— Cyt! Poczekaj! — krótko rzucił mu Jeżow i czytał dalej.

Stwierdziwszy w swym artykule fakt, że kupiec pod względem zdolności robienia bezeceństw i skandalów stoi bezwarunkowo wyżej od przedstawicieli innych stanów, Jeżow pytał się: dlaczego tak jest? — i odpowiadał: „Zdaje mi się, że te skłonności do dzikich wybryków wypływają z braku kultury o tyle, o ile są uwarunkowane nadmiarem energji i próżniactwem. Nie ulega wątpliwości, że nasi kupcy — z małemi wyjątkami — to stan posiadający najwięcej zdrowia, a jednocześnie najmniej pracujący"...

— To prawda-a! — zawołał Tomasz, uderzając pięścią w stół. — Właśnie! Mam tyle siły — co wół, a pracuję tyle — co wróbel...

„Bo gdzież ma kupiec zużyć swą energję? Na giełdzie niewiele jej straci, nadmiar tedy mięśniowego kapitału marnuje po szynkach w hulatyce, nie mając wyobrażenia o innych, bardziej produkcyjnych i użytecznych dla życia sposobach zużycia siły. Jest on jeszcze zwierzęciem, a życie dla niego stało się już klatką, w której mu za ciasno przy doskonałem jego zdrowiu i skłonności do szerokich rozmachów. Skrępowany kulturą, hamuje się, hamuje, aż wreszcie wybuchnie. Skandale i hulanki kupców — to zawsze bunt trzymanego na uwięzi zwierzęcia. Rozumie się — że jest to złe... Ale — ach! — jeszcze gorzej będzie, kiedy to zwierzę przy swojej sile, zdobędzie trochę rozumu i wykształci go! Proszę wierzyć, — kupiec i wówczas nie przestanie robić awantur, ale będą to już wydarzenia historyczne. Wybaw nas Panie, od takich wydarzeń! Ponieważ wypłyną one z dążenia kupca do władzy, celem ich będzie wszechwładza jednego stanu, a na osiągnięcie tego celu kupiec nie poskąpi środków"...

— Cóż ty na to, mam rację? — zapytał Jeżow, przeczytawszy gazetę i rzuciwszy ją w kąt.

— Końca nie rozumiem... — odrzekł Tomasz. — A co się tyczy siły — trafnie! Gdzie mam zużyć swą siłę, jeżeli niema na nią popytu! Powinienbym... walczyć ze zbójcami, albo sam zostać zbójem... wogóle robić coś takiego... wielkiego... I nie głową, a rękoma, piersią... A tu — idź na giełdę i przemyśliwaj, żeby jakkolwiek zarobić rubla...

A na co on? I znowu cóż? Czyż życie raz na zawsze jest tak urządzone? Cóż to za życie, w którem wszyscy cierpią i wszystkim ciasno? A właśnie powinno ono być urządzone według gustu ludzi... Ciasno mi, więc powinienem je rozsunąć... żeby mi było przestronniej... Trzeba je więc łamać i przebudowywać... Ale jak? To dla mnie sęk!... Co robić, żeby można było żyć swobodniej? Ja tego nie rozumiem i — to moja bieda!

— Ta-a-k? — przeciągnął Jeżow. — I ty do tego doszedłeś!... To dobrze, bracie! Ach, żebyś się trochę podduczył! Jakże pod względem książek? Czytałeś co?

— Nie, nie lubię... nie czytuję...

— Dlatego nie lubisz, że nie czytałeś.

— Boję się nawet czytać... Widziałem — tu jedną... ciągnie ją do książki, jak pijaka do wódki! A jaki sens w tych książkach? Jeden wymyśli coś i wydrukuje, a inni czytają... O ile rzecz ciekawa, to dobrze... Ale żeby uczyć się z książek, jak żyć — to już zupełne głupstwo. Wszak pisze człowiek, nie Bóg, a czyż człowiek może sam dla siebie prawa stanowić?

— A Ewangelja? Przecież ją też ludzie pisali...

— To apostołowie... Niema ich teraz...

— Dobrze mówisz! Prawda, bracie, apostołów niema... Zostali tylko Judasze, i to najmarniejszego gatunku.

Tomasz czuł się zadowolony, ponieważ widział, że Jeżow słucha jego słów z uwagą, jakby zastanawiając się nad ich znaczeniem. Po raz pierwszy w życiu natrafił na taki stosunek do siebie, śmiało też i swobodnie wypowiadał przed kolegą swe myśli, nie troszcząc się o słowa i czując, że będzie zrozumiany dlatego, że go chcą zrozumieć.

— Ciekawy z ciebie chłopak! — powiedział mu Jeżow w parę dni po spotkaniu. — I, chociaż mówisz ciężko, wyczuwa się jednak w tobie bardzo wiele... wielka zuchwałość serca! Brak ci trochę znajomości porządków życiowych! Przemówiłbyś wówczas... dość głośno, jak sądzę... ta-ak!

— A jednak samemi słowami trudno się oczyścić... i wyzwolić — zauważył Tomasz z westchnieniem. — Mówiłeś wtedy o ludziach, którzy udają, że wszystko wiedzą

i mogą... Ja również znam takich... Chrzestny ojciec naprzykład... Otóż przeciwko takim należałoby wystąpić... żeby ich oskarżyć... Szkodliwi to ludzie!...

— Nie wyobrażam sobie, Tomaszu, jak będziesz żył, jeżeli zachowasz w sobie to, co masz teraz... — rzekł Jeżow w zamyśleniu.

— Ciężko mi... Żadnej ciągłości niema we mnie... Mógłbym coś zrobić odrazu... Rozumiem np. doskonale, że wszystkim i ciasno i ciężko... i że ojciec chrzestny widzi to samo — wiem! Lecz on z tej ciasnoty korzysta... Dobrze mu z nią: ostry, jak igła, prześlizgnie się wszędzie, gdzie zechce... A ja duży jestem i ciężki... i dlatego brak mi tchu! Dlatego żyję związany... A rozwiązać się, wyzwolić... mógłbym chyba za jednym zamachem: wyprężyć się całem ciałem... i wszystkie więzy opadną!

— A potem co? — zapytał Jeżow.

— Potem? — zastanowił się Tomasz i, pomyślawszy, machnął ręką. — Nie wiem, co potem... zobaczę!

— Zobaczymy! — zgodził się Jeżow.

Dzień Jeżowa zaczynał się tak: rano przy herbacie przeglądał miejscowe gazety i wybierał z reporterskich notatek materjał do swego feljetonu, który pisywał tuż, na rogu stołu. Następnie biegł do redakcji i tam z wycinków gazet prowincjonalnych układał „Obrazki z życia prowincji". W piątek obowiązany był pisać niedzielny feljeton. Za wszystko to pobierał sto dwadzieścia pięć rubli miesięcznie; pracował szybko i cały wolny czas poświęcał „badaniom dobroczynnych instytucyj". Wraz z Tomaszem włóczył się do późnej nocy po klubach, hotelach i restauracjach, czerpiąc wszędzie materjał do swoich utworów, które nazywał „szczotkami do czyszczenia sumienia społecznego". Cenzora tytułował „zarządzającym sprawą rozpowszechniania w życiu prawdy i sprawiedliwości", gazetę nazywał „rajfurką, zajmującą się obznajmianiem czytelnika ze szkodliwemi ideałami" a swoją w niej działalność „detaliczną sprzedażą duszy".

Tomasz nie rozumiał dobrze, kiedy Jeżow żartuje, a kiedy mówi poważnie. O wszystkiem rozmawiał namiętnie

i z zapałem, sądy o wszystkiem wydawał ostre i to podobało się Tomaszowi. Ale często zdarzało się, że rozpocząwszy namiętną mowę, po chwili równie namiętnie zaprzeczał sobie, sam siebie zwalczał, lub kończył jakiemś śmiesznem odezwaniem się. Zdawało się wtedy Tomaszowi, że ten człowiek nie ma nic takiego, coby kochał, coby tkwiło w nim mocno i nim kierowało. Tylko o sobie samym opowiadał jakimś szczególnym głosem, i, im goręcej mówił o sobie, tem bezlitośniej i zacieklej wszystkim i na wszystko wymyślał. I w stosunku do Tomasza był jakiś dwoisty — to dodawał mu otuchy i wołał z zapałem:

— Wal! Obalaj i przewracaj wszystko, co się da! Pchaj się naprzód całą piersią! Niema nic droższego nad człowieka, wiedz o tem! Krzycz z całej siły: wolności! wolności!

A kiedy Tomasz, zapalając się jego gorącą przemową, zaczynał marzyć o tem, jak zacznie obalać i przewracać ludzi, którzy przez wzgląd na własną korzyść zacieśniają szranki życia, — to Jeżow często przerywał mu:

— Daj spokój! Niczego nie dokonasz! Tacy, jak ty — na nic... Wasz okres — okres silnych, ale głupich — minął, bracie! Spóźniłeś się... W życiu niema miejsca dla ciebie...

— Niema?... kłamiesz! — krzyczał Tomasz, podniecony przeczeniem.

— Więc cóż ty możesz zrobić?

— Ja?

— Ty!

— Chociażby... zabić ciebie! — ze złością mówił Tomasz, ściskając pięść.

— E, głupstwo! — wzruszając ramionami, mówił Jeżow z politowaniem. — Czyż to czyn? Jam i tak okaleczony i ledwie żywy...

I nagle porywał się z zapałem i złością, i wołał:

— Skrzywdził mnie los! Poco się poniżałem, przyjmując jałmużnę od społeczeństwa, poco przez całe dwanaście lat pracowałem, jak maszyna? Żeby uczyć się... Poco lat dwanaście bez odpoczynku łykałem w gimnazjum i uniwersytecie suche, nudne, bezsensowne i bezcelowe

bzdurstwa? Żeby zostać feljetonistą, żeby móc błaznować z dnia na dzień, zabawiając publiczność i wmawiając w siebie, że to potrzebne i pożyteczne... Gdzie ogień mojej młodości? Wystrzelałem wszystkie naboje mej duszy, biorąc po sześć groszy za wystrzał... I w co ja wierzę dzisiaj? Wierzę tylko, że wszystko w tem życiu jest djabła warte i że wszystko powinno być zniszczone i zburzone... Co kocham? Siebie... i czuję, że przedmiot przeze mnie umiłowany niegodzien jest mojej miłości... Cóż ja mogę zrobić?

Prawie płakał, ale niekiedy wstępowała weń otucha i energja i wówczas przemawiał w innym duchu:

— Co ja? O, moja pieśń jeszcze nieskończona! Pierś moja wypełniona po brzegi — jak bicz, smagać będę! Poczekaj, porzucę gazetę, wezmę się do pracy poważnej i napiszę jedną maleńką książkę... Nazwę ją „Requiem": jest taka modlitwa, którą odmawia się nad konającymi. I to społeczeństwo, przeklęte przekleństwem wewnętrznej niemocy, zanim zdechnie, przyjmie moją książkę, jak dawkę piżma.

Wsłuchując się w każde jego słowo, śledząc go i porównywując jego zdania, Tomasz widział, że i Jeżow jest takim samym słabym i zbłąkanym człowiekiem, jak on. Ale nastrój Jeżowa w dalszym ciągu udzielał się Tomaszowi, jego rozmowy wzbogacały język Tomasza i ten chwilami z radością i zdziwieniem sam spostrzegał, że mu się udawało trafnie i silnie wyrazić jakąś myśl.

Niekiedy spotykał u Jeżowa jakichś szczególniejsszych ludzi, którzy, jak mu się zdawało, wszystko umieli,wszystko rozumieli, wszystkiemu przeczyli i we wszystkiem widzieli fałsz i podstęp. Przyglądał się im w milczeniu, wsłuchiwał się w ich rozmowy i podobała mu się ich zuchwałość, ale krępowała go i odpychała ich pycha w stosunku do niego. I następnie rzucało mu się w oczy to, że w pokoju Jeżowa wszyscy byli lepsi i rozumniejsi, niż na ulicy i w restauracji.

Pewnego razu Jeżow mu oświadczył:

— Dzisiaj — hulamy! Nasi zecerzy utworzyli spółkę i biorą na siebie od wydawcy całą robotę hurtem... Z tego powodu odbędzie się oblanie interesu i jestem zaproszony...

to ja im doradziłem... Pójdziemy? Poczęstujesz ich uczciwie...

— I owszem... — rzekł Tomasz, dla którego było wszystko jedno, z kim przepędzić ciążący mu czas.

Tegoż dnia wieczorem Tomasz i Jeżow siedzieli za miastem pod lasem w towarzystwie ludzi o szarych twarzach. Zecerów było dwunastu; ubrani przyzwoicie, zachowywali się względem Jeżowa po koleżeńsku i to dziwiło nieco Tomasza, w którego oczach Jeżow był jednakże czemś w rodzaju gospodarza czy zwierzchnika dla nich, a oni wszyscy — tylko jego sługami. Na Gordiejewa jakby nie zwracali uwagi, chociaż, gdy Jeżow przedstawił go im, wszyscy ściskali mu dłoń i mówili, że radzi są go widzieć... Położył się Tomasz opodal pod krzakiem leszczyny i zboku obserwował ich wszystkich; czuł się obcy w tem towarzystwie i zauważył, że Jeżow jakby naumyślnie stroni od niego i także nie zwraca nań uwagi. W Jeżowie uderzyła go jakaś dziwna zmiana: mały feljetonista jakgdyby starał się im przypodobać. Krzątał się wraz z nimi koło ogniska, odkorkowywał butelki z piwem, klął, śmiał się głośno i wszelkiemi sposobami starał się być do nich podobnym. Nawet ubrany był skromniej, niż zwykle.

— Ach, bracia! — wołał. — Dobrze mi z wami! Wszak i ja nie jestem żadną figurą... ojciec mój był tylko stróżem przy sądzie!

„Poco on to mówi? — myślał Tomasz. — Cóż z tego, że ojciec jego był stróżem?"...

Słońce zachodziło i na niebie żarzył się ogromny ognisty stos, zabarwiając obłoki kolorem złota i krwi. Z lasu płynęły wilgotne aromaty i cisza, a na jego skraju snuły się z gwarem i hałasem ciemne postacie ludzi. Jeden z nich, niewysoki i mizerny, w szerokim słomianym kapeluszu, przygrywał na harmonice, drugi, z czarnemi wąsami i w czapce zsuniętej na tył, przyśpiewywał mu półgłosem. Dwaj inni borykali się ze sobą, próbując sił. Kilka postaci snuło się przy koszu z piwem i prowizją; wysoki człowiek ze szpakowatą brodą dorzucał gałęzi do ogniska, otulonego ciężkim, białawym dymem. Wilgotne gałęzie trzeszczały w ogniu,

harmonika zawzięcie wygrywała wesołą melodję, a falset śpiewaka wtórował jej.

Zdala od wszystkich, nad brzegiem niewielkiego parowu, rozłożyło się trzech młodych chłopaków; przed nimi stał Jeżow i perorował głośno:

— Wy dźwigacie święty sztandar pracy... i ja również jak i wy, jestem szeregowcem tej samej armji: wszyscy my służymy prasie... i powinniśmy żyć w ścisłej, trwałej przyjaźni...

— Racja, Mikołaju Matwiejewiczu! — przerwał mu jakiś gruby głos. — Chcemy właśnie prosić — żebyś pan wpłynął na wydawcę! Choroby i pijaństwa nie można uważać za jedno i to samo... A według jego zapatrywania wynika tak: upije się towarzysz, potrąca mu się jego dzienny zarobek, a zachoruje — to samo... W razie choroby przedstawialibyśmy świadectwo doktora... dla wiarogodności, ale on — niechby płacił chociaż połowę zarobku zastępcy chorego... Nam przecież jest ciężko... a jak raptem trzech odrazu zachoruje?

— Ta-ak... to, rozumie się, słusznie... — zgodził się Jeżow. — Ale, moi drodzy, — zasadą zrzeszenia...

Tomasz przestał przysłuchiwać się mowie kolegi, zajęty inną rozmową. Rozmawiało dwóch: jeden wysoki suchotnik, źle ubrany i zpode łba patrzący, drugi młodziutki, z rudemi włosami i bródką.

— Według mego zdania, — pokasłując mówił wysoki — to głupio! Jak może ktokolwiek z nas myśleć o ożenku? Przyjdą dzieci — czyż na nie wystarczy? Żonę trzeba ubierać... a jeszcze, jak się trafi jaka...

— To dobra dziewczyna... — odezwał się zcicha rudy.

— Tak, teraz dobra... Co innego narzeczona, a co innego — żona... Ale nie w tem rzecz... można spróbować... może i naprawdę będzie dobra. A tylko środków nie starczy... i sam zamordujesz się pracą, i ją zamęczysz... Dla nas żenienie się jest rzeczą niemożliwą... Czyż z naszego zarobku można utrzymać rodzinę? Masz oto mnie... żonaty jestem dopiero od czterech lat... a już niewiele sił mi

pozostało. I żadnej radości nie zaznałem... prócz niepokoju i kłopotów...

Zakaszlał się, kaszlał długo, zanosząc się, i kiedy przestał, dokończył cały zdyszany:

— Daj spokój... nic z tego nie będzie...

Towarzysz jego zwiesił smutnie głowę, a Tomasz pomyślał:

„Mówi rozsądnie"...

Tomasza gniewało trochę to, że nikt nie zwraca nań uwagi, ale jednocześnie wzbudzało w nim uczucie szacunku dla tych ludzi o ciemnych twarzach, nasiąkłych ołowianym kurzem. Wszyscy prawie prowadzili poważną rozmowę o swoich sprawach, używając niekiedy jakichś dziwnych, nieznanych mu wyrazów. Nikt z nich nie ubiegał się o jego względy, nie narzucał mu się natrętnie, jak to czynili zwykle jego restauracyjni znajomi. To mu się podobało...

— Widzisz jacy... — myślał, uśmiechając się w duchu — mają swoją dumę...

— A pan, Mikołaju Matwiejewiczu, — rozległ się jakiś głos, jakby z wyrzutem — niechaj sądzi nie według książki, a według żywej prawdy... Wszak o kawałek chleba biją się ludziska nie według książki, a z konieczności, i jak Bóg przykazał, a nie jak wasze przepisy głoszą...

— Po-o-zwólcie, moi przyjaciele! Posłuchajcie, czego nas uczy doświadczenie naszych spółtowarzyszy...

Tomasz spojrzał tam, gdzie głośno perorował Jeżow, wymachując kapeluszem nad głową. Ale jednocześnie usłyszał nad sobą głos:

— Panie Gordjejew! Proszę się do nas przysunąć...

Niski i krępy chłopak, w bluzie i wysokich butach, stał przed nim i, uśmiechając się dobrodusznie, patrzył mu w twarz. Tomaszowi podobała się jego szeroka i okrągła twarz z grubym nosem, więc z lekkim uśmiechem odparł:

— Dobrze, przysunę się... A czy nie czas nam... i do konjaku się przysunąć? Ja przyniosłem tu z dziesięć butelek... na wszelki wypadek...

— Oho! Widać — że pan poważny kupiec... Zaraz zakomunikuję pańską notę dyplomatyczną towarzystwu!...

I sam zaśmiał się pierwszy wesołym i głośnym śmiechem. Zaśmiał się i Tomasz, czując, jak od ogniska czy od tego chłopaka powiało nań ciepłem i wesołością.

Zorza wieczorna powoli gasła. Zdawało się, że tam na zachodzie, zapadała w ziemię olbrzymia i miękka zasłona purpurowa, odsłaniając bezdenną głębię nieba i wesoło migocący na niem blask gwiazd. W oddaleniu, na ciemnej plamie miasta, niewidzialna ręka rozsiewała ognie, a tu nieopodal, w niemym spokoju stał las, jak czarna ściana, wznosząca się do nieba... Księżyc jeszcze nie zeszedł i nad polem rozpostarł się ciemny zmrok...

Całe towarzystwo rozsiadło się dużem półkolem niedaleko ogniska: Tomasz siedział obok Jeżowa, obrócony plecami do ognia, i widział przed sobą szereg jasno oświetlonych, szczerych i wesołych twarzy. Wszyscy byli już podochoceni, ale jeszcze nie pijani: śmieli się, żartowali, próbowali śpiewać, pili, i zakąsali ogórkami, chlebem, kiełbasą. Wszystko to na Tomaszu robiło jakieś przyjemne wrażenie; porwany ogólnym nastrojem czuł się śmielszy, pełen sympatji dla tych ludzi. Jeżow, siedząc obok niego, kręcił się, wciąż trącał go ramieniem i, potrząsając głową, mruczał coś niezrozumiałego pod nosem...

— Bracia! — krzyknął nagle krępy chłopak. — Zaśpiewajmy studencką... dalej-że, raz, dwa!...

„Szybko jak fale"...

Ktoś zagrzmiał basem:

„Dni nasze mkną"...

— Towarzysze! — wołał Jeżow, podnosząc się ze szklanką w ręku. Chwiał się na nogach i drugą ręką opierał się na głowie Tomasza. Rozpoczęty śpiew urwał się i wszyscy zwrócili głowy ku niemu...

— Pracownicy! Pozwólcie mi powiedzieć wam kilka słów... z serca płynących... Wśród was jestem szczęśliwy! Dobrze mi z wami... A to dlatego, że — jesteście ludźmi

pracy, ludźmi, których prawo do szczęścia jest niezaprzeczalne, chociaż się nie uznaje go... W waszej zdrowej, duszę uszlachetniającej atmosferze, zacni ludzie, lekko, swobodnie oddycha... otruty życiem samotnik...

Głos Jeżowa drgnął, i głowa się zatrzęsła. Tomasz poczuł, jak coś ciepłego kapnęło mu na rękę, i spojrzał w skrzywioną twarz Jeżowa, który ciągnął dalej swą mowę, drżąc na całem ciele:

— Ja nie jestem sam... takich, jak ja, zmordowanych losem, wykolejonych i chorych, jest wielu... Myśmy — bardziej nieszczęśliwi od was, dlatego, żeśmy słabsi i na ciele i na duchu; ale jesteśmy od was silniejsi, gdyż zbrojni jesteśmy wiedzą... której nie mamy gdzie zastosować... Z radością wszyscy gotowi jesteśmy przyjść do was i oddać wam siebie, pomóc wam żyć... więcej nic nie mamy do roboty! Bez was — myśmy bez gruntu, bez nas — wyjście bez światła! Towarzysze! Sam los stworzył nas poto, abyśmy dopełniali się wzajemnie!

„O co on ich prosi?" — myślał Tomasz, słuchając i nie rozumiejąc mowy Jeżowa. A, przypatrując się twarzom zecerów, widział, że i oni spoglądają na mówcę pytająco, z wyrazem zdumienia i nudy.

— Do was, przyjaciele moi, przyszłość należy! — mówił Jeżow głosem niepewnym i smutnie kiwał głową, jakby żałując przyszłości i wbrew swemu życzeniu ustępując nad nią władzę tym ludziom. — Przyszłość należy do ludzi uczciwej pracy... Wielka praca was czeka! Wyście powinni stworzyć nową kulturę!... Ja — wasz z ciałem i duszą, ja — syn woźnego, proponuję: wypijmy za waszą przyszłość! Wiwat!

Po osuszeniu swej szklanki Jeżow usiadł ciężko na ziemi. Zecerzy pochwycili zgodnie jego urwany okrzyk i grzmiący, silny, strząsający z drzew liście krzyk rozdarł powietrze.

— Teraz zaśpiewajmy! — zaproponował znowu krępy chłopak.

— Dobrze! — poparły go dwa - trzy głosy. Wszczę-

ła się ożywiona sprzeczka o to, co śpiewać. Jeżow słuchał tego gwaru i, kiwając głową, przypatrywał się im.

— Bracia! — zawołał nagle znowu. — Odpowiedzcie mi... odpowiedzcie w kilku słowach na moje pozdrowienie...

Znowu — choć nie odrazu — wszyscy zamilkli, patrząc na niego — jedni z ciekawością, drudzy z tajonym uśmiechem, niektórzy z jawnem niezadowoleniem na twarzy. A on podniósł się znów z ziemi i mówił w podnieceniu:

— Nas tu dwóch... oderwanych od życia, — ja i oto ten... Obaj pragniemy... jednego i tego samego... szczęścia, płynącego z poczucia, że się jest potrzebnym ludziom... Towarzysze! I ten oto duży, głupi człowiek...

— A wy, Mikołaju Matwiejewiczu, nie obrażajcie nam gościa! — rozległ się czyjś gruby i niezadowolony głos.

— Tak, to zbyteczne! — potwierdził krępy chłopak, który był zaprosił Tomasza do kompanji. — Poco obrażać?

Trzeci głos rzekł głośno i dobitnie:

— Zebraliśmy się poweselić... odpocząć...

— Głupcy! — zaśmiał się ironicznie Jeżow. — Zacni głupcy!... Żałujecie go? Ale — czy wiecie, kto on jest? To jeden z tych, którzy wysysają krew naszą...

— Dosyć, Mikołaju Matwiejewiczu! — krzyknęli na Jeżowa. I wszyscy zaczęli rozmawiać, nie zwracając już nań uwagi. Tomaszowi tak dalece było żal kolegi, że nawet nie obraził się na niego. Widział, że ci ludzie, stający w jego obronie, umyślnie nie zwracają teraz uwagi na felietonistę i rozumiał, że jeżeli Jeżow to zauważy — będzie cierpiał. I żeby odwrócić jego uwagę i zaoszczędzić mu przykrości, trącił go w bok i rzekł z dobrodusznym uśmiechem:

— Hej, ty, szyderco... napijemy się, co? A może czas już do domu?

— Do domu? A gdzież jest dom człowieka, dla którego niema miejsca wśród ludzi? — zapytał Jeżow i znowu zawołał: — Towarzysze!

Odezwanie się jego utonęło w ogólnym gwarze bez odpowiedzi. Wtedy zwiesił głowę i rzekł do Tomasza:

— Chodźmy stąd!...

— A chodźmy... Ja wszakże posiedziałbym jeszcze... Ciekawe... Jak Bóg miły... zachowują się wcale przyzwoicie...

— Nie mogę dłużej: zimno mi... duszno...

— Więc chodźmy!

Tomasz podniósł się z ziemi, zdjął czapkę i, ukłoniwszy się zecerom, rzekł głośno i wesoło:

— Dziękuję panom za gościnę! Do widzenia!

W tej chwili otoczono go i rozległy się przekonywające głosy:

— Proszę zaczekać! Dokąd pan? Zaśpiewalibyśmy razem, co?

— Nie, trzeba iść... zresztą koledze nieprzyjemnie samemu wracać... odprowadzę... Życzę wesołej zabawy!

— Ach, posiedzielibyście jeszcze panowie!... — zawołał krępy chłopak i cicho szepnął: — Możemy go odprowadzić samego...

— Niech pan zostanie... a my odprowadzimy go do miasta, tam do dorożki — i koniec! — mówił pocichu suchotnik.

Tomaszowi chciało się zostać, a jednocześnie obawiał się czegoś. A Jeżow podniósł się z ziemi i, wpiwszy się w rękaw jego paltota, mruczał:

— Chodźmy... niech ich djabli porwą!

— Do widzenia, panom! Pójdę! — rzekł Tomasz i odszedł, żegnany wyrazami grzecznego ubolewania.

— Cha-cha-cha! — roześmiał się Jeżow, odszedłszy ze dwadzieścia kroków. — Odprowadzają z ubolewaniem, a sami cieszą się, że odszedłem... Przeszkadzałem im przemienić się w bydlęta...

— To prawda, że przeszkadzałeś... — rzekł Tomasz. Poco wygłaszasz mowy? Ludzie zebrali się dla zabawy, a ty im dokuczasz swojemi skargami... Ich to nudzi...

— Milcz! Ty nic nie rozumiesz! — krzyknął ostro Jeżow. — Myślisz — żem pijany? To moje ciało pijane...

ale dusza trzeźwa... ona zawsze trzeźwa i wszystko czuje... O, ile niegodziwości na świecie i bezdusznej głupoty! I ludzie... ci głupi, nieszczęśni ludzie...

Jeżow zatrzymał się i, chwyciwszy się rękoma za głowę, stał przez chwilę, chwiejąc się na nogach.

— Ta-ak... — przeciągnął Tomasz. — Ludzie są bardzo niepodobni jedni do drugich... Ot, ci naprzykład... Grzeczni... niby jacyś panowie... I rozprawiają wcale rozsądnie... i o wszystkiem... Mają rozum... A wszak to prości — robotnicy...

W ciemności za nimi rozbrzmiewała jakaś potężna chóralna pieśń. Zrazu chaotyczna, wzmagała się i rosła stopniowo, aż wreszcie szeroką, rześką falą popłynęła w nocnem powietrzu nad pustem polem.

— O mój Boże! — odezwał się Jeżow ze smutnem westchnieniem. — Czem żyć? Do czego przylgnąć duszą? Kto zaspokoi jej pragnienia przyjaźni, braterstwa, miłości, czystej i świętej pracy...

— Ci różni prości ludzie, — mówił w zamyśleniu Tomasz, pochłonięty swemi myślami i nie słysząc słów kolegi — jeżeli się im bliżej przyjrzeć, — są dosyć sympatyczni! Nawet bardzo... Ciekawi... Chłopi... robotnicy... jeżeli spojrzeć na nich prosto — zupełnie jak te konie... Ciągną sobie, sapią...

— Oni całe nasze życie ciągną na swych karkach! — zawołał Jeżow w rozdrażnieniu! — Ciągną jak konie... pokornie, bezmyślnie... I właśnie ta ich pokora — to nasze nieszczęście, to nasze przekleństwo...

A Tomasz, pochłonięty swą myślą, mówił dalej:

— Wiozą, pracują całe życie za byle co... I naraz — powiedzą coś takiego, że przez całe życie nie domyślisz się... A więc czują... Ta-ak, ciekawi ludzie...

Długi czas Jeżow szedł w milczeniu, chwiejąc się, i nagle zaczął deklamować jakimś głuchym, krztuszącym się głosem, wymachując ręką w powietrzu:

*„Srodze mnie życie zawiodło*
*I tylem przecierpiał już kar"...*

— To, bracie, moje wiersze! — rzekł, przystanąwszy i smutnie pokiwawszy głową. — Co dalej? — zapomniałem... Jest tam o marzeniach... o świętych i czystych pragnieniach... które zdusił w mej piersi swąd życia... Och!

*„I nigdy już nie powstanie*
*Rój pogrzebanych w niem mar“...*

— Bracie! Tyś szczęśliwszy ode mnie dlatego, żeś — głupi... A ja...

— Przestań! — rzekł Tomasz z rozdrażnieniem. — Posłuchaj lepiej ich śpiewu...

— Nie chcę słuchać cudzych pieśni... — trzęsąc głową, odparł Jeżow. — Mam własną... pieśń zmęczonej życiem duszy...

I zawył dzikim głosem:

*„I nigdy już nie powstanie*
*Rój pogrzebanych w niem mar“...*

— A był tam cały ogród żywych i jaskrawych marzeń i nadziei... Umarły... Powiędły i umarły... W sercu mem śmierć... Trupy marzeń tam gniją... o! o!

Jeżow płakał, szlochał, jak kobieta. Żal go było Tomaszowi, ale czuł się zmęczony jego towarzystwem. Targnąwszy go niecierpliwie za ramię, rzekł:

— Daj spokój! Chodźmy... Jakiś ty, bracie, słaby...

Schwyciwszy się rękoma za głowę, Jeżow wyprostował zgięte swe ciało, wyprężył się i znów dzikim głosem począł deklamować.

— O Boże! — westchnął z rozpaczą Tomasz. — Dosyć... Na Boga! Doprawdy, można oszaleć!...

Zdala poprzez mrok i ciszę płynęła ku nim głośna, chóralna pieśń. Ktoś pogwizdywał w rytm pieśni i to ostre przenikliwe gwizdanie jakgdyby wyprzedzało fale silnych głosów. Tomasz obejrzał się i zobaczył wysoką czarną

ścianę lasu, a na niej jaskrawo mieniącą się plamę ogniska i mgliste dokoła niego postacie. Ściana lasu była niby pierś, a ognisko — niby krwawa rana. Zdawało się, że pierś drży, a z niej bucha krew i oblewa ją gorącemi strumieniami. Na tle lasu, objęci zewsząd gęstym mrokiem, ludzie wydawali się mali jak dzieci; zdawało się, że i oni płonęli, oblani blaskiem ognia, wymachiwali rękoma i śpiewali swoją potężną pieśń.

A Jeżow, stojąc obok Tomasza, mówił z oburzeniem:

— Ach ty, nieczuły głąbie! Czemu mnie odpychasz? Powinieneś słuchać śpiewu umierającej duszy... płakać nad nią... bo — za cóż ona cierpi i umiera? Idź precz ode mnie... precz! Ty sądzisz, żem pijany? Jam — otruty... idź precz!

Tomasz, nie odrywając oczu od lasu i ogniska, pięknie odbijającego wśród zmroku, odstąpił kilka kroków od Jeżowa i cicho odrzekł:

— Nie błaznuj... poco klniesz napróżno?

— Chcę sam pozostać i... dokończyć swą pieśń...

Niepewnemi krokami odsunął się również od Tomasza i po kilku sekundach znowu jął wykrzykiwać łkającym głosem swe wiersze.

Usłyszawszy to żałośne wycie, Tomasz drgnął i rzucił się ku towarzyszowi; ale zanim go dopędził, mały feljetonista wydał histeryczny okrzyk, rzucił się piersią na ziemię i zaczął szlochać tak żałośnie i cicho, jak płaczą chore dzieci...

— Mikołaju! — mówił Tomasz, podnosząc go za ramiona. — Przestań... co ci jest? O, Boże... Mikołaju! Dosyć... jak ci nie wstyd!

Ale ten się nie wstydził: bił się o ziemię, jak wyciągnięta z wody ryba, a kiedy Tomasz postawił go na nogi — przycisnął się mocno do jego piersi, objąwszy go cienkiemi rękami, i wciąż płakał.

— Dobrze, dobrze! — mówił Tomasz przez mocno zaciśnięte zęby. — Dosyć, kochanie...

I wzruszony cierpieniem człowieka, złamanego przez życie, pełen poczucia wyrządzonej mu krzywdy, w przystępie mściwej złości, ryknął potężnym głosem, obróciwszy się twarzą tam, gdzie w ciemności migotały ognie miasta:

— Przekleństwo wam! Poczekajcie... i wy się zadusicie!

## XI.

— Lubeczko! — rzekł pewnego razu Majakin po powrocie z giełdy — przygotuj się dziś wieczorem — przywiozę narzeczonego. Przyrządź zacną przekąseczkę. Zastaw stół starem srebrem... wyjmij też klosze do owoców... Żeby mu w oczko wpadł nasz stół! Niechaj widzi, że u nas każda rzecz — nie byle jaka!

Luba, siedząc przy oknie z głową nisko zwieszoną nad robotą, cerowała skarpetki ojca.

— Poco to wszystko, ojcze? — zapytała z niezadowoleniem i urazą.

— A dla szyku... dla smaku... I dla porządku... Dziewka — to nie koń, i bez uprzęży trudno się jej pozbyć...

Luba nerwowo odrzuciła wtył głowę i, odłożywszy robotę, cała czerwona z bolesnego wzruszenia, spojrzała na ojca... potem znów wzięła skarpetki i jeszcze niżej pochyliła się nad niemi. Stary chodził po pokoju, skubiąc w zamyśleniu bródkę; patrzał gdzieś daleko przed siebie i widać było, że cały utonął w jakichś ważnych i zawikłanych myślach. Luba zrozumiała, że on jej nie wysłucha i nie zechce zrozumieć, jak są poniżające dla niej jego wyrazy. Romantyczne jej marzenia o mężu-przyjacielu, o człowieku inteligentnym, który czytywałby z nią razem rozumne książki i dopomógł jej zorjentować się w chaosie sprzecznych pragnień, — zniweczone zostały przez bezwzględne postanowienie ojca wydania jej za Smolina, zostały zdeptane, starte na proch i utworzyły w jej duszy gorzki osad. Uważała siebie zawsze za coś lepszego od zwykłej córki kupieckiej — głupiej i pustej dziewczyny, która tylko myśli o strojach i wychodzi zamąż z rozkazu rodziców, a nie serca.

I oto teraz sama wychodzi zamąż jedynie dlatego, że—nadszedł czas, i jeszcze dlatego, że ojciec chce mieć zięcia, któryby objąłby po nim interes. Ojciec myśli, że ona sama przez się nie jest zdolna podobać się mężczyźnie, i dlatego chce ją ustroić w srebro. Oburzona, pracowała nerwowo, kłuła sobie palce, łamała igły, ale milczała, wiedząc doskonale, że serce ojca pozostanie głuche na wszystkie jej prośby.

A ojciec wciąż spacerował po pokoju i to wyśpiewywał psalmy, to pouczał córkę, jak powinna zachować się wobec narzeczonego. I w tejże chwili obliczał coś na palcach, marszczył się i uśmiechał...

— Hm... tak!... Sądź mnie, o Boże! i rozstrzygnij sprawę moją... od człowieka zdradliwego i niezbożnego wyrwij mnie... Ta-ak... a włóż-no, Lubo, matczyne szmaragdy...

— Dosyć, ojcze! — zawołała dziewczyna z rozpaczą. — Proszę mnie zostawić w spokoju...

— Nie upieraj się! Uważaj! Słuchaj, co ci mówię...

I znowu utonął w swych obliczeniach, przymrużając zielone oczy i wymachując palcami pod swoim nosem.

— Trzydzieści pięć procent wypada... hm... urwischłopak... Ześlij światłość Twoją i prawdę Twoją...

— Ojcze! — zawołała Luba posępnie i z pewnym lękiem.

— Czego?

— Ojcze... czy on się ojcu podoba?

— Kto?

— Smolin...

— Smolin? — Ta-a-k... to — szelma... dzielny chłopak... do-o-bry kupiec! Ale — muszę wyjść... Więc przygotuj się...

Zostawszy sama, Luba rzuciła robotę, oparła się o poręcz krzesła i zamknęła oczy. Mocno zaciśnięte jej ręce leżały na kolanach. Przepełniona goryczą obrażonej godności, czuła strach przed tem, co będzie, i w milczeniu modliła się:

— O Boże mój! O Panie! Gdybyż był przynajmniej porządnym człowiekiem!... Uczyń, aby był porządnym... serdecznym... O Boże! Przychodzi jakiś nieznany

mężczyzna, ogląda cię... i bierze sobie na długie lata, jeżeli mu się podobam... Jakie to haniebne... okropne... Boże mój, Boże! Gdybym mogła uciec!... Kogo się tu poradzić... co robić? Kto on jest? Jak dowiedzieć się o nim? Nic nie wiem? A myślałam... tylem myślała! Czytałam... Poco czytałam? Poco mi wiedzieć, że można żyć inaczej... tak żyć, jak ja nie mogę? A, gdyby nie te książki... lżejsze byłoby życie, prostsze... Jak to wszystko męczy! Jakam ja biedna... nieszczęśliwa... Samotna... Gdyby choć Taras...

Na wspomnienie o bracie uczuła jeszcze dotkliwiej swą krzywdę. Do Tarasa napisała była długi wesoły list, w którym mówiła o swej miłości dla niego, o nadziejach, które w nim pokładała; błagała brata, aby przyjechał jak najprędzej, kreśliła mu plany wspólnego pożycia, zapewniała go, że ojciec jest mądry i wszystko potrafi zrozumieć, opowiadała o jego samotności, unosiła się nad jego umiejętnością życia, a jednocześnie użalała się na jego stosunek do niej.

Przez dwa tygodnie z niepokojem oczekiwała odpowiedzi i kiedy wreszcie otrzymała ją — to wybuchnęła histerycznym płaczem z radości i zawodu. Odpowiedź była sucha i krótka; Taras zawiadamiał, że za jaki miesiąc będzie przejeżdżał w interesie po Wołdze i nie omieszka wpaść do ojca, jeżeli stary rzeczywiście nic nie ma przeciwko temu. List był zimny, jak lód; czytała go ze łzami, kilka razy mięła go i gniotła, ale od tego nie stawał się cieplejszy, tylko wilgotniał. Z kartki sztywnego pocztowego papieru, zapisanego dużym męskim charakterem, jakby wyzierała pomarszczona, niedowierzająco chmurna twarz, mizerna i ostra, jak twarz ojca.

Na Jakóba Tarasowicza list syna wywarł inne wrażenie. Dowiedziawszy się, że Taraz odpisał, starzec zatrząsł się cały i z ożywieniem, z jakimś szczególnym uśmiechem pośpiesznie zwrócił się do córki.

— A no, daj tu ten list! Pokaż! Hę? Przeczytamy, co mądrala pisze... Gdzie są okulary? Hm... „Droga siostro!" Ta-a-k...

Starzec zamilkł, przeczytał odpowiedź syna, położył ją

na stole i, wysoko podniósłszy brwi, ze zdziwieniem na twarzy, przeszedł się po pokoju. Potem znów przeczytał list, zamyślił się, postukał palcami po stole i rzekł:

— Niczego... odpowiedź treściwa... bez zbytecznych słów... Cóż? Może i rzeczywiście zmężniał człowiek na chłodzie... Mrozy tam siarczyste... Niechaj przyjedzie... Zobaczymy... Ciekawa rzecz... Tak... Pogadamy.

Starzec starał się mówić spokojnie i z lekceważącym uśmiechem, ale uśmiech nie udawał mu się, a zmarszczki drgały z podniecenia i oczki świeciły jakimś szczególnym blaskiem.

— Napisz do niego jeszcze, Lubeczko... niech śmiało przyjeżdża...

Luba napisała jeszcze raz do Tarasa, ale już bardzo krótko i spokojnie, i teraz czekała z dnia na dzień odpowiedzi, usiłując wyobrazić sobie, jak wygląda ten tajemniczy brat? Dawniej myślała o nim ze drżeniem serca, z tą głęboką czcią, z jaką wierzący myślą o obrońcach wiary, o świętych — teraz zaczęła się go obawiać, albowiem za cenę ciężkich cierpień, za cenę swej młodości, zmarnowanej na zesłaniu, zdobył był prawo sądzenia życia i ludzi... Oto przyjedzie i zapyta:

— Cóż Lubo, wychodzisz zamąż z miłości, bez przymusu?

Cóż mu odpowie? Czy przebaczy jej małoduszność? I poco ona idzie zamąż? Czyż rzeczywiście jest to wszystko, co może uczynić, żeby zmienić swe życie?

W głowie dziewczyny rodziły się posępne myśli, jedna za drugą, trwożąc ją i męcząc, nie miała bowiem siły przeciwstawić im jakiegokolwiek określonego, wszystko przezwyciężającego pragnienia. Opanowana trwożnym i nerwowym nastrojem, bliska rozpaczy, ledwie powstrzymując łzy, wykonywała pomimo to ściśle wszystkie polecenia ojca, chociaż napół przytomnie: rozłożyła na stole stare srebra i wspaniałe kryształy, włożyła jedwabną suknię stalowego koloru i, usiadłszy przed lustrem, zaczęła wkładać do uszu kolczyki z ogromnemi szmaragdami — familijne klejnoty książąt Gruzińskich, które zastawione były kiedyś

u Majakina i pozostały niewykupione wraz z mnóstwem innych cennych a rzadkich rzeczy.

Patrząc w lustro na swą wzruszoną twarz, w której duże i soczyste usta wydawały się jeszcze piękniejszemi przy bladości policzków, i oglądając swój pełny biust, opięty jedwabiem, poczuła się piękna. Zielone kamienie, iskrzące się w jej uszach, obrażały ją, jako zbyteczne dla niej ozdoby; a przytem zdawało się jej, że rzucają na twarz lekki żółtawy odcień. Wyjęła więc z uszu szmaragdy, zamieniając je na małe rubiny i myśląc jednocześnie o Smolinie — co to za człowiek? Jaki ma charakter? Czego chce? Czy czytuje książki?...

Potem nie podobały się jej ciemne kręgi pod oczami, więc zaczęła osypywać je starannie pudrem, nie przestając jednocześnie myśleć z goryczą o tem, że jest kobietą, i czyniąc sobie wyrzuty za brak woli. Kiedy pod warstwą pudru zginęły sińce dokoła oczu, wydało się Lubie, że oczy jej wskutek tego straciły blask, więc starła puder... Ostatnie spojrzenie w lustro przekonało ją, że jest pociągająco piękna. Ta miła świadomość uspokoiła nieco jej trwożny nastrój: do stołowego pokoju weszła poważnym krokiem bogatej, znającej swą wartość narzeczonej.

Ojciec i Smolin już byli tam.

Luba na sekundę zatrzymała się we drzwiach, pięknie mrużąc oczy i zaciskając dumnie usta. Smolin wstał z krzesła, postąpił krok naprzód i ukłonił się z uszanowaniem. Podobał się jej ten ukłon — uniżony i zgrabny, podobał się i kosztowny surdut, pięknie leżący na wysmukłem ciele Smolina... Niewiele się zmienił — ten sam rudy, gładko ostrzyżony, cały w piegach; tylko wyrosły mu długie sumiaste wąsy i oczy stały się niby większe.

— Jakże go teraz znajdujesz, co? — zwrócił się Majakin głośno do córki, wskazując narzeczonego.

A Smolin ściskał jej rękę i, uśmiechając się, mówił dźwięcznym barytonem:

— Śmiem przypuszczać — że pani nie zapomniała starego towarzysza?

— Doskonale!... Pogadacie potem — rzekł stary,

obrzucając córkę spojrzeniem. — Tymczasem, Lubeczko, zajmij się tu, a my dokończymy rozmowę. Proszę cię, Afrykanie Mitryczu, mów dalej...

— Czy pani pozwoli? — zapytał uprzejmie Smolin.

— Ależ proszę się nie krępować, — odrzekła Luba.

„Grzeczny i zręczny!... — zanotowała w myśli i, chodząc po pokoju od stołu do kredensu, zaczęła uważnie przysłuchiwać się słowom Smolina. Mówił miękko, stanowczo, z prostotą, w której przebijała pewna pobłażliwość dla słuchacza.

— Otóż prawie cztery lata badałem starannie na rynkach zagranicznych handel rosyjskiemi skórami i muszę powiedzieć, że skóry nasze poszły w poniewierkę! Trzydzieści lat temu skóra nasza była uważana tam za doskonałą, niemal wzorową, a teraz zapotrzebowanie na nią coraz się zmniejsza, oczywiście, wraz z ceną. Jest to zupełnie naturalne zjawisko — w braku bowiem kapitału i wiedzy, ci wszyscy drobni garbarze nie mają możności postawić produkcji na należytej wysokości, a jednocześnie obniżyć jej ceny... Towar ich jest zadziwiająco lichy i drogi... Wszyscy oni są wprost odpowiedzialni wobec Rosji za to, że popsuli jej opinję producentki doskonałej skóry. Wogóle — drobny wytwórca, pozbawiony wiedzy technicznej i kapitału, — a więc nie będący w stanie ulepszyć swej produkcji stosownie do rozwoju techniki, — taki wytwórca jest klęską dla kraju, pasorzytem dla jego handlu...

— Hm... — mruczał stary, patrząc jednem okiem na gościa, a drugiem obserwując córkę. — Teraz więc masz zamiar wydmuchać taką ogromną fabrykę, żeby wszystkie inne — zrobiły klapę i basta?

— O, nie! — zawołał Smolin. — Poco krzywdzić innych? Jakie mam do tego prawo? Celem moim jest — podniesienie znaczenia i ceny rosyjskiej skóry zagranicą i oto, uzbrojony w wiedzę techniczną, buduję wzorową fabrykę i wypuszczam na rynki wyborowy towar... Honor handlu krajowego...

— A ile, powiadasz, potrzeba kapitału? — zapytał Majakin w zamyśleniu.

— Około trzystu tysięcy...

„Tyle posagu nie da mi ojciec“, — pomyślała Luba.

— Fabryka moja będzie wyrabiała różne towary ze skóry, jako to: walizki, obuwie, uprząż, pasy i t. d.

— A o jakim procencie marzysz? — zapytał starzec.

— Ja nie marzę, ja — obliczam z całą ścisłością, możliwą przy naszych rosyjskich warunkach, — rzekł Smolin poważnie. — Wytwórca powinien być ścisły i trzeźwy, jak mechanik budujący maszynę... Trzeba wziąć w rachubę tarcie najmniejszej śrubki, jeżeli chce się poważną robotę prowadzić poważnie. Mogę dać panu do przeczytania ułożoną przeze mnie notatkę, opartą na własnych badaniach hodowli bydła i spożycia mięsa w Rosji...

— Masz ci go! — uśmiechnął się Majakin. — Przynieś mi notatkę... ciekawym! Widać — żeś w tej swojej Europie nienapróżno czas spędzał... A teraz, może przekąsimy cokolwiek wedle rosyjskiego zwyczaju...

— Jakże się pani miewa, panno Lubo? — zapytał Smolin, biorąc do ręki nóż i widelec.

— Ona wciąż nudzi się u mnie... — odpowiedział za córkę Majakin. — Rządzi domem, całe gospodarstwo na niej się trzyma, nie ma zatem czasu na zabawy...

— I nie ma gdzie się bawić, trzeba dodać, — odezwała się Luba. — Kupieckich balów i wieczorków nie lubię...

— A teatr? — zapytał Smolin.

— Też rzadko bywam... niema z kim...

— Teatr! — zawołał starzec. — Powiedzcie, proszę, — skąd wzięła się ta moda przedstawiania kupca w roli dzikiego durnia? Jest to może bardzo śmieszne, ale — nieprawdziwe! Com ja za dureń, jeżeli i w zarządzie miejskim jestem — panem, w handlu — też panem, a i teatr także do mnie należy?... Na scenie patrzysz na kupca i widzisz — nic nie ma wspólnego z życiem! Naturalnie, jeżeli grają coś historycznego — naprzykład: „Życie za cara“ ze śpiewami i tańcami, albo jakiego tam „Hamleta“ czy „Czarodziejkę“ lub „Bazylissę“ — to prawda tutaj nie potrzebna, ponieważ jest to rzecz dawna i nas się nie tyczy... Praw-

dziwe czy nieprawdziwe — byleby zdrowe... Ale jeżeli dają rzecz spółczesną — niechaj nie kłamią! I przedstawiają ludzi, jak należy...

Smolin słuchał mowy starca z uprzejmym uśmiechem na ustach, a na Lubę rzucał takie spojrzenia, jakby prosił ją, aby zaprzeczyła ojcu. Zmieszana nieco, rzekła:

— A jednakże, ojcze, stan kupiecki jest przeważnie niewykształcony i dziki...

— Ta-a-k, — potakując głową, przemówił z żalem Smolin, — jest to smutna prawda...

— Tomasz, naprzykład... — ciągnęła dalej Luba.

— O? —zawołał Majakin. — No, wy młodzi — chyba lepiej wiecie...

— A czy pani bierze udział w jakich stowarzyszeniach? — zapytał Lubę Smolin. — Przecież tutaj tak wiele różnych towarzystw...

— Tak, — z westchnieniem odrzekła Luba, — ale ja żyję jakoś na uboczu... zdala od tego wszystkiego...

— Gospodarstwo! — dodał ojciec. — Tyle jest tych przeróżnych drobiazgów... a wszystko to trzeba utrzymać w czystości i porządku...

I z dumą wskazał głową na stół, zastawiony kryształowem naczyniem i srebrem, i na etażerkę, której półeczki uginały się pod ciężarem rozmaitych drobiazgów i cacek i przypominały wystawę magazynu. Smolin obejrzał to wszystko i przez usta jego przeleciał ironiczny uśmiech. Potem spojrzał na twarz Luby; w spojrzeniu tem dojrzała coś, niby przyjaźń, niby współczucie. Lekki rumieniec oblał jej policzki i w głębi duszy pomyślała sobie z nieśmiałą radością:

„Dzięki Bogu!"...

Światło ciężkiej bronzowej lampy błysnęło jakby jaskrawiej na wypukłościach kryształowych waz i w pokoju zrobiło się jaśniej.

— A mnie podoba się nasze stare, sławne miasto! — rzekł Smolin, patrząc z miłym uśmiechem na pannę, — takie piękne, gwarne... ma ono w sobie coś orzeźwiającego, zachęcającego do pracy... sama jego piękność podnieca ja-

koś... Pragnie się żyć w niem życiem szerokiem... Chce się pracować wiele i poważnie... A przytem — miasto inteligentne... Patrzcie — jaka poważna wychodzi tutaj gazeta... Ale, ale — chcemy ją kupić...

— Któż to my? — zapytał Majakin.

— A ot ja... Urwańcow, Szczukin.

— To się chwali! — uderzywszy ręką w stół, powiedział starzec. — To bardzo mądra myśl! Czas im zamknąć gębę — dawno już czas! Jest tam zwłaszcza Jeżow... taka zębata piła... Otóż weźcie go w kluby! Tylko dobrze!

Smolin znów rzucił na Lubę słodkie spojrzenie i serce jej znowu zabiło radośnie. Z rumieńcem na twarzy rzekła do ojca, mówiąc właściwie tylko do narzeczonego:

— O ile ja rozumiem Afrykana Dmitrjewicza, to on kupuje wcale nie poto gazetę, żeby... jej zakneblować usta, jak chce ojciec...

— A nacóż ona potrzebna? — zapytał starzec, wzruszając ramionami. — Same puste słowa, zamęt tylko szerzy w umysłach... Naturalnie, jeżeli człowiek pracy, kupiec zabierze się do pisania w niej...

— Wydawanie gazety, — przemówił pouczająco Smolin, przerywając mowę starca, — jeżeli będziemy się na to zapatrywali nawet z handlowego punktu widzenia, może być źródłem bardzo poważnego dochodu. Ale oprócz tego gazeta ma jeszcze inny, bardziej wzniosły cel, mianowicie obronę praw jednostki i interesów przemysłu i handlu...

— Otóż i ja to mówię — jeżeli sam kupiec nada kierunek gazecie, to wówczas jest ona potrzebna...

— Proszę ojca... — wtrąciła Luba.

Zaczęła uczuwać potrzebę wynurzenia się przed Smolinem; chciała przekonać go, że pojmuje znaczenie jego słów, że nie jest zwykłą kupiecką córką, która umie jeno stroić się i tańczyć. Smolin podobał się jej. Po raz pierwszy widziała kupca, który długo mieszkał zagranicą, rozprawiał tak rozsądnie, zachowywał się tak przyzwoicie, ubrany był tak gustownie i mówił z jej ojcem — pierwszą głową w mieście — pobłażliwym tonem człowieka dorosłego, kiedy rozmawia z dzieckiem...

„Po weselu namówię go, żeby mnie zawiózł zagranicę"... — pomyślała nagle i, zajęta tą myślą, zapomniała o tem, co chciała powiedzieć ojcu. Zaczerwieniwszy się mocno, milczała przez parę sekund, bojąc się, żeby milczenia tego nie wytłumaczył sobie Smolin na jej niekorzyść...

— Ale ojciec, zajęty rozmową, zapomniał poczęstować gościa winem... — wpadła na pomysł po chwili przykrego milczenia.

— To do ciebie, gospodyni, należy... — odrzekł ojciec.

— Ależ proszę się nie trudzić, dziękuję! — zawołał żywo Smolin. — Ja prawie zupełnie nie piję...

— Czyż tak? — zapytał Majakin.

— Upewniam pana! Czasem kieliszek, dwa, kiedy jestem znużony lub niezdrów... Ale pić wino dla przyjemności — nie rozumiem. Są inne przyjemności bardziej godne cywilizowanego człowieka...

— Kobietki, co? — mrugnąwszy, zapytał stary.

Twarz i szyja Smolina zaczerwieniły się od fali krwi, która uderzyła mu do głowy. Rzucił błagalne spojrzenie na Lubę, a ojcu odparł sucho:

— Teatr, książki, muzyka...

Przy tych słowach Luba rozpromieniła się zupełnie.

A stary spojrzał zpode łba na szlachetnego młodzieńca, uśmiechnął się chytrze i wypalił mu nagle:

— Ha, jak to życie idzie naprzód! Dawniej psina gryzła skórkę, a teraz dla niej i śmietanka za rzadka... Wybaczcie, kochani państwo, cierpkie słowa... Nie do was to mówię a wogóle...

Luba zbladła i spojrzała z przerażeniem na Smolina. Ten siedział spokojnie, przyglądając się starożytnej solniczce w kształcie łodzi, wykładanej emalją, kręcił wąsy i jakgdyby nie słyszał słów starca... Ale oczy jego pociemniały, a usta zacisnęły się mocno.

— A więc, przyszły panie fabrykancie, — jakgdyby nic nie zaszło, przemówił Majakin, — trzysta tysięcy rubelków i — interes twój gotów?

— Tak i za półtora roku wypuszczę pierwszą partję towaru, który zostanie rozchwytany, — prosto i z niezachwianą wiarą wyrzekł Smolin i spojrzał staremu zimno w oczy.

— Zatem: dom handlowy Smolin i Majakin — i basta? Tak... Ale tylko... czy nie zapóźno dla mnie zawiązywać nowy interes, co? Przypuszczać należy, że dla mnie już trumna gotowa... jak sądzisz?

Zamiast odpowiedzi Smolin śmiał się obojętnym i zimnym śmiechem przez chwilę, a potem rzekł:

— E, co o tem gadać...

Od jego śmiechu starzec zadrżał i lękliwie odsunął się ledwie dostrzegalnym ruchem ciała. Po odezwaniu się Smolina wszyscy troje milczeli chwilę.

— Tak... — rzekł Majakin, nie podnosząc zwieszonej nadół głowy. — Trzeba pomyśleć o tem... trzeba pomyśleć... —Potem podniósłszy głowę, spojrzał uważnie na córkę i narzeczonego, wstał z krzesła i rzekł posępnie i rubasznie: — Na chwilkę opuszczę was, idę do swego gabineciku... Chyba nie znudzicie się beze mnie...

I wyszedł, ciężko suwając nogami, zgarbiony, z głową zwieszoną...

Młodzi ludzie, pozostawszy sam na sam, zamienili ze sobą kilka pustych frazesów i zrozumiawszy zapewne, że to ich tylko nawzajem odpycha, zamilkli oboje w ciężkiej, niezręcznej i wyczekującej ciszy. Wziąwszy pomarańczę, Luba z przesadną uwagą zaczęła ją obierać, a Smolin obejrzał swe wąsy, potem pogładził je starannie lewą ręką, pobawił się nożem i cichym głosem nagle zapytał:

— Przepraszam za niedelikatność. Zapewne pani ciężko jest żyć z ojcem... człowiek starej daty i — proszę mi wybaczyć — trochę czerstwy!

Luba zadrżała i spojrzała na rudego młodzieńca z wdzięcznością w oczach, mówiąc:

— Tak, ciężko, ale przywykłam... Ma on i swe dobre strony...

— O, zapewne! Ale dla młodej, wykształconej kobiety, z pewnemi poglądami... wszak ja nieco słyszałem o pani.

Uśmiechnął się tak łagodnie, z takiem współczuciem, i głos miał taki miękki... Przez pokój jakby przeleciał jakiś ciepły, ogrzewający duszę podmuch. I w sercu Luby coraz jaśniej rozpalała się nadzieja wydobycia się z ciężkiej niewoli i osamotnienia...

## XII.

Nad rzeką wisiała gęsta szara mgła i parostatek, wydając od czasu do czasu głuchy ryk, płynął śród niej powoli przeciw prądowi. Wilgotne i zimne, jednostajnie szare obłoki nasuwały się na parostatek ze wszystkich stron i pochłaniały wszystkie dźwięki, rozpuszczając je w swej mętnej wilgoci. Przytłumiony ryk sygnałów huczał smutnie i jakoś dziwnie krótko: jakgdyby dla dźwięku brakło miejsca w powietrzu, przesiąkniętem gęstą wilgocią, i dźwięk ten opadał nadół mokry, zdławiony. Szum kół parostatku rozlegał się tak głucho i fantastycznie, jakgdyby wydobywał się gdzieś z głębi, z ciemnego dna rzeki. Z pokładu nie widać było ani wody, ani brzegów, ani nieba: szary ołowiany tuman ogarnął statek ze wszystkich stron; jednostajny, posępny wisiał nieruchomo, przygniatał statek niezmiernym ciężarem, opóźniając jego bieg. Pomimo miarowego drżenia kadłubu — zdawało się, że statek z trudem porusza się na jednem miejscu, wije się w agonji, syczy jak zdychający mityczny potwór, wyje w przedśmiertnej trwodze, wyje z bólu i strachu przed śmiercią.

I światła na parostatku były jakieś martwe. Na żaglu dokoła latarni utworzyła się żółta nieruchoma plama; unosiła się nad parostatkiem we mgle, pozbawiona blasku, i nic nie oświetlała prócz szarej mgły. Czerwone światło na burcie podobne było do ogromnego, wybitego okna, oślepłego, zalanego krwią. Z okien parostatku padały w mgłę blade plamy światła.

Dym z komina opadał nadół i wraz z kłębami mgły wciskał się we wszystkie szczeliny na pokładzie, gdzie pasażerowie trzeciej klasy owijali się w milczeniu w swe łach-

many, zbijając się w gromadki, jak owce. Z oddziału maszynowego dolatywały ciężkie sapania, głębokie westchnienia, głuche odgłosy komendy i oderwane słowa maszynisty.

Przy sterze, w kącie zastawionym beczkami solonej ryty, tuliła się grupka ludzi, oświetlona elektryczną lampką. Byli to poważni włościanie, ciepło i czysto odziani; jeden leżał na brzuchu na ławie, drugi siedział u jego nóg, jeszcze jeden stał oparty plecami o beczkę, a dwóch usiadło wprost na deskach pokładu. Zamyślone i skupione ich twarze zwrócone były ku przygarbionemu mężczyźnie w wyrudziałej długiej kapocie i podartej futrzanej czapce. Człowiek ten siedział pochylony na jakiejś skrzynce i, patrząc sobie pod nogi, mówił cichym, pewnym głosem:

— Nadejdzie wreszcie kres bezgranicznej cierpliwości Boskiej i obruszy się gniew Jego na ludzi... Wszyscy jesteśmy — jak te robaki przed Nim, jakże więc uchylimy się od gniewu Jego?

Tomasz, gnany tęsknotą, wyszedł ze swej kajuty na pokład i, stanąwszy w cieniu, słuchał oddawna upominającego i łagodnego głosu kaznodziei. Grupę tę spostrzegł, spacerując po pokładzie, i zatrzymał się przy niej, pociągnięty postacią wędrowca. Przypominał mu kogoś znajomego ten rosły tęgi olbrzym o surowej, ciemnej twarzy i dużych spokojnych oczach. Kędzierzawe, napół siwe włosy, wysuwające się pod okrągłej jarmułki zakonnej, nieuczesana, gęsta, grubemi kosmykami spadająca broda, długi garbaty nos, ostre uszy, grube wargi — wszystko to widział już kiedyś Tomasz, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy.

— Ta-ak... wiele długów zaciągnęliśmy u Boga! — westchnąwszy ciężko, rzekł jeden z chłopów.

— Modlić się trzeba... — ledwie dosłyszalnym szeptem powiedział inny, leżący na ławce.

— Czyż modlitwą oczyścisz duszę z grzechu śmiertelnego? — głośno i prawie z rozpaczą w głosie zawołał ktoś ze strony.

Nikt z grupy ludzi, otaczających pątnika, nie odezwał się na ten głos, głowy tylko wszystkich pochyliły jeszcze ni-

żej i przez długi czas ludzie ci siedzieli nieruchomo w milczeniu.

Pątnik powiódł po słuchaczach poważnem i zamyślonem spojrzeniem swych niebieskich oczu i przemówił zcicha:

— Jefrem Sirin powiedział: „Uczyń duszę twą ogniskiem myśli twojej i utrzymaj wolę swą na wodzy od grzechów..."

I znowu zwiesił głowę, przebierając palcami różaniec...

— Myśleć zatem trzeba... — odezwał się jeden z chłopów. — A kiedyż zdąży człowiek myśleć, żyjąc na świecie?

— Dokoła — gwar i zamęt...

— Na pustynię chyba uciekać... — przemówił chłop leżący na ławie.

— Nie każdy to może...

Odezwali się chłopi i — znowu zamilkli. Zaskowytała gwizdawka, dzwonek zadzwonił przy maszynie. Na drugim końcu statku ktoś nawoływał.

Kłęby mgły wdarły się skądciś na pokład i rozpełzły się po nim jak zimne szare strzępy dymu...

— Ot, ludzie dobrzy, posłuchajcie słów króla Dawida... — powiedział pątnik i, kiwając głową, zaczął wyraźnie recytować: „Panie! prowadź mię w sprawiedliwości Twojej dla nieprzyjaciół moich, a wyprostuj przed obliczem moim drogę Twoją! Bo niemasz nic szczerego w ustach ich: wnętrzności ich złośliwe, gardło ich, jako grób otwarty, językiem swym pochlebiają... Spustosz ich o Boże! niech upadną od rad swoich..."

Parostatek gniewnie zasyczał i popłynął wolniej. Rozlegające się syczenie pary zagłuszyło wyrazy pątnika i Tomasz widział tylko, jak poruszały się jego wargi.

— Idź precz! — rozległ się nagle gniewny i głośny krzyk. — To moje miejsce!

— Two-je?

— Masz ci twoje!

— Jak cię lunę w pysk... wnet znajdziesz swoje miejsce... Widzisz go, co za pan!

— Idź precz!

Wszczęła się bójka. Słuchający pątnika chłopi odwrócili swe głowy w stronę hałasu, a pątnik westchnąwszy zamilkł. Wpobliżu maszyny rozpoczęła się ożywiona i głośna rozmowa.

— Ja wam dam, djabli! Wynoście się stąd obaj...

— Zaprowadzić ich do kapitana...

— Cha-cha-cha! A to ci pogodził ich!

— Dobrze mu zajechał po karku!

— Majtkowie — sprytny naród...

Chwiejąc się na nogach od ruchu parostatku, Tomasz stał przytulony do jakichś pak i przysłuchiwał się uważnie wszystkiemu, co działo się dokoła niego, i wszystko zlewało się dlań w jeden znany mu obraz.

We mgle i niewiadomości, zewsząd otoczone gęstym mrokiem, toczy się powoli i ciężko ludzkie życie. A ludzie żałują za grzechy, ciężko wzdychają i tuż obok walczą o ciepłe miejsce i, pobiwszy się o nie, otrzymują jeszcze razy od tych, co chcą zaprowadzić ład w życiu. Z trwogą szukają wiodącej do ich celu drogi... święta modlitwa pątnika ginie w zgiełku życia. I nie jest wolny od tęsknoty i nie zna radości ten, kto zastanawia się nad swoim losem...

Tomasz zapragnął pomówić z tym pielgrzymem, w którego cichych słowach dźwięczał szczery strach przed Panem i wielka trwoga o ludzi przed obliczem Jego. Spokojny, upominający głos pielgrzyma posiadał jakąś moc, zmuszającą Tomasza do wsłuchiwania się w głęboki, piersiowy jego dźwięk.

„Rozpytam się go o jego życie..." — pomyślał Tomasz, przypatrując mu się uważnie. — „Gdzie ja go widziałem? Kogo mi on przypomina?"

I nagle, ni stąd ni zowąd, wyłoniła się w nim wyraźnie myśl, że ten łagodny kaznodzieja nie jest kim innym, jeno synem starego Ananija Szczurowa. Uderzony tym domysłem, podszedł do pielgrzyma i, usiadłszy obok niego, zapytał:

— Czy nie z nad Irgizu, ojcze?

Ten podniósł głowę, obrócił się powoli i ociężale twa-

rzą do Tomasza, przyjrzał mu się i łagodnie, spokojnym głosem odrzekł:

— Byłem i nad Irgizem...

— Czyżcie tamtejsi?

— Nie...

— A teraz — skąd idziecie?

— Od świętego Stefana...

Rozmowa urwała się, — Tomaszowi nie starczyło odwagi, aby zapytać pielgrzyma, czy nie jest synem Szczurowa?

— Spóźnimy się przez tę mgłę, — odezwał się ktoś.

— Jakże nie mamy się spóźnić!..

Wszyscy milczeli, patrząc na Tomasza. Młody, piękny, czysto i bogato ubrany, wzbudzał ciekawość śród otoczenia, w którem znalazł się niespodzianie; czuł tę ciekawość, rozumiał, że wszyscy czekają na jego słowa, chcą zrozumieć, poco on przyszedł do nich, i — wszystko to krępowało go i gniewało.

— Zdaje mi się, ojcze, żem was widział gdzieś... — powiedział wreszcie.

Pielgrzym, nie patrząc nań, odparł:

— Być może...

— Chciałbym pomówić z wami... — odezwał się Tomasz nieśmiało i cicho.

— Cóż takiego? mówcie...

— Chodźcie ze mną...

— Dokąd?

— Do mojej kajuty...

Pielgrzym spojrzał w twarz Tomaszowi i po chwili milczenia zgodził się:

— Chodźmy...

Odchodząc, Tomasz czuł na swoich plecach spojrzenia chłopów i ich ciekawość sprawiła mu przyjemność.

W kajucie zapytał uprzejmie:

— Może co zjecie? Powiedzcie — każę dać...

— Uchowaj Boże... Czegóż chcecie ode mnie?

Ten człowiek, w wyrudziałej, okrytej łatami sutannie, brudny i obdarty, obejrzał z obrzydzeniem kajutę, a, siada-

jąc na kanapie, obitej pluszem, zawinął pod siebie poły sutanny tak, jakgdyby obawiał się zawalać ją o plusz.

— Jak wam na imię, ojcze? — zapytał Tomasz, spostrzegłszy wyraz obrzydzenia na twarzy pielgrzyma.

— Miron.

— A nie Michał?

— Dlaczegóż Michał? — zapytał pielgrzym.

— W naszem mieście... był pewien kupiec, Szczurow, miał syna... który też uciekł nad Irgiz... nazywał się Michał...

Mówiąc to, Tomasz patrzył pilnie na ojca Mirona, ale ten był spokojny, niby głuchoniemy.

— Nie spotykałem takiego... nie pamiętam, nie spotykałem... — rzekł w zamyśleniu... — Więc o niego chciałeś się zapytać?

— Ta-a-k...

— Nie spotykałem Michała Szczurowa... No, bywaj zdrów, niech cię Bóg ma w swej opiece! — i, podniósłszy się z kanapy, skłonił się Tomaszowi i skierował ku drzwiom.

— Słuchajcie, posiedźcie trochę... porozmawiajmy! — zawołał Tomasz, z niepokojem rzuciwszy się ku niemu. Ten spojrzał badawczo na Tomasza i usiadł zpowrotem.

Skądciś zdaleka doleciał przytłumiony dźwięk, podobny do żałosnego jęku, i wnet za nim nad głowami Tomasza i gościa zawył przeciągle i trwożnie gwizdek parostatku. Z oddali znowu odpowiedziano mu już bardziej wyraźnie i statek znów zaryczał urywanemi, lękliwemi okrzykami. Tomasz otworzył okno: we mgle nieopodal przesuwało się coś z ciężkim łoskotem i szumem, przepłynęły plamy fantastycznego światła, mgła zakołysała się i znów zamarła... w martwej nieruchomości...

— Aż straszno! — zawołał Tomasz, zamykając okno.

— Czego się bać? — zapytał pielgrzym.

— A ot! Ani to dzień, ani noc... ani mrok, ani światło! Nic nie widać... płyniemy gdzieś, błądzimy po rzece...

— Miej w sobie ogień wewnętrzny, miej światło w duszy — a wszystko dojrzysz... — rzekł pielgrzym pouczająco i surowo.

Te zimne słowa obudziły w Tomaszu uczucie niezadowolenia; spojrzał zukosa na wędrowca. Ten siedział ze zwieszoną głową, nieruchomy, jakby zastygły w myślach i modlitwie. Paciorki różańca szemrały w jego rękach...

— Powiedz mi, ojcze Mironie, czy dobrze tak żyć... na zupełnej swobodzie... bez pracy, bez krewnych... wędrując tak oto, jak ty?

Ojciec Miron podniósł głowę i zaśmiał się cicho jakimś łagodnym, dziecinnym śmiechem. Twarz jego, bronzowa od wiatru i słońca, rozjaśniła się światłem wewnętrznej radości. Był to już inny człowiek — nie nabożniś i głosiciel życia sprawiedliwego i bojaźni Bożej, a dobry i prosty chłop, którego widok wywołał na usta Tomasza, dobroduszny uśmiech. Spojrzawszy na Tomasza, Miron westchnął głęboko i odezwał się łagodnie:

— Czyż źle!...

— Jesteś więc zadowolony ze swego życia?

— Nie naprzykrzam się Panu Bogu swemi skargami... ot, żyję sobie! Żebraczy żywot — prawdziwie boski żywot... jedyny, co wyzwala od pokus i pęt światowych...

— A ja oto... — przemówił Tomasz, ale przerwał i zamilkł. W jego uszach wciąż dźwięczał ten radosny, budzący zazdrość śmiech...

— Czemuż usunąłeś się od świata? — zapytał po chwili milczenia.

— Byłem obcy dla braci swoich... — odrzekł spokojnie Miron, i, obejrzawszy kajutę uważnym, badawczym wzrokiem, rzekł z pogardliwą litością:

— Co za umeblowanie! Upiększają, upiększają siebie nazewnątrz, a wewnątrz — same śmiecie...

— Ta-a-k... — przeciągnął Tomasz, patrząc przez okno. — Więc wędrówka sprawia ci przyjemność? Dobrze żyć samemu?

— Och, bracie mój! — cicho zawołał pielgrzym, przysuwając się do Tomasza i zaglądając mu w twarz życzliwie i smutnie. — Widzę, że niepokój ci zasiadł w duszy... czy tak?

Tomasz kiwnął głową w milczeniu i spojrzał na gościa, jakgdyby czegoś odeń oczekiwał. Twarz Mirona promieniała cichą radością; dotknął ręką kolana Tomaszowego i przemówił serdecznym głosem:

— Wyrzeknij się świata, ponieważ niema w nim słodyczy. Prawdę powiadam — odejdź od złego. Pamiętasz, powiedziano jest: „Błogosławiony mąż, który nie chodzi w radzie niepobożnych, a na drodze grzesznych nie stoi." Usuń się, orzeźwij duszę swoją w samotności i zagłębij się w myślach o Panu!... Albowiem tylko myśli o Nim mogą ocalić człowieka od zdrożności...

— Nie o to mi chodzi! — rzekł Tomasz. — Nie szukam zbawienia... niewiele zgrzeszyłem. Nietyle przynajmniej, co inni... Ja chciałbym tylko zrozumieć...

— Zrozumiesz, jak usuniesz się od świata... Wyjdź na otwartą drogę, na pola, na stepy, na równiny, góry... Wyjdź i z oddali spójrz na świat...

— Właśnie! —zawołał Tomasz. — I ja o tem myślę... Z oddali lepiej widać!

A Miron, nie zwracając uwagi na jego słowa, mówił dalej szeptem, jakgdyby mowa była o jakiejś wielkiej tajemnicy, jemu tylko wiadomej:

— Zaszumią wokoło ciebie gęste lasy słodkiemi głosami o mądrości Boga; zaśpiewają ci ptaszęta boże o świętej Jego chwale, a trawy stepowe słać będą kadzidło swych aromatów Przenajświętszej Panience...

Głos jego to potężniał i drżał przepełniony uczuciem, to znów przycichał do tajemniczego szeptu. Cały jakby odmłodniał: oczy jego świeciły niezłomną pewnością, a twarz promieniała szczęśliwym uśmiechem człowieka, który znalazł ujście dla swej radości.

— W każdej trawce bije serce Boże; wszystkie owady, latające i pełzające, oddychają świętem Jego tchnieniem: wszędzie jest obecny Bóg Jezus Chrystus! Jakie piękno rozlane na ziemi, na polach i w lasach! Czyś był nad Kierżeńcem? Tam cisza zalega niewysłowiona, drzewa, trawy — jak w raju...

Tomasz słuchał i w jego wyobraźni, porwanej cichym czarem opowiadania, zarysowały się rozległe pola i głuche lasy, pełne uroku i ciszy kojącej duszę...

— Leżysz sobie gdziekolwiek pod krzakiem i patrzysz w niebo, a ono coraz bardziej zniża się ku tobie, jakgdyby chciało cię objąć... Cicha radość wypełnia ci duszę, niczego nie pragniesz, nikomu nie zazdrościsz... Zdaje ci się, że na całej ziemi tylko ty i Bóg...

Wędrowiec mówił, a głos jego i śpiewna mowa przypomniały Tomaszowi cudne bajki ciotki Anfisy. Doznawał takiego uczucia, jakgdyby w dzień upalny pił po długiej drodze czystą zimną wodę z leśnego strumienia — wodę, przesiąkniętą zapachem traw i kwiatów, które zraszała... Coraz szerzej roztaczały się przed nim jaskrawe obrazy: oto ścieżka w gęstym lesie; poprzez konary drzew przesiewają się cienkie promienie słońca i drżą w powietrzu pod nogami wędrowca... Przyjemnie pachnie grzybami i więdnącemi liśćmi; miodowy aromat kwiatów, silny zapach sosny unoszą się niewidzialnie w powietrzu i wlewają się do piersi ciepłą, krzepiącą strugą... Cisza dokoła, tylko ptaki śpiewają — a czar tej ciszy jest tak dziwny, że zdaje się, jakgdyby ptaki śpiewały w twej piersi... Idziesz bez pośpiechu i życie twoje płynie, jak sen...

A tu — wszystko objęte szarą martwą mgłą i napróżno miotamy się w niej, tęskniąc do wolności i światła...

— I żadna ci troska nie dolega — mówił pielgrzym, a głos jego szemrał jak strumień; — kęs chleba wszędzie ci dadzą; i czegóż ci, wolnemu ptakowi, jeszcze potrzeba? Na świecie — troski są kajdanami duszy...

— Dobrze mówisz! — rzekł Tomasz z westchnieniem.

— Braciszku mój miły! — mówił cicho wędrowiec, podchodząc jeszcze bliżej do Tomasza. — Skoro przebudziła się dusza, skoro domaga się wolności — nie usypiaj jej gwałtem, posłuchaj jej głosu... W rozkoszach i pokusach świata niema żadnej piękności i świętości, — pocóż więc podlegać jego prawom? Jan Złotousty powiedział: prawdziwe szechinach — to człowiek! Szechinach to wyraz żydowski i znaczy — święte świętych... A więc...

Przeciągły ryk syreny zagłuszył jego głos. Przysłuchiwał się chwilę, potem wstał prędko z kanapy i rzekł:

— Gwiżdżą, to przystań... tu muszę wysiadać! No, bywaj zdrów, bracie! Niechaj ci Bóg da moc i siłę do uczynienia według pragnienia duszy twojej! Żegnaj!

Ukłonił się nisko Tomaszowi. Było coś tkliwie-kobiecego i miękkiego w jego pożegnalnych wyrazach i ukłonie. Tomasz oddał mu również niski ukłon i, oparłszy się ręką o stół, stał nieruchomy ze zwieszoną głową.

— Jak będziesz w mieście, zajdź do mnie... — poprosił pielgrzyma, który stał już w drzwiach kajuty.

— Dobrze, zajdę!.. Żegnaj! Niech cię Chrystus ma w swojej opiece...

Gdy statek uderzył bokiem o przystań, Tomasz wyszedł na galerję i spojrzał nadół we mgłę. Po schodkach schodzili ludzie ze statku, lecz śród tych ciemnych postaci, otulonych gęstą mgłą, nie mógł rozpoznać pielgrzyma. Wszystkie postacie podróżnych były jednakowo niewyraźne i wszystkie szybko znikały z oczu, jakgdyby topniejąc w szarej wilgoci... Brzegu nie było widać, a cała przystań zdawała się kołysać w takt poruszanych przez statek fal, a nad nią bujała żółta plama latarni, unosił się szmer kroków i głuchy gwar ludzki...

Statek odbił od brzegu i powoli wsunął się w obłoki mgły. Pielgrzym, przystań, szmer ludzkich głosów—wszystko zniknęło nagle, jak sen. Tomasz patrzał przed siebie, w martwe morze białego tumanu, i myślał o lazurowem, bezchmurnem i łagodnie ciepłem niebie — gdzie ono?

Następnego dnia koło południa Tomasz siedział w pokoiku Jeżowa i słuchał miejskich nowinek z ust swego kolegi. Jeżow siedział na stole zarzuconym gazetami i, bujając nogami, opowiadał:

— Zaczęła się kampanja wyborcza... na stanowisko burmistrza kupiectwo wysuwa twego chrzestnego ojca... starego djabła! Jako djabeł, jest on nieśmiertelny, chociaż dawno zapewne ma ze sto pięćdziesiąt lat. Córkę swą wydaje za Smolina... pamiętasz, rudego! Mówią, że to porządny człowiek... ale w obecnych czasach porządnymi ludźmi nazy-

wają i mądrych łotrów... dlatego, że niema ludzi! Teraz nasz Afrykanek udaje wykształconego człowieka, zdążył już wcisnąć się do inteligentnego towarzystwa, gdzieś coś ofiarował i — odrazu zwrócił na siebie powszechną uwagę. Sądząc z gęby — rzezimieszek z pod ciemnej gwiazdy, ale będzie grał rolę, ponieważ ma poczucie miary. Ta-a-k, bracie, Afrykanek to liberał... A liberalny kupiec to mieszanina wilka i świni z żabą i żmiją...

— A pal ich licho! — mruknął Tomasz, machnąwszy obojętnie ręką. — Co oni mnie obchodzą? A cóż ty, wciąż pijesz?

— Piję! Dlaczegóżbym nie miał pić?

Napół ubrany, niemyty i nieczesany, Jeżow podobny był do oskubanego ptaka, który przed chwilą poczubił się i jeszcze nie zdążył ochłonąć z podniecenia, wywołanego bójką.

— Piję, bo muszę od czasu do czasu ugasić płomień pokrzywdzonego i obrażonego serca... A ty, zgniła kłodo, wciąż tlejesz potrochu?

— Muszę już iść do starego... — rzekł Tomasz, krzywiąc się.

— Cóż, wojnę wypowiadasz?

— Nie mam chęci... Zaczną się zaraz morały...

— Więc pocóż idzesz!..

— Muszę...

— No, to idź!..

— Poco ty wciąż błaznujesz?—rzekł z niezadowoleniem Tomasz. — Jakgdyby rzeczywiście było ci wesoło...

— Mnie wesoło, jak Bóg miły! — zawołał Jeżow, zeskakując ze stołu. — Ach, żebyś wiedział, jak wczoraj zjechałem pewnego jegomościa w gazecie! A potem — słyszałem dowcipną anegdotę: na brzegu morza siedzi towarzystwo i filozofuje na temat życia. A żyd mówi: „Panowie! poco tak wiele słów? Ja państwu powiem wszystko odrazu: nasze życie niewarte jest ani grosza, jak to falujące morze!..."

— Et, głupstwa! — powiedział Tomasz. — Do widzenia... pójdę....

— A idź! Jestem dzisiaj wysoko nastrojony, razem z tobą jęczeć nie mogę... tem bardziej, że ty nie jęczysz, a kwiczysz...

Tomasz wyszedł, pozostawiwszy Jeżowa śpiewającego na całe gardło:

*„Aux armes, citoyens!...“*

„Idjota“ — w rozdrażnieniu pomyślał Tomasz, wychodząc powolnym krokiem na ulicę.

U Majakina spotkała go Luba. Podniecona i ożywiona, stanęła nagle przed nim, mówiąc szybko:

— Mój Boże! Jakiś ty blady... jak zmizerniałeś... Śliczne widocznie prowadzisz życie!

Potem twarz jej nabrała wyrazu niepokoju i prawie szeptem dodała:

— Ach, Tomaszu! Ty nie wiesz — przecież... oto! Słyszysz? Dzwonią! Pewnie — on...

I dziewczyna wybiegła z pokoju, pozostawiwszy za sobą w powietrzu szelest jedwabnej sukni i zdziwionego Tomasza, który nie zdążył nawet zapytać, gdzie jest ojciec? Jakób Tarasowicz był w domu. Ubrany odświętnie, w długim surducie z medalami na piersi, stał we drzwiach. Jego zielone oczki świdrowały Tomasza; uczuwszy na sobie ten wzrok, Tomasz podniósł głowę i spotkał się ze spojrzeniem Majakina.

— Dzień dobry, łaskawy panie! — przemówił stary, kiwając ironicznie głową. — Skąd Bóg prowadzi? Któż to z pana tak sadełko obciągnął?

— Czy ojciec nie ma innych dla mnie słów? — zapytał ponuro Tomasz, patrząc uporczywie staremu w oczy.

I nagle zobaczył, jak ojciec chrzestny drgnął, zachwiał się na nogach, nerwowo zamrugał oczyma i rękami kurczowo uchwycił się drzwi... Tomasz skoczył ku niemu, przypuszczając, że staremu coś się stało, ale Jakób Tarasowicz głuchym i gniewnym głosem rzekł:

— Usuń się... odejdź...

I twarz jego przybrała zwykły wyraz...

Tomasz cofnął się wtył i znalazł się obok jakiegoś niewysokiego i okrągłego człowieka, który, kłaniając się Majakinowi, przemówił ochrypłym głosem:

— Witaj, ojcze!

— Witaj, Tarasie Jakóbowiczu, witaj... — nie odejmując rąk ode drzwi, mówił i kłaniał się stary, uśmiechając się z zakłopotaniem.

Tomasz zmieszany odszedł na stronę, usiadł w fotelu i, skamieniały ze zdziwienia i ciekawości, jął przyglądać się szeroko otwartemi oczyma powitaniu ojca z synem.

Ojciec, stojąc we drzwiach, bujał się swem wątłem ciałem, wsparty rękoma o odźwierek, i, z pochyloną na bok głową i przymkniętemi oczami, patrzał w milczeniu na syna. Syn stał o trzy kroki od niego, z wysoko podniesioną, posiwiałą już głową i, zmarszczywszy brwi, spoglądał na ojca dużemi, czarnemi oczyma. Czarna, śpiczasta bródka i małe wąsy drgały na jego chudej twarzy z garbatym, jak u ojca nosem. Kapelusz drżał mu w ręku. Poza nim Tomasz widział bladą, wylękłą i rozradowaną twarz Luby — patrzała na ojca błagalnym wzrokiem i zdawało się, że zaraz krzyknie. Przez kilka sekund wszyscy milczeli, przybici ogromem tego, co czuli w tej chwili. Milczenie przerwał cichy, dziwnie głuchy i drżący głos Majakina:

— Postarzałeś się, Tarasie...

Syn uśmiechnął się w milczeniu i bystrem spojrzeniem obrzucił od stóp do głów ojca.

Ojciec oderwał wreszcie ręce od odźwierka, postąpił krok na spotkanie syna, zmarszczywszy się nagle i — przystanął. Wówczas Taras jednym wielkim krokiem stanął naprzeciw ojca i wyciągnął doń rękę.

— Pocałujmy się... — cicho rzekł ojciec.

Dwaj starcy objęli się kurczowo rękoma, ucałowali się mocno i odstąpili od siebie. Zmarszczki starszego drgały, cicha twarz młodszego była nieruchoma, prawie surowa. Pocałunek nie zmienił wcale zewnętrznej strony tej sceny, tylko Luba rozpłakała się z radości, a Tomasz poruszył się niezgrabnie na fotelu, czując, że brak mu tchu w piersiach.

— Ach... dzieci... wyście rany serca... a nie radość jego... — drżącym, dziwnym jakimś głosem poskarżył się Jakób Tarasowicz; zapewne wiele kosztowały go te słowa, gdyż wnet po ich wypowiedzeniu rozpromienił się, ożywił i, zwracając się do córki, przemówił zwykłym głosem:

— Cóż ty, rozkisłaś z rozkoszy? Przygotuj-no prędko nam cokolwiek... herbaty i jeszcze czego... Ugościć trzeba marnotrawnego syna! Zapomniałeś już chyba, staruszku, jak wygląda twój ojciec?

Taras Majakin oglądał rodzica poważnym wzrokiem i uśmiechał się milcząco; był cały czarno ubrany, wskutek czego siwe jego włosy jeszcze bardziej odznaczały się na głowie i w brodzie...

— Siadaj! Opowiadaj — jak żyłeś, co robiłeś? Ach, zapomniałem! To — mój chrzestny syn... syn Ignacego Gordiejewa, Tomasz... Pamiętasz Ignacego?

— Ja wszystko pamiętam — rzekł Taras.

— Pamiętasz? To dobrze... jeżeli się nie chwalisz... No, cóż, jesteś żonaty?

— Wdowiec...

— Dzieci masz?

— Pomarły... miałem dwoje...

— Szko-o-da... Miałbym wnuków...

— Czy mogę zapalić? — zapytał Taras ojca.

— Pal!.. Widzisz go — cygara pali...

— Czy ojciec nie lubi?

— Ja? Ależ pal, dla mnie wszystko jedno... Mówię do tego, że to po pańsku... cygaro...

— A dlaczegóż mamy być gorsi od panów? — rzekł z uśmiechem Taras.

— A czy ja mówię, że gorsi?! — zawołał stary. — Ot, tak sobie powiedziałem... bawi mię to... Taki poważny starowina, a broda po cudzoziemsku ostrzyżona, cygaro w ustach... A kto? Mój syneczek — che-che-che! — Stary trącił Tarasa w ramię i odskoczył od niego, jakby zdjęty nagle obawą, czy nie za wcześnie się cieszy, czy zachowuje się względem tego nawpół siwego człowieka jak należy? Ba-

dawczo i podejrzliwie zajrzał synowi w oczy, otoczone żółtawemi workami.

Taras, patrząc na ojca, uśmiechał się uprzejmym i serdecznym uśmiechem, i rzekł w zamyśleniu:

— Takim samym pamiętam ojca... wesołym i ożywionym... Jakgdyby w ciągu tych lat ojciec się wcale nie zmienił...

Starzec wyprostował się dumnie i, uderzywszy się pięścią w pierś, zawołał:

— Ja — nie zmienię się nigdy!.. A to dlatego — że nad człowiekiem, który zna swoją wartość, życie nie ma władzy! Czy tak?

— Oho! jaki ojciec dumny...

— W syna się zapewne wdałem! — z chytrym uśmiechem rzekł stary. — Syn mój przecie przez lat siedemnaście milczał z dumy...

— To dlatego, że nie chciał go ojciec słuchać.. — wtrącił Taras.

— No, dobrze! Co było, to było... Bogu tylko wiadomo, kto przed kim zawinił... On, Sprawiedliwy, powie ci to, poczekaj! A ja zamilczę... Nie czas nam teraz mówić o tem. Powiedz lepiej — czem się zajmowałeś przez te lata? Jak trafiłeś na tę fabrykę sody? Jak się wykierowałeś na człowieka?

— Długa historja!—z westchnieniem odezwał się Taras i, wypuściwszy z ust ogromny kłąb dymu, zaczął powoli:

— Gdy wypuszczono mnie na wolność, wstąpiłem do kantoru zarządzającego kopalniami złota braci Remiezowów...

— Wiem... bardzo bagaci ludzie! Trzej bracia... znam wszystkich! Jeden — potwór, drugi — dureń, trzeci — skąpiec... Mów dalej!...

— U niego pracowałem dwa lata... a potem ożeniłem się z jego córką... — ochrypłym głosem opowiadał młodszy Majakin.

— Z córką zarządzającego? Wcale mądrze...

Taras zamyślił się i zamilkł. Starzec spojrzał na jego smutną twarz i — zrozumiał syna.

— Z żoną tedy dobrze żyłeś... — rzekł. — Ha, cóż? Umarłemu — raj, a żywemu — dalej graj... Nie takiś znów stary... Dawno owdowiałeś?

— Trzy lata temu...

— Tak — a do tej sody, jak się dostałeś?..

— To fabryka teścia...

— Aha! Ile dostajesz?

— Około pięciu tysięcy...

— Hm... niezły kąsek! Ta-a-k! A to ci katorżnik!

Taras spojrzał na ojca surowym wzrokiem i zapytał oschle:

— Przy sposobności zapytam — skąd ojciec wziął, że byłem w katordze?

Starzec spojrzał na syna ze zdziwieniem, które szybko przeszło w radość:

— Co... jakto? Nie byłeś? A niechże was! Więc jakże? Nie obrażaj się! Czy dojdziesz tu ładu? Powiedziano — na Sybir! A tam — wiadomo, katorga!..

— Żeby raz na zawsze z tem skończyć, — poważnie i surowo odezwał się Taras, klepiąc ręką po kolanie — opowiem wam teraz, jak to wszystko było. Byłem zesłany na sześć lat do Syberji na osiedlenie i przez cały czas zesłania byłem w leńskim okręgu górniczym... W Moskwie zaś siedziałem w więzieniu około dziewięciu miesięcy... oto i wszystko!

— Ta-a-k! Jednak... cóż to? — z radością i zakłopotaniem mruczał Jakób Tarasowicz.

— A tu rozpuszczono taką niedorzeczną pogłoskę...

— Najzupełniej niedorzeczną! — żalił się stary.

— I nawet bardzo dla mnie szkodliwą...

— Jakto? Czy być może?

— Tak... Zacząłem był prowadzić własny interes... i straciłem kredyt z tej racji....

— Tfu! — splunął Jakób Tarasowicz ze złością. — Do djabła! A to dopiero!

Przez cały czas rozmowy Tomasz, uporczywie przyglądając się gościowi, siedział zdumiony w swoim kącie i mrugał oczami. Przypominając sobie stosunek Luby do bra-

ta, nastrojony do pewnego stopnia jej opowiadaniami o Tarasie, spodziewał się ujrzeć w jego twarzy coś niezwykłego, wyróżniającego z pośród zwyczajnych ludzi. Myślał, że Taras i mówi jakoś szczególnie, i ubiera się jakoś inaczej, i wogóle, że nie jest podobny do ludzi. A tu tymczasem siedział przed nim stateczny, otyły człowiek, czarno ubrany, z surowemi oczyma, z twarzy bardzo podobny do ojca, i odróżniający się od niego tylko cygarem i czarną bródką. Mówi rozsądnie, krótko, o takich zwykłych rzeczach, jak najzwyklejszy w świecie człowiek! Oto opowiada ojcu o korzyściach, jakie daje produkcja sody... W ciężkich robotach nie był — nakłamała Luba! I Tomasz z przyjemnością myślał o tem, jak będzie teraz rozmawiał z Lubą o jej bracie...

Luba kilkakrotnie ukazywała się we drzwiach podczas rozmowy ojca z bratem. Twarz jej promieniała szczęściem i oczy z zachwytem spoglądały na Tarasa, ubranego w taki szczególny, gruby surdut z kieszeniami po bokach i z dużemi guzikami. Chodziła wciąż na palcach i jakoś dziwnie wyciągała szyję w kierunku brata. Tomasz spoglądał na nią pytająco, ale ona nie zwracała nań uwgi, przebiegając raz wraz mimo drzwi, z talerzami i butelkami w rękach.

Zdarzyło się tak, że zajrzała do pokoju właśnie w chwili, kiedy brat jej opowiadał o ciężkich robotach. Trzymając w rękach tacę, zamarła na miejscu i wysłuchała do końca opowiadania brata o karze, którą odbył. Wysłuchala i odeszła, nie dostrzegłszy zdziwionego i drwiącego spojrzenia Tomasza. Zatopiony w myślach o Tarasie, nieco obrażony za to, że nikt nań nie zwraca uwagi i że Taras od chwili, kiedy przy powitaniu uścisnął mu rękę nie spojrzał nań ani razu, Tomas zaprzestał na chwilę zwracać uwagę na rozmowę Majakinów, gdy poczuł nagle, że ktoś go schwycił za ramię. Drgnął i zerwał się na nogi, o mało nie obaliwszy chrzestnego ojca, który stał przed nim z twarzą w płomieniach:

— Oto — patrz! Oto — człowiek! Oto co znaczy Majakin! W siedmiu wodach gotowano go, sok z niego wyciskano, a on żyje! I — bogaty! Zrozumiałeś? Bez żadnej

pomocy... sam — wybił się na swoje miejsce i — dumny! To jest — Majakin! Majakin to człowiek, który los swój trzyma we własnych rękach... Zrozumiałeś? Bierz przykład! Patrz na niego!... Drugiego takiego nieprędko znajdziesz... Co-o? Wiedz o tem: Majakina z człowieka nie przekujesz ani w djabła, ani w anioła...

Zaskoczony znienacka, Tomasz zmieszał się i nie wiedział co ma odpowiedzieć staremu na jego szumną pochwałę. Widział, jak Taras, paląc spokojnie swoje cygaro, patrzy na ojca, a kąty jego ust drgają uśmiechem. Na twarzy jego był wyraz pobłażliwego zadowolenia, jakgdyby bawiła go radość starca.

A Jakób Tarasowicz tykał Tomasza palcem w pierś i mówił:

— Nie znam go, syna rodzonego... on duszy swojej nie otwierał przede mną... Może między nami jest taka różnica, że jej nietylko orzeł nie przeleci — ale nawet djabeł nie przelezie... Może krew jego tak wykipiała, że nie zostało w niej ani zapachu ojcowskiego... ale — to Majakin! I ja to czuję odrazu... Czuję i powiadam: teraz mogę już umrzeć...

Starzec drżał cały jak w febrze i jakby tańczył, stojąc przed Tomaszem.

— Ale uspokój się, ojcze — rzekł Taras, wstając bez pośpiechu z krzesła i podchodząc do ojca. — Poco niepokoić tego — młodzieńca? Pójdźmy, usiądźmy...

Uśmiechnął się niedbale do Tomasza i, wziąwszy ojca pod ramię, poprowadził do stołu...

— Ja wierzę w krew! — mówił Jakób Tarasowicz.— W krew rodową... w niej cała siła! Pamiętam, jak ojciec mój mawiał do mnie: Kubo! tyś prawdziwa moja krew! Otóż... Majakinowie mają krew gęstą... przelewa się ona z ojca w syna i żadna baba nie rozcieńczy jej nigdy... Cóż, napijemy się szampana? Napijemy się? To dobrze! opowiadajże mi dalej... opowiadaj o sobie... jak na Syberji?

I znowu, jakby przestraszony i otrzeźwiony jakąś myślą, zaczął patrzeć synowi w twarz badawczym wzrokiem. Po chwili jednak dokładne, choć krótkie, odpowiedzi syna

na nowo zbudziły w nim uczucie radości. Tomasz wciąż słuchał i przyglądał się, siedząc spokojnie w swym kącie.

— Przemysł złoty jest to naturalnie interes poważny, — mówił Taras spokojnie i z powagą, — ale jest to operacja jednakże ryzykowna i wymaga wielkiego kapitału... Ziemia ani słowa nie mówi o tem, co w sobie kryje... Bardzo korzystnie jest prowadzić handel z ludnością miejscową... Handel ten, nawet byle jaki, daje ogromne procenty. Jest to już wcale niezawodne przedsiębiorstwo... Ale — nudne, trzeba dodać. Nie wymaga wprawdzie wielkiego rozumu, ale też nie daje pola do pracy dla człowieka o szerszych widnokręgach i ambicjach...

Weszła Luba i zaprosiła wszystkich do jadalnego pokoju. Kiedy Majakinowie udali się tam, Tomasz nieznacznie targnął Lubę za rękaw. Pozostawszy z nim sam na sam, zapytała go pośpiesznie:

— Czego chesz?

— Niczego... — odparł Tomasz z uśmiechem. — Chcę tylko zapytać cię — cóż, cieszysz się?

— Przecież! — zawołała Luba.

— A z czego?

— Jakto?

— No... z czego mianowicie?

— Dziwny jesteś! — spojrzawszy nań ze zdumieniem, odrzekła Luba. — Czyż nie widzisz?

— Czego? — drwiąco zapytał Tomasz.

— Tfu! Co ci się stało? — patrząc nań z niepokojem, rzekła Luba.

— Ach ty!—z pogardą i z politowaniem rzekł głośno Tomasz. — Czyż z ojca twojego... czyż wogóle w naszym kupieckim stanie może narodzić się coś dobrego? Prędzej na wierzbie gruszka! A okłamywałeś mnie: Taras taki, Taras owaki... Cóż on takiego? Kupiec, jak kupiec... I brzuch ma kupiecki... Cha-cha! — Był zadowolony, widząc, jak dziewczyna oburzona jego słowami, gryzie usta i mieni się na twarzy.

— Ty... ty, Tomaszu... — zaczęła zdławionym urywanym głosem i nagle, tupnąwszy nogą, krzyknęła:

— Nie masz prawa mówić tak ze mną!...

W drzwiach już odwróciła doń zagniewaną twarz i półgłosem rzuciła mu z mocą:

— U, nienawistnik!...

Tomasz zaśmiał się. Nie chciał iść do stołu, tam, gdzie siedziało troje szczęśliwych ludzi, rozmawiających z ożywieniem. Słyszał wesołe ich głosy, zadowolony śmiech, brzęk naczyń i rozumiał, że obok nich niema miejsca dla niego, i nigdzie niema dlań miejsca. Gdyby wszyscy ludzie tak go nienawidzili, jak teraz Luba, byłoby mu daleko lżej, — pomyślał. Wiedziałby wtedy, jak się ma zachować względem nich, potrafiłby im coś powiedzieć. A teraz — trudno zrozumieć: czy go żałują, czy śmieją się zeń dlatego, że nie ma własnej drogi i do niczego nie umie przylgnąć? Tomasz stał chwilę pośrodku pokoju i postanowił nagle uciec dokądkolwiek z tego domu, gdzie ludzie radowali się, a on był zbyteczny. Wyszedłszy na ulicę, poczuł w sobie urazę do Majakinów: byli przecie jedynymi na świecie bliskimi mu ludźmi.

Przypomniał sobie spokojną i poważną twarz Tarasa, a obok niego biegnącą ku niemu z pośpiechem postać Luby. To wzbudziło w nim zazdrość i — smutek.

„Kto spojrzy tak na mnie?... Niema takiej duszy..."

Ocknął się z zadumy dopiero nad rzeką, na przystani, obudzony gwarem pracy. Wszędzie dokoła dźwigano i wieziono różne przedmioty i towary; ludzie posuwali się śpiesznie, zafrasowani, poganiali z wściekłością konie, nawoływali się nawzajem, napełniając ulicę bezładnem miotaniem się i ogłuszającym gwarem pośpiesznej pracy. Uwijali się na wąskim pasie zabrukowanej kamieniami ziemi, zabudowanej z jednej strony wysokiemi domami, a z drugiej — spadającej stromem urwiskiem do rzeki; ich gorączkowe szamotanie sprawiło na Tomaszu takie wrażene, jakgdyby wszyscy od tej pracy w błocie, ciasnocie i hałasie, pragnęli co prędzej uciec i śpieszą, byle prędzej zrobić to, czego nie dokończyli. A czekały na nich ogromne statki parowe, stojące przy brzegach i wyrzucające kłęby dymu z kominów. Mętna

woda rzeki, gęsto pokrytej statkami, pluskała żałośnie i cicho o brzegi, jakby prosząc o chwilę odpoczynku i spokoju...

— Proszę szanownego pana! — rozległ się nagle tuż nad uchem Tomasza ochrypły głos. — Proszę ofiarować co na kwaterkę gorzałki!

Tomasz spojrzał obojętnie na proszącego: był to olbrzymi, brodaty chłopisko, bosy, w podartej bluzie, z potłuczoną opuchniętą twarzą.

— Idź precz! — mruknął Tomasz i odwrócił się od niego.

— Ej, panie kupiec! Umrzecie — pieniędzy z sobą nie zabierzecie! Ofiarujcie więc na kieliszeczek! Czy to ciężko do kieszeni sięgnąć?

Tomasz znów spojrzał na proszącego: ten stał przed nim, okryty raczej brudem, niż odzieżą, i uporczywie czekał, patrząc w twarz Tomasza opuchniętemi, krwią nabiegłemi oczyma.

— Czyż tak ludzie proszą? — rzekł Tomasz.

— A cóż — może dla tych marnych dwudziestu groszy mam na kolana padać? — zuchwale zapytał bosak.

— Na masz! — podał mu Tomasz monetę.

— Merci!... O, cała złotówka... merci! A jeżeli da mi pan jeszcze jedną złotówkę, to aż do samego hen tam szynku na czworakach polezę — zgoda?! — zaproponował bosak.

— Idź-że precz! — broniąc się ruchem ręki, rzekł Tomasz.

Bosak odszedł, a Tomasz, spoglądając za odchodzącym, myślał: „stracony człowiek, a jaki zuchwały... O jałmużnę prosi, niby o należność się upomina... skąd u takich tyle śmiałości?..."

I odpowiedział sobie z westchnieniem:

„Dlatego odważni są, że wolni... Nic ich nie krępuje... czego ma żałować? czego się bać? A czegóż ja się boję... i czego żałuję?

Dwa te pytania zbudziły w duszy Tomasza jakieś tępe zdumienie. Patrzał na pracujących dokoła niego ludzi i wciąż myślał z uporem: czego żałuję? czego się boję?

„Sam o własnych siłach nigdy chyba nie wydostanę się z tego zaklętego koła... jak bałwan snuć się będę pomiędzy ludźmi... i wszyscy śmiać się będą ze mnie i krzywdzić... Gdyby jednak odepchnęli mnie od siebie... znienawidzili mnie... wtedy... wtedy — choć na wszystkie cztery strony świata!... Chcesz — nie chcesz, a idź!"

Wieczorem znów zaszedł do Majakinów. Starego nie było w domu, a w jadalnym pokoju przy herbacie siedziała Luba z bratem. Podchodząc do drzwi, Tomasz usłyszał głos Tarasa:

— Cóż zmusza ojca do zajmowania się nim?

Na widok Tomasza zamilkł, patrząc mu w twarz poważnym badawczym wzrokiem. Na twarzy Luby wyraźnie znać było zmieszanie: z niezadowoleniem, a jednocześnie jakby, przepraszając odezwała się do Tomasza:

— A! To ty...

„O mnie była mowa", — pomyślał Tomasz, siadając przy stole.

Taras przestał nań patrzeć i usadowił się głębiej w fotelu. Przez chwilę trwało przykre milczenie, które sprawiało Tomaszowi przyjemność.

— Czy będziesz na obiedzie? — zapytała wreszcie Luba.

— Na jakim?

— Jakto, nie wiesz? Kononow wyprawia uroczyste poświęcenie nowego parostatku... odbędzie się nabożeństwo, a potem spacer po Wołdze...

— Nie jestem zaproszony, — odrzekł Tomasz.

— Nie proszono nikogo... Na giełdzie oznajmił: kto zechce zaszczycić mnie swoją obecnością — bardzo proszę!

— Ja nie chcę...

— Tak? A wiesz — będzie tam wspaniała pijatyka, — spojrzawszy nań zukosa, rzekła Luba.

— Mogę upić się i za własne pieniądze, jeżeli zechcę...

— Wiem... — kiwnąwszy znacząco głową, rzekła Luba...

Taras bawił się łyżeczką, obracając ją między palcami, i spoglądając zpode łba na nich.

— A gdzież ojciec? — zapytał Tomasz.
— Pojechał do banku... Dzisiaj posiedzenie zarządu... Będą wybory...
— Znowu go wybiorą.
— Niewątpliwie...
I znowu rozmowa się urwała. Tomasz zaczął przyglądać się bratu i siostrze. Rzuciwszy łyżeczkę, Taras powoli, dużemi łykami, wypił herbatę, posunął w milczeniu szklankę do siostry i uśmiechnął się do niej. Ona też uśmiechnęła się, rozpromieniona radością i szczęściem, wzięła prędko szklankę i zaczęła myć ją starannie. Potem z wyrazem nabożnego skupienia na twarzy, prawie szeptem spytała.
— Czy można wrócić do poprzedniej rozmowy?
— Proszę! — krótko zezwolił Tomasz.
— Powiedziałeś... ale ja nie rozumiem tego? Pytałam: jeżeli to wszystko według twego zdania — utopja, jeżeli to niemożliwe... mrzonka... to co ma czynić człowiek, którego nie zadawala takie życie, jakiem ono jest?

Luba pochyliła się całem ciałem ku bratu i oczy jej z wyrazem wytężonego oczekiwania spoczęły na spokojnej jego twarzy. Taras spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem, poruszył się na krześle i, zwiesiwszy głowę, przemówił spokojnie:

— Trzeba zastanowić się, z jakiego źródła pochodzi niezadowolenie z życia?... Mnie się zdaje, że ono pochodzi, po pierwsze, z nieumiejętności zabierania się do pracy... z braku szacunku dla pracy. I, powtóre, z powodu fałszywego mniemania o własnych siłach... Nieszczęście większości ludzi polega na tem, że uważają się za bardziej zdolnych, niż są... A tymczasem od człowieka wymaga się niewiele: powinien wybrać sobie pracę według sił swoich i wykonywać ją, o ile możności najlepiej i najsumienniej... Trzeba mieć zamiłowanie do tego, co się robi, a wtedy praca — nawet najprostsza — stanie się twórczością... Krzesło zrobione z zamiłowaniem, będzie zawsze dobrem, pięknem i praktycznem krzesłem. I tak we wszystkiem... Przeczytaj Smilesa — czy nie czytałaś? Bardzo mądra książka... Zdrowa książka... i Lubbocka przeczytaj... Pamiętaj wogóle, że

Anglicy są najzdolniejszym do pracy narodem, czem właśnie tłumaczą się ich zdumiewające postępy na polu przemysłu i handlu... U nich praca jest poniekąd kultem... Poziom kultury jest zawsze w prostej zależności od zamiłowania do pracy... A im wyższa jest kultura, tem bardziej zaspokojone zostają potrzeby ludzi, tem mniej przeszkód do dalszego ich rozwoju... Szczęście,—to znaczy możliwie zupełne zaspokojenie potrzeb... Tak... Jak widzisz, szczęście człowieka jest uwarunkowane stosunkiem do pracy...

Taras Majakin mówił tak powoli i nużąco, jakgdyby jego samego to mówienie nudziło. A Luba ze ściągniętemi brwiami i pochylona ku bratu słuchała jego mowy z chciwą uwagą.

— A jeżeli wszystko w człowieku budzi wstręt... — przemówił nagle Tomasz, spojrzawszy w twarz Tarasowi.

— T. p. co mianowicie w człowieku budzi wstręt? — zapytał Majakin nie patrząc na Tomasza.

Ten pochylił głowę, oparł się rękoma o stół i tak, patrząc zpode łba, ciągnął dalej swoją myśl.

— Wszystko — zbrzydnie... Interesy... praca... Wszyscy ludzie... i wszystkie działalności... Jeżeli, naprzykład, widę, że wszystko — ułuda... nie czyn, a tak sobie — śmieć... do zapełniania pustki duchowej... Jedni pracują, drudzy tylko rozkazują i pocą się... ale pobierają za to więcej... Czemuż to tak? co?

— Nie mogę zrozumieć pańskiej myśli... — oświadczył Taras, kiedy Tomasz zatrzymał się, uczuwszy na sobie lekceważące i gniewne spojrzenie Luby.

— Nie rozumie pan? — spojrzawszy drwiąco na Tarasa, zapytał Tomasz. — Zatem... powiedzmy tak: płynie po rzece człowiek w łódce... Łódka, być może, nawet niezła, ale pod nią jest głębia... Łódka — mocna... ale jeżeli człowiek poczuje pod sobą tę ciemną głębię... żadna łódka go nie uratuje...

Taras patrzył na Tomasza obojętnie i spokojnie. Patrzył, milczał i bębnił zcicha palcami po krawędzi stołu. Luba kręciła się niespokojnie na krześle. Zegarowe wahadło głuchym dźwiękiem wybijało sekundy. I serce To-

masza biło powoli i ciężko, jakby czując, że nikt nie odezwie się tu ciepłem słowem na jego ciężkie wątpliwości...

— Praca nie wystarcza człowiekowi, praca — to jeszcze nie wszystko... — mówił raczej sam do siebie, niż do tych ludzi, nie wierzących w szczerość jego słów. — To nie prawda, że w samej pracy mieści się jej usprawiedliwienie... Są ludzie, którzy nic nie robią przez całe życie, a żyją lepiej od tych, którzy pracują... jakże to? A którzy pracują — są jak te nieszczęsne... konie! Poganiają je, a one cierpią... i basta... Ale oni wobec Boga są usprawiedliwieni... ich zapytają: pocoście żyli? Wtedy odpowiedzą... nie mieliśmy czasu myśleć o tem... bośmy całe życie pracowali. A co ja powiem na swe usprawiedliwienie? I wszyscy ludzie, którzy rozkazują innym, czemże się usprawiedliwią? Poco żyli? Ja sądzę, że wszyscy doskonale wiedzieć powinni — poco żyją.

Po chwili milczenia, odrzuciwszy głowę, zawołał głuchym głosem:

— Czyżby dlatego człowiek się rodził, żeby pracować, nagromadzić pieniądze, zbudować dom, napłodzić dzieci i — umrzeć? Nie, życie samo przecież musi mieć jakiś sens... Przyszed człowiek na świat, pożył i umarł... poco? Musimy, dalibóg, musimy zrozumieć wszyscy — poco żyjemy? Niema ładu w naszem życiu... żadnego niema w niem sensu! — A przytem żadnej niema sprawiedliwości... to widać odrazu. Jedni są bogaci — mają więcej pieniędzy niż tysiące innych ludzi i żyją bez pracy... a drudzy — całe życie jęczą w jarzmie pracy i nie mają grosza przy duszy. A tymczasem różnica między ludźmi — niewielka... Bywa taki — co bez spodni chodzi, a mówi tak, jak ten co chodzi w jedwabiach...

Porwany swemi myślami Tomasz długoby się wywnętrzał, ale Taras, odsunąwszy swój fotel od stołu, wstał i z westchnieniem mruknął:

— Nie, dziękuję!... Nie chcę więcej...

Tomasz przerwał nagle i wzruszył ramionami, spojrzawszy z uśmiechem na Lubę.

— Gdzie się nauczyłeś takiej filozofji? — zapytała go oschle.

— To nie jest filozofja... To... już tak... nieszczęście jakieś — półgłosem bąknął Tomasz. — Otwórz oczy i patrz na wszystko... wtedy ci to samo wlezie do głowy...

— Otóż jeszcze do tego co mówiłem: — przemówił Taras, stojąc obrócony plecami do stołu i przyglądając się zegarowi, — zwróć Lubo uwagę, że pesymizm zupełnie obcy jest angielskiej rasie. To, co nazywają pesymizmem u Swifta i Byrona, jest tylko palącym, zjadliwym protestem przeciwko niedoskonałości życia i człowieka... Ale chłodnego, rozsądnego i biernego pesymizmu Anglicy nie znają.

Następnie, jakby przypomniawszy sobie nagle Tomasza, zwrócił się do niego, założył ręce wtył i podrygując jedną nogą, — rzekł:

— Pan porusza bardzo poważne kwestje... I... jeżeli one bardzo pana interesują... to pan powinien czytywać książki... W nich znajdzie pan wiele bardzo ciekawych poglądów na istotę życia... Przecie pan czytuje książki?

— Nie! — odrzekł krótko Tomasz.

— Jakto?

— Nie lubię książek...

— Aha!... One jednakże mogłyby panu przydać się bardzo... — rzekł Taras i po ustach jego prześlizgnął się uśmiech...

— Książki? Jeżeli ludzie nie mogą mi dopomóc do rozwikłania myśli moich, to książki tem bardziej nie pomogą... — ponuro rzekł Tomasz.

Ten obojętny człowiek zaczął go nudzić i nużyć. Miał ochotę wyjść, ale jednocześnie chciał powiedzieć Lubie coś przykrego o jej bracie, czekał więc, aż wyjdzie z pokoju Taras. Luba myła szklanki; twarz jej była skupiona i zamyślona, a ręce poruszały się leniwie. Taras, chodząc po pokoju, zatrzymywał się przed etażerkami ze srebrem, pogwizdywał, bębnił palcami po szkle i oglądał przedmioty, przymrużając oczy. Zegarowe wahadło migało za szkłem, niby czyjaś szeroko uśmiechnięta twarz, i wybijało monotonnie sekundy... Tomasz zauważył, że Luba kilka razy

spojrzała nań niechętnie i pytająco, jakby wyczekiwała czegoś, zrozumiał tedy, że ją krępuje i że ona czeka niecierpliwie jego odejścia.

— Będę nocował u was... — powiedział, uśmiechając się do niej. — Muszę pomówić z ojcem. Zresztą, nudno mi samemu w domu...

— Idź zatem i powiedz Marcie, aby ci przygotowała posłanie w narożnym pokoju... — pośpiesznie rzekła Luba.

— Dobrze...

Wstał i wyszedł z jadalnego pokoju. I zaraz usłyszał, jak Taras przyciszonym głosem zapytał o coś siostrę.

„O mnie mowa!" — pomyślał. Wtem błysnęła mu w głowie złośliwa myśl: — „Wartoby podsłuchać... co powiedzą rozumni ludzie..."

Zaśmiał się cichutko i, stąpając ostrożnie na palcach, przeszedł do drugiego pokoju, przylegającego również do jadalnego. Nie było tu światła, tylko wąska jego smuga, wdzierając się przez drzwi, leżała na ciemnej podłodze. Tomasz, cicho ze drżeniem serca i złośliwym uśmiechem na ustach podszedł do samych drzwi i przystanął.

— Ciężki jegomość... — mówił Taras.

Rozległa się przyciszona i szybka mowa Luby:

— Wciąż tu hulał... Awanturował się okropnie! Zaczęło się to jakoś nagle... Pobił z początku w klubie zięcia wicegubernatora. Tatko kłopotał się, kłopotał, żeby załagodzić awanturę i całe szczęście, że pobity był człowiekiem bardzo lichym... Szuler i wogóle — marna osobistość... Jednakże kosztowało to ojca przeszło dwa tysiące... A póki ojciec był zajęty załagodzeniem jednej awantury, Tomasz o mało nie utopił całej kompanji w Woldze.

— Cha-cha! A to potwór! I taki zajmuje się rozmyślaniem nad istotą życia...

— Innym znów razem jechał statkiem w towarzystwie takich jak sam hulaków i raptem powiada im: módlcie się do Boga! Wszystkich was powrzucam zaraz do wody! A jest okrutnie silny... Ci — w krzyk... A on na to: chcę przysłużyć się ojczyźnie, chcę ziemię oczyścić z nikczemnych ludzi...

— To wcale dowcipne!

— Okropny człowiek! Ile on w przeciągu tych lat popełnił dzikich wybryków... Ile zmarnował pieniędzy.

— Ale... powiedz mi — na jakich warunkach ojciec zarządza jego majątkiem — czy nie wiesz?

— Nie wiem! Ma zupełną plenipotencję... A co?

— Tak... Poważny interes! Oczywiście prowadzony jest prawdziwie po rosyjsku t. j. obrzydliwie... Ale pomimo tò — prześliczny interes! Gdyby zająć się nim, jak należy... może stać się złotodajną kopalnią...

— Tomasz zgoła nic nie robi... wszystko jest w ręku ojca...

— Tak? To bardzo pięknie...

— Wiesz, czasami zdaje mi się, że to u niego wskutek natłoku myśli... słowa jego są tak szczere... i że to materjał na bardzo porządnego człowieka... Ale nie mogę pogodzić jego awanturniczego życia z jego słowami i sądami... W żaden sposób nie mogę!

— Ale i nie warto troszczyć się o to... Smarkacz i hultaj — szuka usprawiedliwienia dla swego lenistwa...

— Nie, czasami, widzisz, — bywa jak dziecko... Zdarzało się to mianowicie dawniej...

— Powiedziałem przecie: smarkacz. Czyż warto mówić o nieuku i dzikim, który sam chce być nieukiem i dzikim, czego zresztą nie tai?

— Jesteś bardzo surowy...

— Tak, jestem surowy! Ludzie wymagają tego... My, Rosjanie, wszyscyśmy strasznie rozpuszczeni... Na szczęście, życie tak się układa, że chcąc nie chcąc powoli nas bierze w karby... Marzenia — to dobre dla młodzieńców i panien, a ludziom poważnym przystoi poważna działalność.

— Niekiedy żal mi bardzo Tomasza... Jaki go los czeka?

— To mnie mało obchodzi. Ja myślę, że nie będzie zeń nic osobliwego — ani dobrego, ani złego... Głupi chłopak... straci pieniądze, doczeka się nędzy... cóż jeszcze? A niech go tam! Tacy jak on to rzadkość teraz... Dzisiej-

szy kupiec rozumie potęgę wykształcenia... A on, ten twój mleczny brat, zginie...

— Masz pan rację! — rzekł Tomasz, otwierając drzwi i ukazując się na progu. Blady, z nachmurzonem czołem i wykrzywionemi ustami, patrzył uporczywie na Tarasa i przytłumionym głosem mówił: — Istotnie! Zginę i — amen! Byle tylko prędzej!

Luba z przerażeniem na twarzy zerwała się z krzesła i podbiegła do Tarasa, stojącego spokojnie pośrodku pokoju z rękoma w kieszeni.

— Tomaszu! Wstyd! Tyś podsłuchiwał... ach, Tomaszu! — mówiła wzburzona.

— Cicho bądź! Owieczko... — rzekł jej Tomasz.

— Ta-a-k, podsłuchiwać pode drzwiami to niebardzo pięknie, — wycedził Taras, nie spuszczając z Tomasza lekceważącego spojrzenia.

— Niechaj będzie niepięknie! — machnąwszy ręką, rzekł Tomasz. — Czyż moja w tem wina, że prawdę — tylko podsłuchiwać można?

— Odejdź, Tomaszu! Zlituj się! — prosiła Luba, tuląc się do brata.

— Może pan ma co do powiedzenia mi? — spokojnie zapytał Taras.

— Ja? — zawołał Tomasz. — Cóż ja mogę powiedzieć? Nic nie mogę!... Pan oto... pan może wszystko...

— Więc pan ze mną nie ma o czem mówić? — znowu zapytał Taras.

— Nie!

— Bardzo mi przyjemnie...

Odwrócił się bokiem do Tomasza i zapytał Luby:

— Jak myślisz — czy ojciec prędko wróci?

Tomasz popatrzył na niego i wyszedł. Nie chciało mu się iść do siebie, do ogromnego pustego domu, gdzie każdy jego krok budził dźwięczne echo; szedł więc ulicą, otuloną smutnym szarym zmrokiem późnej jesieni. Myślał o Tarasie Majakinie.

„Jaki twardy... W ojca się wdał... tylko nie taki krętacz... Zapewne też — lichwiarz... A Lubka — niemal

za świętego go miała... głupiutka! Jak on mnie odmalował! Sędzia... A ona dobra dla mnie"...

Ale wszystkie te myśli nie wzbudzały w nim żadnych uczuć — ani niechęci do Tarasa, ani sympatji do Luby. Doznawał uczucia, jakgdyby dźwigał w sobie jakiś wielki, nieznany mu ciężar. Wyrósł ten ciężar w jego piersi i zdawało mu się, że serce jego nabrzmiało i boli, jak wrzód. Przysłuchiwał się temu nieustającemu, dokuczliwemu bólowi, czuł jak z każdą godziną wciąż wzrasta, wzmaga się, i nie wiedząc, jak go złagodzić, czekał bezmyślnie, co będzie dalej.

Oto przeleciał koło niego kłusak chrzestnego ojca, Tomasz zobaczył w powoziku małą, skuloną postać Jakóba Tarasowicza, lecz i ona nic w nim nie obudziła. Potem przebiegł koło niego latarnik, wyprzedził go, przystawił drabinę do latarni i wszedł na nią. Jakaś dziewczyna potrąciła go w bok i powiedziała:

— Ach, przepraszam...

Spojrzał na nią i nic nie odpowiedział. Zaczynał mżyć drobniutki deszczyk — drobne, ledwie dostrzegalne kropelki białawą zasłoną okrywały światła latarń i szarawym pyłem powlekały witryny sklepowe. Pył ten hamował oddech.

— Pójdę chyba na noc do Jeżowa... Napijemy się z nim... — pomyślał Tomasz i poszedł do Jeżowa, nie mając najmniejszej chęci ani widzieć feljetonisty, ani pić z nim...

Na kanapie u Jeżowa siedział jakiś kudłaty młodzieniec w bluzie i szarych spodniach. Miał ciemną, jakby uwędzoną twarz, oczy duże, nieruchome i gniewne, nad grubemi wargami sterczały szorstkie żołnierskie wąsy. Siedział z nogami na kanapie, objąwszy je ogromnemi łapami i położywszy podbródek na kolanach. Jeżow siedział bokiem w fotelu, z przerzuconemi przez poręcz nogami. Na stole śród książek stała butelka wódki i przekąska.

— Co ty się włóczysz? — zapytał Jeżow Tomasza i, kiwnąwszy mu głową, rzekł do siedzącego na kanapie człowieka: — Gordiejew!

Ten spojrzał na przybyłego i ostrym, skrzypiącym głosem wyrzekł:

— Krasnoszczokow...

Tomasz usiadł w rogu kanapy:

— Przyszedłem nocować... — rzekł do Jeżowa.

— Owszem. Mów dalej... Bazyli...

Ten spojrzał zukosa na Tomasza i zaskrzypiał:

— Według mego zdania, napróżno napadacie tak na głupich ludzi... Mazaniello był głupiec, a jednak to, co trzeba, wykonywał jak najlepiej. I taki Winkelried — też pewnie był głupi... a jednak, gdyby nie wbił sobie w pierś cesarskich dzid, potłukliby srodze Szwajcarów. Czyż mało jest takich głupców! A pomimo to — są bohaterami... Rozumni zaś — to tchórze... Jakże taki mądrala może całą siłą uderzyć w przeszkodę, kiedy on kombinuje: a co z tego wyniknie? oby nie zginąć napróżno? I stoi wobec czynu, jak słup... dopóki nie zdechnie. A głupiec jest odważny! Wali łbem wprost o ścianę! A rozbije głowę — cóż z tego? Cielęce głowy niedrogie... A jak zrobi wyłom w ścianie... rozumni rozszerzają go i przejdą, jak przez bramę i — honor sobie przypiszą... Nie, Mikołaju Matwiejewiczu, odwaga jest dobra i bez rozumu...

— Głupstwa prawisz! — odezwał się Jeżow, wyciągając doń rękę.

— Ma się rozumieć! — zgodził się Bazyli. — Nie mnie o tem sądzić... A jednak nie jestem ślepy... I oto widzę: rozumu dużo, a sensu mało. Póki mądrzy radzą nad tem, jakby najrozumniej zacząć działać, głupcy tymczasem zapędzą ich w kozi róg. I tyle...

— Poczekaj! — rzekł Jeżow.

— Nie mogę! Dzisiaj mam dyżur... I tak już chyba się spóźniłem... zajdę jutro — czy można?

— Przychodź!

Bazyli wyprostował się, wstał z kanapy, wziął w dużą swoją, czarną łapę, drobną rączkę Jeżowa i uścisnął ją.

— Do widzenia!

Potem kiwnął głową Tomaszowi i bokiem przecisnął się przez drzwi.

— Widziałeś? — zapytał Jeżow Tomasza, wskazując ręką na drzwi, za któremi rozlegały się jeszcze ciężkie kroki.

— Co to za człowiek?

— Pomocnik maszynisty, Krasnoszczokow... Bierz przykład z niego: człowiek w piętnastym roku zaczął uczyć się czytać i pisać, a mając lat dwadzieścia osiem przeczytał licho wie ile dobrych książek i nauczył się doskonale dwóch języków... Jedzie oto zagranicę...

— Poco? — zapytał Tomasz.

— Uczyć się... popatrzeć, jak tam ludzie żyją... A ty — kiśniesz tu... poco?

— O głupcach dobrze mówił! — rzekł Tomasz w zamyśleniu.

— Nie wiem, ponieważ — nie jestem głupcem...

— Słusznie! Człowiek głupi powinien działać odrazu... Rzucić się, obalić...

— Co tam pleciesz trzy po trzy! — zawołał Jeżow.— Powiedz mi lepiej, czy to prawda, że syn Majakina wrócił?

— Prawda...

— Ta-a-k!...

— A co?

— Nic!

— Z twarzy twojej widać, że jest coś...

— Znamy tego syna... słyszeliśmy o nim...

— A ja go widziałem...

— I cóż, jaki?

— Licho go tam wie! Cóż on mnie obchodzi...

— Czy podobny do ojca?

— Grubszy... okrąglejszy... poważniejszy... taki jakiś... zimny...

— A więc będzie jeszcze gorszy od starego... Ale ty bracie, bądź teraz ostrożny! Bo inaczej — obiorą cię — do nitki...

— A niech tam!

— Obrabują... zostaniesz nędzarzem... Ten Taras bardzo zręcznie obłupił swego teścia w Jekaterynburgu...

— A niech i mnie obłupi, jeżeli chce. Ja mu za to nic nie powiem, będę jeszcze wdzięczny...

— Ty wciąż jedno i to samo?

— Tak...

— Chcesz się wyzwolić?

— Tak...

— Daj spokój! Naco ci wolność? Co będziesz z nią robił? Do niczego przecież nie jesteś zdatny, nic nie umiesz... nawet polana pewnie urąbać nie potrafisz!? Och, gdybym ja mógł uwolnić się od konieczności picia wódki i jedzenia chleba!

Jeżow zerwał się na nogi i, stanąwszy przed Tomaszem, zaczął mówić podniesionym głosem, jakgdyby deklamując:

— Zebrałbym resztki swej umęczonej duszy i razem z krwią mego serca plunąłbym w twarz naszej inteligencji, żeby ją djabli porwali! Powiedziałbym im: pasorzyty! wy, śmietanka mego kraju! Fakt waszego istnienia okupiony jest krwią i łzami kilkudziesięciu pokoleń, o, gnidy! Jakże drogo kraj was musi opłacać! A cóż wy robicie dla kraju? Czyście przetopili łzy przeszłości na perły? Coście dali życiu? Coście zrobili? Pozwoliliście siebie zwyciężyć? Co robicie? Pozwalacie drwić ze siebie...

Zatupał z wściekłości nogami i, zacisnąwszy zęby, patrzył na Tomasza pałającem, gniewnem wejrzeniem: był podobny do rozwścieczonego dzikiego zwierza.

— Powiedziałbym im: wy! Zbyt wiele rozprawiacie, ale jesteście głupcy i zupełnie bezsilni i — wszyscy tchórze! Serce wasze wypełnione po brzegi morałami i dobremi chęciami, ale miękkie i ciepłe, jak pierzyna, duch twórczy śpi w niem snem twardym i spokojnym, i nie bije ono w waszej piersi, lecz kołysze się zlekka, jak kołyska. Umaczawszy palec we krwi mego serca, napiętnowałbym ich czoła stygmatem moich przekleństw i ci nędzarze ducha, nieszczęśliwi w swem zadowoleniu z siebie, musieliby odczuć i cierpieć... i jak jeszcze cierpieć! Bicz mój cienki a ręka twarda! I zanadto kocham, abym miał żałować! Cierpieliby! A obecnie — niecierpią, bo za wiele i za głośno opowiada-

ją o swych cierpieniach! Kłamią! Rzeczywiste cierpienie milczy, a rzeczywista namiętność nie zna przeszkód!... Namiętności, zapału! Kiedyż one odrodzą się w sercach ludzi? Wszyscyśmy nieszczęśliwi z braku namiętności...

Zabrakło mu tchu i zakaszlał się; kaszlał długo, miotając się po pokoju i wymachując rękoma, jak obłąkany. I znowu stanął przed Tomaszem z bladą twarzą i nabiegłemi krwią oczyma. Oddychał ciężko, usta mu drżały, odsłaniając drobne i ostre zęby; z rozwichrzonemi, krótkiemi włosami, podobny był do okonia wyrzuconego z wody... Tomasz nie po raz pierwszy widział go takim i, jak zwykle, przejmował się jego podnieceniem. W milczeniu słuchał jego namiętnej mowy, nie starając się zrozumieć jej treści, nie pragnął wiedzieć, przeciwko komu jest ona skierowana, — wchłaniał w siebie jedynie jej moc. Słowa Jeżowa oblewały go wrzątkiem i rozgrzewały jego duszę.

— Powiem tym nieszczęsnym hultajom: patrzcie! Życie idzie naprzód i pozostawia was wtyle!

— Doskonale! — zawołał Tomasz z zachwytem i poruszył się na kanapie. — Mikołaju, jesteś bohaterem! Wal ich! Rżnij im prosto w oczy!

Ale Jeżow nie potrzebował zachęty i jakgdyby nie słysząc nawet wołania Tomasza ciągnął dalej:

— Znam miarę moich sił, wiem — krzykną na mnie: milczeć! Powiedzą mi: cyt! Powiedzą mądrze, powiedzą spokojnie, szydząc ze mnie, powiedzą z wysokości majestatu swego... Ja wiem — mały jestem ptaszek, o, ale bynajmniej nie słowik! Jestem nieukiem w porównaniu z nimi, feljetonistą tylko, człowiekiem do bawienia publiczności... Niechaj krzyczą i zakrzyczą mnie, niechaj! Uderzenie w policzek padnie na twarz, a serce pomimo to bić będzie! Powiem im: tak, jestem nieukiem i przedewszystkiem tę wyższość mam nad wami, że nie znam ani jednej książkowej prawdy, która byłaby mi droższa nad człowieka! Człowiek — to cały wszechświat, i dlatego wołam: niech żyje człowiek, noszący w swej piersi świat cały! A wy, powiem, wy z powodu jakiegoś jednego słowa, które niezawsze nawet posiada zrozumiałą dla was treść — zadajecie sobie

nawzajem i ciosy i rany, plujecie na się żółcią, gwałt zadajecie duszy... Za to ciężko kiedyś odpowiadać musicie przed życiem, wierzajcie mi: zerwie się burza i zmiecie was i zmyje z oblicza ziemi, jak deszcz i watr zmiata — kurz z drzewa! W języku ludzkim jest tylko jeden wyraz, którego znaczenie dla wszystkich jest jasne i drogie, a który brzmi: wolność!

— Tak ich! Miażdż! — zaryczał Tomasz, zrywając się z kanapy i chwytając Jeżowa za ramiona. Pochyliwszy się ku niemu, zajrzał pałającemi oczyma w twarz kolegi i ze smutkiem i goryczą prawie jęknął: — Ach! Mikołajku... Żal mi ciebie, kochanie! Tak mi żal — że wyrazić ci tego nie umiem!

— Co takiego? Coś ty? — odtrącając go, krzyknął Jeżow, zdziwiony i zbity z tropu niespodziewanym wybuchem i dziwnemi słowami Tomasza.

— Ach, bracie! — mówił Tomasz, zniżając głos, który przez to nabierał intonacji jakiegoś przekonywającej szczerości. — Żywą masz duszę... i za co giniesz?

— Kto? Ja? Ginę? Kłamiesz!

— Posłuchaj, kochanie! Nic ty nikomu nie powiesz! Niema komu! Któż cię usłyszy? Chyba tylko ja...

— Idź do djabła! — ze złością krzyknął Jeżow, odskakując od niego jak oparzony.

A Tomasz szedł ku niemu i mówił z wielkim smutkiem.

— Mów! Mów do mnie! Ja zaniosę twe słowa tam, gdzie należy... Ja je rozumiem... Och, jak ja ich urządzę, tych ludzi! Poczekaj tylko... Nadarzy się sposobność...

— Odejdź! — wrzasnął w jakiemś histerycznem uniesieniu Jeżow, prawie przyciśnięty przez Tomasza do ściany. Był roztargniony, przygnębiony, zły i bronił się przed rozpostartemi rękoma Tomasza. W tejże chwili rozwarły się drzwi do pokoju i na progu stanęła jakaś kobieta w czarnej sukni. Miała twarz zagniewaną, i obwiązany chusteczką policzek. Podniosła głowę, wyciągnęła ku Jeżowowi rękę i przemówiła skrzeczącym głosem:

— Przepraszam... ale to niemożliwe! Wycie... ryki... Codzień goście... Policja się pyta... Nie, dłużej nie mogę znieść! Jestem zdenerwowana... Proszę jutro opróżnić mieszkanie... Przecie nie na pustyni pan mieszka... dokoła pana — ludzie... A w dodatku człowiek wykształcony! Literat! Każdy pragnie spokoju... Ja cierpię na zęby... A więc jutro proszę pana... wywieszę kartkę... zawiadomię policję...

Mówiła szybko i większa część jej wyrazów ginęła w szeplenieniu zawiązanych ust, wyraźnie brzmiały tylko te wyrazy, które wykrzykiwała piskliwym rozdrażnionym głosem. Końce chustki, jak małe rożki, sterczały na jej głowie i trzęsły się od poruszania szczęką. Na widok tej wzburzonej i śmiesznej postaci Tomasz jął powoli cofać się ku kanapie, a Jeżow stał i, trąc sobie czoło, z zakłopotaniem przysłuchiwał się jej mowie...

— Niechże pan wie! — krzyknęła, a za drzwiami odezwała się raz jeszcze: — Zaraz jutro! Takie hałasy...

— Do djabła! — wyszeptał Jeżow, patrząc na drzwi osowiałym wzrokiem.

— Ta-a-k! Widzisz ją! Jaka sroga! — spoglądając na niego, rzekł zdziwiony Tomasz i usiadł na kanapie.

Jeżow, podniósłszy ramiona, podszedł do stołu, nalał pół szklanki wódki, wychylił i usiadł przy stole, zwiesiwszy nisko głowę. Przez chwilę milczeli. Potem Tomasz odezwał się nieśmiało:

— Jak się to wszystko stało... nie zdążyliśmy okiem mrugnąć, a tu — taki finał... co?

— Ty! — podnosząc raptem głowę i dzikim wzrokiem przeszywając Tomasza, przemówił półgłosem Jeżow: —Milcz! Ty.... niech cię djabli porwą!... Połóż się i śpij!... Zmoro!...

I pogroził kułakiem Tomaszowi... Potem nalał jeszcze wódki i znowu wypił...

Po chwili Tomasz leżał rozebrany na kanapie i napół przymkniętemi oczyma śledził siedzącego nieruchomo przy stole w złamanej pozie Jeżowa. Ten wpatrywał się w podłogę, i usta jego poruszały się zlekka... Tomasz był zdzi-

wiony — nie rozumiał, za co Jeżow rozgniewał się na niego? Przecież on sam krzyczał...

— Djabli... — wyszeptał Jeżow i zgrzytnął zębami.

Tomasz podniósł ostrożnie głowę z poduszki. Jeżow, wzdychając głęboko i głośno, wyciągnął znowu rękę do butelki... Wtedy Tomasz rzekł cicho:

— Chodźmy lepiej do jakiego hotelu... Jeszcze nie późno...

Jeżow popatrzył na niego i zaśmiał się dziwnie, pocierając głowę rękami. Potem wstał z krzesła i krótko rzekł:

— Ubieraj się!...

I widząc, jak Tomasz powoli i niezgrabnie poruszał się na kanapie, krzyknął niecierpliwie i ze złością.

— Ruszaj-że się prędzej!... Uosobienie głupoty... hołoblo symboliczna!...

— Przestań wymyślać! — ze spokojnym uśmiechem rzekł Tomasz. — Czyż warto gniewać się za to, że jakaś tam baba rozkrzyczała się?

Jeżow spojrzał nań, splunął i roześmiał się.

## XIII.

— Czy już wszyscy? — zapytał Ilja Jefimowicz Kononow, stojąc na przodzie swego nowego parostatku i obserwując rozpromienionemi oczyma tłum gości. — Zdaje się, że wszyscy!

I podniósłszy do góry swą pełną, czerwoną i uszczęśliwioną twarz, głośno rzucił stojącemu przy tubie kapitanowi rozkaz:

— Odbijaj Piotrze!

— Zaraz!...

Kapitan obnażył ogromną, łysą głowę, przeżegnał się z rozmachem, spojrzawszy na niebo, ręką pogładził szeroką, czarną brodę, odchrząknął i zakomenderował:

— Cofaj!

Goście w milczeniu i z uwagą śledzili czynności kapi-

tana i również, idąc za jego przykładem, poczęli żegnać się, wskutek czego ich czapki i cylindry mignęły w powietrzu, jak stado czarnych ptaków.

— Pobłogosław Panie Boże! — odezwał się rozczulony Kononow.

— Ster w prawo! Naprzód! — rozległa się komenda kapitana.

Ogromny „Ilja Muromiec" westchnął potężnie, wyrzucił gęsty kłąb białej pary w kierunku przystani i ruszył przeciw prądowi płynnym ruchem, jak łabędź.

— Jak idzie! — powiedział z zachwytem radca handlowy, wysoki i chudy Łup Grigorjew Reznikow. — Ani drgnął! Sunie, jak dama w tańcu!...

— To nie statek — a Lewjatan! — z pobożnem westchnieniem mówił dziobaty i zgarbiony Trofim Zubow, starosta cerkiewny i pierwszy w mieście lichwiarz.

Dzień był szary; powleczone jesiennemi chmurami niebo odbijało się w wodzie rzeki i nadawało jej chłodny, ołowiany odcień. Świeżo pomalowany i lśniący statek płynął po jednobarwnem tle rzeki, jak ogromna jaskrawa plama, a czarny dym jego oddechu, niby czarna chmura, wisiał w powietrzu. Cały biały, z różowemi kapturami kominów i jaskrawo - czerwonemi kołami, pruł lekko dziobem zimną toń i odrzucał ją ku brzegom, a szyby w okrągłych okienkach burty i w oknach nadbudówki jaskrawo błyszczały, jakgdyby uśmiechały się pełnym zadowolenia i triumfu uśmiechem.

— Wielce szanowni panowie! — odezwał się Kononow, zdjąwszy kapelusz z głowy i kłaniając się nisko gościom. — Kiedyśmy, że tak powiem, oddali Bogu — co boskie, pozwólcie tedy, proszę, żeby muzykanci oddali cesarzowi, co cesarskie!

I nie czekając odpowiedzi, krzyknął, przyłożywszy rękę do ust.

— Muzyka! Grać „Sław się"!

Umieszczona za maszyną orkiestra wojskowa zagrzmiała marsza.

A Makary Bobrow, dyrektor - założyciel miejscowego banku kupieckiego, zaczął podciągać przyjemnym basikiem, wybijając takt palcami na swoim wielkim brzuchu.

— Sław się, sław się, nasz rosyjski carze — tra-ra-ta! Bum!

— Proszę panów do stołu! Bardzo proszę! Co Bóg dał... che-che! Proszę bardzo... — zapraszał Kononow, przeciskając się przez tłum gości.

Było ze trzydzieści osób, wszystko ludzie poważni, kwiat miejscowego kupiectwa. Starsi śród nich, łysi i siwi, mieli na sobie staromodne surduty, czapki i buty z cholewami. Ale takich było niewielu: większość miała cylindry, buty ze sztylpami i modne żakiety. Wszyscy tłoczyli się na przodzie statku i ulegając prośbom Kononowa, przechodzili stopniowo pod okrytą płóciennym baldachimem część statku, gdzie stały stoły z przekąskami. Łup Reznikow szedł pod ramię z Jakóbem Majakinem i szeptał mu coś, nachyliwszy się do ucha, a ten słuchał i zlekka się uśmiechał. Tomasz, którego ojciec chrzestny po długich namowach przyprowadził na uroczystość, — nie znalazł sobie śród tych niemłodych mu ludzi towarzystwa i trzymał się samotnie na stronie posępny i blady. Wciągu dwu ostatnich dni pił dużo w towarzystwie Jeżowa i teraz z przepicia bolała go głowa. Czuł się nieśmiały śród tego wesołego i poważnego towarzystwa; szmer głosów, grzmot muzyki i łoskot parostatku — wszystko to go drażniło.

Czuł potrzebę napicia się czegoś mocnego; nie dawała mu również spokoju myśl o tem, dlaczego ojciec chrzestny był dzisiaj tak dlań uprzejmy i łaskawy, i poco zabrał go tu, do grona pierwszych w mieście kupców? Poco namawiał go tak przekonywująco, a nawet prosił o to, aby był u Kononowa na nabożeństwie i obiedzie.

Tomasz przybył na parostatek podczas nabożeństwa, stanął na uboczu i przez cały czas przyglądał się kupcom.

Wszyscy stali w pobożnem milczeniu; twarze były bogobojnie skupione; modlili się gorąco i szczerze, wzdychając głęboko, kłaniając się nisko i wznosząc ze skruchą oczy ku

niebu. A Tomasz patrzył to na jednego, to na drugiego i przypomniał sobie wszystko, co wiedział o każdym z nich.

Oto Łup Reznikow, — rozpoczął karjerę jako właściciel domu publicznego, i jakoś odrazu się zbogacił. Udusił, jak powiadają, jednego ze swoich gości, bogatego Syberyjczyka... Zubow trudnił się za młodu skupowywaniem od włościan przędziwa. Dwa razy bankrutował... Kononow przed dwudziestu laty miał proces o podpalenie, a i teraz jest pod śledztwem za zgwałcenie nieletniej. Wraz z nim—już po raz drugi oskarżony jest o to samo—pociągnięto do odpowiedzialności Zachara Robustowa, tłustego i niziutkiego kupca z okrągłą twarzą i wesołemi niebieskiemi oczyma... Niema prawie nikogo śród tych ludzi, o kim nie wiedziałby Tomasz czegoś hańbiącego.

Wiedział, że wszyscy na pewno zazdroszczą Kononowowi, który co rok powiększa ilość swych statków. Wielu z nich kłóci się ze sobą i w sprawach handlowych oszukują się wzajem i nie znają litości, a wszyscy doskonale wiedzą o haniebnych i nieuczciwych sprawkach każdego... Ale teraz zgromadzeni dokoła triumfującego i szczęśliwego Kononowa, tworzyli zbitą i zwartą gromadę, stali i sapali, jak jeden mąż, pogrążeni w skupionem milczeniu i oddzieleni od reszty świata czemś wprawdzie niewidzialnem, a jednak stałem, czemś takiem, co odpychało od nich Tomasza i budziło w sercu jego jakiś lęk przed nimi.

„Oszuści"... — pomyślał, dodając sobie otuchy.

Oni tymczasem chrząkali w kułak, wzdychali, żegnali się, bili pokłony i, otóczywszy duchowieństwo zwartą ścianą, stali niewzruszenie i mocno, jak wielkie czarne głazy.

„Udają"! — wołał w myśli Tomasz. A stojący obok niego garbaty i ślepy Pawlin Guszczyn, który niedawno wykierował był na nędzarzy dzieci swego obłąkanego brata, szeptał z przejęciem, spoglądając swem jedynem okiem na szare niebo:

— O Panie, nie sądź mnie w srogości Twojej... i nie karaj mnie gniewem Twym...

I Tomasz czuł, że ten człowiek zwraca się do Boga z niewzruszoną i głęboką wiarą w Jego miłosierdzie.

„O Panie, Boże praojców naszych, nakazujący Noemu, słudze Twemu, zbudować korab ku zbawieniu świata"... niskim basem huczał duchowny, wznosząc oczy ku niebu i wyciągając ręce do góry: — „Osłoń ten statek pieczą swoją i daj mu straż anioła pokoju... a płynących na nim chroń od przeciwności wszelakich..."

Kupiectwo zgodnym zamaszystym ruchem kładło na piersiach znak krzyża; na wszystkich twarzach malowało się jedno uczucie — wiara w potęgę modlitwy.

Wszystkie te obrazy wryły się w pamięć Tomasza i obudziły w nim zdumienie wobec tych ludzi, którzy, żywiąc tak silną wiarę w miłosierdzie boskie, byli tak okrutni względem człowieka. Śledził ich z uporem, chcąc przyłapać na fałszu, przekonać się o ich kłamstwie...

Złościła go ich powaga, zgodna pewność siebie, triumfujące twarze, gromkie głosy, śmiech. Zasiedli do stołu suto zastawionego i pożądliwie patrzyli na olbrzymiego jesiotra, pięknie ugarnirowanego zielenią i rakami. Trofim Zubow, wtykając pod brodę serwetkę, spoglądał na potworną rybę wesołemi, uszczęśliwionemi, przymrużonemi oczyma i mówił do siedzącego obok młynarza, Jony Juszkowa:

— Patrzaj, co za wieloryb! Mógłbyś się doskonale w nim zmieścić, Jonaszu... co? Cha-cha!

Maleńki i okrąglutki Jona wyciągał ostrożnie swą krótką rękę ku srebrnemu naczyniu ze świeżym kawiorem i chciwie cmokał ustami, patrząc zukosa na stojące przed nim butelki.

Narpzeciwko Kononowa stał na kozłach półwiadrowy antałek ze sprowadzoną z Polski starką; w olbrzymiej, okutej w srebro muszli leżały ostrygi, a ponad wszystkiemi potrawami wznosił się i dominował jakiś różnobarwny pasztet, przyrządzony w kształcie wieży.

— Panowie! Proszę! Kto czego pragnie! — wołał Kononow. — Wystawiłem wszystko odrazu... co komu przypadnie do smaku... Nasze rodzime rosyjskie. — obce, zamorskie... wszystko odrazu! Tak lepiej... Co kto chce? Mo-

że kto życzy sobie ślimaków, albo tych oto — co? Z Indyj, powiadają...

Tomasz, usiadłszy w końcu stołu śród jakichś nieznanych mu, nieśmiałych i skromnych ludzi, wciąż czuł na sobie przenikliwy wzrok starego Majakina.

— „Boi się, abym nie zrobił jakiej awantury"... — myślał Tomasz.

— Bracia! — ochrypłym głosem wołał Jaszczurow, potwornie gruby właściciel statków. — Ja bez śledzia nie mogę! Rozpoczynam zawsze od śledzia... taką już mam naturę...

— Muzyka! Graj „Perskiego marsza"...

— Czekaj! Lepiej — „Kol sławien"...

— Wal „Kol sławien"...

Sapanie maszyny i łoskot kół zlewały się z dźwiękiem muzyki, tworząc w powietrzu coś podobnego do dzikiego wycia śnieżnej zawiei. Gwizdanie fletu, ostre dźwięki klarnetów, ponury ryk basów, warczenie małego i huk wielkiego bębna — wszystko to wraz z monotonnym i głuchym szumem kół bijących o wodę napełniało hałasem powietrze, tłumiło gwar ludzkich głosów i jak huragan sunęło za parostatkiem, zmuszając ludzi do krzyczenia na cały głos. Czasami w maszynie dawało się słyszeć złośliwe syczenie pary i w dźwięku tym, wdzierającym się niespodzianie do tego chaosu krzyków, wycia huku, było coś gniewnego i wzgardliwego...

— Dlaczego odmówiłeś mi zdyskontowania weksla — nie zapomnę ci tego do grobu! — wrzeszczał ktoś przeraźliwym głosem.

— Prze-stań! czyż tu miejsce na porachunki? — huczał bas Bobrowa.

— Bracia! Czas rozpocząć przemówienia!

— Muzyka — cyt!

— Przyjdź do mnie do banku, to ci wytłumaczę, dlaczego nie zdyskontowałem...

— Ktoś przemawia! Ciszej...

— Muzyka, przestańcie grać!

— Grajcie „Kamarinskiego"...

— „Madame Angôt!"...
— Nie trzeba! Jakóbie Tarasowiczu — prosimy!
— To nazywa się — sztrasburski pasztet...
— Prosimy! Prosimy!
— Pasztet? N-nie podobny do pasztetu... spróbuję jednak.
— Majakin! Zaczynaj!..
— Ech, bracia! Wesoło! Jak Bóg miły...
— A w „Pięknej Helenie"... to ona, moi drodzy, występowała prawie zupełnie goluteńka... — wyrwał się nagle śród hałasu cienki i rozczulony głos Robustowa.
— Nie mogę! Doprawdy, nie mogę mówić...
— Kubo! Wszyscy prosimy!..
— Zrób nam tę przyjemność!
— Obierzemy cię burmistrzem!..
— No, nie dawaj się prosić!
— Tss! Cicho! Panowie! Jakób Tarasowicz ma głos!
— Sza!
Właśnie w chwili, gdy hałas uciszył się, rozległ się czyjś głośny, pełen oburzenia szept:
— A ona, szelma, jak mnie uszczypnie...
A Bobrow zapytał grubym głosem:
— Gdzie uszczypnęła?
Nastąpił wybuch śmiechu, który jednak wnet ucichł, albowiem Jakób Tarasowicz Majakin podniósł się właśnie, odkalsznął i, gładząc łysinę, rozglądał się dokoła, jakby przywołując do porządku i skupienia uwagi.
— No, bracia, słuchajcie! — zawołał z zadowoleniem Kononow.
— Panowie kupcy! — przemówił z uśmiechem Majakin. — W mowie wykształconych i uczonych ludzi istnieje cudzoziemski wyraz: „kultura". Otóż o tym wyrazie pragnę w prostocie ducha pomówić z wami...
— Patrzcie, skąd zaczyna — rozległ się czyjś okrzyk...
— Tss! Cicho!
— Szanowni panowie! — mówił Majakin, podnosząc głos. — Gazety wciąż piszą o nas kupcach, że ta kultura jest dla nas czemś zupełnie nieznanem, że nie dążymy do niej,

ani jej rozumiemy. I nazywają nas dzikimi, niekulturalnymi ludźmi... Cóż tedy znaczy owa kultura? Ciężko mi było, staremu, słyszeć takie zarzuty, zająłem się przeto pewnego razu rozpatrzeniem tego wyrazu — co on w sobie zawiera?

Majakin umilkł, powiódł oczami po słuchaczach i z uśmiechem triumfu ciągnął dobitnie dalej:

— Poszukiwania moje wykazały, że wyraz ten oznacza uwielbienie t. j. umiłowanie, głębokie umiłowanie pracy i ładu życiowego. Tak! — pomyślałem, — tak! A więc — człowiekiem kultury będzie ten, kto lubi pracę i porządek... kto wogóle — lubi budować życie, lubi żyć, zna wartość swoją i życia... Dobrze! — Jakób Tarasowicz drgnął; zmarszczki rozbiegły się po jego twarzy, jak promienie, od uśmiechniętych oczu aż do ust, i cała jego łysa głowa podobna była do ciemnej gwiazdy.

Kupcy patrzyli w milczeniu i skupieniu na jego usta, a na twarzach ich malowała się natężona uwaga. Ludzie jakby zastygli w tych samych pozach, które przybrali na początku mowy Majakina.

— Ale jeżeli tak — a tak właśnie należy rozumieć ten wyraz, — jeżeli tak, to ludzie, którzy zarzucają nam brak kultury, stan zdziczenia, obmawiają nas tylko i szkalują! Oni bowiem lubią jedynie sam wyraz, a nie jego treść, my zaś lubimy sam rdzeń wyrazu, lubimy prawdziwą jego treść, my lubimy — pracę! My właśnie uprawiamy prawdziwy kult życia t. j. wielbimy życie, — a nie oni! Oni lubią tylko wypowiadać sądy, my zaś lubimy czyny... Macie oto, panowie kupcy ,Wołgę, — jako przykład naszej kultury t. j. zamiłowania do pracy! Ona jest rodzoną matką naszą! Każdą kroplą tej wody niech broni naszej czci, niech świadczy i obali próżne zarzuty przeciwko nam... Upłynęło, panowie, zaledwie sto lat od chwili, kiedy cesarz Piotr Wielki spuścił na tę rzekę pierwszy statek, a oto teraz pływają po niej tysiące statków parowych... Kto je budował? Chłop rosyjski, człowiek bynajmniej nie uczony! Do kogo należą wszystkie te olbrzymie statki? Do nas! Kto je stworzył? My! Wszystko tu — nasze, wszystko tu — owoc rozumu naszego, naszego sprytu i wielkiego zamiłowania do pracy! Nikt nam nie

pomagał w niczem! Sami tępiliśmy rozboje na Wołdze, sami własnym kosztem najmowaliśmy ludzi zbrojnych — wytępiliśmy rozbójnictwo i zaludnialiśmy Wołgę, na ogromnej przestrzeni wielu tysięcy wiorst,—tysiącami parowców i różnych innych statków. Jakie miasto uchodzi za najpiękniejsze nad Wołgą? To, w którem mieszka najwięcej kupców... Czyje domy są najładniejsze w tem mieście? Kupieckie! Kto najwięcej opiekuje się ubogimi? Kupiec! Zbiera po groszu, po dwa grosze, a ofiarowywa krocie tysięcy. Kto nabudował świątyń? My! Kto dostarcza państwu najwięcej pieniędzy? Kupcy!.. Panowie! Tylko my kochamy pracę dla niej samej, dla miłości życia, tylko my kochamy ład i życie! A kto nas oskarża — ten kłamca... i nic więcej! Niechaj! Pies szczeka, a wiatr echo niesie... Z tego szczekania nikt nie będzie miał najmniejszego pożytku! A czegóż to oni, ci nasi sędziowie, dokonali, czem ozdobili życie? My o tem jakoś nic nie wiemy... A nasze czyny widoczne! Panowie kupcy! Oddając wam pierwszeństwo, jako ludziom najbardziej pracowitym i rozmiłowanym w swej pracy, witając w was ludzi, którzy wszystkiego już dokonali i wszystkiego jeszcze dokonać mogą,—z całego oto serca mego, pełen szacunku i miłości do was, wznoszę ten pełny kielich za sławne, silne duchem i pracowite kupiectwo rosyjskie... Niech żyje kupiectwo, niech żyje na sławę matki Rosji! Hur-r-ra!

Ostry, piskliwy okrzyk Majakina dał pobudkę do ogłuszającego triumfującego ryku kupców. Wszystkie te grube, spasione cielska, podniecone winem i mową starego, poruszyły się i wyrzuciły z piersi taki zgodny, potężny okrzyk, że, zdawało się, wszystko dokoła drgnęło i zatrzęsło się.

— Ślicznie powiedziane, Jakóbie! — wołał Zubow, nachylając się z kielichem ku Majakinowi...

Przewracając krzesła, trącając stół, że aż naczynia i butelki przewracały się i spadały, kupcy pchali się ku Majakinowi z kielichami w rękach, podnieceni, rozradowani, niektórzy ze łzami w oczach.

— Słyszałeś? Co za mowa! — pytał Kononow Robustowa, porwawszy go za ramię i potrząsając nim. — Czy rozumiesz! Wielkie słowa wyrzekł!

— Pozwól, Jakóbie Tarasowiczu, niech cię uściskam!
— Do góry Majakina!
— Muzyka, grać...
— Na wiwat! Marsza... perskiego...
— Nie potrzeba muzyki! Pal ją djabli!
— Ach, Jakóbie Tarasowiczu! głowę masz ministerjalną!
— Mały byłem śród braci mojej... Ale Pan obdarzył mnie rozumem...
— Jakóbie! Prędko umrzesz... szkoda! Taka szkoda, że wypowiedzieć trudno!
— Ale jaki będzie pogrzeb, ho-ho!
— Panowie! Utwórzmy fundusz imienia Majakina! Daję tysiąc!
— Cyt, czekajcie!
— Panowie! — zabrał znowu głos Majakin, drżąc cały. — I dlatego jeszcze jesteśmy pierwsi na niwie życia, dlatego jesteśmy prawdziwymi panami swej ojczyzny, żeśmy— chłopi!
— Prawda!
— Tak! Słowo daję! Mów dalej, stary!
— Poczekajcie! Pozwólcie mu powiedzieć!
— My jesteśmy rdzenni rosyjscy ludzie i wszystko, co z nas pochodzi, jest rdzennie rosyjskie! A stąd wynika, że jest ono najistotniejsze... najbardziej pożyteczne i obowiązujące...
— Jak dwa razy dwa!
— Naturalnie.
— Mądry, jak wąż!
— A łagodny, jak...
— Jastrząb! Cha-cha!

Kupcy otoczyli swego mówcę zwartym pierścieniem, patrzyli nań rozczulonemi oczyma i ze wzruszenia nie mogli już słuchać spokojnie jego mowy. Dokoła niego rozlegał się zgiełk głosów i, zlewając się z szumem maszyny i uderzeniami kół o wodę, huczał burzą dźwięków, zagłuszającą piskliwy głos starca. Podniecenie kupców wzrastało; triumf malował się na wszystkich twarzach; do Majakina wyciągano

ręce z kielichami, klepano go po ramieniu, popychano, całowano, patrzono słodko w twarz. Ktoś piszczał w zachwycie:

— Kamarinskiego! Rosyjskiego!

— To wszystko nasze dzieło! — wołał Jakób Tarasowicz, wskazując na rzekę. — Wszystko nasze! Myśmy tu życie zbudowali!

Wtem rozległ się głośny, zagłuszający wszystkie dźwięki, okrzyk:

— Co! Albo to wy? Ach, wy...

I wnet za tem rozległo się dobitnie w powietrzu cyniczne zaklęcie, wymówione gniewnym i głuchym ale silnym głosem. Wszyscy odrazu usłyszeli i na sekundę — zamilkli, szukając oczyma tego, kto ich zelżył. Przez tę sekundę słychać było tylko ciężkie sapanie maszyny i zgrzyt łańcuchów u steru...

— A to kto łaje? — zapytał Kononow, marszcząc brwi...

— Ech! Bez awantury nie możemy! — wyrzekł Reznikow, wzdychając ze skruchą.

— Któż to tam złości się?

Niepokój, zaciekawienie, zdziwienie, uraza malowały się na twarzach kupców; wszyscy zaskoczeni byli znienacka i nie wiedzieli, co począć. Jeden tylko Jakób Tarasowicz był spokojny i nawet jakby zadowolony z tego, co zaszło. Wspiąwszy się na palce, patrzył z wyciągniętą szyją gdzieś na koniec stołu, a oczki jego dziwnie błyszczały, jakgdyby widziały tam coś przyjemnego dla siebie.

— Gordiejew... — szepnął zcicha Jona Juszkow...

I wszystkich głowy zwróciły się w kierunku spojrzenia Majakina.

Tam stał Tomasz, rękoma wsparty o stół. Z twarzą wykrzywioną od gniewu, z wyszczerzonemi zębami, przyglądał się w milczeniu kupcom, płonącemi, szeroko rozwartemi oczyma. Dolna jego szczęka drżała, ramiona poruszały się nerwowo, palce, wpijając się mocno w krawędź stołu, mięły kurczowo obrus. Na widok jego ziejącej nienawiścią, jak u wilka twarzy i wyzywającej postawy, kupcy znów zamilkli na sekundę.

— Coście tak wytrzeszczyli ślepie? — zapytał Tomasz i znów dodał grubjańską obelgę.

— Upił się! — zawołał Bobrow, kiwnąwszy głową.

— Poco go zapraszano? — szeptał zcicha Reznikow.

— Tomaszu Ignatjewiczu! — przemówił statecznie Kononow. — Tylko bez awantur... Jeżeli... tego... kręci się w głowie — idź, bracie, spokojnie do kajuty i — połóż się! Połóż się, kochanku, i...

— Milcz, ty! — ryknął Tomasz, mierząc go wzrokiem. — Nie waż się mówić ze mną! Nie jestem pijany... jam trzeźwiejszy tu od innych! Zrozumiałeś?..

— Ale słuchaj-no, kochanku... kto ciebie tu zaprosił! — zapytał Kononow, czerwony z oburzenia.

— To ja go przyprowadziłem! — rozległ się głos Majakina.

— A! W takim rozie... naturalnie... Przepraszam cię, Tomaszu... Ignatjewiczu... Ale ponieważ tyś go, Jakóbie, przyprowadził... uspokój-że go, proszę... Bo to — nieładnie jakoś...

Tomasz milczał i uśmiechał się. Również w milczeniu patrzyli na niego kupcy.

— Och, Tomku! — przemówił Majakin. — Znowu wstydem okrywasz moje siwe włosy...

— Ojcze chrzestny! — odrzekł Tomasz, szczerząc zęby. — Nic jeszcze nie zrobiłem, więc za wcześnie prawić mi morały... Pijany nie jestem... nie piłem wcale, a wciąż słuchałem... Panowie kupcy! Pozwólcie i mnie wygłosić mowę! Przemawiał oto szanowany przez was mój ojciec chrzestny... wysłuchajcież teraz i mojej mowy...

— Co za mowy? — zawołał Reznikow. — Poco? Zebraliśmy się tu poweselić...

— Daj spokój, Tomaszu Ignatjewiczu...

— Lepiej napij się czego...

— Napijmy się! Ach, Tomku... dzielnego miałeś ojca!

Tomasz odskoczył od stołu, wyprostował się i z uśmiechem przysłuchiwał się wciąż uprzejmym namowom i napomnieniom. Śród tych poważnych ludzi był najmłodszy i najpiękniejszy. Kształtna jego postać, opięta surdutem,

odznaczała się dodatnio wśród tej gromady tłustych, brzuchatych ciał. Jego smagła o dużych oczach twarz odbijała młodzieńczą świeżością na tle tych obrzękłych i czerwonych pysków, stojących naprzeciw niego z wyrazem oczekiwania i zdumienia Wyprostował się, wypiął pierś naprzód, zacisnął zęby i, odrzuciwszy poły surduta, wsunął ręce do kieszeni...

— Pochlebstwem i przymilaniem się nie zamkniecie mi teraz ust! — rzekł stanowczo i groźnie. — Chcecie słuchać czy nie, ja mówić będę... Wypędzić mnie stąd niema gdzie...

Potrząsnął głową i prostując się, ciągnął spokojnie dalej:

— Ale jeżeli kto dotknie mnie palcem — zabiję! Przysięgam na Boga... zabiję!

Tłum, stojący przed nim, zakołysał się, jak krzaki pod naporem wiatru.

Rozległ się trwożny szept. Twarz Tomasza pociemniała, oczy zrobiły się okrągłe...

— A więc mówiono tu, że to wy stworzyliście życie... i że to wy dokonaliście tego, co jest w niem najistotniejszego i najprawdziwszego...

Tomasz odetchnął głęboko i z niewysłowioną nienawiścią spojrzał po twarzach słuchaczów... Kupcy milczeli, tuląc się coraz ciaśniej do siebie. W dalszych szeregach ktoś mruczał:

— O czem to on? Co? Z Pisma Świętego, czy z własnej głowy?

— Łotry!—zawołał Gordiejew, potrząsając głową.— Coście stworzyli? Nie życie, ale więzienie stworzyliście... Nieład zaprowadziliście — a ukuliście tylko kajdany na człowieka... Duszno, ciasno, żywa dusza nie ma się gdzie poruszyć... Ginie człowiek!.. Mordercy... Czy rozumiecie, że tylko kosztem ludzkiego cierpienia żyjecie?..

— A to co takiego? — zawołał Reznikow z gniewem i oburzeniem. — Cóż bo to takiego? Nie chcę słuchać takiej mowy...

— Patrz, Gordiejew — zawołał Bobrow — żebyś nie przeciągnął struny...

— Za takie gadanie, ho-ho-ho! — wtrącił Zubow.

— Cyt! — huknął Tomasz i oczy jego krwią nabiegły.

— Zachrząkały wieprze...

— Panowie! — zadźwięczał iak zgrzyt pilnika po żelazie, złowrogo-spokojny głos Majakina. — Nie ruszcie go!.. Bardzo proszę... nie przeszkadzajcie... Niechaj poszczeka... niech się nacieszy.... Jego słowa nie mogą was przecie dotknąć...

— O nie, ślicznie dziękuję! — zawołał Juszkow.

Obok Tomasza stał Smolin i szeptał mu do ucha:

— Przestań bracie! Czyś zwarjował? Oni cię...

— Idź precz! — odepchnął go Tomasz, piorunując pełnemi gniewu oczyma. — Idź tam, do Majakina... podlizuj mu się... może dostanie ci się jaki kąsek!

Smolin gwizdnął przez zęby i odszedł na stronę. I kupcy jeden po drugim zaczęli rozchodzić się po parostatku. To jeszcze bardziej rozdrażniło Tomasza: pragnął przykuć ich swemi słowy do miejsca, a nie mógł wykrzesać z siebie takich potężnych słów.

— Wy stworzyliście życie? — krzyknął, — któż wy jesteście? Złodzieje, łupieżcy...

Kilka osób obróciło się do Tomasza, jakby wołał na nich.

— Kononow! A prędkoż cię już osądzą za zgwałcenie dziewczynki? Dostaniesz ciężkie roboty... i żegnaj, Eljaszu! Napróżno budujesz statki.... Na skarbowy koszt pojedziesz na Sybir....

Kononow opadł na krzesło; twarz jego nabiegła krwią; w milczeniu pogroził pięścią Tomaszowi, mrucząc ochrypłym głosem:

— No, poczekaj-że, ja ci tego nie zapomnę...

Zobaczywszy jego skrzywioną twarz i trzęsące się usta, Tomasz zrozumiał, jaką bronią najdotkliwiej uderzyć może tych ludzi.

— Cha-cha-cha! Budowniczowie życia! Guszczyn — cóż, dajesz bratankom swoim jałmużnę? Dawaj chociaż po dwa grosze dziennie... niemało bowiem — sześćdziesiąt siedem tysięcy im ukradłeś... A Bobrow! Pocoś rzucił potwarz

na swoją kochankę, że cię okradła, i pocoś ją wsadził do więzienia? Kiedy ci się sprzykrzyła — oddałbyś ją synowi... wszystko jedno, on teraz z tą twoją drugą konszachty prowadzi... Nie wiesz o tem? Ach ty, wieprzu... cha-cha! A ty, Reznikow, — otwórz znowu dom publiczny i obdzieraj tam gości ze skóry... Obedrą cię potem djabli, cha-cha!... Mając taką pobożną minę, dobrze być złodziejem!.. Przyznaj się, kogoś ty wtedy udusił?

Tomasz mówił, przerywając swoją mowę złośliwym głośnym śmiechem, i widział, że jego słowa wywierają wrażenie na tych ludzi. Pierwej, kiedy przemawiał do wszystkich wogóle, odwracali się od niego, odchodzili, zbijali się w gromadki i zdaleka patrzyli na swego oskarżyciela pogardliwemi, pełnemi złości oczyma. Na twarzach ich widział uśmiechy, w każdem ich poruszeniu wyczuwał lekceważenie i rozumiał, że jego słowa, chociaż gniewają ich, nie dojmują wszakże tak boleśnie, jak tego pragnął. Wszystko to paraliżowało jego gniew i budziło już w nim gorzką świadomość niemocy... Ale kiedy zaczął mówić o każdym zosobna, stosunek słuchaczów do niego zmienił się szybko i nagle.

Kiedy Kononow opadł ciężko na krzesło, jakby ugiąwszy się pod ciosem surowych jego słów, — Tomasz zauważył, jak po twarzach niektórych kupców przemknęły zjadliwe i złośliwe uśmiechy. Usłyszał nawet czyjś potakujący i zdziwiony szept:

— A to go ściął!

Ten szept dodał Tomaszowi siły: z jeszcze większą gwałtownością zaczął ciskać obelgi, drwiny i przekleństwa na tych, co nasuwali mu się na oczy. Widząc, że słowa jego odnoszą skutek, ryczał z radości. Słuchano go z uwagą, w milczeniu; kilka osób przysunęło się bliżej ku niemu.

Rozległy się wprawdzie protestujące okrzyki, ale niezbyt głośne, krótkie i za każdym razem, kiedy Tomasz wywoływał czyjeś nazwisko, — wszyscy milkli, przysłuchiwali się i nieżyczliwie spoglądali zukosa na wystawionego pod pręgierz towarzysza.

Bobrow uśmiechał się niespokojnie, ale małe oczki jego

świdrowały Tomasza. A Łup Reznikow, wymachując rękoma, podskoczył niezgrabnie i sapiąc, mówił:

— Bądźcie świadkami... Co to jest? Nie! Nie daruję tego! Zaskarżę do sądu... Cóż bo to jest? — I nagle zapiszczał cienkim głosem, wyciągając ku Tomaszowi ręce:

— Związać go!

Tomasz śmiał się.

— Nie zwiążesz prawdy, nie! Zresztą i związana wołać będzie o pomstę...

— Śliczna historja! — głuchym, złamanym głosem jęczał Kononow.

— Oto, panowie kupcy! — wołał Majakin. — Proszę popatrzeć — co to za okaz!

Kupcy jeden po drugim przysuwali się ku Tomaszowi i na twarzach ich malowały się gniew, ciekawość, złośliwe zadowolenie i lęk... Któryś ze skromnych ludzi, którzy siedzieli na szarym końcu, szeptał Tomaszowi:

— Dobrze im tak! Niech panu Bóg pomaga... Wal pan ich... zasługa przed Bogiem...

— Robustow! — krzyczał Tomasz. — Czegóż ty się śmiejesz? Z czego cieszysz się? I ciebie nie miną ciężkie roboty...

— Wysadzić go na brzeg! — ryknął nagle Robustow, zrywając się na nogi.

A Kononow wołał do kapitana:

— Zawracaj! Do miasta! Do gubernatora...

Ktoś przekonywał drżącym ze wzruszenia głosem:

— To ktoś go namówił. To naumyślnie... Nauczono go... Spojono dla dodania odwagi...

— Nie, to bunt!

— Wiązać go! Wiązać — i basta!

Tomasz porwał butelkę od szampańskiego wina i wymachiwał nią w powietrzu.

— Zbliżcie się tylko! Nie, musicie mnie wysłuchać...

I znowu z radosną zajadłością, nieprzytomny z uciechy na widok tych ludzi, którzy kurczyli się i rzucali pod ciosami jego słów, jął wykrzykiwać imiona i cyniczne wyzwiska i znowu na chwilę przycichł gniewny szmer. Lu-

dzie, których Tomasz nie znał, patrzyli nań z chciwą ciekawością, przytakiwali mu, niektórzy nawet z radosnem zdziwieniem. Jeden z nich, niski, siwy staruszek z różowemi policzkami i mysiemi oczkami, zwrócił się nagle do łżonych przez Tomasza kupców i słodkim głosem wyśpiewał:

— To głos sumienia! To nic! Trzeba znieść... Prorocze oskarżenie... Wszak grzeszni jesteśmy!

Zakrzyczano go, a Zubow pchnął go nawet w ramię. Staruszek skłonił się nisko i zniknął w tłumie...

— A ty, Zubow!—krzyczał Tomasz.—Wielu zrujnowałeś ludzi? Czy nie śni ci się czasem Iwan Pietrowicz Miakinnikow, który powiesił się przez ciebie? Czy to prawda, że podczas każdego nabożeństwa kradniesz po dziesięć rubli z puszki cerkiewnej?

Zubow nie spodziewał się napaści i skamieniał na miejscu z podniesioną do góry ręką. Ale wnet zapiszczał cienkim głosem, podskoczywszy zabawnie na miejscu:

— A! To ty i na mnie? I — i na mnie?

I naraz, wydąwszy policzki, jął z wściekłością wygrażać Tomaszowi pięścią i wołać piskliwym głosem:

— Do archiereja na skargę pojadę! Farmazonie jakiś! Katorga cię nie minie!

Zamęt na parostatku wzmagał się i Tomasz, na widok tych rozwścieczonych, miotających się bezradnie i obrażonych przez niego ludzi, czuł się jakimś mitycznym bohaterem, zabijającym smoka. Kupcy w zakłopotaniu wymachiwali rękoma, rzucali się, mówili coś do siebie — jedni czerwoni z gniewu, drudzy bladzi, wszyscy zaś jednakowo bezsilni, aby powstrzymać potok sypiących się na ich głowy obelg i szyderstw.

— Zawołać majtków! — krzyczał Reznikow, targając Kononowa za ramię. — Cóż ty? Hę? Zaprosiłeś nas na pośmiewisko?

Dokoła Jakóba Tarasowicza Majakina zebrał się tłum i przysłuchiwał się jego cichej mowie, potakująco kiwając głowami.

— Działaj, Jakóbie! — mówił głośno Robustow. — Wszyscy jesteśmy świadkami... dalej!

A nad całym tym gwarem wzbijał się i panował donośny, karcący głos Tomasza:

— Wyście nie życie zbudowali — a kloakę! Zabagniliście i zasmrodzili je czynami swemi. Czyż wy macie sumienie? Czy Boga w sercu macie? Rubel — oto wasz Bóg! A sumienie wygnaliście z siebie... Krwiożercy! Z cudzej siły żyjecie... cudzemi rękoma pracujecie! I za to wszystko odpowiecie! Jak zdechniecie — wszystko wam będzie policzone! Wszystko — najmniejsza kropelka łez... iluż to ludzi krwawemi płakało łzami z powodu waszych wielkich czynów? Dla was, łotry, i piekła za mało... Nie w ogniu, a we wrzącem błocie gotować was będą... Djabli wrzucą was do kotłów i naleją tam... cha-cha-cha! naleją... cha-cha-cha! Szanowni kupcy... budowniczowie życia... o, djabły!...

Tomasz śmiał się głośno i, wziąwszy się pod boki, stał z podniesioną wysoko głową.

W tejże chwili kilku ludzi, porozumiawszy się ze sobą oczyma, rzuciło się na Tomasza i przygniotło go swemi ciałami. Zaczęło się szamotanie...

— Mam cię! — przemówił ktoś zdyszanym głosem.

— A-a! To wy tak? — krzyknął ochrypłym głosem Tomasz.

Przez pół minuty cała gromada czarnych ciał szamotała się na jednem miejscu, ciężko tupiąc nogami, a z niej wydobywały się głuche okrzyki:

— Wal go na ziemię!...

— Trzymajcie rękę... rękę! O-oj...

— Z-za brodę?

— Serwety dawaj... wiąż serwetami...

— Kąs-sasz?!

— Ta-a-k! Co? Aha-a!

— Nie bij! Nie waż się bić...

— Gotów!

— Mocny!

— Zanieśmy go tu... do burty...

— Na świeże powietrze... che-che!

Przywlekli Tomasza do burty i, położywszy go pod

ścianą kajuty kapitana, odeszli, poprawiając na sobie odzież i ocierając spocone twarze. On zaś, zmęczony walką i wyczerpany hańbą porażki, leżał w milczeniu, w podartem i powalanem ubraniu, mając ręce i nogi mocno związane serwetami i ręcznikami. Okrągłemi, krwią nabiegłemi oczyma patrzył w niebo, a wejrzenie to było bezmyślne i zamglone, jak u idjoty, a pierś podnosiła się nierówno i ciężko...

Teraz nadeszła kolej na szyderstwa kupców. Rozpoczął Zubow. Podszedł blisko do Tomasza, potrącił go w bok nogą i słodkim, drżącym z rozkoszy zemsty głosem pytał:

— Cóż, piorunujący proroku, hę? Odczuwasz słodycz niewoli babilońskiej, che-che-che!

— Poczekaj...—nie patrząc nań, odezwał się Tomasz ochrypłym głosem. — Poczekaj... odpocznę... Nie związali mi przecie języka... — Ale mówiąc to, Tomasz już rozumiał, że nic więcej ani zrobić, ani powiedzieć nie zdoła. Nie dlatego, że go związano, ale dlatego, że coś w nim zagasło i ciemność i pustka zapanowały w duszy...

Do Zubowa podszedł Reznikow. Potem jeden za drugim zaczęli zbliżać się inni... Bobrow zaś, Kononow i jeszcze kilku z Jakóbem Majakinem na czele udali się do kajuty, naradzając się nad czemś cicho.

Parostatek zbliżał się całą siłą pary ku miastu. Od dygotania jego kadłuba na stołach drżały i dzwoniły butelki i żałosne to brzęczenie słyszał Tomasz najwyraźniej. Nad nim stał tłum ludzi i mówił mu krzywdzące i obelżywe słowa.

Ale twarze tych ludzi Tomasz widział, jak przez mgłę, i słowa ich nie dotykały go wcale. Wgłębi jego duszy wyrastało jakieś wielkie, gorzkie uczucie; śledził jego wzrost i aczkolwiek nie rozumiał go jeszcze, odczuwał okrutny, przytłaczający jego ciężar...

— Pomyśl, — idjoto! — coś ty z siebie zrobił? — mówił Reznikow. — Co za życie ciebie czeka? Wszak żaden z nas nawet plunąć na ciebie nie zechce!

„Co ja takiego zrobiłem?“ — usiłował zrozumieć Tomasz. — Dokoła niego stali kupcy zwartą, ciemną masą...

— No, Tomku, teraz piosnka twoja skończona, — powiedział Jaszczurow. — Marny twój los...

— M-my ciebie... — cicho zaryczał Zubow.

— Rozwiążcie! — rzekł Tomasz.

— O, nie! Ślicznie dziękujemy!

— Rozwiążcie...

— Możesz poleżeć i tak.

— Poproście ojca chrzestnego...

Ale Jakób Tarasowicz sam nadszedł w tej chwili. Zbliżył się do Tomasza, zatrzymał się nad nim, zmierzył surowym wzrokiem jego rozciągniętą postać i — westchnął ciężko.

— Widzisz, Tomaszu... — przemówił.

— Proszę kazać mnie rozwiązać... — poprosił cicho Tomasz złamanym głosem...

— Znowu zaczniesz awanturować się? Nie, poleż już tak... — odrzekł mu ojciec chrzestny.

— Ani słowa więcej nie powiem... jak Bóg miły! Rozwiążcie... wstydzę się! Na miłość Boga, nie jestem przecież pijany... A więc tylko nogi rozwiążcie...

— Przysięgasz, że nie będziesz się więcej awanturował? — zapytał Majakin.

— Ach Boże! Nie będę.. nie będę... — wystękał Tomasz.

Rozwiązano mu nogi, ale ręce pozostały skrępowane. Podniósł się, popatrzył na wszystkich i ze smutnym uśmiechem rzekł zcicha:

— Zwyciężyliście...

— Zawsze zwyciężymy! — odparł Majakin, uśmiechając się surowo.

Schylony, ze związanemi na plecach rękoma, podszedł Tomasz do stołu, nie podnosząc na nikogo wzroku. Był jakgdyby jakiś niższy, mizerniejszy; potargane włosy spadały mu na czoło i na skronie; porwany i zmięty gors koszuli wysunął się z pod kamizelki i kołnierz zakrywał mu usta. Kręcił więc głową, aby zsunąć kołnierz pod brodę, ale — nie mógł tego uczynić. Wtedy podszedł ku niemu siwy sta-

ruszek, poprawił, co było potrzeba, spojrzał mu w oczy z uśmiechem i rzekł:

— Trzeba pocierpieć...

Teraz, w obecności Majakina, ludzie, którzy znęcali się nad Tomaszem, milczeli, patrzyli z zaciekawieniem i pytająco na starca, czekając, co powie. Stary był spokojny, ale oczy jego świeciły jakąś dziwną, niepojętą radością...

— Dajcie mi wódki... — poprosił Tomasz, usiadłszy przy stole i oparłszy się o jego brzeg piersią. Zgarbiona jego postać bezsilna była i żałośliwa. Dokoła niego rozmawiano półgłosem i przesuwano się na palcach. I wszyscy spoglądali to na niego, to na Majakina, który usiadł naprzeciwko Tomasza. Starzec nie odrazu dał chrześniakowi wódki. Z początku przyjrzał mu się badawczo, potem nalał bez pośpiechu kieliszek i wreszcie podniósł go w milczeniu do ust Tomasza. Tomasz wypił chciwie i poprosił:

— Jeszcze!

— Dosyć!... — odrzekł Majakin.

Potem zapadła ciężka dla wszystkich chwila zupełnego milczenia. Ludzie zbliżali się bez szelestu na palcach do stołu, a podszedłszy wyciągali szyję, by zobaczyć Tomasza.

— Czy chociaż teraz rozumiesz, Tomku, coś nabroił? — zapytał Majakin. Mówił pocichu, ale wszyscy słyszeli jego pytanie.

Tomasz kiwnął głową i milczał.

— Niema dla ciebie przebaczenia! — ciągnął stanowczo Majakin, podnosząc głos. — Chociaż wszyscy jesteśmy chrześcijanie, ale nie przebaczymy ci... wiedz o tem...

Tomasz podniósł głowę i rzekł w zamyśleniu:

— O ojcu zapomniałem... Ojciec nic nie usłyszał ode mnie...

— Macie!—krzyknął z goryczą Majakin, wskazując ręką chrześniaka. — Słyszycie?

Rozległ się głuchy szmer protestu.

— Zresztą, wszystko już jedno! — z westchnieniem ciągnął dalej Tomasz. — Wszystko jedno! Nic... nic z tego nie wyszło...

I pochylił się znowu nad stołem.

— Czegożeś chciał? — zapytał Majakin surowo.

— Czego? — Tomasz podniósł głowę, popatrzył na kupców i uśmiechnął się. — Chciałem...

— Pijak! Podlec!

— Nie jestem pijany! — zaprzeczył posępnie Tomasz. — Tylko dwa kieliszki wypiłem... Byłem zupełnie trzeźwy...

— Z tego wynika — wtrącił Bobrow — że masz rację, Jakóbie Tarasowiczu: on nie przy zdrowych zmysłach...

— Ja? — zawołał Tomasz.

Ale nie zwrócono nań uwagi. Reznikow, Zubow i Bobrow pochylili się nad Majakinem i zaczęli coś zcicha szeptać.

Tomasz uchwycił jeden wyraz — „opieka"...

— Mam zdrowe zmysły! — powiedział, odrzucając się na poręcz krzesła i patrząc mętnemi oczyma na kupców.— Wiem, czego chciałem... Chciałem powiedzieć wam prawdę... Chciałem was oskarżyć...

Wzburzenie na nowo owładnęło nim: szarpnął nagle rękoma, usiłując je wyzwolić.

— Ho-ho! Poczekaj — zawołał Bobrow, chwytając go za ramiona. — Przytrzymajcie go...

— Niech i tak... — ze smutkiem i goryczą rzekł Tomasz. — Trzymajcie... Ale na cóż ja wam?

— Cicho siedź! — krzyknął nań surowo Majakin.

Tomasz umilkł. Zrozumiał już, że wszystko, co uczynił, nie doprowadziło do niczego, że jego słowa nie przemówiły do kupców. Oto otaczają go teraz tak zwartem kołem, że nic poza nimi nie widzi. Spokojni, niewzruszeni, postępują z nimi jak z pijakiem i awanturnikiem i knują coś przeciw niemu. Czuł się nędzny, politowania godny, zdeptany przez ten tłum rozumnych, poważnych i silnych duchem ludzi... Zdawało mu się, że od chwili, gdy miotał na nich obelgi, upłynęło już wiele czasu, że sam sobie wydawał się teraz jakimś obcym i nie rozumiejącym tego, co i poco uczynił tym ludziom. Doznawał nawet takiego

uczucia, jakgdyby wstyd mu było za siebie przed sobą. Czuł suchość w gardle i jakby coś obcego w piersi, — jakgdyby jakiś kurcz czy popiół osiadł mu na sercu, które biło ciężko, nierówno. Pragnąc samemu sobie wytłumaczyć własny postępek, mówił powoli, w zamyśleniu, nie patrząc na nikogo:

— Chciałem prawdę powiedzieć... Bo czyż to jest życie?

— Głupiś! — odezwał się Majakin pogardliwie. — Cóż ty za prawdę możesz powiedzieć? Co ty rozumiesz?

— Serce mam pełne bólu... i rozumiem! Czem usprawiedliwicie się wy wszyscy przed Bogiem? Poco żyjecie? O nie, ja czuję... ja czułem prawdę!

— Żałuje za grzechy! — drwiąco zauważył Reznikow.

— Niechaj go! — z lekceważeniem odezwał się Bobrow.

Ktoś dodał:

— I z mowy jego widać, że niespełna rozumu...

— Nie każdemu wolno — mówić prawdę! — przemówił Jakób Tarasowicz tonem surowym i pouczającym, podniósłszy rękę do góry. — Nie serce, lecz rozum chwyta, tę właśnie prawdę... rozumiesz? Żeś poczuł — to fraszki! I krowa czuje, jak łamią jej ogon. A ty postaraj się zrozumieć! Wszystko zrozumiej! I wroga nawet zrozumiej... Domyśl się wpierw, o czem on we śnie myśli, a dopiero wal!

Majakin zapalił się, jak zwykle, wykładając swoją praktyczną filozofję, ale opamiętawszy się wporę, że zwyciężonego nie uczą jak walczyć, zatrzymał się. Tomasz popatrzył nań bezmyślnie i dziwnie pokiwał głową...

— Baran! — rzekł Majakin.

— Dajcie mi spokój! — prosił żałośnie Tomasz, — Wszystko wasze! Czegóż jeszcze chcecie? Zgnietliście... zwyciężyliście... to mi się należało! Cóż ja? O Boże!...

Wszyscy przysłuchiwali się uważnie jego słowom i w tej ich uwadze była jakaś zatajona złowroga myśl...

— Żyłem — mówił Tomasz głuchym głosem. — Patrzyłem... Myślałem. Wezbrało mi w sercu... I oto —

wrzód pękł... Teraz — opuściły mnie siły! Jakgdyby wszystka krew wyciekła... Do tego dnia żyłem... myślałem oto... że uda mi się wypowiedzieć prawdę... I powiedziałem...

Mówił głosem monotonnym, bezbarwnym, a mowa jego podobna była do majaczenia...

— Wypowiedziałem... i zniszczyłem tylko siebie... nic więcej! Żadnego śladu nie zostało z moich słów... Wszystko pozostało, jak było!... A we mnie — buchnęło, spaliło się i — niema nic więcej... Czem teraz żyć?... A wszystko — zostało tak, jak było...

Jakób Tarasowicz uśmiechnął się zjadliwie.

— Cóż to, — myślałeś językiem zlizać górę? Gniewu nagromadziłeś tyle, co na pluskwę, a rzuciłeś się na niedźwiedzia? Czyż nie tak? Głuptasie!... Gdyby zobaczył ciebie teraz twój ojciec... och!

— A jednak — nagle rzekł głośno i z przekonaniem Tomasz, a oczy jego zapłonęły znowu, — a jednak — wyście wszystkiemu winni! Wy zepsuliście i zohydzili życie! Wy zdławiliście wszystko... wszystko złe z was! I chociaż bezsilna jest moja prawda wobec was... a jednak jest ona prawdą! Przekleństwo na was wszystkich...

Zaszamotał się na krześle, usiłując uwolnić ręce, i wołał, miotając oczyma błyskawice:

— Rozwiążcie ręce!

Otoczono go ciaśniej; twarze kupców stały się surowsze, a Reznikow rzekł doń tonem rozkazującym:

— Nie hałasuj, nie awanturuj się! Zaraz przyjedziemy do miasta... I siebie nie kompromituj... i nas... Nie chcesz chyba, żeby cię wprost z przystani odstawiono do domu warjatów?

— Ta-a-k?! — zawołał Tomasz. — Więc wy mnie do domu warjatów?

Nie odpowiedziano mu. Popatrzył na ich twarze i zwiesił głowę.

— Zachowuj się spokojnie... to cię rozwiążemy!... — powiedział ktoś.

— Niepotrzeba! — rzekł cicho Tomasz. — Wszystko jedno... Nic z tego nie będzie...

I mowa jego stała się znowu podobna do majaczenia.

— Wiem... zginąłem! Tylko nie od waszej siły, a wskutek własnej słabości... tak! I wy robaki wobec Boga... Ale — poczekajcie! Podusicie się i wy... Ja zginąłem — bo oślepłem... Za wiele widziałem i oślepłem... Jak sowa... Pamiętam, będąc chłopcem, goniłem sowę w parowie... podleci i uderzy się o drzewo... Oślepiło ją słońce... Potłukła się całkiem — i zginęła... A ojciec powiedział mi wtedy: podobnież bywa z człowiekiem: miota się, miota, potłucze, zmęczy i padnie gdziekolwiek, byle odpocząć... Hej! rozwiążcie mi ręce...

Twarz jego zbladła, oczy zamknęły się, ramiona drżały. Obdarty, pomięty, kołysał się na krześle, uderzając piersią o stół, i coś szeptał.

Kupcy porozumiewali się znaczącem spojrzeniem. Jedni, trącając się wzajemnie w bok, wskazywali sobie głową Tomasza. Twarz Jakóba Majakina była nieruchoma i ciemna, jakby wykuta z kamienia.

— Może rozwiązać? — szepnął Bobrow.

— Jak przypłyniemy bliżej...

— Nie, nie trzeba... — rzekł półgłosem Majakin. — Zostawimy go tutaj... a niech ktokolwiek pośle po karetę... Prosto do szpitala...

— A gdzie odpocznę? — zaczął znowu mruczeć Tomasz. — Gdzie moja droga? — I zastygł w wygiętej, niewygodnej pozie, skrzywiony, z wyrazem bólu na twarzy...

Majakin wstał z miejsca i poszedł w stronę kajuty, powiedziawszy cicho:

— Popilnujcie... żeby, uchowaj Boże, nie wskoczył do wody...

— A szkoda chłopaka... — mruknął Bobrow, patrząc za odchodzącym Majakinem.

— Nikt nie winien, że głupi... — odrzekł ponuro Reznikow.

— A Jakób, hę?... — kiwnąwszy głową wślad Majakinowi, wyszeptał Zubow.

— Cóż Jakób? On na tem tylko wygrał...

— Ta-a-k... teraz... che-che...

— Zaopiekuje się... che-che...

Cichy ich śmiech i szepty zlewały się z sapaniem maszyny i nie doleciały zapewne do uszu Tomasza. Patrzył on przed siebie nieruchomo przygasłym wzrokiem, tylko usta jego lekko drżały...

— Syn teraz wrócił do niego... — szeptał Bobrow.

— Znam jego syna, — rzekł Jaszczurow. — Spotykałem go w Permie...

— Cóż to za człowiek?

— Pracowity... rozumny...

— Tak?

— Zarządza dużym interesem w Usolju...

— A więc ten już niepotrzebny Jakóbowi... Ta-a-k!... taka sprawa!

— Patrzajcie — płacze!

— O?

Tomasz siedział, pochyliwszy się na poręcz krzesła i zwiesiwszy głowę na ramię. Oczy miał zamknięte, a z pod rzęs, jedna po drugiej, wytaczały się łzy i spływały po policzkach na wąsy... Usta Tomasza drgały kurczowo i łzy spadały z wąsów na pierś. Milczał i nie poruszał się, tylko pierś jego podnosiła się ciężko i nierówno. Kupcy popatrzyli na bladą, cierpiącą i mokrą od łez twarz, z obwisłemi kątami ust, i cicho, w milczeniu poczęli odsuwać się od niego...

I oto Tomasz pozostał sam, ze związanemi na plecach rękoma, przed zastawionym brudnemi naczyniami i resztkami uczty stołem. Dźwigał chwilami z trudem ciężkie spuchnięte powieki i oczy jego posępne i zamglone, patrzyły przez łzy na stół, gdzie wszystko było brudne, poprzewracane, zburzone...

Minęły trzy lata.

Jakób Tarasowicz Majakin umarł rok temu. Umierał zupełnie przytomnie, pozostał do końca wierny swym zasadom i na kilka godzin przed śmiercią mówił do syna, córki i zięcia:

— No, dzieci, — żyjcie bogato! Na mnie już czas... Widzicie... Umieram, ale nie rozpaczam... I to będzie mi policzone przed Bogiem... Dokuczałem Mu, wszechmogącemu, żartami, ale nigdy — jękami i skargą! Ach! Boże! Rad jestem, żeś dał mi rozumnie żywot spędzić! Żegnajcie, dzieci... Żyjcie w zgodzie... i nie mędrkujcie zbytnio. Pamiętajcie — że nie ten jest święty, kto unika grzechu i chowa się na piec... Tchórzostwo nie zabezpieczy was od grzechu... o tem właśnie poucza przypowieść o talentach... A kto pragnie sens jakiś z życia wycisnąć — ten się nie boi grzechu... Pan Bóg przebaczy mu błąd... Pan Bóg powołał człowieka do urządzenia życia... ale niezbyt wiele dał mu rozumu... a więc nie będzie surowo karał... Albowiem święty On jest i wielce miłosierny...

Umarł po krótkiej, ale bardzo ciężkiej agonji.

Jeżowa usunięto za coś z miasta, wkrótce jakoś po awanturze Tomasza na poświęceniu statku...

W mieście powstał nowy wielki dom handlowy pod firmą „Taras Majakin i Afrykan Smolin".

W ciągu tych trzech lat nie słyszano wcale o Tomaszu. Powiadają, że kiedy chłopak wyszedł ze szpitala Majakin wyprawił go gdzieś na Ural do krewnych matki.

Niedawno zjawił się Tomasz na ulicach miasta, wynędzniały, obdarty i napół przytomny. Prawie zawsze podchmielony i chodzi zwykle ponury, z ściągniętemi brwiami i zwieszoną na piersi głową; ale czasami uśmiecha się smutnym, żałosnym uśmiechem obłąkańca. Niekiedy awanturuje się, ale to się rzadko zdarza. Mieszka u siostry w podwórzu, w oficynie...

Znający go kupcy i mieszczanie często śmieją się z niego. Gdy idzie ulicą, wołają nań czasem:

— Hej, proroku! Chodź-no tu!

Tomasz bardzo rzadko podchodzi do wołającego, — wogóle unika ludzi i nie lubi z nimi rozmawiać. Jeżeli wszakże zatrzyma się i podejdzie, mówią mu:

— Ano, powiedz nam kazanie... o sądzie ostatecznym, no? Che-che-che! Prorok!

. . . . . . . . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . .

KONIEC.